

**Zofia Kossak-Szczucka**

# **BURSZTYNY**

## Wstęp

Zofia Kossak-Szczucka-Szatkowska należy do pisarzy znanych i cenionych nie tylko w Polsce. Jej książki były tłumaczone na dwadzieścia jeden języków, a antywojenna w swojej wymowie powieść *Bez oręża*, przełożona na dwanaście języków, w Stanach Zjednoczonych osiągnęła nakład siedemset pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Cyklem utworów o wojnach krzyżowych zdobyła trwałe miejsce wśród dokonań światowej beletrystyki historycznej.

Twórczość autorki *Bursztynów* jest związana z dwudziestoleciami międzywojennym i współczesnością, korzeniami zaś sięga tradycji dziewiętnastowiecznej prozy realistycznej: Bliskie pokrewieństwo z klasycznym nurtem prozy ujawnia przede wszystkim język i styl jej utworów. Bogactwo zasobu leksykalnego, ogromna wrażliwość na wartość artystyczną słowa, prostota stylu są osiągnięciem, w którym oprócz efektów własnej inwencji pisarki odnaleźć można wpływ wzorców narracyjnych Józefa I. Kraszewskiego i Zygmunta Kaczkowskiego, Henryka Sienkiewicza i Stefana Żeromskiego. Umiejętność kreślenia wyrazistych, barwnych obrazów oraz plastycznych sytuacji wskazuje, że swój indywidualny talent pisarski rozwijała czerpiąc ze źródeł nie byle jakich. Nie przypadkiem wśród książek, które wywarły na niej najgłębsze wrażenie, wymienia Sienkiewiczowską Trylogię, *Wojnę i pokój* Lwa Tołstoja, a także utwory Żeromskiego. To właśnie Sienkiewicz, a wraz z nim znany historyk Ludwik Kubala - jak wyznaje pisarka - kształtowali jej zainteresowania historyczne. Jednak niewątpliwie wpłynęła na nie również atmosfera środowiska rodzinnego.

A było to środowisko, w którym przeszłość narodu, jego wzloty i upadki, stanowiły nie tylko temat do dyskusji, ale także inspirację twórczości artystycznej. Spojrzenie Zofii Kossak na przyszłość formowały obok rodzinnych dyskusji i prac monograficznych z zasobnej biblioteki ojca również obrazy batalistyczne dziadka Juliusza, a potem stryja Wojciecha. Zwierzenie pisarki, że "historię kocha atawistycznie, od dziecka" można zatem przyjąć za wypadkową zainteresowań osobistych, wpływu lektury i malarstwa oraz specyficznego klimatu szlachecko-ziemiańskiego rodzinnego gniazda. Atmosfera patriotyczna, zarysowana tak wyraziście w *Dziedziectwie*, zawierającym sagę rodu na tle losów narodu, musiała panować również w Kośminie nad Wieprzem.

Urodziła się tam 8 sierpnia 1890 roku, jako córka Anny i Tadeusza Kossaków, i tam spędziła dzieciństwo. W Kośminie też pod kierunkiem rodziców i guwernantki uczyła się, opanowując przede wszystkim przedmioty humanistyczne. Zdobytą wiedzę próbowała jako młoda, szesnastoletnia dziewczyna zużytkować w pracy nauczycielskiej w jednej ze szkółek

zorganizowanych w Warszawie przez Polską Macierz Szkolną.

Pod wpływem klimatu artystycznego środowiska rodzinnego podjęła jednocześnie studia w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, gdzie dostrzeżono w niej talent malarski, zwłaszcza w kreowaniu scen batalistycznych. Rozwijała go konsekwentnie, studiując w latach 1913-1914 w Szkole Rysunku w Genewie. Jej wczesna młodość upłynęła zatem raczej pod znakiem pędzla niż pióra.

Od wybuchu I wojny światowej przebywała na Wołyniu, początkowo w Skowródkach, dokąd ze względów politycznych przeniósł się ojciec i gdzie dzierżawił folwark, od roku 1915 natomiast, po wyjściu za mąż za Stefana Szczuckiego, w administrowanym przez niego majątku w Nowosielicy. Pejzaż Wołynia ze swą bujną przyrodą odegrał znaczną rolę jako główny czynnik w kształtowaniu literackich obrazów przyrody w wielu utworach. Później wyobraźnię pisarską Zofii Kossak zdominowały krajobrazy i ludzie Śląska.

Przeniosła się na Śląsk, do Górek Wielkich pod Skoczowem, po śmierci męża, a w trzy lata później po raz drugi wyszła za mąż, za Zygmunta Szatkowskiego, który stał się współautorem jej niektórych książek.

II wojnę światową przeżyła w Warszawie, angażując się w działalność przeciw hitlerowskiemu okupantowi. Była członkiem tajnych organizacji, ale do pracy czysto politycznej, związanej z określonymi stronnictwami czy ugrupowaniami zachowała stosunek powściągliwy. Uprawiała natomiast żywą działalność kulturalną i charytatywną. Sama poszukiwana przez gestapo - jak wspomina współpracujący z nią w konspiracji Władysław Bartoszewski - podjęła niebezpieczną jazdę do Krakowa, aby ocalić osierocone dzieci żydowskie. Kosztem bezpieczeństwa własnego i najbliższej rodziny ratowała życie innym. Przyjmowała w swoim mieszkaniu nie tylko członków organizacji, ale wszystkich, którzy szukali pomocy. Przedmiotem szczególnej troski pisarki był los Żydów, co uzewnętrzniło się między innymi współuczestnictwem w organizowaniu Rady Pomocy Żydom (1942).

Z pisania nie rezygnowała, współpracując z wielu drukowanymi w konspiracji czasopismami. W podziemiu wydała także kilka broszur na aktualne tematy, a między nimi odezwę o znamienym tytule Protest (w związku z rozpoczęciem przez Niemców w lipcu 1942 planowej zagłady warszawskiego getta).

We wrześniu 1943 roku została przez Niemców aresztowana i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Nie ominął jej także Pawiak, gdzie skazana została na śmierć. Tuż przed wybuchem powstania warszawskiego dzięki staraniom przyjaciół została uwolniona.

W latach 1946-1956 pisarka przebywała w Anglii. Pracowała początkowo w PCK, a potem, z dala od ośrodków życia emigracyjnego, w Kornwalii, utrzymywała się z pracy własnych rąk w

gospodarstwie rolnym. Wróciwszy w 1957 roku do Polski, w wywiadzie udzielonym “Wiadomościom” paryskim swój emocjonalny stosunek do ojczyzny wyraziła wymownym zdaniem: “Wszystko jest dobre, co jest Polską”.

Po powrocie skoncentrowała się na twórczości literackiej. Pracowite do ostatnich dni życie w Górkach Wielkich -9 kwietnia 1968 roku przerwała śmierć.

Do literatury weszła Zofia Kossak jako autorka Pożogi. Książka wydana w roku 1922 z przedmową Karola Estreichera, a powstała z obserwacji “gorących dni roku 1917, zwróciła uwagę krytyki i czytelników na talent narracyjny młodej autorki, na umiejętność tworzenia plastycznych i przemawiających do wyobraźni opisów sytuacji. Choć wypadki lat 1917-1919, rejestrowane na gorąco, bez dystansu, przedstawione zostały w książce z pozycji kresowego ziemiaństwa, niejedna jej karta zawiera surowy sąd nad klasą, która - uważając się za bastion kultury polskiej na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej - w ciągu wieków gromadziła na sobie gniew ludu. Zdając sobie sprawę z przyczyn rewolucji, niosącej zagładę kresowym dworom, autorka pisze: “Snadź na każdy z tych domów rzucono kiedyś kamienie słusznego gniewu lub żalu. Przyszedł dzień, że kamienie te ożyły, a ożywszy spadły deszczem na bezpieczne dachy, choć ręce, co je miotały, dawno w proch się rozsypały.”

Swojego debiutu książkowego nie lubiła. Być może dlatego, że z czasem zaczęła dostrzegać niedostatek obiektywizmu zawartego w nim obrazu.

W miarę upływu lat Pożoga ulegała coraz większemu zapomnieniu. Próby czasu nie wytrzymały również inne utwory Zofii Kossak, na przykład wydane w latach trzydziestych powieści o tematyce współczesnej, S.O.S. i Dzień dzisiejszy, a także teksty dramatyczne. Nie budzi już dzisiaj zainteresowania schematyczna opowieść obozowa *Z otchłani*. Coraz rzadziej także dopytują się czytelnicy w bibliotekach o takie tytuły, jak: *Z miłości*, *Szaleńcy Boży*, *Ognisty wóz* czy *Przymierze*, choć są w nich zawarte piękne legendy łączące historię z fantastyką, autentyzm codziennej rzeczywistości z typową dla gatunku cudownością.

We wciąż żywym obiegu czytelnicznym pozostaje natomiast większość jej powieści historycznych, znaczna część książek dla dzieci i młodzieży oraz utworów poświęconych ziemi śląskiej.

Te ostatnie cechuje wyjątkowo serdeczne podejście do tematu. Śląsk, jego przeszłość i teraźniejszość, kultura i obyczajowość, a nade wszystko ludzie, którzy bronili polskości tej ziemi, wypełniają karty wielu utworów Zofii Kossak. Należy do nich między innymi baśń *Kłopoty Kacperka*, góreckiego skrzata i książka *Wielcy i mali*, zawierająca cztery opowiadania o ludziach Śląska, bardzo zróżnicowanych pod wieloma względami, lecz jednomyślnych w swoim poczuciu więzi narodowej i zaangażowaniu na rzecz polskości Śląska. Tematykę śląską kontynuowała

pisarka w powieści *Ukryte źródła*, a z widocznym zamiłowaniem poświęciła jej zbiór opowiadań *Nieznany kraj*. Powieścią śląską jest także *Legnickie pole*, zapowiadające wielką epikę historyczną i sygnalizujące szczególne cechy beletrystyki historycznej autorki. Już w tej powieści bowiem dostrzec można skrupulatne odwoływanie się do historiografii oraz pewien chwyt kompozycyjny, który z czasem stał się szablonem, a polegał na przeciwstawnej charakterystyce dwóch antagonistycznych obozów, światów, kultur, a także odnaleźć typową dla późniejszych utworów luźną strukturę powieści, składającej się z epizodów słabo powiązanych losami bohaterów. *Legnickie pole* zdradza też predylekcję autorki do tworzenia bogatej, dobrze wypełnionej szczegółami scenerii.

Epikę historyczną w twórczości Zofii Kossak zainaugurowała wydana w roku 1924 niewielka powieść *Beatum scelus* (*Błogosławiona wina*). W jej treści przewijają się dwa rodzaje zagadnień, religijno-moralne i polityczne. Pierwsze wynikają z popełnienia czynu nieetycznego, choć dokonanego z pobudek religijnych, drugie natomiast eksponują świat Polski sarmackiej. Siedemnastowieczna Polska pozostaje w centrum uwagi pisarki jeszcze w trzech innych powieściach; w *Trembowli*, *Suknia Dejaniry* oraz w *Złotej wolności*, powieści cenionej bardzo wysoko, mimo że charakterystyka arian przeprowadzona w niej została subiektywnie i powierzchownie. Wszystkie zawierają surową krytykę najwyższych warstw społecznych tamtych czasów. Ukazują sobiepaństwo magnatów, rozprężenie ustroju i brak poszanowania dla prawa. W *Sukni Dejaniry* krytyczna ocena górnej warstwy społeczeństwa zostaje sformułowana z pozycji szlacheckiego bohatera powieści, który zamienia żupan na chłopską siermięgę, przyjmując dobrowolnie wszelkie konsekwencje wynikające z tej decyzji, życie w nędzy, ciężkiej pracy i poniżeniu we własnym majątku. Spojrzenie z dołu, z barłogu w czworakach, umożliwia mu dokonanie obiektywnej oceny własnej klasy i prowadzi do wniosku, że żaden akt poświęcenia ze strony jednostki nie zdoła zmienić rzeczywistości społecznej.

Za największe dokonanie w dziedzinie beletrystyki historycznej tak krytycy, jak i czytelnicy zgodnie uważają cykl powieści o wojnach krzyżowych, do których również autorka przywiązywała wielką wagę. Do napisania *Krzyżowców* (1935), a następnie *Króla trędowatego* (1936) i *Bez oręża* (1937) przygotowywała się bardzo starannie przez sześćoletnie studia nad średniowieczem, szczególnie zaś nad historią krucjat. Aby skojarzyć zaczerpniętą ze źródeł wiedzę z realiami przestrzennymi, podjęła podróż do Jerozolimy opisaną w książce *Pątniczym szlakiem*. Przedstawiona w *Krzyżowcach* oraz w kolejnych tomach niezmiernie długa droga wypraw krzyżowych ujawnia niemal wszystkie okropności wojen toczonych w imię wzniesłego celu: bezprawie, deprawację człowieka przez wojnę, negację ideałów humanistycznych, nawet rzeź kobiet i dzieci przy zdobywaniu Jerozolimy. Ukazując bankructwo idei wojen krzyżowych,

przeciwstawiła się autorka dalekiemu od prawdy etosowi rycerza-krzyżowca. "Święta wojna", jak każda inna, wyzwoliła bowiem najgorsze instynkty ludzkie i stała się zaprzeczeniem ideałów chrześcijańskich.

Wyprawy krzyżowe jawią się w powieściach w bogatym kontekście społecznych, religijnych i obyczajowych zjawisk średniowiecza. Sprawy Polski łączą się tu ze sprawami Europy i Wschodu, a problemy religijne pozostają w związku z zagadnieniami natury społeczno-ekonomicznej, wszak wielki pochód krzyżowy był także formą politycznej, kulturalnej i gospodarczej ekspansji ludów Europy na Wschód. Konsekwencje zetknięcia się Zachodu z prawie nieznaną kulturą Wschodu podkreśla autorka w zakończeniu *Krzyżowców*.

Część swej bogatej twórczości adresowała Zofia Kossak bezpośrednio lub pośrednio do dzieci i młodzieży. Do czytelników najmłodszych przemówiła baśnią. *Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata* (1926) wiążą się z odbudowanym po pierwszej wojnie światowej dworem w Górkach Wielkich. Bohater tytułowy - przez trzysta trzydzieści lat stróż i dobry duch starego domu, a przy tym doskonały znawca dziejów Śląska - z radością podejmuje swe dawne obowiązki, gdy w swojej sadybie po długim, smutnym okresie znowu słyszy mowę polską. Musi jednak stoczyć walkę o "mani", symbol pokoju i domowego szczęścia, który podstępnie wykradł mu diablik Sato. Rozprawa z Sato jest symbolem odwiecznej walki między dobrem a złem i zgodnie z konwencją baśni kończy się zwycięstwem dobra. W idei tej baśni zostało wyrażone przekonanie, które pisarka tak wytrwale głosiła we wszystkich utworach - zwyciężyć musi dobro, prawda i sprawiedliwość.

Dla dzieci napisała także interesującą powieść *Topsy i Lupus o zaprzyjaźnionych psach*, których losy ułożyły się odmiennie. Jednemu, wilczurowi, pozwolono żyć normalnym psim życiem, drugi natomiast poddany został intensywnej tresurze. Ciężki los "uczonego" psa, bez skrupułów wyzyskiwanego w cyrku i dręczonego, jest literackim apelem pisarki, ogromnie wrażliwej na zjawiska świata zwierzęcego, zwłaszcza psów i koni, o właściwy stosunek ludzi do zwierząt.

Płaszczyzną porozumienia z młodzieżą w książkach *Szukajcie przyjaciół* (1934) i *Laska Jakubowa* (1939) było harcerstwo. Przekazała w nich Zofia Kossak, entuzjastka skautingu, wrażenia z dwu jamboree - międzynarodowych zlotów harcerskich.

Próbowała też zapoznać i oswoić młodzież ze światem sobie najbliższym, choć odległym w czasie, z historią. Z fascynacji przeszłością zrodziły się wydane w 1938 roku powieści, *Puszkarcz Orbano* i *Gród nad jeziorem*. W pierwszej przedstawiony został upadek Bizancjum, czyli Konstantynopola (obecnie Istanbuł), zwanego także Carogrodem, a u zarania swej historii noszącego miano Lygos. Rok owego upadku, 1453, przywoływany bywa często jako data

przełomowa na granicy dwóch epok, europejskiego średniowiecza i renesansu.

Akcja powieści zaczyna się w końcowym momencie istnienia Cesarstwa Bizantyjskiego, a więc wtedy, gdy straciło już ono autorytet potężnego ośrodka kulturalnego i umysłowego, jakim cieszyło się od wieków. Ten upadek unaocznia autorka kilkoma wymownymi znakami.

Przyczyny upadku Bizancjum przedstawione zostały w powieści bardzo sugestywnie, ale jednostronnie. Sprowadziła je pisarka do postaw obywateli, rozmiłowanych w przepychu i wykwincie, uwielbiających igrzyska i festyny, traktujących życie jako jedną wielką okazję do zabawy. Sybarytyzm i sobkostwo oraz zupełny brak zainteresowania dla spraw państwowych, łatwowierność i naiwny optymizm sprawiły, że Cesarstwo stało się łatwym łupem dla Turków. Tymczasem rzeczywistość była bardziej złożona. Proces upadku Bizancjum toczył się przez całe stulecia. Stanowiło ono stawkę w przetargach politycznych innych mocarstw, a jego los rozstrzygał się niemal zupełnie niezależnie od woli ostatnich cesarzy, którzy nie zdołali przeciwstawić się siłom zdecydowanie niekorzystnym dla Bizancjum i zahamować pogłębiającego się rozprzężenia wewnętrznego.

Wierna wobec historiografii jest natomiast prezentacja końcowego aktu tragedii bizantyjskiego dramatu. Przedstawiając obronny przebieg walki, podkreśla autorka przewagę techniczną artylerii tureckiej. Dowodem rzetelnego stosunku do tego, co zarejestrowała historiografia, są także poszczególne sytuacje z obrony miasta.

Naczelną ideę powieści wyraża kilka postaci, które, podobnie jak bohaterowie innych utworów Zofii Kossak, zostały silnie skonstrastowane. Owa idea dotyczy wyboru postawy obywatela wobec państwa. Bohater tytułowy dla "ureczywistnienia samego siebie", największych marzeń życia, oddaje swe usługi wrogowi, sułtanowi Mahometowi II, budując niezwykle działo, które przyspieszy upadek Konstantynopola. Przeciwstawione zostały mu dwa wzorce miłości ojczyzny, jego własnego syna i wielkiego Konstantyna.

Ostatni z Paleologów skazany niejako na klęskę przez splot różnych okoliczności, w sytuacji beznadziejnej bierze udział w obronie miasta, by zginąć z honorem. Jego waleczny czyn staje się rodzajem ekspiacji za niemożność działania z racji sprawowania władzy.

Inny rodzaj ekspiacji przyjmuje Mario, syn Orbana. Jego śmierć zyskuje najwyższy wymiar patriotyzmu. Młodym życiem płaci bowiem za zdradę popełnioną przez ojca, pozostawiając mu nakaz moralny zniszczenia dział burzących Bizancjum.

W Grodzie nad jeziorem prowadzi autorka czytelnika ku naszej polskiej najodleglejszej przeszłości, ku wyrastającym ze Słowiańszczyzny korzeniom narodu. W powieści maluje barwne obrazy egzystencji naszych przodków w VI wieku p.n.e. Przedstawia to życie jako niełatwe, zwłaszcza dla kobiet, którym przypadała w udziale lwia część prac wokół wyżywienia,

sporządzania ubiorów i przedmiotów codziennego użytku, ale nie tak prymitywna jak sądzono pierwotnie.

Powieściowy gród nad jeziorem jest osiedlem łużyckim, służącym zwartej społeczności prasłowiańskiej. W jego kulturze materialnej współistnieją różne wyroby, kamienne i brązowe. Kontakty z innymi plemionami są ograniczone.

Na tle codzienności grodu i jego obyczajów osnuty jest wątek miłosny. Jego bohaterowie, dziewczyna posądzana o czary i skazana na ofiarę bogom oraz młody myśliwy, choć bardzo się kochają, prawie wcale o swoich uczuciach nie mówią, uzewnętrzniają je natomiast czynami wzajemnego poświęcenia. Wyjaśnia to autorka ubóstwem pierwotnej mowy, brakiem wyrazów oddających subtelne odczucia i doznania.

Powieść powstała w okresie żywego zainteresowania archeologią. Rzeczywistym prototypem grodu był Biskupin. Rewelacyjne w skali światowej wykopaliska w Biskupinie pod Poznaniem znakomicie pogłębiły wiedzę o naszym rodowodzie. Rzetelnym studiom autorki nad konkretem archeologicznym zawdzięczamy bogactwo szczegółów w powieściowym obrazie dawnego życia.

Do utworów Zofii Kossak pisanych zapewne z myślą o młodych czytelnikach, na co wskazują wewnątrztekstowe sygnały adresu czytelniczego, należy także powieść *Warna*. Jej bohaterem jest najmłodszy i ciągle bardzo popularny władca średniowiecznej Polski i Węgier, Władysław, syn Jagiełły. Rycerskie czyny i tragiczna śmierć tego króla-chłopca obrosły licznymi legendami. Większość z nich wyraża przekonanie, że w bitwie pod Warną zdołał się uratować. Na takim przekonaniu zależało wielu ludziom, ale, jak wyjaśnia autorka, głównie władcom zachodnim, próbującym zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności za pozostawienie króla bez pomocy, oraz ludowi węgierskiemu, który chciał opóźnić powrót na tron znieawidzonych Habsburgów. *Warna* nawiązuje do beletrystycznego cyklu Zofii Kossak o wojnach krzyżowych. Dzieje inspirowanej przez papieża Eugeniusza IV, tragicznej w skutkach, wyprawy niejako zamykają powieściowy obraz krucjat. Młody bohater *Warny*, kreowany w powieści na ostatniego krzyżowca, od dzieciństwa marzył o osiągnięciu ideału rycerza krucjaty. Sublimację owego ideału osiąga w momencie śmierci, stylizowanym przez pisarkę na obraz śmierci bohatera w *Pieśni o Rolandzie*.

Zbiór opowiadań *Bursztyny* wydany został po raz pierwszy w roku 1936. Wzbogaciła nim autorka bogatą tradycję pisania dla młodych czytelników małych form narracyjnych, opowiadań, obrazków i zbeletryzowanych pogadanek o przeszłości. Ową tradycję, powstałą w czasie zaborów, kontynuowali z powodzeniem pisarze dwudziestolecia międzywojennego, Stanisław Konarski zbiorem opowiadań *Musi być!*, Jan Parandowski *Trzema znakami Zodiaku*, a przede wszystkim



Maria Dąbrowska tomem Dzieci ojczyzny.

Większość opowiadań zawartych w zbiorze Bursztyny powstawała w okresie bardzo intensywnej pracy Zofii Kossak nad Krzyżowcami.

Opowiadania zostały zamówione przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich do wypisów szkolnych. Zapotrzebowanie na tematy zgłaszali Juliusz Balicki i Stanisław Maykowski, redaktorzy popularnego w dwudziestolecie międzywojennym cyklu wypisów szkolnych (Kraj lat dziecińczych, Będziem Polakami, Mówią wieki). Uskarżając się w jednym z wywiadów na nawał pracy, w dodatku odległej od głównego przedmiotu zainteresowań, pisarka podkreśla, że praca nad zamówionymi tekstami jest jednak interesująca. Same opowiadania zresztą, ich treść i kształt literacki, są dowodem, że nie tworzyła ich bez odpowiedzialności za poziom artystyczny i bez zaangażowania. Są, jak sama stwierdza w przedmowie do pierwszego wydania, “wynikiem sumiennej pracy badawczej”.

Krytyka przyjęła Bursztyny kilkoma krótkimi recenzjami. Tylko jedna z nich, pióra Kazimierza Czachowskiego, wnikliwego historyka literatury i krytyka okresu międzywojennego, wykracza poza ramy krótkiej noty o treściach książki i zawiera uwagi o kompozycji tomu i stylu utworów. Czachowski, podkreślając wybitny talent Zofii Kossak w ożywianiu przeszłości, formułuje pewne zastrzeżenia, zarówno co do pozytywnej oceny kompozycji tomu w przedmowie autorskiej, jak i w stosunku do podejmowanych tematów. Wyraża przekonanie, że pisarka wybrała najłatwiejszą z wszystkich możliwych dróg beletryzacji tematów historycznych, spożytkowując po prostu gotowy materiał anegdotyczny.

Bursztyny miały dotąd kilka wydań. Po II wojnie światowej ukazały się jeszcze trzykrotnie. Zbiór niniejszy nie jest dokładnym powtórzeniem żadnego z nich. Jest znacznie bogatszy i pełniejszy w stosunku do wydań powojennych. Zawiera także teksty, których nie ma w wydaniu przedwojennym. Zgodnie z intencją autorki adresuje się go do szerokich rzesz polskiej młodzieży, aby ułatwić jej poznanie i odczucie piękna tego, co minęło, co stało się już może jak bursztyńskimi skamielinami, ale pod piórem pisarki znowu ożyło i nabrało barw.

Plan kompozycyjny tomu jest bardzo prosty, bo chronologiczny. Czas historyczny kolejnych opowiadań tworzy linię wiodącą od przeszłości najdawniejszej, od korzeni narodu, ku czasom coraz bliższym. W ten sposób w książkę wpisana została droga naszego społeczeństwa od prehistorii do powstania Polski niepodległej w roku 1918.

Książka zaczyna się opowieścią o burszynie. Po “złoto Bałtyku” zapuszczali się na północ - nie bacząc na trudy podróży - kupcy ze słonecznej Grecji i dalekiego Bizancjum, z Rzymu i Fenicji. Starożytni dopatrywali się w burszynie symbolu wiecznego życia, magicznych i leczniczych właściwości, a greckie i rzymskie strojnisię od dawna znajdowały upodobanie w

ozdobach wykonanych ze skamieniałej żywicy.

Opowieść wiąże się z Grodem nad jeziorem, i to nie tylko czasem akcji, ale epizodem dotyczącym handlu zamiennego. Tu jednak dziewczyna z osady nad Bałtykiem nie pojedzie w świat na niepewną, niewolniczą dolę z obcymi, którzy bursztynowym szlakiem przemierzają północne ziemie. Słowiańską Afrodytę od tego losu uratuje decyzja młodego chłopca.

Opowiadania U świtu dziejów, Przysięga, Purpurowy szlak mówią o tworzeniu zrębów polskiej państwowości, o tym, jak rosła i umacniała się organizacja kraju pod rządami pierwszych Piastów, jak krzepło poczucie narodowej jedności i jak wzrastało znaczenie Polski wśród państw europejskich. W Purpurowym szlaku przyjazd cesarza niemieckiego Ottona III w roku tysięcznym do Polski jest dla cudzoziemskich gości okazją do naocznego stwierdzenia wysokiego poziomu kultury Polski piastowskiej. Gnieźnieński zjazd, na którym Bolesław Chrobry otrzymał insygnia władzy królewskiej, był pierwszym polsko-niemieckim układem pokojowym.

Opowiadania Prometeusz i garncarz oraz Ojcowie cystersi w Mogile eksponują wartość myśli ludzkiej, ciągle niespokojnej i poszukującej, oraz twórczej pracy jako głównych czynników postępu. Akcja Prometeusza i garncarza toczy się w okresie wczesnego średniowiecza, a jego treść osnuta została na tle podania o kamiennej rzeźbie-głowie Prometeusza. Dzięki kontaktom Wolina z Grekami dostała się ona na wybrzeże Bałtyku. Charakteryzując stan ówczesnego rzemiosła garncarskiego i dokonujący się w nim postęp, zwraca autorka jednocześnie uwagę na wieczną tęsknotę człowieka do piękna.

Rolę średniowiecznych zakonów w kształtowaniu kultury materialnej i duchowej pokazała Zofia Kossak na przykładzie zakonu cystersów. Prezentując czynne życie zakonników, wznoszone przez nich nową metodą budowle, nowoczesne młyny, doskonalone przez szczepienia różne gatunki drzew owocowych, skryptoria, w których kopiowano księgi, i pracownie, gdzie je iluminowano, podkreśla znaczenie pracy społecznie użytecznej, służącej ludziom, podnoszącej poziom ich życia i bogacącej kraj. Pracę na rzecz materialnej i duchowej kultury środowiska ceni znacznie wyżej niż "benedyktyńską uczość".

Epoka piastowska ukazana jest przez autorkę Bursztynów nie tylko jako okres szczęśliwego rozwoju kraju pod rządami dobrych i mądrych władców. Obok obrazu świetnej uczy Wierzyńka znajdują tu swoje miejsce literackie refleksje na temat wydarzeń katastroficznych. W opowiadaniu Idę... przywołane zostają tragiczne dzieje napadów tatarskich. Najazdy tatarsko-mongolskie - temat podejmowany już wcześniej przez autorów powieści dla dzieci i młodzieży, między innymi przez Władysława Łozińskiego (Oko proroka, czyli Hanusz Bystry i jego przygody), Jadwigę Łuszczewską (Branki w jasyrze) i Marię Czeską-Mączyńską (Dwaj Rymszowie) - potraktowała Zofia Kossak inaczej niż jej poprzednicy, którzy wiązali wydarzenia historyczne z atrakcyjnymi

wątkami fikcyjnymi, głównie zaś z wątkiem przygodowym, w którym nie brakło motywów porwania, ucieczki, pogoni, utraty a później odzyskania dziecka.

Opowiadanie *Ide...* dotyczy trzeciego z trzynastowiecznych najazdów tatarskich, z przełomu lat 1287 i 1288, gdy Sandomierz i Kraków obroniły się przed najeźdźcami, a załoga Sącza wraz z posiłkami węgierskimi zadała im klęskę. Opowieść o obronie Sącza snuje narrator na tle historii najazdów wcześniejszych, tego pierwszego, najstraszniejszego, w roku 1241, przedstawionego w Legnickim polu i drugiego, z roku 1259. Centralną postacią opowieści o sądeckich walkach nie jest żaden wielki wódz czy rycerz, ale kobieta, Kinga węgierska żona Bolesława Wstydliwego, a od śmierci męża opatka ufundowanego przez siebie klasztoru klarysek. Jej ciekawą osobowość prezentuje autorka w zderzeniu dwóch perspektyw, realistycznej i irracjonalnej. Kinga przemawia do nas głównie swoją aktywną postawą wobec niebezpieczeństwa, zmieniającego wolę wszystkich, od burmistrza i rajców po tłum biedoty szukającej ratunku w murach obronnego miasta. Jej “bronić się trza” wymierzone przeciw bierności wobec zła, poparte szeregiem logicznych racji, staje się imperatywem zagrzewającym do walki. Mistyczna strona osobowości Kingi wyrasta z pięknych legend tworzonych wokół niej już za jej życia, a obalanych przez samą bohaterkę.

Nieliczne opowiadania związane z epoką Jagiellonów, z wyjątkiem *Hołdu pruskiego*, nie eksponują świetności dynastii. Ożywiają natomiast staropolskie życie w różnych jego przejawach, przypominają postacie i wydarzenia. W opowiadaniu *Sąsiedzki dar* autorka przedstawia proces wprowadzania do literatury języka polskiego, uważanego dotąd za język pospółstwa. Rej jawi się w nim jednak nie tylko jako ojciec polskiego języka literackiego, ale człowiek renesansu, “bystrego umysłu”, odcytany, dowcipny, towarzyski, otwarty na sprawy ludzkie i otwarty na wszystkie przejawy życia przyrody.

W *Strażnikach morza* charakteryzuje autorka stosunek Polski do morza w czasach Zygmunta Augusta, który zainteresowany polityką morską, w roku 1568 powołał Komisję Morską - pierwsze ministerstwo żeglugi - i dbał o rozbudowę floty.

Proroczyn boży zapoznaje z sylwetką, obecnie coraz rzadziej przypominanego, ks. Piotra Skargi. W historii literatury polskiej występuje on jako znakomity stylistą i wielki patriota, autor najlepszych w jego twórczości *Kazań sejmowych*.

Świat Rzeczypospolitej szlacheckiej pod władzą królów elekcyjnych przywołuje Zofia Kossak kilkoma opowiadaniem. *Wesele w Jaworowie* i *Zemsta błazna*, czasem akcji sięgające panowania Jana III Sobieskiego, są w swych treściach i nastroju ogromnie zróżnicowane. Pierwsze silnie zabarwione emocjonalnie przedstawia króla jako pana dobrego, wrażliwego na sierocy los młodej dziewczyny, oraz bliskiego ludowi. *Zemsta błazna* ma charakter wyraźnie satyryczny, a

wymierzona została we francuskie otoczenie królowej Marysienki, wspólnie ze swą panią gardzące Polską. Zofia Kossak okazuje się w nim mistrzynią w kreowaniu scen opartych na komizmie sytuacyjnym.

Opowiadania *Sas i las* oraz *Do światła* przenoszą czytelnika w czasy saskie, gdy Rzeczypospolita szlachecka chyliła się ku upadkowi, sejmy z reguły zrywano, a w kraju triumfowała ciemnota. Od tego tła wyraziście odbijają wysiłki Stanisława Konarskiego, dążenie do reform, umożliwiających wejście w epokę cywilizacji i postępu. *Obiad czwartkowy* i *Ocknienie* zamykają dzieje Polski szlacheckiej, w której wszelkie próby reform udaremniały różne czynniki, zewnętrzne i wewnętrzne, a głównie przywiązanie do magnacko-szlacheckich przywilejów.

*Spotkanie*, *Na paryskim bruku* i *Koncert Szopena* wiodą na tłuście szlaki Polaków po utracie wolnej ojczyzny. Wśród tych opowiadań brak kilku ogniw. Nie ma epopei legionowej z charakterystyczną sylwetką żołnierza-tulacza, który bił się o wolność ojczyzny pod obcymi sztandarami, nie ma legendy napoleońskiej budzącej w Polakach nadzieję na odzyskanie niezależności politycznej, nie ma także powstań, z wyjątkiem sygnału o wybuchu powstania listopadowego w *Przerwanym posiedzeniu* oraz echa powstańczych przeżyć bohaterów w *Stadzie Emira* i *Doktorze Marcinku*. Jak tłumaczy Zofia Kossak w odautorskim wstępie do I wydania *Bursztynów*, owe luki powstały z różnych przyczyn. Powstanie styczniowe na przykład wydawało się pisarce znakomicie opracowane i stąd zbyt trudne jako temat wymagający znalezienia nowej, oryginalnej koncepcji ujęcia literackiego. Walkom niepodległościowym żołnierza polskiego natomiast chciała poświęcić osobny zbiór opowiadań.

Opowiadania Zofii Kossak mają dużą wartość humanistyczną. Centralną pozycję zajmują w nich ludzie i ich sprawy. Te wielkie, znaczące, istotne dla całego społeczeństwa i wielu pokoleń oraz te ważne tylko dla jednostki, zwyczajne i małe, z których składa się życie codzienne.

W galerii postaci obok królów i wodzów, luminarzy nauki i wielkich działaczy społecznych, pisarzy i artystów, znajdujemy ludzi prostych, z najniższych warstw społecznych, śląskich chłopów i kaszubskich rybaków, pracującą na pańskim dziewczynę-sierotę i wiejskich parobków. Człowiek jest dla autorki *Bursztynów* największą wartością, niezależnie od jego statusu społecznego, przynależności narodowej czy rasy. W *Uczcie Wierzyńka* sam król Kazimierz Wielki uświadomi zagranicznym gościom, a przy okazji swemu pacholikowi, że “[...] w każdym człowieku jednakie człowieczeństwo jest [...]”

W *Bursztynach* rzuca się w oczy coś, co zauważono także w wielkich powieściach Zofii Kossak, mianowicie malarskie ujmowanie świata. Widać je przede wszystkim w prezentacji postaci. Jest to na ogół prezentacja wyrazista, ze starannie wykończonymi szczegółami. Owe szczegóły są dobierane niezwykle trafnie, ze znawstwem epoki i stosownie do charakteru postaci.

Siedzący jak kwoka na jajach Gaston de St. Luc z Zemsty błazna skupia w swoim wizerunku kilka cech zdecydowanie ośmieszających; Stanisława Leszczyńskiego wyróżnia powaga bijąca z całej postaci i “twarz piękna; rozumna, dobra”; urodę jasnowłosej dziewczyny znad morza oddaje przywołane przez kupca imię bogini. Słowiańska Afrodyta uzmysławia w ten sposób posagową piękność greckiego bóstwa.

Psychologiczny rysunek postaci z uwagi na niewielkie rozmiary opowiadań nie bywa na ogół rozbudowany. Konstruując osobowość swoich bohaterów uwypukla pisarka najczęściej jeden tylko, zasadniczy rys, jedną cechę. U Rembrandta na przykład (W pracowni Rembrandta) jest nią pewność pociągnięć pędzlem w czasie pracy twórczej, u Stanisława Konarskiego (Do światła) dominantą osobowości jest upór w dążeniu do celu, u księcia Karola Radziwiłła skłonność do fantazjowania (Na łowach). Ten indywidualizujący zabieg ułatwia odbiorcy zakodowanie ich w świadomości.

Malarskie ujmowanie świata, tendencję do podkreślania linii i barwy oraz do cyzelowania detalu zauważyć można również w opisach. W krótkich opisach przyrody dominują ujęcia kolorystyczne. W opowiadaniu Sąsiedzki dar powietrze jest “niebieskie”, czajki “srebrzą się”, a łąka bywa “zielona” lub “szmaragdowa”. Nawet mgła wisząca nad nią zostaje określona kolorystycznie.

Opisy przedmiotów wyróżniają się szczegółowym rysunkiem kształtów, a niekiedy drobiazgiem oddanym z dużą skrupulatnością. W bryle bursztynu jest nim długonogi komar (Opowieść o bursztynie), w opisie okrętu - królewska bandera (Strażnicy morza).

Charakterystyczne pod wieloma względami są opisy zwierząt, zwłaszcza koni i psów. Uwagę zwraca szczególnie ich autentyczność i zabarwienie emocjonalne. Zachwyty dla “doskonałości” konia i przekonanie, że może stać się najwierniejszym przyjacielem człowieka, wyrażone zostały najpełniej w opowiadaniu Stado emira.

Opisy w Bursztynach pełnią różne funkcje: zapoznają z wyglądem zewnętrznym postaci, tworzą tło zdarzeń, charakteryzują sytuacje. Bardzo często zapowiadają temat opowiadania, jak na przykład w Pod lipą. Otwierający utwór opis dworu czarnoleskiego, jako typowego staropolskiego dworku, z przybudówkami odzwierciedlającymi historię rodu, z warzywnikiem oraz gniazdem bocianim na rozłożystej topoli, ma swój punkt centralny. Jest nim słynna lipa. Ona to, nie przestając być elementem przestrzeni konkretnej, staje się wymownym znakiem czarnoleskiej muzy i prowadzi do tematu opowiadania, jakim jest sylwetka Kochanowskiego - poety renesansu.

Opowiadania ze zbioru Bursztyny mają budowę zwartą. Zaczynają się przeważnie od krótkiego zarysowania tła, charakterystyki sytuacji wyjściowej czy informacji przygotowującej do percepcji tematu utworu. Występuje tu typowa dla opowiadania narracja trzecioosobowa, z

gramatyczną formą czasu przeszłego ujawniające dystans między momentem narracji a czasem opowiadanych zdarzeń lub zjawisk. W partii głównej od opowiadania informacyjnego przechodzi narrator często do opowiadania unaoczniającego. Praesens historicum staje się wtedy narzędziem zmniejszania dystansu między czasem narracji a czasem wydarzenia.

Fabula jest w opowiadaniach bardzo prosta. Niekiedy bywa po prostu rozbudowaną anegdotą, jak na przykład w opowiadaniach *Zemsta błazna*, *Na łowach* czy *Nieporozumienie*. Jest na ogół jednowątkowa i opiera się na chronologicznym biegu wydarzeń, które ciążą ku silnie wyakcentowanemu zakończeniu. W niektórych utworach końcowe pointy są niemal tak wyraziste jak w nowelach. Jednym z przykładów może być opowiadanie *Doczekał*. Zaczyna się ono informacją o szczególnej sytuacji Gajdy, starego Ślązaka, całą świadomością ciążącego ku Polsce, której obraz w pamięci ślepego gra wszystkimi, zapamiętanymi z młodości kolorami. Ten obraz staje się jego ucieczką w czasie smutnej rozmowy z gośćmi i ożywa w kulminacyjnym momencie powitania polskiego wojska. Jego urealnienie wykracza poza granice wytrzymałości psychicznej bohatera. Witając wymarzoną Polskę, Gajda umiera. Posłużyła się tu autorka chwytem „sokoła” stosowanym w klasycznej nowelistyce a wywodzącym swój rodowód z noweli *Sokół* Giovanni Boccaccia. Polega ona na jednym podstawowym ujęciu organizującym wewnątrz całość utworu i stanowiącym najczęściej punkt kulminacyjny w rozwoju fabuły.

W zależności od budowy fabuły można w Bursztynach wyodrębnić różne rodzaje opowiadań. Obok zbliżonego do legendy utworu *Jak pan Kulesza kościół budował* występuje utwór *Do światła*, który swymi cechami strukturalnymi, zwłaszcza dominacji opisu nad opowiadaniem, przypomina obrazek. Mamy tu utwory spokrewnione z nowelą, jak *Prawo książęce* i takie, jak *Na łowach*, które ujawniają cechy gawędy szlacheckiej, a także *Obiad czwartkowy* czy *Spotkanie*, oparte na wzorcu zbeletryzowanej pogadanki.

W większości opowiadań występują dłuższe partie dialogowe. Żywy dialog bywa przerywany komentującym, interpretującym czy refleksyjnym słowem narratora. Bywa też archaizowany i to w znacznie większym stopniu niż język i styl wypowiedzi narratora. Ale również narrator, osadzony w kulturze dwudziestowiecznej i ujawniający raz po raz wiedzę swej epoki, posługuje się niekiedy słowem, które wyszło z użycia, lub staropolską składnią. A posługuje się nim po to, by swoje kwestie zharmonizować z językiem dialogów i monologów postaci.

W dialogach obok archaizmów różnych typów, nie zawsze filologicznie prawidłowych i zgodnych z wiedzą językoznawczą, występuje gwara, która także ma podtrzymać iluzję przynależności postaci do dawnej epoki. Choć w dialektach istotnie zachowują się nieraz stare wyrazy i formy gramatyczne, jest to środek ryzykowny, wymagający od pisarza doskonałej znajomości historycznego rozwoju dialektu. Autorka Bursztynów, wkładając w usta na przykład

postaci czternastowiecznej wyrazy z współczesnej sobie gwary śląskiej, z punktu widzenia wiedzy językoznawczej, popełniła niejedno uchybienie. Owe uchybienia nie przekreślają jednak językowego artyzmu utworów. Na ten artyzm, pochodzący z wysokiej świadomości językowej pisarki, składają się bowiem różne czynniki, przede wszystkim bogactwo słownikowe jako efekt twórczego poszukiwania wyrazów o subtelnych odcieniach znaczeniowych, które by najlepiej wprowadzały w atmosferę czasu przedstawionego w utworze, oraz szczególna rytmiczność prozy o bardzo prostej składni.

Twórczość Zofii Kossak jest już kartą zamkniętą, ale mimo biegu czasu pozostaje wciąż żywa i bliska. Większość jej książek ma wartości nieprzemijające. Czytelnicy znajdują w nich pierwiastki uniwersalistyczne i konkretne, jednostkowe; obok polskich - ogólnoswiatowe i ogólnoludzkie. Znajdują nie tylko to, co może pogłębić wiedzę o człowieku i świecie, ale również to, co może głęboko wzruszyć. W bilansie dokonań literackich pisarki Bursztyny zajmują miejsce szczególne. Rdzennie polskie w swych treściach i klimacie, mogą pomóc młodym pokoleniom Polaków - przez pamięć przeszłości - w określeniu własnego miejsca na drodze dziejowej narodu.

## Opowieść o bursztynie

Na krótko przed letnimi Godami, w które ogień dawny, zużyty należy zgasić, by starce roznieciły nowy; Poświsł, bóg gniewny, przeciągnął burzą nad wybrzeżami Bałtyku. Wzdął wodę do dna, przewalił się wskroś mierzei, wyłamał drzewa nadbrzeżne i tratował łąd, aż checze rybackie trzeszczały. Pędził fale na wybrzeże, targał sieci, gnał ku puszczy, gdzie wtłoczył się z hukiem i świstem. Lecz bór stawiał tęgi opór, aż bóg zmęczony ustał i zadrzemał. Zza chmur błysło słońce, promienne oko Dadźboga. Tylko rozkołysane morze nie mogło uspokoić się od razu, huczając, przelewając wały granatowosine, zbielone wełnami piany.

Najsposobniejsza to pora do połowu jantaru, toteż ludzie tkwili od rana w wodzie. Śmielsi nurkowali szukając cennych brył na dnie. Dziewczęta i młodsze wyrostki brodzili po ramiona, zakrzywionymi gałęziami ciągnąc ku sobie nawiane wichrem grzędy brunatnych morszczyń, w których pęcherzykowatym zielsku raz po raz złocił się poszukiwany, upragniony, przedziwny, bogom poświęcony jantar.

Ruch fal wyniósł go z głębiny, gdzie tkwił ukryty w zaklętych grodach podmorskich, zazdrośnie strzeżony przez topielice i wiły, by zamkniętym w sobie słońcem rozświetlał ciemnie podwodne. Niepodobny do żadnego innego kamienia, lekki, całopalny, w spalaniu cudownie wonny, obdarzony tajemną siłą przyciągania. Największy podziw i cześć budziły te jego odłamy, w których bożyce (lub wiły?) zamknęły skrzydła swe służki: owady. Z pobożną czcią i lękiem patrzono na zawarte wewnątrz, nieznanne już dziś wielogłowe mrówki, krocionóżki, szczypawki i jętki, Wiotkie ich skrzydelka, nóżki i macki zachowane były tak dokładnie, jak gdyby miały frunąć w przestworze, zbiec na ziemię po źdźbło trawy, byle kto rozbił przezroczystą ścianę więzienia. Te kawałki, osobliwie cenne, palono na ofiarę bogom w dniach wielkich uroczystości. Mniejsze, pospolitsze chowano w oczekiwaniu nadejścia starego Mazocha, słynącego na całym wybrzeżu z umiejętności obrabiania jantaru. Mruczając odpowiednie, jemu tylko znane zaklęcia, zanurzał bryły w gorącym oleju, a gdy zmiękły, nadawał im kształt, jaki chciał, ozdobnych naramienników, szpilek i kabłączków.

Wbrew oczekiwaniom połów tego dnia nie był dobry. Nawet młody Gołech, przedni nurek, nie wyniósł dotąd nic prócz mało znaczących okruchów. Podobnie siostry jego, Lubosza i Bożana. Z tym większą niechęcią wszyscy troje spoglądali na szczęśliwca, co wynurzył się właśnie z wody trzymając w ręku bryłę jantaru wielkości głowy dziecka. Woda ściekała mu strumieniami z długich włosów.

- Kto mu zwolił szukać tutaj? - mruzczał gniewnie Gołech. - Niech się wynosi, skąd



przyszedeł...

- Iście, kto mu zwolił? Wypędź go, wypędź! - potwierdzały siostry.

Znalazca, młody chłopiec, obcy w siodle, bo zbieg ze spalonej przez północnych zbójów morskich sąsiedniej osady, przezwiskiem Ino, wyciągnął z wody swój wiecierz, włożył weń zdobyc i zarzucił sobie na plecy zbierając się do odejścia.

Golech podszedeł ku niemu, twardo rozpryskując wodę piętami.

- To nasz brzeg - rzekł groźnie.

- Woda jest niczyja - odparł tamten i stanął w postawie obronnej, gotowy do walki.

- Ostaw jantar i ruszaj precz!

- Jantar jest mój. Nie ostawię.

Golech zacisnął pięści. Obie dziewczyny patrzyły na niego ciekawie i zachęcająco. Ale do walki nie doszło, bo właśnie od ładu bieżał najmłodszy z Golechów machając rękami i krzycząc:

- Obce jakieś jada! Obce!

Skąd? - zapytał starszy z przerażeniem.

- Z boru!

- Siła ich?

- Nie wiem, bom zaraz uciekał...

- Z boru, toć nie Duńczyki... - zauważył uspokajająco brat. Skulił się i pomknął ku najbliższemu krzakom, by pod ich osłoną zbliżyć się niepostrzeżenie do domu. Za nim siostry, za nimi, w pewnej odległości, pociągnięty ciekawością Ino.

Osada, czyli jak wówczas mawiano - siodło, leżała na piasku nadmorskim, oparta grzbietem o puszcę. Nie miała nazwy, podobnie jak roztocz morza ciągnąca się przed nią była dla mieszkańców po prostu tylko wodą. Żyli w siodle przy wodzie. Inne określenia były zbędne, jako że nigdzie się nie oddalali, innych stron nie widzieli. Nie zaszli tu jeszcze nigdy obcy, co by tę dziedzinę mianem jakim nazwali.

Siodło składało się z kilkunastu checz, czyli chałup plecionych z chrustu obrzuconego gliną. Wszystkie były jednoizbowe, z ogniem zatłonym wieczyście pośrodku, na pokrytych ziemią kamieniach. Dym uchodził przez drzwi i strzechę, słał się pod dachem, niską, ciemną chmurą. Wokół ścian obiegały ławy, pod którymi było siedlisko skrzatów domowych, a w kącie przed ławą stał stół, święty, bo na nim chleb składano. Górą, na wbitych w ścianę żerdziach wisiały skóry zwierzęce i sieci.

W takiej dymnej i mrocznej chałupie, do starego Golecha należącej, stali teraz przybyli cudzoziemcy. Konie i dwa krótkie, pełnokole wozy zostawili przed domem. Mieli ciemne lica, bogaty ubiór o kroju i barwie nigdy na tym wybrzeżu nie widzianych, sandały czerwonym

rzemieniem wysoko wokół łydek oplecione, krótkie miecze przy boku. Przed nimi kulił się niepewnie człek w lnianym giele i takichże portkach. Nietutejszy, ale swojak, można się z nim było domówić. Z Chrobacji pono. Ciągnęły go ze sobą te obce jako przewodnika, bo z ich mowy cokolwiek rozumiał.

- Jantaru chcą - powtarzał teraz struchlałemu gospodarzowi.

- Jantaru?

- Nie bój ta się... Gwałtem nie wezmą... Mieniać chcą... Za jantar dadzą wam różnego dobra.

- A skąd one są? - pytał Gołęch, nieufnie patrząc na przybyłych.

- Roma - rzekł krótko jeden z nich, jak gdyby zrozumiał pytanie.

Lecz słowo potężne, przed którym drżał i korzył się cały świat, nie mówiło nic słowiańskiemu rybakowi.

- Dajcie jantar - powtarzał Chrobata.

Przybysze niecierpliwili się również. Pragnęli wiedzieć, czy niepróżno odbywali paromiesięczną uciążliwą podróż poprzez puszcze i bezdroża, brody i moczary, któredy nie wiódł niżaden gościniec. Czy w tych dzikich pustaciach, z dala od rzymskich szlaków położonych, znajdują upragnioną ambre; "elektron" Greków, któremu Tales z Miletu przypisywał duszę, kamień, powstały z łez sióstr Faetona, syna Heliosowego?

- Obaczycie, co dostaniecie za jantar - zachęcał uparcie Chrobat.

Więc stary Gołęch, acz opornie, przecie wywlókł z kąta za stołem miech szeleszczący płytkami i odłamkami bursztynu. Wraz dwa cudzoziemskie pachołki, stojące przy koniach na dworze, wniosły do izby trzy wory płaskie, rzemieniami wybornie zaplecione. Starszy z przybyłych rozwiązał rzemień i chwyciwszy wór wysypał jego zawartość na polepę.

Z brzękiem potoczyły się srebrne naramienniki, zwane bugi, naszyjniki szklane i brązowe, miecze, noże i siekiery, pasy, spinki, zausznicie i ostrza do włóczni. Skarby! Skarby! W ciszy, co zaległa izbę, słychać było tylko szmer przyśpieszonych oddechów, bo zeszedli się już do izby bez mała wszyscy mieszkańcy siodła. Między nimi ukryte i obie dziewczyny, córki starego Gołęcha. By je ojciec uwiódł, batem by sprzął i przegnał, bo nie dziewczynska to rzecz do męskich narad zazierać, liczyły jednak, że nie zauważy. A ciekawość je brała okrutna. Za nimi stał ktoś jeszcze, równie nieproszony, równie ciekawy: Ino ze swoim wężem na plecach.

Drżącymi z przejęcia rękami stary Gołęch wysypywał z kolei zawartość swojego miecha. Toczyły się bryły, odłamy, okruchy przezroczyście słoneczne lub koloru miodu, białe jak woda, to znów barwy hiacyntowej, mieniające się w świetle połyskiem zielonym lub mleczne, wewnątrz zmaczone. Obcym przybyszom zaśmiały się oczy.

I rozpoczęły się targi; długie, uparte, mozolne. Brał kupiec rzymski kawał bursztynu, a stary Gołęb chciwie sięgał po pas z mieczem. Lecz obcy chwycił go za przegub dłoni, ukazując wymownie na migi, że za tak cenną broń trzeba przynajmniej trzech, czterech brył jantaru, za jedną, zaś może być najwyżej ta oto brązowa zaponka z najcieńszych. Więc zżymał się stary i garnał z powrotem jantar ku sobie, aż kupiec, niby zrezygnowany, dorzucił do zaponki obręcz naramienną. Wadzili się tak o każdą rzecz, lecz stos nabytych przedmiotów rósł z wolna po jednej i po drugiej stronie. Tylko Bożanie i Luboszy oczy zachodzą łzami niemego żalu, pierś podnosi się żalonym westchnieniem. Bo ojciec odrzuca precz podawane mu przez kupca niewieście przystroje, sięgając jeno po to, co męskim oczom a dłoniom przyjemne: noże, mieczyki i pasy. Oj, dolo!

Radość przeleci przez ciemną twarz cudzoziemca, radość przezornie i szybko zgaszona, gdy spod ułamków jantaru wyjrzy czysta bryła, tak wielka, że oburącz brać ją trzeba. W przezroczystym jej wnętrzu smuga ciemniejsza kłębi się, ni to dym, ni to tchnienie boga. Lecz stary Gołęb odsuwa ją z gniewem, precz każe odnieść synowi. Nie na wymianę ona. Na ofiarę z dawna przeznaczona, na jutrzejsze święto.

Kupiec nie daje za wygraną. Wyciąga napierśnik ze srebrnej blachy, dziw, jak misternej roboty, pod oczy gospodarzowi podsuwa. Daremnie.

Wyciąga miecz i pas, piękniejsze niż wszystkie ukazywane dotychczas. Próżno. Stary ani spogląda w tę stronę.

Wyciąga kubek złocisty, pierścienie, łuk doskonały i kołczan. Piersiami nagina łuk, ukazując jego tęgość. Cięciwa gra, tknięta palcem. Lecz stary Gołęb pozostaje głuchy na jej pogłos.

Każe obcy przynieść jeszcze jeden wór, sam go roztwiera, ostrożnie wyciąga, rozkłada barwisty płat mieniący się cudnie pawłoki, tkaniny jedwabnej, nieznaney w tych stronach. Aż wszystkim dech zaprze w piersiach.

- Nie przedam - powiada stary.

Kupiec z wolna unosi materię, układa w miękkie fałdy: niech widzą, jak gra w niej światło. Morze pod zorze zachodnie nie łyska się cudniej!

Obojętnie i twardo wstrząsa stary Gołęb głową. I w patrzących na to zza pleców brata dziewczkach zbiera taka żalność, że Lubosza nie może już wstrzymać...

- O reta! Ojciec! - piska żalnością.

Obracają się wszyscy ze zdziwieniem, stary z gniewem. Ochronny mur ramion rozstał się i widać obie dziewczki. Lecz Lubosza, mniejsza, zręczniejsza, już śmignęła jak łasica i wyprysnęła na pole. Bożana została. Jest większa od siostry, strzelista, płowa. Wylęknięte źrenice mienia się

zielono.

Mokre od połowu giezło lśni na niej.

- Aphrodithe...\* - szepcze kupiec cudzoziemski. (\*Aphrodithe - Afrodyta, grecka bogini miłości i piękna.)

Pewnym ruchem rzuca trzymaną w ręku materię na stos przedmiotów stanowiących już własność Golęcha, bierze twardo dziewczynę za ramię i stawia przy nabytym przez siebie bursztynie. Sroga to cena za niewolnicę, ale podoba mu się zawieźć tę dziką jasnowłosą dziewczkę do Italii.

Stary drapie gęste kudły wężlistymi palcami. Waha się. Córkę można sprzedać, czemu nie? Wszyscy tak robią... Jest w domu druga. A przecie czegoś mu żal... Odwraca wzrok od Bożany, nie wie, co począć. Spode łba spoziera na pawłokę. Jak błyszczy! Jakże się mieni i tęczy! Już postanowił. Dziewczynę niech kupiec bierze, a pawłoka niech zostanie! Kiwa głową przyzwalająco.

Rozszerzonymi oczami spogląda Bożana wokoło. Nie śmie nic rzec, lecz w gardle trzepie się szloch. Jakże to? Już sprzedana, w niewolniki obrócona? Zabiorą ją te obce, dziwne ludzie i powiozą gdzieś w zatracony, nieznamy świat?! Opowiadały starce, jak Duńczyki spaliły kajś dawne siodło i pobrały dziewczęta... Na postronkach ciągnęły pojmane do swoich łodzi i nigdy, przenigdy już żadna do ojców nie wróciła... I z nią tak będzie? Oj, dolo... Po co weszła, po co? Dolo, dolo...

Boi się krzyczeć, więc tylko lży nieme biegną jej sznurkiem po twarzy. Aleć, rozpychając stojących wysuwa się naprzód przybłąda, którego wołają Ino. Zdejmuje więciorek z pleców, wyjmując zeń jasny złom. Piękniejszy niżli wszystkie, co tu leżą, piękniejszy o wiele niż tamta bryła, której nie chciał sprzedać stary. Długonogi komar, co przed setkami tysięcy lat padł rozpostartymi skrzydłami na lepłą żywicę i tak pozostał, tkwi uwięziony w przezroczu.

Bez słowa chłopiec podaje swój bursztyn staremu, jednocześnie biorąc dziewczynę za rękę. Niech Golęchowcie zatrzymają kuszącą pawłokę, jemu oddając Bożaną za żonę. Nie będzie niewolnicą u obcych, będzie gospodynią w jego chacie. Sprawa jest jasna, że nawet słów nie trzeba. Zadowolony z tego rozwiązania, stary Golęch kiwa powtórnie przyzwalająco głową.

Rzymski kupiec międli w palcach brodę, niepewny, co począć. Rad by zatrzymać i jantary, i dziewczkę. Podsuwa nowemu właścicielowi Bożany co najprzedniejsze towary. Ale Ino potrząsa głową. Nie potrzebuje niczego.

We drzwi, obarczony miechem skórzanym, wtlacza się stary Mazoch, obrabiasz jantaru, którego już o nowinie posłyszał i niesie swoje zapasy. Targi rozpoczynają się na nowo i toczą wytrwale. Bożana patrzy pokornie i wdzięcznie w twarz Ina.

Jest dumna, że dał za nią tak wysoką cenę; i okrutnie szczęśliwa, że zostaje, i zarazem w głębi duszy jak gdyby zawiedziona, że w świat daleki od chaty nadbrzeżnej nie pójdzie...

## Prometeusz i garncarz

Zdarzenie tu opisane miało miejsce bardzo dawno, więcej niż jedenaście wieków temu.

Stanko, syn Sulika, członek Rady Starszych, przecinał rynek woliński krokiem jak zwykle władczy, ale z twarzą zatroskaną nagłym zgonem ojca. Nikt się tego nie spodziewał, gdyż miesiąc zaledwie minął, jak kapłani potężnego boga Trzygłowa wróżyli starem długie jeszcze i czerstwe lata. Musiał zmarły w międzyczasie czymś bogów obrazić, bo wróżba mylić się nie może.

Oprócz szczerego zmartwienia syn miał nie lada kłopoty. Gdy dziad lub ojciec dłuższy czas słabuje i rodzina widzi, że pora mu odejść - można bez pośpiechu przyładować uczciwy pochówek, niczego nie zaniedbując. Ale z nagłą, w parę dni... Wprawdzie smolne drzewo na stos było już zwiezione, płaczki zawodziły obrzędowo przy zmarłym, synowa z pomocą sąsiadek przyrządzała jadło na wspaniałą stypę, brakło jednak popielnicy, czyli urny, do której zsypane zostaną szczątki zwłok po ich spaleniu. Stary Sulik za życia cieszył się wielkim poważaniem, więc urna nie mogła być lada jaka. Stanko szedł teraz do najlepszego garncarza w mieście - Straża Lepigliny, zwanego też Paluchem, w nadziei, że godne naczynie dostanie.

Mimo frasunku rozglądał się bystro sprawdzając porządek na rynku. Miasto Wolin (Polanie zza Warty nazywali je Wołyniem, cudzoziemcy Julinem) nie podlegało księciu pomorskiemu, rządziła nim własna starszyczna. Mogła, jeśli się uparła, nie puścić księcia do miasta. Podobną niezależność posiadał tylko położony w górze Odry Szczecin.

Odra wówczas jak i dzisiaj wpadała do Bałtyku trzema ramionami. Były to: Dziwna, Swina i Piana. Pomiędzy Dziwną a Swiną trójkątny szmat ziemi, podstawą wsparty o morze tworzy wyspę Wolin. Na niej leżało to miasto.

Obecnie mała osada, miejsce poszukiwań archeologicznych, Wolin był niegdyś najbogatszym grodem na wybrzeżu południowego Bałtyku. Ówczesni kronikarze zapewniali, że posiadał wszystkie powaby i piękności świata.

Do przystani wolińskiej przybijały statki kupieckie z Danii, Norwegii, Szwecji, Fryzji, Holandii, Niemiec, Anglii, nawet z odległego Kijowa i jeszcze odleglejszego Konstantynopola, stolicy cesarstwa greckiego.

Przywoziły złote i srebrne klejnoty, cenny oręż, zbroje, miecze, barwiste jedwabie i atłasy, by wymieniać je na bursztyn, skóry bobrowe i kunie, płótno lniane, воск, miód. Z góry rzeki, od zalewu spływali na czółnach z jednego kłoca wyrobionych miejscowi rolnicy, bartnicy, smolarze lub łowcy, przywożąc na targ zboże, chmiel, proso, piwo, olej, bydło, mięso wędzone i smołę. Tych przybyszów nie nęciły zbyt kosztowne towary zamorskie. Wymieniali przywiezione pożytki na wyroby

miejscowe: noże, topory, sierpy, garnki, liny konopne i sól kołobrzeską.

Obecnie w przystani nie było zwykłego natłoku statków i łodzi. Pora żniwa nie sprzyjała podróżom. Tylko jedna obca galera stała przy ocembrowanym nabrzeżu. Była to galera grecka, przybyła zeszłego nowiu z bogatym towarem. Grecy zdążyli już wszystko pomyślnie wymienić i nazajutrz odpływali.

W danej chwili na pokładzie statku trwała gwałtowna sprzeczka zapowiadająca bójkę. Żeglarze o cerze oliwkowej i czarnych kręconych włosach darli się w niezrozumiałym języku, wygrażając sobie wzajemnie pięściami. Gromada wolinian, stojąc na pomoście, patrzyła na to widowisko ze śmiechem.

- Co się tam stało? - pytał ich Stanko. Bał się, że ktoś z miejscowych jest przyczyną zajścia.

Zebrani rozstąpili się przed rajcą z szacunkiem i zapewnili, że Greci same się wadzą, a nikt nie wie o co... Czegoś chcą od brodacza, tego w zielonym chałacie, co stoi pośrodku...

- Z naszych nikogo tam nie ma?

- Nie ma, nie ma - ręczyli. - Greci jeszcze przed południem skończyły towar ładować i wszyscy nasi odeszli...

Uspokojony Stanko odszedł również.

Dom Straża Lepigliny był obszerny, dwuizbowy. Przed domem stał piec garncarski, dziś wystygły, zazwyczaj pokryty obłokiem dymu kurzącego się poprzez ziemię i murawę, okrywającego warstwę żaru z węgla brzożowego. Stróżem pieca był jeniec niewolny Daczo, o łożących od dymu oczach. Nie opodał, w szerokim, płaskim cebrzyku, starszy syn Straża - Strażyk ugniatał przygotowaną do wyrobu glinę. Żmudna to była robota, lecz od niej zależała przyszła wytrzymałość garnków. Chłopiec dreptał bosymi stopami, glina przeciskała się przez palce, cmokała, mlaskała. Rówieśnicy zza płotu krzyczeli: Mięsiłoto, Mięsiłoto! - co go okrutnie drażniło. O Lepiglinę nikt się nie urażał, lecz "Mięsiłoto" brzmiało pogardliwie. Strażyk ciskał w szyderców pecynami gliny i błagalnie spoglądał w stronę domu, gdzie w otwartych drzwiach siedział ojciec ze swym kółkiem garncarskim, zajęty robotą. Glina była już należycie wyrobiona, nie śmiał jednak przywoływać rodzica, gdyż zdarzało się, że stary zamiast zwolnić syna, dosypywał nową łopatę suchej kruszonki i dolewał wody, przykazując: Depcz! Depcz! A nie leń się!

- Lichy z ciebie będzie garncarz - dodawał, odchodząc. Strażyk deptał, deptał z wściekłością, jakby chciał cebrzyk rozwalić i glinę wgnieść w ziemię.

Wiedział z dawna, że musi zostać garncarzem jak ojciec, jak dziad i pono pradziad, lecz nienawidził tego zajęcia zawczasu. Niewolnik gliny - jak Jaczo niewolnikiem pieca - duszą przebywał na przystani wśród statków i łodzi przybywających z daleka.

Inaczej najmłodszy z dzieci Straża, Kurek, nie postrzyżony jeszcze sześciolatek. Ten przepadał za lepieniem i kręcił się ustawicznie wokół ojca lub zażawionego Jaczy. Zbierał chciwie odpryski gliny, ugniatał z nich koniki, gęsi, kogutki. Tym kogutkom zawdzięczał swe przezwisko Kurek. Jeśli jego twory wypadły udatnie, ojciec nie bronił Jaczy wypalić je w piecu wraz z garnkami ku radości malca.

Kółko, przy którym garncarz spędzał większą część życia, było świeżą zdobyczą w tym kraju. Wprawdzie starodawne państwa - Egipt, Grecja, Rzym znały je od niepamiętnych czasów. Do Słowian jednak doszło bardzo późno. Jeszcze dziad Straża, pierwszy z rodu wolińskich Lepiglinów, wygniatał kubki i dzbanki, posługując się tylko własnymi dziesięciu palcami.

Zacznął robotę od utoczenia długiego, cienkiego wałka glinianego. Do placka gliny mającego być dnem garnka przylepiał początek wałka i okręcał go coraz dalej, coraz wyżej, aż liczne zwoje utworzyły ściany. Zlepił je wtedy, gładził, uklepywał. Namozolił się niemało, nim boki wypadły równe. Przylepiał jeszcze jedno lub dwa ucha i zdobił swe dzieło owijając je sznurem. Sznur wciskał się w miękką glinę, odjęty - zostawiał wzór. Przed wsunięciem gotowego naczynia do pieca dla wypalenia twórca patrzył na nie z zadowoleniem, uznając swe dzieło za piękne.

Z czasem po odcisku "sznurowym" przyszły wymyślniejsze wzory zwane dzisiaj przez uczonych "wstęgowymi", potem "grzebykowymi", potem upodobano sobie dzbany pisane w ślimacznice, potem kunsztowne garnki z guzami. Mimo wyszukanych kształtów nadal robione były "z wolnej ręki". Toteż odkrycie kółka wprowadziło przewrót w ówczesnym garncarstwie. Z kółkiem robota szła dziesięciokrotnie szybciej, sprawniej, lepiej. Zasada tego narzędzia była bardzo prosta, polegała na szybkim obrocie.

Można do dziś dnia widzieć takie kółka u wsiowych polskich garncarzy. Podobnie jak wrzeciono albo sierp nie zmieniły kształtu przez wieki. Snadź kształt ten był od początku doskonały.

Kółko garncarskie składa się z dwóch tarczy nierównej wielkości połączonych i ustawionych o łokieć jedna nad drugą, większa niżej, mniejsza wyżej na drążku wbitym prostopadle w ziemię. Drążek jest gładki, tłuszczem nasycony, koła kręcą się na nim swobodnie. Garncarz siada przed narzędziem, na górne kółko rzuca kupkę gliny, dużym palcem lewej stopy trąca dolne kółko. Całość zaczyna wirować, zrazu wolno, potem szybciej, rozpędza się, furczy, miga; już dojrzeć nie możesz obrotów. Garncarz nastawia umiejętnie dłonie, jedną modeluje wewnątrz garnka, drugą wierzch. Nieforemna bryła gliny zaczyna się stawać naczyniem. Pęd odśrodkowy, ten sam, co trzyma wszechświat w równowadze, współdziała twórczo z człowiekiem. Stopa garncarza wciąż potęra koło (od tego duży palec lewej nogi Lepigliny jest zniekształcony i



zrogowaciały, czemu Straż zawdzięcza przydomek Palucha). Naczynie rośnie, wysmukła się w dzban. Zależnie od woli garncarza, pęcznieje w dzieżę, donicę, rozszerza się w misę... Mały Kurek wypuścił z rąk ulepionego konika i patrzy na pracę ojcową z szeroko otwartymi ustami.

Wiadomość o śmierci starego Sulika już się rozeszła po grodzie, przeto garncarz domyślił się łatwo, co Stanka, syna Sulikowego, sprowadza. Ej, ej, pokaże mu popielnicę. Długo nad nią pracował, przerabiał, poprawiał, aż wyszło dzieło nie lada. Właśnie dziś miano otworzyć wystygły piec, by wyjąć gotowe garnki.

Klient siadł na ławie, Strażyna przyniosła kubki i dzban chłodnego, spienionego piwa, rzecz dobra w upalny dzień. Daczo już odwała z pieca ziemię, odmiata żużel i popiół. W piecu stoją rzędami garnki przednio wypalone, dzwoniące pod stuknięciem. Pośrodku nich popielnica. Zaprawdę niezwykła.

Podobnej nigdy jeszcze tutaj nie widziano. Mówili czasem przejezdni, że w ich stronach urna nosi podobiznę zmarłego i oto, patrzcie: Lepiglina spróbował to naśladować.

Wydobyta z pieca popielnica miała pokrywę w kształcie głowy ludzkiej, prawdziwej głowy, z uszami, oczami, ustami, nosem. Na samej popielnicy nałożone były ramiona i dłonie, a poniżej ich splotu pokrywał powierzchnię obraz dobytku, jaki zmarły za życia posiadał lub posiadać pragnął i który winien towarzyszyć mu po zgonie. Na czerwonym tle gliny czerniały konie, woły, wozy, pługi, broń, domy i różne inne przedmioty.

Stanko nie ukrywał szczerego podziwu, a Lepiglina zrozumiałej dumy. Popijając piwo zaczęli mówić o rzeczy ważnej, o cenie. Nabywca z niepokojem oczekiwał, czego garncarz zażąda. Ten zwlekał z odpowiedzią, na koniec wyjawiał, że za popielnicę, za tę piękną popielnicę, której równej nie miał księżę, chce dostać w dzierżawę dziesięciołkciowe miejsce na cembrowanym nabrzeżu.

Stanko oniemiał. Czyżby Straż zamierzał żeglarstwo uprawiać? Nie, nie zamierzał.

Miejsca na przystani potrzebował, by się na nim rozłożyć z garnkami, gdy przyplływają cudzoziemskie korabie. Obcy, szczególnie załogi statków norweskich i szwedzkich - tłumaczył - kupują chętnie miód od tutejszych bartników. Tkają go w liche kozubki z kory albo w grube węborki drewniane. Gdyby mieli na podorędziu mocne, lekkie garnki, jużci kładliby miód do nich, przyczyniając dochodu garncarzowi.

Rajca nie chciał o tym słyszeć. Ofiarowywał jałowicę cielną, dorzucił do niej dwa skopy. Lepiglina trząśł głową przecząco. Dam wołu - zakrzyknął Stanko - młodego, roboczego wołu. Garncarz się śmiał: zatrzymaj go sobie. No, to niewolnika? Mam Daczę. Obuwie z kozich skór moczonych w korze dębowej przez rok?... Nie potrzeba mi... Srebrne kabłączki albo naramienniki dla żony?... Ma ona ich tyle, że wszystkich na raz nie włoży...

Stanko siniał z gniewu. Czy Straż sądzi, że on jest panem przystani? Trzeba zgody całej Rady, Rada nigdy nie przystanie. Szkoda tracić czasu na podobnie niemądre pomysły.

Lepiglina niewzruszony odpowiadał, iż każdemu w mieście wiadomo, że Rada Starszych to czyni, czego chce Stanko. Wszystko się tam dzieje jego głową... Skoro jednak podana cena jest wygórowana, Straż ma gotową drugą popielnicę, mocną, dobrze wypaloną, ale zwyczajną, bez żadnej ozdoby... Odda ją chętnie za dwie kotne owce...

- Nie chcę innej popielnicy - ryczał Stanko. Był wściekły na chytrego garncarza. Prawdą było, że Rada Starszych ulegała jego woli, ale uczciwość i rozum wymagały, żeby ją zapytać bodaj dla pozorów. Kiedy to uczyni? Jutro pogrzeb rodzica... Popielnicę musi mieć zaraz, dziś. Porozumieć się z Radą nie zdoła wcześniej jak po uroczystościach pogrzebowych... Czy Lepiglina tego nie rozumie?

- Bierzcie ją - postanowił wielkodusznie garncarz. - Niech uraduje duszę Sulikową.

Zawołał syna, który oskrobał spiesznie stopy z gliny, wziął popielnicę owiniętą w płachtę, by ludzie nie zobaczyli jej przedwcześnie, i poniósł za rajcą.

Jaki powód przekona Radę Starszych o konieczności puszczenia w dzierzawę garncarzowi Lepiglinie skrawka wybrzeża, Stanko jeszcze nie wiedział. Tylu kupców dopraszało się o to samo. Spotykała ich zawsze odmowa...

Mijali przystań. Na greckiej galerze panował już zwykły spokój, tylko na brzegu siedział brodac w zielonym chałacie zgarbiony i frasobliwy. Przy nim leżał jakiś przedmiot zaszyty w rogożę. Opoдал młody pachol też z cudzoziemską odziany rozmawiał z tutejszym rybakiem Kądziołką. Rybak ukazał ręką nadchodzących i ów obcy podszedł żywo:

- Wasza Miłość - zaczął skłaniając się nisko (mówił odmiennym, ale słowiańskim językiem. Stanko acz z trudem rozumiał, co tamten gadał). - Jestem tłumaczem szlachetnego Eugorasa, który hań siedzi na belce. Wołają mnie Mikon. Szlachetny Eugoras jest mężem uczonym, poważanym w swoim kraju. Spotkała go co ino wielka krzywda, racz Wasza Miłość wysłuchać...

- Czego chce? - zapytał Stanko.

- Szlachetny Eugoras wyjechał z Konstantynopola na tej kupieckiej galerze, choć kupcem nie jest i towaru żadnego na wymianę nie wziął. Ruszył w drogę, żeby poznać kraje słowiańskie z bursztynu po całym świecie słynące... Znając naturę i przedziwne właściwości tego szlachetnego kruszcu, chciał swoimi oczami zobaczyć, czy dobywany jest z ziemi, czy z morza... Bo rzymski uczoney Tacyt pisał w swoich księgach, że Słowianie poczytują ten dar bogów za podły zmaconego morza wymiot...

- Zobaczył? - przerwał niecierpliwie Stanko. Nie wiedział, kto zaczął Tacyt ani do czego mogą służyć księgi.

- Owszem, Wasza Miłość. Zobaczył, ale nie w tym rzecz... Na wyspie Sycylii, gdzie się zatrzymywaliśmy jadąc tutaj, mój pan ujrzał rzeźbioną w kamieniu głowę jakiegoś dawnego boga podpierającą węgiel chlewu... Zapragnął ją mieć... Chłop, właściciel obejścia, nie dbał o boga, ale szkoda mu było psuć chlew i mój pan musiał mu dać piękny wykładany sztylet za to, że ścianę rozebrał i głowę wyjął... Pan mój załadował ją na statek, żeby zawieźć do domu.

Załoga śmiała się z niego, kupcy też... Na co mu to? Jeśli chce stawiać oborę, kamieni wszędzie znajdzie...

- A pewnie - mruknął rajca.

- Mój pan przyjechał tu morzem opływając cały świat, ale wracać mieliśmy lądem przez kraje polańskie, przez gród Kalisz i wielkie góry Karpaty...

- Za późno się wybrał - stwierdził Stanko. - W tych górach już byście zastali śniegi, a wtedy przejazdu nie ma...

- To samo nam tu powiedziano, Wasza Miłość. Powiedziano także, że trzeba mieć własny wóz, konie i woły, i ludzi paru, bo szlak wielce jest uciążliwy z powodu borów nieprzebytych i bezdroży... Szlachetny Eugoras posłyszawszy to postanowił wracać tą samą drogą, co przyjechał. Juźci, gdyby to wiedział zawczasu, zostawiłby oną głowę w sycylijskim porcie i zabrał wracając, ale przewidzieć nie mógł...

- Kupcy nie chcą jej wieźć z powrotem?

- Nie, bo nabrali aż nadto towaru, ładunek jest pełen. Jeśli zatrzymają głowę, poniechać tutaj muszą duży miech bursztynu... Jak to usłyszeli, wszczął się gwałt i tumult. Nikt nie chciał zostawić bursztynu... Pół roku płynęliśmy po niego tam i nazad, wołali - a potrzaskanych posągów w Grecji wała się tyle, co kości na pobojuwisku... Ciśnijmy w morze boga wyciągniętego spod chlewu. Inni przywórzili radzi... Mój pan bronił się i krzyczał, i prosił, ale nie zważali... Tyle, że zamiast do wody, wycieпали głowę na brzeg... Leży o tam, zaszyta w rogożę... Szlachetny Eugoras siedzi podłe, okrutnie zgnębiony i nie wie, co czynić...

- Myślałem - rzekł z ulgą Stanko - że nasi ludzie jakąś psotę niepocziwą wyrządzili. Dlatego słuchałem cierpliwie wszystkiego, coś gadał, choć spieszno mi do spraw własnych... Cóż bym mógł pomóc? Zimy nie zadzierzę, statku wam nie wynajmę...

- Możecie, panie, pomóc bardzo wiele. Szlachetny Eugoras słyszał od kupców kijowskich, że wolinianie, choć mają własnego boga, innych u siebie cierpią i pozwalają przywozić tutaj.

- Prawdę mówią - przyznał Stanko. - Nasz Trzygłów jest bogiem mocniejszym niż inne, ale nie zazdrosnym... Ludziom, co bez zdrady w sercu chcą uczciwie mieniać się z nami, pozwalamy swoje bogi przywozić, byle się nie panoszyły nadto...

- Szlachetny Eugoras prosi was usilnie, panie, byście mu zwolili zostawić tutaj oną głowę.

Sam przyjedzie po nią lądem czy morzem za rok... Wynagrodzi was hojnie, ubogi nie jest, byle miał pewność, że mu jej nie zniszczą...

- Na co mu ona? - zapytał rzeczowo Stanko.

- Nie wiem - przyznał Mikon - bo to nie jest bóg... Ta głowa ma podobno tysiąc lat...

- Tysiąc lat - powtórzył rajca oszołomiony. - Czary w niej chyba są?

- Nie ma czarów - zapewnił tłumacz. - Tyle czasu na galerze płynąc nikomu krzywdy nie zrobiła. Świnie w onym chlewie chowały się zdrowo, choć sam widziałem, że się o nią czochały...

Stanko milczał - rozważał. Wolin rzeczywiście służył w ówczesnym świecie z tolerancją. Narzucał ją zdrowy instynkt handlowy. Miasto, które żyło i bogaciło się kupiectwem, musiało dbać o dobre stosunki z innymi ludami. Trudności więc w spełnieniu prośby Eugorasa nie było. Niechby sobie ta głowa leżała gdzie w kącie świątyni. Tylko, że sprawa była niezrozumiała, a co niezrozumiałe - to podejrzane. Bo na co, na co potrzebny Grekowi tysiącletni kamień, jeżeli w grę nie wchodziły czary? Tak potrzebny, że zamierzał przyjechać po niego ponownie? Odmówić zatem? Ten gaduła plótł, że jego pan jest mężem poważanym w swoim kraju... Jeśli nie łągał, szkoda obrażać znacznego Greka... Stosunki handlowe z Konstantynopolem są cenne, zaprawdę nie wiadomo co począć...

Błysnęła mu nagle szczęśliwa myśl. Zwrócił się do tłumacza:

- Powiedz twemu panu, że może swój skarb bezpiecznie zostawić... Dam go na przechowanie uczciwemu mężowi, co sam głowy lepi, a cudnie, że piękniej nie można... Pokazałbym ci, jeno że mi spieszno.

Strážykowi przysłuchującemu się rozmowie rzucił:

- Postaw popielnicę, ac sam ją odniosę. Weź tych dwóch i prowadź do ojca. Rzeknij ojcu, jako mniemam, że mi nie odmówi i przechowa u siebie ten kamień przez cały rok. W zamian za to Rada Starszych daje mu w dzierżawę kęs nabrzeża, o który zabiegał.

Odszedł niosąc popielnicę, nareszcie zadowolony. W porę napodeszły te Greki: nie dla Stankowej korzyści Lepiglina wziął dzierżawę, lecz w nagrodę za to, że dla dobra miasta zgodził się przechowywać przez cały rok własność uczonego męża greckiego.

Strážyk z Mikonem znaleźli nad wodą dwa drągi, związali je witkami wierzbowymi. Na utworzone w ten sposób nosze wtoczyli kamień zaszyty w rogożę i ruszyli ku obejściu Lepiglinów.

Brodacz postępował za nimi. Mikon mownym będąc, gadał ze Strážykiem całą drogę. Powiedział, że jest Słowianinem, lecz pochodzącym z przeciwnej strony ogromnych obszarów słowiańskich. Służy swemu panu, ale niewolnikiem nie jest. Mówił o podróżach, jakie odbył z uczonym Eugorasem, o Sycylii, gdzie nabyli głowę kamienną, przyczynę obecnego kłopotu, o wielkiej górze strzegącej tej wyspy, plującej w nocy ogniem, w dzień dymem... Mówił, mówił, a

Strążyk łykał chciwie każde słowo.

Lepiglina uradował się z otrzymania upragnionych dziesięciu łokci brzegu na przystani, lecz związany z tym obowiązek przechowywania głowy nieznanego boga nie podobał mu się wcale. Żona, w której rozum wierzył, posłuchawszy, o co chodzi, krzyknęła od razu, że jakkolwiek by się Grecy - młody i stary, wypierali, w tym kamieniu muszą być czary, uroki, nawiezy, tym groźniejsze, im bardziej ukryte.

Wymowa niewiasty sprawiła, że garncarz nie pozwolił wnieść własności greckiej do izby ani tknąć jej nikomu z domowych. Żonie obiecał, że skoro Greci odejdą, zatoczy kamień do glinianki, piaskiem zasypie i udepcze. Nie będzie mógł szkodzić nikomu, zwłaszcza jeśli się położy po wierzchu pręty leszczynowe.

Eugoras jest gościem, nieproszonym wprawdzie, ale gościem, przeto udobruchana nieco gospodyni przynosi świeży dzban piwa i kubki. Zaprasza. Grek, spróbował słowiańskiego napoju, krzywi się niemiłosiernie, więc Strążyna częstuje go kołaczem i mlekiem. Ten posiłek uczony przyjmuje z wdzięcznością, jest bowiem zmęczony i głodny. Tymczasem Mikon powtarza wszystko, co przedtem opowiadał Stankowi, i znów ze strony garncarza pada nieuchronnie to samo pytanie:

- Na co Grekowi ta głowa?

Tłumacz, choć w gębie obrotny i wygadany, nie umie dać odpowiedzi. Zwraca się o wyjaśnienie do swojego pracodawcy. Eugoras odstawia kubek z mlekiem, z nagłym ożywieniem wstaje.

- Odwiń kamień - mówi rozkazująco do sługi - a zrozumieją.

Nim Strąż, Strążyna zdolali przeszkodzić, Mikon już pruje rogozę. Skoczył mu na pomoc zaciekawiony Strążyk Mięsiłoto. Odrzucają plecionkę, wyłuskują marmurową bryłę i stawiają przed domem. Zachodzące słońce oblewa ją zorzą.

Zapada cisza. Patrzą wszyscy osłupieni na tę głowę odrąbaną od tułowia, kamienną, a przecież żywą. Ta głowa żyje. Tylko patrzeć a przemówi, oni zaś umrą z przerażenia...

Oczu nie mogą oderwać od tego męskiego lica, wykrzywionego męką, gniewem, buntem... Rozchylone usta wołają pomsty, wyzywają cały świat...

Dusze tych ludzi są proste, ale nie prostackie, myśli Eugoras, czując się im nagle bliski. Sam przeżywa na nowo wzruszenie doznane na Sycylii, gdy ujrzał ucieleśnienie ludzkiego geniuszu pokryte świńskim nawozem.

Milczenie trwa długo. Na koniec garncarz pyta szeptem Mikona:

- Dlaczego on taki gniewny?

Mikon powtarza pytanie i dokłada starań, by sprawnie tłumaczyć słowa swego pana.

To głowa człowieka, który nie był bogiem, a nawet pewnie wcale go nie było... Gadka tylko jest o nim, podanie, jak są podania o olbrzymach, którzy pono kiedyś żyli, ale których nikt nie widział... Tę bajkę wam opowiem... Słuchajcie. Olbrzym tu wyrzeźbiony zwał się Prometeuszem, był wielki i mocny, a ludzi wcale jeszcze na świecie nie było...

Jak garncarz lepi misy, tak Prometeusz ulepił pierwszych ludzi, jeno glinę zmieszał nie z wodą, a ze łzami... Duszę im dał z ognia niebieskiego, którego parę iskier ukradł słońcu, kiedy zachodziło na spoczynek. Ludzie ulepieni z gliny byli słabi, bezbronni i nadzy... Brakło im sił, błądzili jak mary mdłe i nierozumne... Litość zdjęła Prometeusza, więc wdarł się ponownie do wielkiego spichrza, gdzie bogowie trzymają zamknięty ogień i przyniósł żar na ziemię... Nauczył ludzi używania ognia. Wtedy w chatach zapłonęły ogniska dając ciepło, jasność i płosząc drapieżne bestie.

Ludzie ogrzali się i zmęźnieli. Prometeusz nauczył ich także wszelkich sztuk i rzemiosł, więc poczęto drzewo obrabiać, garnki wypalać, kuźnie budować, żelazo kuć. Pytaliście, czemu on taki gniewny, choć dobrze drugim czynił? Ano bogowie nie przebaczyli mu, że ogień zabrał i przyniósł na ziemię. Zdjął ich strach, że ludzie staną się równi im, bogom. Ukarali więc okrutnie Prometeusza. - Porwali go na szczyt wysokiej góry Kaukazu i łańcuchami przykuli do nagiej skały. Tam poniechanego szarpały sępy. Nie było nikogo, co by mu dał pomoc. Krzyki jego padały w przepaść górską jak kamienie i konał sam jeden... Taka jest gadka o Prometeuszu, którego tutaj widzicie...

Poświata słoneczna zgasła, lecz z przeciwnej strony wypłynął na niebo wielki, złoty miesiąc. Oświecił małego Kurka wpatzonego w zachwyceniu w marmurową głowę.

- Kurek! Sam tu! - zawołała trwoźnie matka, lecz chłopiec nie posłyszał jej głosu. Strażyna chwyciła go za ramię gwałtownie, a że się opierał, przyłożyła mu szturchańca.

Zawodzącego piskliwie wepchnęła do drugiej izby. Eugoras wstał, powiadając, że czas odejść. Galera odpływa nazajutrz o świcie. Za pośrednictwem Mikona powtórzył zapewnienie, że odbierze rzeźbę następnego lata. Obiecał przywieźć piękne podarki dla całej rodziny i oszedł, życząc im pomyślności. Strażyk zakrzyknął, że w krętych uliczkach plątać się będą goście, zanim trafią do przystani, przeto trza ich odprowadzić i nie czekając na zezwolenie, pobiegł za odchodzącymi.

W drugiej izbie Kurek zanosił się płaczem. Matka na próżno go uspokajała. Pomstowała też wiele sił na Stanka, syna Sulika, który nasłał im greckiego cudaka i jego boga. Bo w gadanie, że to nie jest bóg i że go nie było wcale, juźci nie wierzyła. Nie było - a skąd jest?... Oj, biada.

Od własnych bogów wiadomo jak się chronić... z cudzym chodzisz niby ciemny...

- Stanko daje mi dziesięć łokci przystani - przypominał łagodząco mąż.

- To sobie postaw tam ten grecki łeb - krzyknęła.

Dyszała złością, co nie dziwota. Ten mały wciornostek drze się niby odmieniony. Strażyk wrócił z przystani zziębnięty, jakby go co gnało... Szaleju chyba się najadł...

Mąż daremnie ją uspokajał, powtarzając, że rano zaszyje z powrotem rzeźbę w rogozę, zakopie, piaskiem przysypie, udepcze, prętów leszczynowych na wprost i na ukos położy. Straciła nadzieję, aby te zabiegi mogły ich jeszcze od złego uchronić.

No i cóż? Okazało się, że miała słuszość.

Zazwyczaj skoro tylko złożyli się do snu, kto na wyrku, kto na ławie, byle podetkał pod głowę pięść, kłak siana czy pęk grochowin - już spał twardym, zdrowym snem. Dzisiejszej nocy nikt nie zmrużył oka, choć kryli to jedno przed drugim.

Nie spał garncarz Lepiglina dręczony troską, której nie rozpraszało nawet spełnione marzenie o posiadaniu miejsca na przystani... Pierwszy raz w życiu zobaczył różnicę mogącą zachodzić między dziełem rąk jednego człowieka a dziełem drugiego... Wszakże kamienną głowę rzeźbił kiedyś człowiek... Nie bóg, a człowiek. Bogowie potrafią zagrzmieć piorunami, ludzi powybijać, kraj powodzią zalać, wytargać z korzeniami drzewo. To im igraszka. Rzeźbą się nie bawią. Człowiek to wykonał.

Człowiek... Miał dwie ręce i dziesięć palcy jak każdy. Popielnica w kształcie głowy, którą Lepiglina tak się szczyił, zdała się teraz garncarzowi niezdarna i szpetna... Budzący ogólny podziw wielki posąg Trzygłowa w świątyni, patrzący jedną głową wprost, drugą w lewo, trzecią w prawo toż kukła, pałuba, topornie ciosana... Gdzie jej do kamiennego lica, które woła, żyje? Gdzie Strażowi Lepiglinie do nieznanego rzeźbiarza?...

Nie spał Jaczo milczący niewolnik. Ze swego posłania widział kamienną głowę wymowną w świetle miesiąca. Nasączała mu myśli niezwykajne. Ludzie zostali ulepieni z gliny. Gлина to ziemia. Wiedział, że ziemia jest matką, żywicielką wszystkiego, co żyje, ale pierwszy raz posłyszał, że z niej, tej świętej roli, tej gleby rodzajnej, powstało również ciało, kości i skóra człowieka. Karmiła go jeszcze zanim się urodził. Dlatego każdy człowiek tęskni do swej ziemi. Jaczo wzięty jeńcem w czasie jednej z częstych wojen między Pomorzanami a Wioletami zza Odry i sprzedany garncarzowi, nie zastanawiał się dotąd, czy tęskni i czy życie jego nie powinno wyglądać inaczej. Brakło mu na to czasu, pilnował pieca. Dzisiaj widok marmurowej, dumnej, zbuntowanej głowy, wzbudził w nim taką tęsknotę za krajem, taki gniew i żal do losu, że gryzł palce, by nie buchnąć szlochem i lzy tamował, co piekły go w chore powieki.

Syn Straża - Strażyk nie spał z innego powodu. Leżał pozornie bez ruchu, w rzeczywistości trwał niby na krawędzi przepaści, w którą zamierzał skoczyć bez powrotu, nie oglądając się za siebie. Targały jasnowłosym pachołkiem dwie boginki; dwie Dole. Jedna wołała: Stój! Druga

popychała: Idź - jakżeby myślał o śnie?

Nie spała również jego matka, żona Straża. W bezgłośniej nieruchomości starszego syna wyczuwała przeżywane przezeń napięcie i lękała się lękiem matczynym. Rozważała gorączkowe ruchy chłopca, kiedy powrócił z przystani, unikając jej spojrzenia i drżała, nie śmiąc dać nazwy obawie.

Nie spał nawet mały Kurek, rozżalony że nie dano mu napatrzeć się rzeźbie do syta. Słyszał, co powiedział ojciec - że ją rankiem zakopie, zatem on Kurek już jej nigdy nie zobaczy.

Niepocieszonego rozpierała chęć wstać tajnie, wymknąć się cichaczem z izby i korzystając, że noc taka widna, patrzeć a patrzeć na krzyczącego człowieka z kamienia. Bał się jednak, że wstając zaszeleści słomą i zwróci uwagę matki, która widno nie śpi, bo wzdycha. I tak wszyscy zostawali we władaniu czczych zmory, aż miesiąc zaszedł, mrok stulił ziemię, przynosząc krótki przedświtowy sen.

Mrok nie rozproszył uroku. Ranna zorza nie zastała w domu Strażów syna, przezywanego przez rówieśników Mięsiłoto. Odpłynął grecką galerą i słuch o nim przepadł. Taki wstyd uczynił ojcu. Taką boleść zadał matce. Daremnie spodziewali się, że może wróci za rok. Uczony grecki Eugoras też nie zgłosił się po swą rzeźbę, ani po roku, ani wcale. Musiała go spotkać jakaś zła przygoda, może wstyd dręczył, że przyczynił się do ucieczki chłopca z ojczywego domu. Co do rzeźby, Strażyna nie chciała, by przeklęta głowa pozostawała w obejściu choćby zakopana, i żądała od swego męża, by ją zatoczył do morza. Straż Lepiglina opierał się, bo Stanko odjąłby mu wtedy dzierzawę dającą znaczne dochody. Ostatecznie więc kamienną głowę umieścił na słupie w pobliżu przystani. Stała tam paręset lat, znana wszystkim żeglarzom zawijającym do Wolina.

Lecz, że z czasem zapomniano imienia Prometeusza, a o Rzymie słyszano nad Bałtykiem więcej niż o Grecji... kronikarz niemiecki uznał rzeźbę za podobiznę Juliusza Cezara.

Wnet potem inny uczony na podstawie nazwy Wolina - Julin, przypisał Juliuszowi Cezarowi założenie słowiańskiego grodu. Ta legenda pozostała. Słup z rzeźbioną marmurową głową, arcydziełem starożytnej sztuki greckiej, przetrwał wiele najazdów i burz, aż uległ zniszczeniu. Ostatnia wiadomość o nim pochodzi z XVI wieku.



## U świtu dziejów

Rzepka i Wisienna, córki starego Dobka, śpieszyły się do domu, jak mogły. Zapóźniły się w lesie gromadząc chrust na bliskie święto Kupały i upatrując, gdzie rosną odpowiednie na wianki zioła. Ostatnie to pewnie ich dziewczynskie święta, przykładały więc do nich szczególną uwagę. Ostatnie... Kończą się radość i młodość, a zaczyna luta praca. Wiele wesela w doli dziewiczej, tyle łez w doli żeniny, czyli żony, niewiastki, której przemówić w domu męża nie wolno, którą świekra za bydlę robocze uważa!

Staraly się o tym nie myśleć, jak się nie myśli o niezbytej śmierci, całe pochłonięte rychłymi świętami. Piękneż to gody! Starzy na placu zaleją wodą zeszlóroczny ogień, co się spracował i chce już spoczynku. Podobnie zaleją go we wszystkich chatach gospodynie. Żerca, czyli wróż, roznieci nowy, trąc dwa kawałki drzewa o siebie i mruczając zaklęcia. Przy nowym ogniu każdy rozpali pochodnię i pobiegnie z nią co sił do ogniska w chałupie albo do stosu sobótkowego na wzgórzu. Szczęście się wróży temu, co pierwszy przybiegnie i zażgnie, niedola takiemu, co się spóźni, albo któremu pochodnia w drodze zagaśnie. Dopieroż przy ogniskach płonących zaczną się płasy i tany. Chłopaki, a nawet stare gospodarze skaczą przez ogień, żeby pszenica dobrze rodziła, skaczą i dziewczki, żeby konopie urosły wysokie. Zabawa i śmiechy do rana.

Oj, do rana, ale tymczasem już zmierzch zapada a one jeszcze są w boru. Strach, strach. Oreżny mąż boi się pozostać w lesie nocą, a cóż dopiero dwie dziewczki? Wiadomo, że gdy ptactwo dzienne do snu się ułoży, wiły wychodzą ze swoich topielisk, leśny dziad opuszcza dziuplę, w której wraz z rysiem siedział cały dzień, dziwożony podchodzą pod ludzkie mieszkania, a jędzony tylko ślepią, kogo by utrupić. Strach, strach...

Biegną dziewczyny co sił, bojąc się odezwać, by licha uwagi na siebie nie zwrócić. Szczęściem już widać częstokół. Już błyszczą w mroku białe czaszki końskie zatknięte na żerdzie, chroniące od czarów. Jeszcze przelaz na noc nie zdjęty. Spotniałe z obawy, zdyszane z biegu, wsuwają się ostrożnie do chaty.

Pełno w niej ludzi. Stary Świętoch siedzi jak zwykle przy ogniu. Ojciec Dobek, stryj Ludbor przy nim. Bracia siedzą na ziemi. Wszyscy patrzą jak w tęczę w jakiegoś obcego rozpartego na ławie, licem do ognia, plecami do wejścia. Pewnikiem wojak z drużyny książęcej, bo na kaftanie ma blachy świecące. Ręką wywija i prawi, a wszyscy słuchają. Przez to i wejścia dziewczyn nikt nie zauważa. Tylko matka pogroziła im z kąta kądziela, ale nic nie rzekła, żeby mężom nie przeszkadzać.

Wojak - wołano go Dzierzek - mówił:

- Tako będzie, jako prawię. Książę nowego Boga, co Go z Czech księżna przywiozła, wywyższy, a naszych starych, dobrych panów bogów - pokłonił się z czią ogniowi - poniży. Poniży, powiada, precz wyźmie.

- Nie gadajcie po próżnicy - zgromił go gospodarz i z lękiem spojrział na płomień. Strzelał rażno skrami, swarzył się z polanami niefrasobliwie i Dobek poczuł się uspokojony.

- Przywiodła Dobrawa swojego Boga i swoich żerców - rzekł pojednawczo - niech ta będą. Nasze prawe bogi ostaną, jak były. Miejsca jest dość.

- Nie chce ten nowy, bo chciwy. Sam jeden ma ostać, a innych nie lza. Przyjechały już z Czech jego sprawcy. Księżdami ich zowie, jakby z książęcej krwi były! Powiadają, że będą gnać starych bogów, a ludzi chrzcic...

- Co znaczy chrzcic? - zapytał gospodarz drżąc.

- Do rzeki zagonią, wodą poleją, imię stare zabiorą, nowe dadzą...

- Imię zabiorą?! - krzyknęli wszyscy przerażeni.

Nic gorszego nie mogli sobie wyobrazić. Zabrać imię to prawie tyle, co zabrać życie. Bo w imieniu tkwi zaklęcie chroniące zdrowie i siły, rękojmia opieki dawno zmarłych dziadów.

...Zabrać imię!...

- To nie może być - zapewnił Dobek stanowczo.

- Zobaczycie - upierał się wojak. - Wodą poleją, żebyśta pamięć straciły... Nowego Boga nałożą... A zły on będzie! A chciwy! Wielu zechce daniny, a żertwy! Cała chudoba nie starczy!

- Mówiono już o tym? - pytali strwożeni.

- Nie mówiono nic, przeca pomiarkujcie sami. Jeśli on taki pażerny, że innego boga przy sobie nie ścierpi, to się i lada czym nie zadowolni.

- Słusznie prawicie... Oj, doło!

- Kiedy książę mają zjechać?

- Na kupalne gody... Sobótki nam piękne sprawią! - zaśmiał się Dzierżek ze złością.

- Dadzą to się bogowie wyżenąć? - zapytał Ludbor z wahaniem.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na starego Świętocha. On powinien znać najlepiej, co bogi uczynią.

- Nie dadzą się - rzekł stanowczo. - Niech ino spróbują ich ruszyć. Dałyby to się tknąć cudzemu, gdy one swoje z prawieka?... Swarożyc zawoła, Pochwist nadleci, zagrzmie... Tylko że z tego gniewu, z tych łyskawic, grzmotów i nam dostanie się po łbie... Pomnę, temu dziesięć roków, Pochwist się rozhulał, drzewa połamał, Mierowi poszycie z chałupy zdarł i na dąb zarzucił, a o co? Jak żerca wyłożył, o to, że z koniny poślednie mu części spalili, nie przednie... O taką fraszkę taki srogi gniew!... Cóż dopiero będzie teraz?

- Jakby w puszcę zawczasu zbiec? - odważyła się zapytać gospodyni. Wrzeczono dawno wypadło z jej ręki. Z córkami siedzącymi u kolan słuchała coraz więcej przerażona. Nie mogła jasno pojąć, o co chodzi. Miałożby bogów nie być? Dobrotliwego, panującego całemu światu Dadźboga i syna jego Swaróżyca ognia, i bogów Pochwista i Rgło? Mianoż by wygnąć boginie Żywie i Łagodę, i Mokłocz strzegącą konopi i drobiu? I siostry obłoczne Zorzyce, i może nawet ubożęta spod progu? Wygnąć Dolę i Niedolę? Cóż pocnie człowiek mizerny, jeśli mu Dolę odbiorą? To lepiej umrzeć od razu...

Tak myślała tuląc bezwiednie głowy córek, a łzy jej spływały po jagodach.

- Ano, jakby do puszczy zbiec? - przytwierdził gospodarz.

Lecz Dzierżek zganił ten zamysł.

- Książę już ogłosił, że kto by ze swego żrebu umknął, nie ma po co wracać, bo rolę drużynnika dostaną albo te nowe żerce, co ich księżkami wołają...

- Można by Białki ostawić...

- Oni Białki tak samo chrzcić będą i miana im dawać jak mężom...

- To już nijakiej rady nie ma - westchnął posepnie gospodarz.

Lecz gospodyni podniosła głowę. Łzy jej obeschły. Słyszysz dobrze? One, niewiasty, będą chrzczone, mianowane, zrównane z mężami?... Dziw! Dziw! I groźnie na tę myśl, i jakoś lubo. Dotąd każda białka miała wprawdzie imię, ale ot, takie jak klacz albo krowa. To Rzepka, to Kuca, to Czarnula... Nie posiadające znaczenia. Nigdy też żaden z bogów nie zatroszczył się dotąd o pośledni żeński rodzaj...

Wcześniej, niż Dzierżek zapowiadał, bo na parę dni przed kupalnymi godami, książę Mieszko zjechał do grodu z żoną Dobrawą, drużynnikami i kupą obcych księży. Niektórzy pochodzili z Czech, wielu z dalekich, nieznanych tu krajów, Italii i Francji, gdzie nowy Bóg od wieków był zasiedziały. Szeptano po cichu, że przyjechali z Rzymu, od Wielkiego Karla\*, o którym jedni powiadali, że dawno a dawno pomarł, a inni, że jeszcze wciąż żywie. (\*Wielkiego Karla - Karola Wielkiego, cesarza rzymsko-niemieckiego [742-814]), którego Słowianie pamiętali jako swego pogromcę. Wnet książę rozesłał wojów po wszystkich osiedlach. Jeździli jak gdyby sprawując wici, dmąc przeraźliwie w rogi i przykazując, by każdy, komu żywot miły, stawiał się nad rzeką Wartą, w miejscu gdzie stoi posąg Swaróżyca. A stawić się mają wszyscy. Męże i żony. Starzy i niedolatki. Nawet dzieci. A każdy ma się przyodziać w białe, czyste giezło...

- Jak dla zertwy... - mówili z trwogą ludzie, szli jednak, bo kto by chciał z księciem zadzierać? Drużynników naśle, siodło z dymem puści. Ziemię zabierze. To jego książęce prawo.

Posąg boga stał na wzgórzu między kilkoma starymi dębami. Były na równi z nim święte.

Posąg, wielki ciężki pień, miał u szczytu wyrzeźbane niezdarnie zarysy poczwórnej twarzy, w cztery strony świata patrzącej. Daleko na północy, w nadmorskim Szczecinie, te same bogi miały wspaniałe kąciny, pełne posągów i ozdób, tutejszy jednak obrządek był szary i biedny. Nawet zerców nie było wielu. Kudłaci, w dziwacznych swych czapach ze słomy, kryli się pomiędzy tłumem. Więc tylko te dęby święte i ten kloc z zarysem twarzy.

Książę w pozłocistych blachach, z mieczem w dłoni, stał opodal. Udawał spokojniejszego, niżli był w istocie. Ludzie tłoczyli się milcząc. Powietrze było wonne i łagodne.

Od boku księcia powstał i wyszedł naprzód stary, obcy człowiek. Nie znał go nikt. Odziany bogato w purpurowy płaszcz i wielką czapkę rogatą. W dłoni miał laskę krzywulę, w drugiej pozłocisty niewielki znak jak dwie deszczułki przełożone na krzyż.

- Nowy Bóg... Nowy Bóg... - szeptali między ludźmi wojacy, co już wiedzieli.

- Ten w czapie?

- Nie, to, co trzyma w garści, w prawej...

- Takie małe?!

- Może urosnąć, gdy zechce...

Umilkli z przerażenia, bo stary człowiek szedł pewnym krokiem na wzgórze, na święte wzgórze, na które nie lza było stąpnąć nikomu oprócz starszyźnie i zercom. A stanawszy tam, wbił krzepko złocistą laskę w ściel leśną i uśmiechnął się do ludzi. Tak właśnie. Uśmiechnął się. Jakby się zupełnie nie bał, jakby nie wiedział, że bogów obraził, jakby nie wątpił, że jego będzie na wierzchu.

I zawołał do ludzi silnym głosem:

- Nie będzie tu stał ten bałwan! Dajcie mi siekierę!

Książę spuścił nisko głowę, a przez tłum przeleciał dreszcz. Ni to jęk, ni to westchnienie. Zafalowały szeregi. Jedni chcieli iść wprzód, drudzy wycofać się. Zobaczył to i zawołał:

- Nie lękajcie się, ludzie, i stójcie na miejscu! Jeżeli wasz bóg jest Bogiem, zabije mnie sam, gdy podniosę topór. Sprawa jest między moim Bogiem a waszym. Niech się nikt do niej nie wtrąca. Patrzcie jeno i czekajcie!

I powtórzył, żeby mu podano topór. Podeszedł jeden z jego towarzyszy dźwigając ciężką siekierę. Cisza zaległa wokoło. Taka cisza, że słyhać było, jak dzieciół kuje gdzieś beztrosko w korę.

Milczą ludzie. Biegają oczyma po niebie, patrzą, z której strony nadbiegnie Pochwist, skąd uderzy pierwszy grom. A stary wziął topór w ręce. Dłonie miał wiotkie, niezwykle roboty. Z trudem podźwignął żelazo, zamachnął się, uderzył w podstawę...

Pień ani drgnął. Dzieciół kuł nadal. Pszczoły brzęczały wśród krzów malinowych.

Zmógł się w sobie stary biskup. Uderzył drugi raz mocniej. Pień się zachwiał. A staremu jakby przybywało siły, walił teraz raz po raz, coraz mocniej i zawzięciej, aż rozległ się suchy trzask i wielki rzeźbiony słup runął na ziemię, potoczył się parę kroków po schyłości wzgórza. Legł, trzema licami patrząc w świat, a czwartym w murawę.

Pomruk przerażenia, grozy, przebiegł między tłumem. Zdało się, że jeszcze chwila, a porwą się podnieść zwałonego, rozedrzyć na strzępy bluźniercę... Czekali tylko pioruna. Ale piorun nie nadbiegł. Słońce nie ścmiło swojego oblicza. Nie widzieli Dadźbóg, nie słyszał?

Biskup opuścił topór, swojego małego Boga w kształcie krzyża podniósł znów do góry, aż błysnął pod słońce.

- Ty będziesz panował odtąd nad tą ziemią, Panie - szepnął.

Gromko zaś krzyknął do tłumu:

- Słuchajcie mnie ludzie, którzy tu stoicie! Czciłście tego bałwana wierząc, że jest Bogiem. Obaliłem go i leży, spróchniała kłoda. Nie ruszy się. Nie obroni. Martwy to pień. Bóg, któremu ja służę, jest Panem mocnym i wielkim. Jest potężny i wszechobecny. Słuchają Go wichry, piorun i grad. On nimi rządzi, On im rozkazuje. Żywiły są w Jego dłoni jak pisklę w ręku ptasznika. Na Jego woli zawisł cały świat. On wszystko stworzył. Jego dech przy życiu was trzyma. Jest miłosierny i łaskawy. Nie żąda ofiary z ludzi. Ani z ludzi, ani z koniny, skopów, placków, wina, i zboża. Nie potrzebuje tego od was. Na cóż Mu dary, skoro wszystko jest Jego własnością? On chce tylko jednej rzeczy: żebyście Go miłowali. Tak Go miłować macie jak dzieci ojca i macierz, bo On najlepszy i najpotężniejszy...

Głos jego rozlegał się w ciszy. Księżę podniósł głowę i patrzył w błyszczący w dłoni starego znak krzyża. Za nim spoglądali inni. Ogarniało ich rosnące zdumienie. Nikt nigdy dotąd nie mówił, że Boga należy miłować. Boga należało się tylko bać i zaspokajać wszystkie jego wymagania.

- ...Nie lękajcie się, ale weselcie. Radosny jest dzisiejszy dzień. Pójdźcie wszyscy przyjąć łaskę chrztu świętego. Otrzymacie godność chrześcijan, synów Bożych. Nie sług ani niewolników, lecz synów... Niełacno wam dzisiaj to pojąć, ale niedługo zrozumiecie i będziecie się radować... Kto chrześcijaninem się zowie, nic mu nie może zaszkodzić. Imię Boga prawdziwego będzie wam odtąd tarczą i ostoją... Pójdźcie...

Rozgorzałymi oczami, ruchem ręki wzywał rzesze. I ludzie wahający, niepewni, z obawą spoglądając na obalony posąg, po którym chodziły mrówki - ruszyli jak urzeczeni za starym człowiekiem trzymającym w dłoni Krzyż.

## Przysięga

Gdy stary włodyka Mieszko poczuł, że pod wrota tynu podchodzi Śmierć, służebnica niezawodna zarówno wielkiego Boga chrześcijan, jak przedtem bogów pogańskich, odprawił ze świetlicy żonę Ode, młodszych synów, ryżych jak ich dziadek Dytrych, i domowników, samego tylko Bolesława zostawiając. Chciał mu coś rzec i dech zbierał, korzystając, że ucichła wrzawa kobiet zawodzących, krewniaków rodowych i sług. Spojrzał w okienko błyszczące w ścianie podle łożnicy niby zwierciadło. Za maleńkim kwadratem wyciętego w modrzewiowych bierwionach otworu siał się świat daleki, jasny i szumiał pogwar wojacki. Wieść o śmiertelnej niemocy knezia już się rozeszła po kraju, przeto pod tynem zebrana stała drużyna: trzy tysiące człeka w szłomach żelaznych, z mieczami krótkimi u pasa, oszczepem ostrym i szczytem trójkątnym drewnianym, skórą pokrytym. Czekali wiadomości o śmierci włodyki, by pana nowego okrzyknąć.

Mieszko przeniósł wzrok na syna, który siedział na ławie, podparłszy brodę pięściami, zwalisty i krzepki jak dąb. Twarz miał spokojną i mocną. Długie płowe wąsy zwisały nad stanowczymi ustami. Spod wydatnych brwi sklepionego czoła spozierały oczy bystre, przenikliwe. Ulga spłynęła w serce starego człowieka, dobijającego końca swoich dni. Prawdziwie, ten ci jego syn! Mądry a chrobry. Nie otrok żaden, ale mąż bywały, najlepszym wojom równy, praktyk. Sześć років miał, gdy u boku stryja Czycibora patrzył pod Cedynią na klęskę grafa Hodona. Zaprawiał się do walk od małego i tego zaprawił.

Uśmiech serdeczny zabłysnął na twarzy starego, gość rzadki, przerzadki na zmarszczonym, trawionym troską i wielkimi zamysłami obliczu. Uśmiechnął się do syna, który dzieło jego poprowadzi. Lecz Bolesław nie zauważył spojrzenia, zatopionym będąc w myślach. Trapiła go duszna niepewność. Jakże będzie grześć rodzica? Pierwszy to kneź polański, co pójdzie precz z panowania sam jeden, bez konia, bez niewolników, bez ofiar. Biskup Jordan zezwolił na sutą obiatę, lecz srogim gniewem Bożym zagroził w razie spalenia ciała na stosie, a wraz z nim konia i sług. Więc martwił się dobry syn, nie wiedząc, co gorsze: ojcu pozwolić zejść ze świata niby smerdzie, nędznemu niewolnikowi, czy obrazić Jezukrista, wszechmocnego, miłościwego Pana, od niedawna dopiero lechicką ziemią władającego?

- Bolko... - szepnął włodyka unosząc się nieco z posłania.

Zerwał się i sunął ku ojcu patrząc troskliwie w jego twarz ziemistą, okrytą potem śmiertelnym. Stary ujął go za rękę.

- Bolko - rzekł - wiesz, że masz nad całą dziedziną włodarzyć.

- Nie nad całą, bo są przecie Mieszko, Świętopelk i Leszek - zauważył chmurnie syn,

spoglądając na drzwi, którymi wyszła macocha.

- Nad dziedziną panować masz sam - ciągnął Mieszko, jak gdyby nie słysząc - sam, a mądrze. Szmat ziemi weźmiesz. Zbierały ci ją dziady, Ziemowit i Leszko, zbierał ociec Ziemomysł... Zbierałem i ja... opole do opola, żupę do żupy... Utrudziłem się w pracy, urobiłem ręce, aż omglały... Wielem zrobił... Słucha ninie mojego kneziowego rozkazu ziemia gnieźnieńska, śląska, kujawska, czerska, łęczycka, sieradzka i chrobackiej więcej niż połowa... Okrzciłem je wszystkie... Wwiodłem je za znakiem Pana Jezukrista w poczet wielkich, dufnych i mocnych narodów z Zachodu. Nie gorszy jest dziś każdy z moich wojów od frankońskiego, italskiego czy niemieckiego rycerza. Daleko w Italii siedzący wielki ociec krześcijan, papież, wie o naju, troska się, przesyła nad Wartę, nad Wisłę biskupów i uczonych mnichów. Stracili Niemce prawo do ziemi słowiańskiej, odkąd krześcijańska jest. Tom uczynił. Bacz! Wziąłem po oćcu setkę drużynników. Nosili skóry baranie, łykiem lipowym zeszyte, niezdarny toporek i kupą, jak stado, szli do boju... A oto, co ci zostawiam: trzy tysiące ludu, ćwiczzonego, żelaznego. Wziąłem po ojcu kopę arabskich pieniędzy, kruszcu solnego co nieco, skórek i płatów lnianych mało wiele... To był kneziowy skarb! Stoją u mnie w komorze skrzynie pełne denarów srebrnych, nie gorszych niż niemieckie są... Tom wszystko uczynił sam, całe życie lepiać w trudzie tęgą caliznę z słowiańskich plemion swarliwych i nieposłusznych. Nie wszystkich jeszcze zebrałem... Bym zdążył, stanęłaby moc słowiańska większa, krzepiejsza niż Niemce... Twoja to sprawa uczynić. Pod gniewem miłego Jezukrista, największego Pana, i starych bogów, Swaróżyca i Dadźboga, przekazuję ci, byś się budowaniu mojemu rozpaść nie dopuścił, a tamtych do kupy wraz zgarnął: Pomorzanów... Mazurów... Chrobatów...

Urwał rzeżąc, bo tchu mu zabrakło. Bolesław pochylił się nad nim. Bystre jego oczy złagodniały.

- Nie frasujcie się, ojcze! - rzekł. - Zbiorę ich do kupy w jedno. Sam zawładnę dziedziną słowiańską. Nie ukrzywdzę braciów, ale im rządów nie zwolę: Niemce są. Skrzyknę pod jedne znaki, jedno zawołanie: Pomorzany, Mazury, Chrobacy, Morzyczany, Sosny, Lipy, Lubuszany, Łużyczany, Wielety i Obodryty. Obwaruję słupami żelaznymi granice, gdzie słowiańska mowa sięga. Zadzierzą się niemieckie margrafy, nie postąpią kroku dalej. Jako częstokół warowny stanie polska drużyna bojowa w poprzek drapieżnej drogi najeźdźcy. Dojdziemy morza, na którym mnie jeno Normany hulają. Wybudujemy własne korabie. Nad Odrą tyn stanie przy tynie, broniąc ziemi naszej przed pychą grafa Gerona, grafa Hodona i potomków ich. Nie wezmą jednej piędzi ziemi więcej. Pójdziemy na wschód ku Dnieprowi, z Rusią pobratymstwo zawrzeć. Aże wzrośnie, skrzepi się wielkie mocarstwo słowiańskie, mocarstwo swobodne polskie. I będzie owo Państwo Polskie trwało po wieki wieków. K czemu wszystkie me siły przyłożę, tak mi dopomóż, miły Jezukriste,

Boże największy, i starzy bogowie słowiańscy...

Urwał spojrzawszy w twarz ojca i drgnął, bo stary włodyka już nie żył.



## Purpurowy szlak

Syn Mieszki Bolesław; zwany Chrobrym, czyli Walecznym, w przyszłości pierwszy król Polski, z zadowoleniem witał poselstwo wracające z Rzymu. Posłowie wyjechali z Poznania w listopadzie, pośpieszyli mimo przykrew pory i teraz, w końcu czerwca 999 roku, zdawali już księciu sprawę ze swojej podróży. Nowiny przywieźli nad wyraz pomyślne: papież Sylwester II zgodził się zatwierdzić polskie arcybiskupstwo w Gnieźnie, zaś cesarz niemiecki Otto III zapowiedział swój przyjazd do Polski razem z legatem papieskim. Nastąpi to z początkiem tysięcznego roku. Cesarz chce odwiedzić księcia polskiego i pomodlić się u trumny biskupa Wojciecha, swego przyjaciela, niedawno ogłoszonego przez stolicę apostołską - świętym.

Takie to były wieści. Bolesław doceniał ich wagę. Choć jeszcze pół roku dzieliło od zapowiadanych odwiedzin, chciał widzieć wszystko przygotowane zawczasu.

W tym celu wezwał komornika Dybidzbanę zarządzającego dworem.

- Wiesz już - zapytał Bolesław - że cesarz niemiecki z biskupami i rycerstwem przyjedzie do nas po Godach?

- Dyc wiem - przytwierdził komornik i jał wyliczać, co już w związku z tą zapowiedzią uczynił. Rozesłał gońców do wszystkich siól uprzedzając je, co się święci. Więc w Piekarach osięją najlepszej pszennej mąki, żeby była bieluska na miodownik i placki. Chleba napieką w porę, dla nikogo nie zabraknie, choćby przyjechało z tysiąc luda. W Skotnikach tuczą wieprze, jesienią będą je bić, mięso i słoninę wędzić... Łagiewniki przygotowują nowe beczki na piwo i kadzie na ryby solone... W Koniuchach już wiedzą, że książe pan zażąda podjezdaków pod wierzch i woźników do zaprzęgu... Do Bobrownik Dybidzban też jeździł, bo pewnikiem trzeba będzie skórek bobrzych na podarki... Wszystko zostanie przygotowane na czas.

- Wszystko nie wszystko - odparł książe. - Potrzebny jeszcze gruby tkany chodnik. Otto zjedzie jako pielgrzym, ledwo zobaczy kościół, zejdzie z konia i pieszo do niego pójdzie...

- Cesarz, piechotą? - zdziwił się komornik.

- Taki jest zwyczaj panów chrześcijańskich. Nawiedzając relikwie, ostatnie stajanie pieszo idą dla okazania pokory... By ten przyjazd wypadł wiosną albo latem, można by umaić drogę tatarakiem czy kwieciem... Miarkuję jednak, że przyjadą zimą... Nie godzi się, żeby taki gość szedł po śniegu czy błocie...

- Chodnik z tarcic ułożym, to będzie miał sucho...

- Głupiś, Dybidzbanie!

- Albo suszkę! Chłopy jesienią trzciny natną, w snopki powiążą...

- Głupis - powtórzył książę. - Powiedziałem: chodnik z wełny utkany.

- Długiż chcą mieć wasza miłość?

Bolesław zamyślił się, płowego węża okręcał na palcu. Myślą przebiegał drogę, jaką pójdzie orszak. Z którego miejsca jadący obaczą gnieźnieńską świątynię.

- Siedem setek kroków - mruknął - powinno wystarczyć...

Dybidzban struchlał, zaniemówił. Tak długiego chodnika nikt jeszcze nie utkał, jak świat światem! Gdzie krosna, co by dzwignęły tyli nawój? Gdzie izba, co by pomieściła postaw i wątek'. Bolko oszalał widno, a może się pomylił... Siedem dziesiątków kroków to by z biedą w rok czy dwa urobił.

- Siedem setek kroków - powtórzył Bolesław dobitnie - szeroki na dwa kroki, zdałoby się na trzy, ale krosna nie obejmą...

- Wasza miłość - bąkał z rozpaczą komornik. - Nie ludzkiej mocy trza na takie dzieło... Wasza miłość wybaczy... Tyli chodnik utkać a wędką gwiazdkę z nieba ułowić - to jedno...

- Tak myślisz? - spytał zimno Bolesław.

Komornik skulił się ze strachu, lecz jeszcze usiłował przemówić do książęcego rozsądku.

- A toć, wasza miłość, kobierców moc a moc mamy, co kupce ze Wschodu przywiozły jeszcze za nieboszczyka księcia, a drugie tyle niedawno kupionych... Jakby je zebrać, a rządkiem rozesać - nie starczy?

- Kobierce pójdą na podarki, także dla ustrojenia kościoła i zamku...

- Na podarki wasza miłość odłożył już przecie siła złotych łańcuchów, zapon, kielichów, pierścieni... i skórki bobrowe dojdą... Po co jeszcze kobierce przydawać?

- Nie ty będziesz mi radził! - krzyknął Bolesław, już zły, nie znosił bowiem oporu. - Rzekłem! Twoja głowa, żeby chodnik był. Siedem setek kroków długi, dwa szeroki, z wełny czerwono barwionej utkany...

- Czerwono barwionej? - zajęczał Dybidzban, chwytając się za łeb. - Czym barwionej?

- Tęgie mam sługi - syknął książę. - Komornik nie wie, czym wełnę ukraścić. Idź, pytaj się lada baby... Chodnik ma być czerwony jak mój kaftan odświętny. Rozumiesz?

- Kaftan waszej miłości z sukna greckiego uszyty. Chyba że od kupców kijowskich nabędziemy tej barwy.

- A juźci! Kupce od nas czerwca targują i dobrze płacą, a my mamy go od nich kupować z powrotem? Dość pustego gadania - dodał książę, marszcząc łwie brwi. - Twoja rzecz, żeby chodnik gotowy był na czas. A nie podołasz - sprawniejszego komornika łącno znaleźć. Możesz iść.

Dybidzban złamał się w ukłonie i wyszedł z izby, półprzytomny z żalu. Srodze dotknęły go ostatnie słowa księcia: "sprawnniejszego znaleźć"... Czyż on nie był sprawny? Czy nie był wierny?

Nie dojadł, nie dospał, a każde zlecenie książęce sumiennie wykonał... Lecz jeśli rozkaz jest niewykonalny?... Tkaj, człowieku, chodnik barwiony, siedem setek kroków długi!

Struty, jakby zjadł tojadu, poszedł do swego pomocnika Miłogęby.

Imiona nie zawsze pasują do ludzi. Dybidzban wbrew nazwisku pijał tylko wodę, bo od piwa czy miodu puchła mu wątroba. Miłogęba miał twarz upstrzoną dziobami, pozostałymi po krostach. Odziedziczywszy jednak przydomki po ojcach, nie troszczyli się o to, czy brzmia odpowiednio.

Miłogęba wysłuchał opowieści przełożonego i załamał ręce, choć chłop był przemyślny i śmiały. Podzielił całkowicie opinię Dybidzbanową. Nie zrobisz takiego dzieła, chyba z pomocą boginek albo jakiej mocnej wiedźmy... Ino że to grzesznie i niebezpiecznie, bo a nuż się biskup dowie?...

Komornik trząśł głową. Raczej w puszcę przed Bolkowym gniewem zbiec...

- Powiadają starzy: w puszcę łatwo wejść, trudno wyjść - zauważył Miłogęba. - Na stałe ostać w boru? Do śmierci dzikować wspólnie ze smolarzami?... Oj, dolo, dolo! Żebyż choć wiedzieć, czemu książę taką rzecz wydumał.

- Wiedzieć? - Dybidzban wzruszył ramionami. - Młody, to i głupio gada. Księcia prawo rozkazywać, jak mu się podoba, nasze prawo słuchać, a nie usłuchasz - dasz głowę...

Biadali społem, aż Miłogębie przyszła myśl zbawienna:

- Chodźwa do księżnej prosić, by przedłożyła Bolkowi, jako takiego chodnika nijak a nijak nie zrobim...

Księżna Emnilda, trzecia żona Bolesława Chrobrego, była dobrą, roztropną kobietą, a mąż wielce ją miłował. Nieraz wypraszała ludzi przed jego srogimi karami.

- Chodźwa - przystał komornik. Nie zastali jednak księżnej, poszła z dziećmi i dwórkami do lasu na poziomki. Przyjęła strapionych dopiero nazajutrz. Padli jej do nóg, powiadając, o co chodzi. Słuchała zafrasowana.

- Moiście wy - rzekła - już mi wczoraj książę pan powiadał, że chodnikiem czerwonym uściele cesarzowi drogę od lasu gnieźnieńskiego aż do kościoła... Nie poniecha on tej myśli, nie! Nawet gadać z nim o tym nie będę...

- To nam przyjdzie umierać! - stęknął komornik i chwycił się za bok, bo mu od zgryzoty okrutnie dopiekała wątroba.

- Skąd wziąć wełny na tyli chodnik! - dowodził Miłogęba. - Choćby zebrać wszystką przedzę od niewiast siedlaczycy, zwieźć ją tutaj, upchać stodołę aż pod przyciesie, to co dalej? Kto ubarwi, a kto utka?... Nie pół roku czasu, a dziesięć lat mało!

- Nie zda mi się, by książę pan żądał rzeczy niemożliwej - odparła księżna - za mądry on na

to. Sposób się znajdzie, jeno trzeba umem ruszyć zamiast biadać i o śmierci gadać, co zgoła mężom nie przystoi, aż wstyd!

Zasromali się nieco obaj. "Dobrze jej mówić" - pomyśleli w duchu. Księżna pozwoliła im usiąść na ławie i ciągnęła dalej.

- Prawie gadacie, że jedna tkaczka nie zdąży, choćby całe życie czółenkiem migąła. Ale jakby wszystkie tkaczki z tego kraju za krosnami siadły, toby zdążyły. Ino im pokazać, miarę szerokości dać, potem ich robotę do kupy zeszyć.

- Jużci, jużci - przyznał komornik - jeno że przedza ma być czerwono barwiona. Jak księcia kaftan odświętny. Chyba czerwcem... A skąd tyle czerwca wziąć?

- Et - obruszyła się księżna - wielu ludzi z tego żyje, że czerwca zbiera... Cóż z nim robią? Sami przecież w czerwonym przyodziewku nie chodzą?

- Na targ do grodu przynoszą - objaśnił Miłogęba. - Kupce od nich biorą. Sam latoś widziałem w Poznaniu i w Kołobrzegu. Do Szczecina też stąd wożą. Ale już pora czerwca minęła.

- Poślę po księdza kapelana - postanowiła Emnilda - to uczony człowiek. Powie nam, czym barwić na czerwono, jeśli czerwca brak.

Po chwili przyszedł zakonnik, chudy, łysy, o uczonej twarzy. Dowiedziawszy się, po co go wezwano, tak prawił:

- Do barwienia na kolor czerwony, czyli purpurowy, tkaniny wełnianej, lnianej lub jedwabnej służy małż, czyli ślimak morski, którego poławiają w pobliżu miasta Tyr, a także miasta Sydon... Dalekie to grody, na przeciwnym końcu morza pośródziemnego leżące. Nurkowie wyławiają z toni małże przywarte do skał, kupcy muszle otwierają, skorupy odrzucają precz, ślimaki suszą na słońcu, na proszek trą, wodą zalewają, w tym tkaninę warzą. Najpiękniejsza to purpura... Proszek ten na targach sprzedają drożej niż złoto.

- Nic nam po tym - zauważyła księżna. - Tego proszku nie dostaniem.

- Saraceny - ciągnął mnich - pogany zmyślni i zbytek miłujące, dla uzyskania czerwieni szat każą niewolnikom zbierać owada, zwanego kermes, na dębach żyjącego. Także piękną daje barwę. Kermesa italscy kupcy przywożą do Europy. Od saraceńskiego słowa zowią na Zachodzie czerwoną barwę alkermes, z czego zrobiono karmazyn. W Polsce barwią czerwcem, który to robaczek podobny jest do kermesa, jeno znacznie mniejszy. Powiadano mi też, że są w tym kraju zioła czerwono barwiące...

Tyle tylko wiedział kapelan. Emnilda podziękowała mu pięknie, a gdy odszedł, posłała po starą szafarkę Boguwolę, o której na dworze mówiono, że wszelką wiedzę posiada. Zapytana o barwnik czerwony, jęła wyliczać na palcach:

- Jest brocz, paniczko, co go poniektóre wołają marzanną. Czerwony w nim sok,

czerwony... Aż ludzie prawią, gdy się kto skaleczy, że broczy krwią... Drugie to przytulia. Jeno że barwa z niej prędko sinieje. Trzecia kokoryczka, a czwarta lebiodka. Barwią na jasnoczerwono. Dziewki sobie policzki lebiodką mażą. Bezwstydy! Piąty - korzeń żmijowy... A co chcecie barwić, paniczko?

- Przędę wełnianą.

- Tylko czerwcem ubarwicie - zapewniła stara - bo wełna nie przyjmie gładko nijakiego ziela. Len przyjmie, konopie przyjmą, na wełnie plamy rude wyjdą. Taką naturę ma wełna.

- Powiadajcie o czerwcu. Skąd go mieć?

Stara rozgadała się. Oj, była z niej niegdyś zbieraczka krasnego robaka! Sprawnie jej to szło. Oj, dawno to było, dawno... Teraz grzbiet boli, nogi słabe, oczy niedowidzą... Starość nie radość... Jak czerwca szukać? Ano, gdzie pod dębem rosną poziomki albo pięciornik, albo ziele, co je także czerwcem nazywają - nożykiem podnosisz korzonki, a na korzonkach siedzą sine kupeczki niby ziarnka maku. To ci są czerwcowe poczwarki. Zgarniesz je do krótki i dalej szukasz. Najlepsza pora do zbioru, póki robak w poczwarcie, bo nie ucieka i mocny w barwie. Każda gospodyni choć garstkę wtedy uzbiera, żeby zimą wełniak pokrasić. A która się nie pośpieszy, nie będzie go miała. Czerwiec wyroi się, kiedy lipy przekwitają, i trudno go wtedy łapać.

- To już teraz nie można czerwca uzbierać?

- Można szukać samiczki robaka, bo ona nie lata, ale to wiele zachodu, mało wiele zysku...

Boguwola wróciła do swej roboty. Dybidzban biadolił nadal:

- Widzicie, miłościwa pani, co czerwca już nie dostaniem...

- Szpetnie słuchać takiego sklamrzenia - oburzyła się Emnilda. - Samiście co ino powiadali; że kupce czerwca targują. Skoro targują, to go mają. Na rozkaz książęcy dadzą.

- Zwolilby książę pan do kupców grodzkich sięgnąć?

- Wiera, że zwoli! Kupce dadzą barwę, a mieszczki i małżonki rycerskie też swoją pracę dołożą. Nie same tylko siedlaczki zagna się do roboty. Każdy niech swą część przyniesie.

- Wielmoże nie przystaną, miłościwa pani.

- Księcia posłuchać muszą. Moje dziewczynki także będą przędły, barwiły i tkwały.

W głosie księżnej tyle było przekonania, że komornik i podkomornik odetchnęli lżej. Patrzyli na nią z wdzięcznością, podziwem. Mądra była ta Emnilda, godna Bolkowego miłowania. Prawdę mówiła, że zamiast rozpaczać, umem trza ruszyć i sposobu szukać, a oni już w puszcę zbiec chcieli.

Życzliwość księżnej ośmieliła Miłogębę do zapytania, w czym taki ważny ów zjazd, że drogę sukmem trza ścielić.

Emnilda zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Pamiętajcie - rzekła - biskupa Wojciecha, co go Prusowie ubili, kiedy ich nawracać chciał, a księżę pan wykupił od pogan zwłoki onego i w srebrnej trumnie złożył? Ninie Ojciec Święty mianował Wojciechowego brata Radzima arcybiskupem gnieźnieńskim. Radzim przyjedzie razem z cesarzem.

- Pomnę - upierał się komornik - kiedy poznańskiego biskupa witano, drogi mu nie mościłim...

- Ech, wy, nic nie rozumiecie, mrużyć ino potraficie. Słuchajcież! Jakby nie było w Gnieźnie arcybiskupiej stolicy, arcybiskup magdeburski, Niemiec, rządziłby polskim Kościołem i polskimi biskupami. Pojmujecie? Księżę pan prawil onegdaj: milsze mi to przyzwolenstwo papieskie niż zdobycie dziesięciu li piętnastu grodów. Tak powiedział. Znów bez cesarskiej zgody Ojciec Święty nie mógłby pozwolenstwa dać, przeto i Ottonowi wdzięczność się należy. Nie było dotąd, nie było ważniejszego zjazdu jako ten zapowiedziany.

Wyszli na koniec pokłoniwszy się nisko. Po drodze skręcili do gospody, rozważać, co usłyszeli. Komornikowi przestała dokuczać wątroba, wracały wrodzone bystrość i obrotność. Pijąc prażone mleko układał plan pracy, rozdzielał między siebie i pomocnika zadanie. Inaczej na nie patrzył teraz, gdy się dowiedział, w czym rzecz. Dobrze jest pojmować i wiedzieć...

Miłogęba złopał piwo za dwóch, przepowiadał sobie w myśli każde słowo księżnej, a także nazwy ziół wymienionych przez Boguwolę, pilnie zarazem słuchając wywodów zwierzchnika.

Wszelkie pojawienie się władzy zwiastowało przykre rzeczy, toteż w siole Zarzeczce leżącym nad Wartą spojrzano nieufnie na gońca z opola, Mirka. Pachoł, jadący oklep na podjezdku, "łaskę opolną" oznaczającą wezwanie na ziemię cisnął, bosymi piętami konia bodnął i już chciał uciekać, ale go chłopaki dognały przy kołowrocie.

- Postójże, Mirek! Czego chcą w opolu? Zmykasz, jakby się paliło!

- Księżęcy komornik przyjechał - objaśnił wysłaniec - dlatego łaskę starszyzna przysłała...

- Psia jego mać zatracona! Bodajby drogę pomylił! Pewnie nową daninę naznaczą.

- Gadaj, Mirek, co jest, a nie ukrywaj!

- Powiem uczciwie. Komornik księżęcy przykazał, żeby wszystkie gospodynie przyszły do opola - wyjawil goniec wstydliwie.

Otoczający go kmiecie wybuchli chóralnym śmiechem.

- Rozum się chłopu pomieszał! Baby do opola! Jeszcze o tym nie słyszano!

Nie słyszano rzeczywiście. Cóż znaczy niewiasta? W chacie rządzi, owszem, bywa nawet, że mężowi przygada, poza obejściem niczym jest. Przynależnością mężową. Baby do opola?!

- Wiedziałem, że nie uwierzycie, tom ino łaskę rzucił - tłumaczył wysłaniec. - Idźta same,

dowiecie się.

- Pójdziem, i to wnet.

Zebrało się ośmiu gospodarzy, otrzepali płótniaki z paprochów, dłonią pomazaną sadłem przejechali po włosach, by się urzędnikowi dworskiemu godnie przedstawić; każdy wziął w garść palicę czy głuszkę, bo nie wiadomo, co się w boru spotka, i poszli obiecując być doma przed nocą.

Zaledwie jednak południe minęło, powrócił Mirek, rad, że się jego słusność okazała. Komornik do niewiast miał rzecz, nie do chłopów. Niech się więc gospodynie zbierają, a chyżo, bo komornik zły, że nie przybiegły od razu. Z każdego domu wołają jedną, a która by się skryła, chłop za nią przed księciem odpowie. Pognają go w postronkach do Poznania.

Wylękły się kobieciny, bo najgorzej straszy człowieka nieznane. Co nieznane - to złe, co nowe - to groźne. Tak uczyło doświadczenie. Oj, lelum!... Oj, doło!... - jęczały. Żegnały się z dziećmi, z bydłatkami, z pszczołami, jakby miały iść na śmierć, i podreptały zgrzebną, spłoszoną gromadką. Mirek jechał stępa przed nimi niby pastuch przed trzodą, bo drogi nie znały, pierwszy raz opuszczając Zarzecze. A dróżka była mylna, krzyżująca się steczkami wydeptanymi przez dziki. Idąc starsze kobiety szeptały zaklęcia chroniące od uroku, młodsze rozglądały się ciekawie. Dwie dziewczyny: Darka Paculanka, której matce krowa onegdaj nastąpiła na stopę i skórę z podbicia zdarła, oraz Bogna Biesagów zastępująca macierz leżącą - otwarcie rade były z nieprzewidzianej przygody.

W opolu na wygonie białeły gromadki niewiast z innych siół. Siedziały frasobliwie na darniku. Chciały zarzeckie podejść do nich, popytać, ale Mirek poganiał, że komornik czeka. Jakoż pośrodku starszyny opolnej siedział Miłogęba, ważny i surowy. Za nim stało dwóch zbrojnych z grodu dla powagi dodanych. Podkomornik pytał przybyłych, skąd są. Żadnej nie brak? Wiele która owiec latoś ostrzygła? Na deseczce karbował, runa na motki przeliczał, w końcu obwieścił, ile która chata ma dać uprzedzonych motków. Dwa miesiące czasu przeznaczył na tę robotę, ani dnia dłużej. Dodał, że za to w tym roku daniny z wełny nie będzie.

Słuchały uważnie, czekając, co dalej będzie. Po toż by je tylko wzywano? Jużci, co szkoda wełny, nawet kłapcia na rękawice nie zostanie, ale zimową porą w dwa miesiące d, co nakazane. Zakłopotwały się dopiero postłyszawszy, że z tej przedzy mają utkać dla księcia pana chodnik dwa kroki szeroki - podniósł w górę kij znaczony miarą - a długi, wiele wełny starczy. Chodnik ma być równy, gładki, a wełna czerwcem barwiona. Taka jest książecka wola.

Zawołały chórem, że czerwca nie mają. Lepiej by książe pan inny kolor sobie upodobał. Widłakiem wełnę ubarwim, będzie Ó zielony jak łąka...

- Rzekłem, czerwony.

- Wasza wielmożność - seplenila stara Potulichy - z korzenia janowca albo sierpiku wyjdzie

węlna żółciutka jak kurczątka z jaja... Jak słoneczko złociste...

- Z czarnego bzu byłaby modra jak niebo - dorzuciła jej sąsiadka, Chebdzina.

- Rzekłem, czerwoną.

- Ej, to ukrasim waszej wielmożności, ukrasim pięknie, jeno nie czerwcem, bo go teraz nie ma, a zielem brocz czy przytulią.

- Znam! Znam! - przerwał szyderczo komornik. - Może kokoryczką, korzeniem zmijowym albo lebiodką? Kraście nimi len, dziewczki niech sobie policzki lebiodką mażą, węlna potrzebuje czerwca!

Zdumiały się wiedzą przezeń okazaną. Mało który chłop rozumie się na tych sprawach. Nadal żałośliwie dowodziły, że czerwca nie mają.

- Kiepskie gospodynie - odparł - co nie uzbierały bodaj garsteczki. Niech szukają teraz.

- Wasza wielmożność, czerwec już się wyroił, już fruwa, jakże go łowić?

- Samiczka nie lata - odparł. (I to wiedział!) Baby zmiłkły nie wiedząc, co rzec.

- A jak nie poradzi ułowić czy znaleźć, to co? - wyrwała się hardo Darka Paculanka. (O siebie jej chodziło, bo leniła się zbierać wcześniej, choć matka napominała.) Spojrzał komornik w jej stronę. Dziewucha dorodna, lica jak lebiodką kraszone. Nadał się i odpowiedział:

- Nie znajdzie się taka, jakem Miłogęba, bobym ją przed księciem stawił...

- Gdzie ów Miłogęba? - udała zdziwienie.

- Jam jest - rzekł z pychą, a ona mu śmiechem w nos:

- Jaki tam Miłogęba! Dziobaty! Dziobaty! - I w nogi.

Sczerwieniał chłop z gniewu, chciał chwycić zuchwałą, ale już była daleko. Posłał więc grodowych, żeby ją dościgli i tutaj przyprowadzili. Samego księcia pana obraziła w osobie jego urzędnika!

Pobiegły chłopcy z tupotem. Baby na placu zastygły z przerażenia. Darka już wpadła w las, ucieka co sił. Bieży, bieży, tchu jej brakło, w głębokie wykrocie przypadła. Jeżyny i chmiel ją zakryły. Grodowi chodzą niedaleko, oszczepami w pnie stukają. Krzyczą: "Odezwij się, dziewczucho! Odezwij się!" grubymi głosami, w których więcej śmiechu niż gniewu. Ale dziewczyna boi się naprawdę. Obraziła komornika... Może całe opole pocznie ją ściagać jak łoni Borutę z Przyrzecza, co sąsiadowi bróg spalił... Ludzie lecieli za nim a krzyczeli: "Nastojcie! Nastojcie!" a kto ten okrzyk posłyszał, chciał nie chciał, dołączał się do pościgu. Gonili go jak wilcy, aż dopadli i zatłukli. Czy i z nią tak będzie?... Oj, lelum!...

Boi się dziewczyna ruszyć, ale w lesie cisza, tylko wilga fiuka, a kos ją przedrzeźnia. Grodowi dawno wrócili na wygon, gdzie tymczasem działy się niedobre rzeczy. Po ucieczce Paculanki zawsze pojednawcza Chebdzina podjęła komornika pod kolana:



- A dyć, panoczku, nie gniewajcie się... Chce książkę chodnika czerwonego, znajdziem czerwca, ubarwim. Na wiosnę będzie skończony.

- Na wiosnę! - ryknął. - Oszalałaś babo! Nie na wiosnę, a na Gody! Przed końcem adwentu sam tutaj przyjadę waszą robotę odebrać! Biedna, która nie będzie gotowa!

Na tę zapowiedź wybuchł lament, pisk, zawroźnienie buntownicze. Nie chciały kobiety przyjąć takiego rozkazu, nie wypełnią go, a nie! Kto za nie zrobi na polu, w ogrodzie, kto przygotuje zapasy na zimę? Po raz pierwszy podkomornik spotkał się z oporem. Ciche, zgrzebne białki podniosły głowy i powiedziały, że nie chcą posłuchać. Usiłował je przekrzyczeć, lecz głos jego ginął w zgiewku. Wściekł się i krzyknął do strażników, co właśnie wrócili z pościgu za Paculaną:

- Wiązać chłopów i pędzić do grodu!

Opamiętały się nieco, padły mu do nóg, błagały o zmiłowanie. Na próżno. Nieugięcie powtarzał, że przed końcem adwentu przyjedzie. Stojący opodal kmiecie spoglądali na swe żony ponuro, nieśpieszno im było do grodu, oj, nie... Cóż było począć? Niebogi poddały się. Podkomornik ocierał pot z czoła i kazał wołać niewiasty z Przyrzecza. Zarzeckie, pokonane, wracały do swego siola, tak przygnębione, iż - rzecz niezwykajna - milczały przez całą drogę. Biegiem ich życia rządziła przyroda, jak życiem zwierząt i roślin. Ona, wszechwładna pani, określała porządek zajęć i kolejność robót. Kto się jej sprzeciwił, karała go głodem w złą porę. Prząść wełnę latem, tkać jesienią - zdało im się przeciwne naturze. Z racji zachcianki książęcej siędą do krosien, a len na polu wygnije, rzepę spaćkają dziki, maliny przejrzałe, nie rwane z krzów oblecą, one, gospodynie, grzybów nie nasuszają, orzechów nie nazbierają... Ryb nie uwędzają...

Paculanka dołączyła do nich po drodze, rada, że się skończyło na strachu, a tuż przed Zarzeczem dogonili gromadę niewieścią chłopów. Wymyślali babom, że nie wiedzą, co jest władza.

- Zda się wam - prawil stary Dobek - że jeden komornik niewiele znaczy. A ja powiadam, że drażnić onego - tyle co w lesie zaczepić warchlaka. Małuški kwiczy tylko, krzywdy nie robi, ale jak z fukiem nadleci maciora, to choć na drzewo uciekaj, bo Borze! Tak za komornikiem książę... Głupie jesteście. A Paculanę dobrze tato pasem ściągnie. Nie bój się! Ja mu powiem.

- Jakeście odeszły - przerwał mówiącemu Gnatek - komornik powiadał starszyźnie: "Do wielkiej sprawy mogły się te niewiasty przyczynić... Niby do wolnych gadałem. Słuchać nie chciały. Będą pracować po niewoli, skoro tak".

- Jakaż to sprawa? - pytały znękane.

- Tyle powiedział, że ważniejsza pono dla księcia i dla narodu niż dziesięć li piętnaście zdobytych grodów.

- Laboga!.

Zmęczony i zły podkomornik pojechał wieczorem do grodu, gdzie spotkał się ze swym przełożonym, Dybidzbanem, gorzej zmarnowany od niego.

- Co się żalisz - mówił urągliwie komornik do pomocnika, gdy ten jął narzekać. - Idź, jak ja, gadać z mieszczkami. Tylego narobiły trajkotu, zem ogłuchł! Pyskowały, przezywały i mnie, i samego księcia, że je mężowie uciszali...

Zastanawiali się obaj nad niewieścim rodem, że niby mdły i strachliwy, a jak go zaczepić, to taki oporny.

- Wiera - zauważył komornik - żeby kobiety wzięły się do kupy, miast skrzeczeć jak stroki, nie dalibyśmy im rady!

Dziobaty potakując kiwał głową.

Miło prząść późną jesienią, kiedy dzień krótki, zmierzch wczesny. Wnet po południu napoisz żywinę, rzucisz jej paszę, zatlisz w izbie luczywo i przedziesz. Schodzą się sąsiadki, każda ze swoją kądzielą, poczynają furczeć wrzeciona. Dopieroż idą pogwarki, powieści... Starki prawią bajki, od dziecka znane a zawsze, do słuchania miłe: o turze złotoroże, o smoku, o Waligórze... Kiedy się znudzą słuchaniem, poczynają śpiewać. Gospodarz dawno zasnął na swoim barłogu, a one wciąż przędą. Długi wieczór listopadowy mija, ani się spodziewasz kiedy...

Luba praca, ale nie latem, nie latem! Słońce piecze, pszczoły się roją, grędy chwastem zarastają, gęsi popłynęły rzeką, już drugi dzień, jak ich nie ma, a gospodyni, miast swego pożytku patrzeć, wełnę grepluje, zgrzeblem ją czyści, drewnianym grzebieniem czesze, palcami rozskubuje i przedzie, przedzie wraz z córkami i synowymi, aż im ręce sztywnieją i śliny w ustach do zwilżania palcy brak. Z prześlicą pod pachą, z wirującym wrzecionem puszczone wzdłuż kiecki, idzie gospościa wygnąć kury z prośa, siada na przyzbie wciąż przedząc, patrzy z żalem i gniewem na nie plewiony ogródek. Odkłada kądziel tylko do dojenia i żeby co niebądź zgotować.

Dojadło to przedzenie białkom, dojadło!

Mężowie je poganiali, bo czas uciekał, zaś pogrożki komornika brzmiały w uszach. A zbieranie czerwca! Poniektóre kobiety posiadały go co nieco, inne naprawdę nie miały. Posyłały więc o świcie dzieci do lasu, póki owad zwilgły od rosy nieskory jest latać. Krzyneć te wciórnostki uściubały, lecz za to nie było komu paść rankiem gęsi ni świń.

Pewną ulgę w strapieniu przyniosła wiadomość od solarza, który czólnem sól kołobrzeską rozwoził, że nie tylko w tutejszej okolicy nałożono na niewiasty takie jarzmo. To samo pono działa się w dalszych opolach.

Gdy czerwca już miały dostateczną ilość, a wełna była sprzedziona, gospodynie barwiły ją i rozwieszały na płotach do wysuszenia. Purpurowe pasma czerwieniały z daleka, barwnik ściekał z

nich, malując krasno rosnące pod płótem łopiany.

Tymczasem w chatach gospodynie przygotowywały na snowadle postaw konopny, czyli osnowę.

Krosna to sprzęt nieodzowny w każdej chacie. Kto i gdzie pierwszy odkrył sztukę tkania? Nie wiadomo. Wzorem najstarszym tkaniny były może gałązki wiklinowe przeplatane na krzyż przez rybaków budujących zastawę na strudze. Starożytne krosna wszędzie są jednakie, w Azji, Afryce, Europie. Od Atlantyku po Pacyfik. Na równi z sierpem, wrzecionem, sochą dają świadectwo, że cała ludzkość jednego jest rodu.

Żmudna robota to zakładanie osnowy! Włókna namotane na wał górny, czyli nawój przetykasz przez nicielnice, niewielkie oka rogowe albo kościane, złączone krótkim ramionkiem poprzecznym po dwa. W lewe oko nić parzystą, w prawe nieparzystą. Tyle oczek, wiele nici. Wiszące końce osnowy przytrzyma wał dolny, naciągając je mocno jak struny. Od nicielnic idą linki do dwóch podnóżków, na których tkaczka oprze przy robocie stopy. Naciśnie lewy podnóżek - parzyste włókna uniosą się w górę, nieparzyste pójdą w dół. W rozdział, zwany ziew, utworzony pomiędzy włóknami, pracownica puszcza czólenko drewniane, w którym spoczywa nawinięty krasny wątek. Znowu zmiana nici, górne na dół, dolne w górę, czólenko wraca i pierwsza smużka czerwona ożywia szarość osnowy. Przerzuciwszy kilka razy czólenko, tkaczka spuszcza nawleczonego na wątek grzebień tkacki, zwany płochą, przybija nim mocno zaczęta robotę, by była gęsta i zwarta. Odtąd już bez przerwy stopy naciskają podnóżki: lewa-prawa, lewa-prawa, ręce puszczaają czólenko tam i nazad. Pomaleńku, jak wody w jeziorze, czerwonej smugi przybywa.

Tuż przed Godami gospodynie zarzeckie ukończyły swe zadania. Odcięły osnowę, związały jej końce, odwinęły dolny wał. Z żalem spojrzały na piękny płat tkaniny czerwonej niby mak rozkwitły. Chętnie by ją zatrzymały, ale cóż, książęca ona. Nim się napatrzyły, dano znać z opola, że komornik przyjechał. Chłopy zabrały wszystkie płaty na wóz i powiozły. Na tym się skończyło. Uwolnione gospodynie rzuciły się do gacenia chałup, zbierania suszu, grabienia suchych liści w lesie na ściółkę.

Niebawem przyszedł mróz, potem spadły wielkie śniegi. Zrobiło się cicho i głucho. Gody nadeszły, przeszły, o zachciance książęcej, o zesłorocznej wytężonej pracy zapomniano powoli. Kłopoty związane z przeżyciem zimy zatarły tamte wspomnienia.

Zima tysiącznego roku była surowa i długa. Luty już dobiegał końca, klucze dzikich gęsi leciały z południa na północ, a śnieg wciąż leżał na polach, a co noc brał tęgi mróz. Przez zamrożone rzeki i jeziora ludzie nadal jeździli saniami.

Nie dbając o złą porę, książę Bolesław z licznym i świetnym orszakiem wyjechał na spotkanie cesarza Ottona III, gdyż gońcy, rozstawieni zawczasu wzdłuż drogi, dali mu znać, że

cesarz już przybył do Magdeburga i lada dzień do Polski podąży. Towarzyszy mu kilku kardynałów, wielu biskupów niemieckich, książąt, margrabiów i grafów...

W całej Wielkopolsce, na Kujawach, Pomorzu i Śląsku ludzie gadają o mającym nastąpić zjeździe.

Pono dotychczas takiego nie było. Oj, będzie na co popatrzeć! A najeść - naje się każdy do syta. Już w Gnieźnie, na dworskim dziedzińcu, wiszą poćwiartowane woły, przepołowione wieprze i barany. Rzędami stoją kadzie z mięsem solonym, wędzonym. A stosy pieczywa, a beczki z piwem... Nie lada będą zapusty. Bezżębne dziady proszalne złowróżą, że lada dzień odelga nadejdzie, lody ruszą, zadzierzą przyjeżdżających, a tymczasem Wielki Post nadleci. Co wtedy? Obruszają się tamci powiadając, że niechybnie biskup poznański udzieliłby wówczas dyspensy.

Pomimo dotkliwego zimna i śniegu z bliższych i dalszych okolic ciągną ludzie pod Gniezno, by oglądać zjazd. Słomy sobie podścielają, ogniska palą i grzejąc się przy ogniu czekają. Najgęstsze gromady stoją wzdłuż poznańskiego gościńca, bo tędy księżę z cesarzem nadjedzie. Na razie ten szlak jest pusty. Wiatr miecie po nim śniegiem. Podobno księżę pojechał do Hławy aż na Śląsko, gdzie spotkał się z Ottonem. Teraz ciągną razem, pomału, bo przykra gołoledź na drogach.

Luty dobiegał końca, oni wciąż czekają. Nareszcie któregoś dnia, gdy odmiana pogody wisiała w powietrzu, nadleciał konny pachołek.

- Jada! Jada! - woła. - Na odwieczrz tutaj będą!

Jakbyś kij wsadził w mrowisko. Ludzie pchają się bliżej gościńca, lecz już szybkim krokiem idą piesi woje książęcy. Stanęli murem po obu stronach drogi, od grodu po las, i nie puszczają przed siebie nikogo. W bramie grodzkiej podniesiono już żelazną bronę. Wychodzą ławnicy miejscy i kupcy grodzcy z żonami, zajmują siedziska piętrowe podle bramy. Wyjeżdżają z grodu rycerze, za rycerzami małżonki Grzymałów, Gryfitów, Nałęczów, Osorii i innych wielmoży, co pojechali z księciem naprzeciw cesarza.

Giermkowie prowadzą przy pysku podjezdki szlachetnych pań, siedzących bokiem na siodłach z drewnianą poręczą. Odziane w płaszcze podbite futrem, w futrzanych kołpakach, spod których wyziera biel czepca, spoglądają wyniośle na przelewający się wokół tłum kmiecy. Z nimi wyjeżdża z bramy dwanaście grędziołów naładowanych, płachtami okrytych. Na każdych saniach prócz woźnicy dwóch pachołków. Cóż oni wiozą? Pierwsze grędzioły podjeżdżają pod sam las i tam, zawróciwszy, stają. Drugie nie dojeżdżając do pierwszych czynią to samo. Podobnie trzecie, czwarte i dalsze. Stoją w równych od siebie odstępach wzdłuż drogi. I znów wszystko zastyga w czekaniu. Na polu kraczą wrony. Południe minęło.

Pędzi drugi goniec. Krzyczy:

- Już są niedaleczko! Za kilka pacierzy będą!!

Gręzioły suną zwawo na środek gościńca. Pachołcy ściągają z nich, rozwijają suty pas czerwieni. Opróżnione sanie zjeżdżają spiesznie na pole, następne podchodzą. Z każdych sań spływa czerwona struga, łączy się w całość z poprzednią.

W tłumie piskliwy krzyk babski: "Ady puście! Ady puście!" Stare i młode cisną się jak oszalałe, byle móc popatrzeć z bliska. Bo krasna smuga, co sięga od lasu aż do bramy grodu, to ich niewieścia praca, one ją działy! O, znają dobrze tę taśmę czerwoną! W izbie zdawała się szeroka, teraz widzi się wąziutka... Była kusa, trzy, cztery łokcie lub mniej - obecnie jakże jest długa! Pomną, że złość je brała, klęły narzuconą pracę. Nie wiedziały, do czego ma służyć ich trud. Teraz za to są rade, oj rade... Już nie żałują straconego lata ni zmarnowanej jesieni.

Małzonki rycerzy, Grzymalina, Nałęczyna, patrzą również na czerwoną ścieżkę okiem zasłużonych. Każda z nich gotowa przysiąc, że rękoma własnymi i dwórek utkała co najmniej połowę chodnika. To samo myślą o sobie wystrojone mieszczki stojące na ławach piętrowych przy bramie.

Od grodu wzdłuż chodnika idzie Miłogęba. Sprawdza, czy tkanina równo leży, czy końce zestosowane. Patrzy z dumą na dzieło, które jemu i Dybidzbanowi tyle sprawiło kłopotu. Stał, by wzrokiem ogarnąć całość, i zderzył się nos w nos z Darką Paculaną, wyściubiającą głowę spomiędzy ramion tarczowników. Poznali się od razu. Miłogęba przeszedł między żołnierzami i stanął obok dziewczyny.

- Wiesz teraz, czemuś was gnębił? - zapytał wesoło.

- Dyc wiem... - odparła odwzajemniając uśmiech. Choć dziobaty, nie zdał się jej wcale szpetny.

- Piękny ten chodniczek?

- Oj, piękny, okrutnie piękny!

Umilkli, bo w lesie zagrzmiały trąby, a równocześnie niby w odpowiedzi w grodzie poczęły bić dzwony. Z boru wynurzył się orszak. W zachodzącym słońcu błyszczą polerowane pancerze, płoną czerwienią stroje kardynalskie, lśnią frędzliste opony spływające z końskich zadów. Patrzący stają na palce, poznają z daleka potężną postać Chrobrego w złocistej zbroi, złocistym szyszaku. Przy nim drobny Otto III w purpurowym płaszczu. Bolesław szerokim ruchem ukazuje gościom gród:

- To Gniezno!

- Godzi się pieszo iść do grobu Męczennika - mówi Otto.

Pochód staje. Podskoczyli do cesarza jego przyboczni rycerze, pomagają mu zsiąść z konia. Rzucił im na ręce swój bogaty płaszcz, zdjął hełm.

Oni go okryli zgrzebną, pokutniczą szatą. Jechał jako cesarz, teraz jest pielgrzymem. O

godności świadczy tylko wąska złota opaska na głowie. Stał na ścielece się przed nim czerwieni wiodącej ku świątyni, w której spoczywa trumna Męczennika. Zezwał złoście cizmy i poszedł boso nie dbając o chłód. Dziwny to obraz: cesarz gołonogi. Chude stopy sinożółte, twarz szczerwieniała od mrozu. Mimo to z patrzących nikt się nie śmieje. Tłum, gotowy witać swego księcia radosnym okrzykiem, milczy i patrzy bez słowa.

Bolesław idzie tuż za Ottonem. I on ma twarz zamyśloną. Spogląda na czerwony chodnik tkany przez cierpliwe ręce bezimiennych poddaneł takim wzrokiem, jakby patrzył na drogę przebytą w ostatnim wieku przez polskie plemiona. Jego rodzic uczynił Polskę chrześcijańską, wywiódł ją z mroku na światło, postawił na tej ścieżce.

Co uczyni jego syn?

Marzenia, z jakich Otto zwierzał się Bolesławowi w czasie odbytej podróży, marzenia o świecie żyjącym w pokoju i ładzie wzbudziły żywy oddźwięk w duszy polskiego władacza. Niech Otto łączy w pokoju ludy germańskie, frankońskie, italskie - on, Bolesław, podejmie dzieło ojcowe, zgarnie wszystkie plemiona, co mową słowiańską gadają. Nie po to, by ujarzmić, lecz by je przed zagładą ocalić... W jedno zespolić... Taką księżę polski postanawia kroczyć drogą.

Kardynałowie spoglądają w dół ze zdumieniem. Inaczej przedstawiono im Polskę! Gdzież rzekome pogaństwo, dzikość obyczajów, ubóstwo? Jadąc mijali kamienne kościoły, dostatnie grody i wsie...

Odmienne uczucia budzi ten sam widok w niemieckich wielmożach towarzyszących cesarzowi. Ziemie germańskie nie graniczą bezpośrednio z Polską. Pomiedzy Odrą a Łebą leżą słowiańskie kraje Obodrzyców, Łużyczan, Wioletów trwających dotychczas w pogaństwie, broniących się zaciekle przeciw germańskiemu naporowi. To za plecami tych pobratymców rośnie i krzepnie młoda potęga polska, z którą Niemcom przyjdzie zmierzyć się niebawem.

Więc nie dziw, że margrabiowie, grafowie patrzą niechętnie na świetne uzbrojenie i postawę Bolesławowych wojów, na obronne wały grodu, na ład i zamożność widoczne na każdym kroku. A ten chodnik czerwony! Gdzie go księżę polski nabył? Wieleż musiał za niego zapłacić?!

Dzwony wciąż biją, chóry pacholące pieją, orszak już wstępuje na schody świątyni. Czym gęstszy mrok osnuwa świat, tym jaśniejszy blask bije z kościoła. Wraz z bosym pielgrzymem-cesarzem wchodzi do nawy kardynałowie, biskupi, księżęta i długi szereg dostojników. Cizba ludzka nie mogąca zmieścić się w przepelnionym kościele zajęła place i uliczne przejścia. Nad zamkowym dziedzińcem łuna ognisk, dolatuje stamtąd rozkoszna woń pieczonego mięsiwa, ściągając myśli z górnych regionów ku ziemskim padołom. Ścisk coraz większy, bo nikt już nie pilnuje porządku. Spieszący się ludzie nanieśli śniegu na chodnik, zdeptali go i stłamsili. Pchają się

hurmem do zamkowej bramy. Mróz bierze na noc. Ku wyiskrzonemu niebu płynie z kościoła pieśń  
i niosą się błękitne dymy kadzideł.

## Ojcowie cystersi w Mogile

Bracia Pietrek i Szymek deptali glinę, deptali, a precz nie wiedzieli po co. Zwieziono jej na podwórze dziesięć fur i jeszcze zwożono bez przerwy. Garncarzami ojcowie cystersi chcą zostać, czy jak? I na cóż taka moc garnków? Cały świat by ich tyle nie wypotrzebował! Ciagniono glinę wołami w ciężkich skrzyniach, na pełnych kołach osadzonych, z daleka: aż zza Bieńczyca. Sam ojciec Innocenty chodził wprzód po okolicy popatrywać, gdzie najlepsza. Szukał, przebierał, nareszcie znalazł. Żółta, tłusta, dobra glina. Zaraz ją też zwozić przykazał. Pośrodku placu, na dziedzińcu przeznaczonym, zwalono ją na kupę, obłożono wałem z kamieni, dopieroż zaczęto wodę konwiami lać i deptać. Deptało razem braci konwersów sześciu: Pietrek i Szymek, Machno i Pliszka, Dudek i Skorek. Oparłszy sobie wzajemnie ręce na ramionach, miarowo podnosili i opuszczali stopy. Lepka glina obklejała nogi, wydając przy wyciąganiu charakterystyczny głos niby znudzone ziewnięcie. Sama też pewno nie wiedziała, co z nią będą czynić.

Depcząc bez przerwy, bo wszędzie obecny ojciec Artemiusz nie znosił, by ustawiano w pracy, bracia spoglądali ciekawie w stronę, gdzie ojciec Innocenty z pomocą ojca Hiacynta brali już wyrobioną glinę łopata, kładli na wąskie deszczułki, uklepywali dłońmi w równe płaskie kostki, mniejszą deseczką wyrównywali boki i gotową kostkę odkładali na równą szychtę dla przesuszenia. Całkiem jak się to robi z garnkami. Ale garnek jest garnek, a te kostki na co?

Nie mogli pogadywać o tym, gdyż twarda reguła narzucała im ciągle milczenie, lecz nie przestawali myśleć. Nie o tym jednym. Uczone cudzoziemskie mnichy czyniły tu wiele rzeczy dziwnych nad pojęcie. Na przykład, słyszali kto o tym, by sadzono drzewa? Jakby mało było tych, które sam Pan Bóg posiał, jakby ich nie trzeba było ustawicznie karczować? Oni zaś sadzili. Pokraczne płonki, rodzące cierpko-gorzkie, maleńkie, twarde jabłuszka, wykopywali starannie i sadzili równymi rzędami na świeżo wykarczowanej nowinie. Pod każde drzewko kopali dół, zaprawiali suto mierzwą, posadziwszy udeptywali w koło, podlewali... do kołków obok wbitych wiązali... Cudeńka!... Gdy drzewko się przyjęło, ojciec Innocenty obcinał gałązki, ciął nożem korę, w nacięcia wkładał patyczki przez umyślnego posłańca z Schulpforty w Saksonii przywiezione, w wilgotnym mchu trzymane, maścią smarował, szmatami owijał, krzyżem świętym żegnał i szedł do następnej drzewiny. Braciom aż oczy wyłaziły ze zdumienia. Tacy pobożni ojcowie i sprawują czary! Wiadomo przecież, że przez zawieszenie szmat można przenieść chorobę z człowieka na drzewo... Ale kto był chory i po co było sadzić drzewa, miast wybrać którekolwiek w lesie rosnące?

Pietrek z Szymkiem tak się zamyślił, że aż przestali deptać, co surowy ojciec Artemiusz spostrzegł natychmiast.



- Nie wstydno wam gapić się próżnujący? - ofuknął ich gniewnie. - Wieszli, marny człecze, ile jeszcze czasu przed tobą?... Może tej nocy już na was zawołają? Wieczność, sroga wieczność przed wami, a wystarczyć na nią musi dorobek z tego mizernego żywota zebrany...

Ojciec Artemiusz zawsze tak górnie i uczenie przemawiał. Aż ścierpli. Zdało im się, jakby swymi słowami wróżył rychły zgon. Ze zdwojoną gorliwością, spuszczać oczy, ze skruchą deptali glinę, która mlaskała, cmokała, przeciskała się przez palce.

- Ma już dość - zawyrokował ojciec Artemiusz po chwili. - Wy czterej chodźcie pomagać mi przy drzewach, a Szymko z Piotrkim niech idą obaczyć, czy wozy z gliną nie ugrzęzły w wąwozie, bo coś ich długo nie widać.

Niezmiernie zadowoleni, obaj bracia wyskoczyli z glinianej papki, oskrobali co nieco nogi, opuścili podciągnięte do góry habity i poszli rażno przez świeżo karczowane palenisko, czyli łązy, ku ciemniejszemu borowi. Niedaleko skraju lasu był wąwóz gliniasty, w którym nieraz lgnęły wozy i trzeba było po drugiej, czasem trzeciej parze wołów doprzęgać albo własnymi ramionami dźwigać.

Lecz teraz wąwóz był pusty. Coś innego musiało zatrzymać jadących. Bracia spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami, pokiwali wahająco głowami. Wracać? Iść dalej? Gdy tak stali patrząc w bezlistną jeszcze gęstwinę, dosłyszeli z daleka krzyk czy płacz, cienki, dziecięcy. Znowu spojrzeli na siebie i ruszyli na ten głos. Reguła nie pozwalała mówić, ale nakazywała pomagać ludziom, ile razy sposobność się zdarzy. Niedługo naszli pastuszkę całkiem jeszcze małą, w owczą skórę okutaną, zawodzącą wniebogłosey. Na widok szaroczarnych habitów rzuciła się ku nim.

- Oj, miłosierni ojcowie - szlochała - wilk owce mi pognał! Pewnikiem już wszystkie zeżarł! Oj, reta! reta!

- Nie piskaj, dziewczuszko, a pokaż, w którą pognał stronę - rzekł Pietrek i roześmiał się głośno, tak lubo zdało mu się słyszeć własny głos. A mógł gadać bez grzechu, bo reguła milczenia czyniła wyjątek, gdy się kto zabłąkany o drogę pytał lub w ogóle o pomoc prosił.

- Tak, tak, w którą pognał stronę? - zawtórował Szymko.

Pokazała brunatną brudną piąstką, patrząc na nich z niepokojem. Nie rozumiała, dlaczego się śmiali. Oni puścili się biegiem. Pietrek ułamał po drodze tęgiego dębczaka, Szymek podniósł spory kamień. Na wilka zawdy lepiej mieć coś w garści.

- Tam, tam, pewnikiem już zeżarł... - powtarzała płaczliwie mała, nadążając za nimi wiele sił.

Nie zeżarł jednak. Niedługo znaleźli stado, zestrachane, stłoczoną koło wielkiego wykrotu. Wilk dwie tylko owce zadławił, z tego jedną zostawił, drugą poniósł gdzieś w chaszczce.

Z niemałym trudem udało się braciom popędzić spłoszone stado. Zawracało co chwila,

ogłupiałe. Pietrek poganiał je kijem, Szymek dźwigał na plecach owcę zarzniętą przez wilka. Nareszcie doprowadzili do gościńca, tam w pełnym bezpieczeństwie poniechali małą i jej dobytek, sami śpiesznie zawracając do domu.

Ojciec Artemiusz czekał na nich groźnie namarszczony.

- Gdzieście łążęgowali? - zapytał.

Pytanie przełożonego zwalniało również z milczenia, przeto obaj bracia jęli skwapliwie opowieść o przyczynie opóźnienia.

- Dość, dość - przerwał, podnosząc rękę surowo. - Po co tyle próżnych słów. Okazaliście bliźniemu pomoc? Dobrze. A nie gadaliście bez potrzeby?

- Nie - odparli równocześnie. - Spytałim jeno, w którą stronę wilk owce pogał.

- Ja jeszcze powiedziałem, coby nie płakała, i roześmiałem się - wyznał ze skruchą Pietrek, drapiąc się w głowę.

Ojciec Artemiusz machnął wybacząco ręką, posłał ich do roboty, sam zaś odszedł żywo ku zabudowaniom. Miał ważne sprawy na głowie. W międzyczasie zjechał niespodzianie do Mogiły biskup krakowski, Iwo z Odrowążów. On to przed rokiem sprowadził tu z Morimundu zakon cystersów, nadając mu na wieczne czasy Mogiłę, pięć wsi okolicznych, spory szmat borów i prawo łowienia bobrów na rzece Dłubni. Takiego gościa należało godnie przyjąć i tym właśnie zająć się miał ojciec Artemiusz.

Biskup Iwo Odrowąż był wzrostu wysokiego, o mądrej smągłej twarzy. Zaledwie zeskoczył z konia i zmówił pacierze w ciasnej tymczasowej kaplicy, szedł w obejście oglądać, co już zbudowano. A zbudowano niemało. Budynek klasztorny z dormitazem i refektarzem, dwa młyny, tkalnię i piękny folwark, czyli grangię.

- Przeważaliśmy Mogiłę Clara Tumba - objaśnił towarzyszący biskupowi opat Piotr z Lubiąża na Śląsku przybyły - na pamiątkę Clara Vallis, gdzie założyciel nasz święty Bernard najchętniej przebywał. Racz spojrzeć, wasza dostojność: tu na prawo, gdzie rowy pokopane, stanie kościół. Wyniosły, piękny... Zagóruje nad okolicą, a Clara Tumba zabłyśnie nad całym krajem.

- Daj Boże... A rychło go ukończycie?

- Będziem się śpieszyć, by do dziesięciu lat skończyć.

- Kamienia jeszcze nie macie nawiezonego?

- Tyle, co na fundamenta trzeba, mamy. Ściany zaś i sklepienia murowane będą z cegły, którą tu oto przygotowujemy już do wypalania...

- Z cegły?! - wykrzyknął biskup. - Wiem jać, że w Niemczech najwięcej takich stawiają. W Strzelnie też kościół ceglany wasz zakon postawił. Zali to jednak roztropnie? Zawdy kamień na kościół sposobniejszy. Kamień jest kamień i ma swoją moc, cóż zaś cegła? Gлина, co się od deszczu

rozmyje.

- Nie rozmyje - zapewnił opat uśmiechając się nieznacznie. - W Bizancjum są budowle z cegły od tysiąca lat trwające... Mur ceglany czym starszy, tym krzepciejszy się staje. Ciepleszy zaś jest, lżejszy, w budowaniu zręczniejszy i obrabiać go łatwiej...

- Ano budujcie, jak rozumiecie... A tamte domostwa to co?

- Nad rzeką to jest młyn z kołem wodą obracanym. Przez jeden dzień zmiele więcej zboża, niżby go starto na dziesięciu żarnach, a do obsługi potrzebuje jednego pachółka. Dalej jest tkalnia i niemocnica dla chorych. Za domami na stoku założyliśmy, jak widzisz, wasza dostojność, ogród, czyli sad... W wirydarzu przy klasztorze siejemy warzywa przywiezione z Francji, smaczniejsze, posilniejsze od bobu i rzepy. Tu zasię sadzimy drzewa. Drzewiny, zaszczerpione szlachetnymi odmianami jabłoni, będą za parę lat rodzić w miejsce gorzkich płonek wielkie słodkie owoce. Tam winnica...

- Benedyktyni w Tyńcu też mają winnicę - zauważył biskup.

- Bo pewnie! Tu grunt jest dla wina dobry i słońce dostateczne... I sad, i winnicę chcemy rozszerzyć i ludzi przyuczyć do ogrodnictwa. Za sadami są stawy. Groble sypalim całą zeszłą jesień. Ninie już się woda trzyma i ryby do niej puścili.

- A tamten mały budynek koło klasztoru?

- To cele dla przepisywaczy ksiąg i pracownia dla iluminatorów...

- Dlaboga! Myślałem, że wam księgi obce, że jeno hodowlą bawicie się a uprawą?

- Nie - odparł opat z uśmiechem - wiedza rzecz święta i nie lza jej zaniedbywać... Nie oddaję jej tak wyłącznie jak benedyktyni, to prawda. Święty Robert z Szampanii, święty Bernard z Clairvaux orzekli, że benedyktyńska uczoneść, benedyktyńska świętość nie są dobre, gdyż wiszą jakoby w powietrzu, małą przynosząc korzyść okolicznej ludności. I dlatego nam narzucili twarde prawo ustawicznego znoju, przykazując zagarniać jak najwięcej ludzi i tych ludzi uczyć, jak pracę rąk uczynić wdzięczną i wydatną... Dopieroż gdy się własnym wysiłkiem polepszy ich dola, damy im do ręki księgę... Na razie starczy, gdy się przeżegnać potrafią i Pozdrowienie Anielskie bez myłki powtórzyć... Ale ojciec Artemiusz już ogląda ku nam. Racz, wasza dostojność, przejść do refektarza na posiłek. Skromny on wielce, takiego gościa niegodny, lecz reguła broni nam pożywania mięsa, wino zaś daję tylko chorym...

- Nie dbam o wino - zapewnił biskup przystając na wzgórzu. Byстрыm okiem objął rozłożone wokół budynki, sad, winnice, równo wyciągnięte groble, obrzeżające lśniące zwierciadła stawów, starannie uprawne pola, świeże karczowiska panującej tu do niedawna puszczy.

- Dziw, jak wiele zdziałaliście - przyznał z uznaniem. - Aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie... Więcej takich klasztorów jak wasz, a przemieniłby się, wzbogacił kraj...

- Da Bóg, przemienimy go i wzbogacimy - zapewnił opat Piotr Ślązak z powagą.

## Idą...

Gdy wiatr północno-wschodni, niosący luty mróz i śnieżną dujawicę, jął wnet po Godach dać skroś ziem sarmackich zasypując kurne chaty równo ze szczytem krytego łobuziem, kamieniami przyciśniętego dachu, gdy bystre polskie rzeki lód skuł zmieniając je w szkliste gościńce - przezorny bartnik gacił starannie swoje pszczoły, miś-niedźwiedź, drzemiący w jamie, zaszywał się głębiej w poślanie, wrony-cioty niosły się czarną chmurą z krakaniem ku borom, zaś wilki zgłodniałym groźnym stadem podchodziły tuż, tuż pod domy wsiowe, że bieda, kto by z chaty wychynął.

Tak było zawdy, za dziadów i przeddziadów, za bogów starych i nowych, taka była nieodmienna i konieczna kolej rzeczy, której się nikt nie dziwił. Lecz straszliwym, całkiem dawniej nieznanym dopustem, zmorą gorszą niżli najgorsze puszczańskie zwidy i widziadła, grozą, co w ludziach dławiała dech i brzydziła życie, było, że tenże sam wiatr północno-wschodni trzeci raz już w tym wieku sprowadzał prócz mrozu i wilków zagładę życia wszelkiego - Mongołów.

...Mongoły...

...Przeklętniki...

...Tatary...

Dość było tego imienia, by najtęższy mąż truchłał w bezsile rozpacz, ku puszczy pomykał jak lękliwy szarak, by zewsząd buchał płacz i narzekanie. Dotąd stare pamiętały pierwszy ich najazd roku Pańskiego 1241, blisko pół wieku temu. Ludzie sądzili wtedy, że to Antychryst idzie, a z nim koniec świata. Przecie starali się bronić. Rycerstwo polskie walczyło z nimi pod Wielkim Turskiem, pod Chmielnikiem, a na koniec pod Legnicą, gdzie piękną śmiercią poległ książę wrocławski Henryk Pobożny i wszyscy otaczający go woje.

Ledwie którzy uszli z życiem, otrząsnęli się po tej zawierusze, ledwo siako tako odbudowały się grody, zagoiły rany, w osiemnaście lat po pierwszej przyszła nowa groza, zima roku Pańskiego 1259. Straszliwsza jeszcze od tamtej, bo nikt już nie próbował przeciw najeźdźcy oporu. Darmo walczyć. Kto zdążył, biegł w puszcę lub w góry, niechając dobytku, wszystkiego... Kto nie zdołał zbiec - ginął bez próby obrony. Tysiące jeńców pognano w niewolę gorszą po stokroć od śmierci. Ileż szczęśliwsi byli ci, których ostra krzywa szabla ścięła na wiślanym brzegu, których zwłoki zostały na ojczystej ziemi, krew spłynęła do rzeki rodzonej, a dusze stęsknione, przyzywane w dzień Zaduszek, nie szukały darmo po świecie zagubionej drogi - niżli tamci, pognani w głąb Azji, batożeni i nękanii, ginący na przemian z pragnienia i żaru, to z chłodu, których kości wybieli wiatr na pustyniach odległych, rozniesie prochy na niepoświęconej ziemi

porzucone...

Na błoniach, kędy wyrżnięto tysiące mężów, niewiast i maleńkich dzieci, wyrosła bujna trawa. Ruń pokryła pogorzele. Na świeżej murawie zajaśniały bielą świeżo ciosanego drzewa nowe domy, nowe osiedla, zaczęło się nowe życie. Gdy dwadzieścia lat minęło, już prawie znaku nie było po minionej grozie i ludzie przestali wreszcie spoglądać z lękiem na wschód.

Lecz gdy minęło dwadzieścia osiem lat, groza przyszła znowu...

Znów przez miażdżoną, unicestwioną Ruś ciągnęły nieprzeliczone, karne, szybkie, zwinne hordy, zalewające pół kraju. Znów niebo stało się krasne nocami od łun i ludzi wobec nadciągającej klęski ogarniała taka rozpacz, że niejeden głośno mówił, iż lepiej sobie samemu i swoim śmierć zadać zawczasu lub wszystko niechać, ująć w obczyznę i nigdy przenigdy nie wrócić w dziedziny nieszczęsne, gdzie każde pokolenie tę samą śmiertelną trwożę przeżywa.

Zebrani w sali radnej pięknego murowanego ratusza panowie rajcy grodu sądeckiego rozważali te same udreki. Nawała była już pono pod Sandomierzem, po trzykroć obżałowanym grodem, wiecznie na szlaku przeklętym stojącym. Lada dzień mogła się znaleźć pod Sączem... Co począć?

- By to lato było, snadnie mogłeś w puszczy z dzieckiem ująć... - biadolili zażywny mistrz rymarskiego cechu, Stańko - ale ninie... Za jedno ginąć od poganina czy od złego zwierza i mrozu...

- Kaj ująć teraz? - przywtarzali inni. - Choć żywot uchronisz, smerdą chyba ostaniesz, wszelkiego dobytku niechawszy...

- ...Bo zawdy mówię, co księżę pan zaleca, zamiennym handlem się nie bawić, jeno grosze brać... Brakteatów\* (\*brakteaty [z łac.] - średniowieczne monety z cienkiej blaszki srebrnej wybijane jednostronnie.) mieszek łącznie wziąć, zaś gdy komora pełna łupieży kunich a płatów lnianych, a kruszu, co poczniesz, gdzie je podziejesz? - dogadywał Bartłomiej Snocian gderliwie.

- Dobrze wam mówić, mistrzu Bartłomiej, dyć sami wiecie, że księżę pan puszcza brakteaty rok w rok lichsze i cieńsze. Zamienny handel uczciwszy...

- Ale nie sposobniejszy w czas wojny...

- Co w taką porę sposobne?

- Śmierć - roześmiał się krótko, szydliwie, radny Gwozdek.

- Rzeka stoi? - spytał Stańko, jak gdyby się spodziewał, że cudem Boskim odtajała mimo mrozu.

- Mościewy! Katapulty można po niej prowadzić bez szwanku...

Zapadło ciężkie milczenie.

- Na rynku luda jak nabił - podjął Stańko.

- Ano, zeszyli się zewsząd niebożęta tusząc, że u nas bezpieczniej, my zasię przemysłiwujem, czy do nich w góry nie dunąć...

- Każdemu się widzi, że tam lepiej, kaj go nie ma, hej!

- Bo jużci... A kara Boża wszędy jednaka i zmiłowania nie ma dla tej ziemi nikandy.

- Dziecek mi tylko žal... - stęknął głucho mistrz Bartłomiej.

- A tego luda to nie? - westchnął burmistrz.

Pchnął błoniaste, zakute mrozem okienko, wysuwając głowę na rynek. Rynek był wielki i piękny, jak przystało na ważny handlowy gród, na samej granicy węgierskiej osiedziały, szczególnie przez księcia pana Leszka Czarnego wyróżniane. Domy miały misternie rzeźbione podcienia. Kramy były bogate i liczne. Z wielkich ozdobnych rynien, zwanych hultajami, o rozwartych paszczach smoków, zwieszały się długie lodowe sopte. Obciążone okiścią śnieżną, blaszane lub drewniane godła sklepowe skrzypiały żałośnie na wietrze. Ciżba ludzi wypełniała szczelnie rynek i przylegające doń ulice. Nie był to jednak zwykły wesóły tłum przybyły w dzień targowy, lecz posępne, milczące mnóstwo skazańców przygnane nadzieją jakiegoś ratunku, pomocy... Zmieszani razem, niepomni różnic stanowych, cisnęli się grodcy mieszczanie w gorącożółtych łydkowych kapotach, kmiecie wolni, przypisańcy, czyli glebae adscripti\*, (\*glebae ad scripti [łac.] - ziemi przypisani.) Żydzi, w czarnych żupanach, świeżo do Polski przybyli, jedni zbiegając przed Mongołami z Węgier i Rusi, drudzy przed prześladowaniami za wiarę we Francji i Niemczech. Ze wszystkim odmienni wyglądem od miejscowej ludności, stali bez słowa, patrząc ptasimi oczami, w odrętwieniu grozy zapominając zwykłej zapalczywości mowy i gestów. W łapciach z kory, w kozuchach wywróconych włosem na wierzch snuła się pomiędzy tłumem największa biedota wsiowa, niewolniki, zbieracze czerwia i manny, smolarze i pastuchy. Z dymnych szałasów, z kryjówek-wąwozów, gdzie spędzali zimę jak niedźwiedzie, wyszli, by zebrać się w grodzie, pchani nieświadomym instynktem gromadzkim, nakazującym szukania swojaków w obliczu grozy nieznanej.

- Idzie tu ktosik - rzekł radny Stańko podnosząc głowę.

- Nie z dobrą nowiną pewnikiem... - westchnął burmistrz.

Jakoż powolne kroki stukały po schodach. Drzwi się otwarły. Burmistrz i rajcowie podnieśli się bez słowa, zaskoczeni. W obramowaniu kamiennej framugi stała pani Kinga, Hungarką zwana, po Bolesławie księciu krakowskim wdowa, opatka konwentu klarysek sądeckich, przez nią samą fundowanego przed laty, słynąca ze świątobliwości wielkiej i okrutnych umartwień ciała. Nigdy, przenigdy nie opuszczała klasztoru, przeto rajcowie patrzyli w zdumieniu na jej wysoką szczupłą postać w mniszym habicie. Biały skrawek podwinki okalał czoło pod zakonnym welonem. Choć

sędziwa, umęczona postami, biczowaniem, włosiennicą, zachowała królewskość postawy. Za nią, człapiąc trepami na sinych od mrozu stopach, szły dwie siostrzyczki zalęknionym wzrokiem wodząc wokoło. Dygotały z zimna i lęku. Lecz głos księżnej nie drżał wcale.

Zapytała zwięźle:

- Mongoły pono idą, jak pół kopy lat temu. Co myślicie, sławetni, uczynić?

Rozłożyli ręce bezradnie. Cóż innego czynić pozostaje, jeśli nie czekać śmierci?

- Bronić się trza - rzekła spokojnie.

- Bronić, miłościwa pani? Po co? I tak nas zmogą.

- Albo nie zmogą, jeśli Bóg pomoże - odparła z ogniem. - Mury przeca są kamienne, nie drewniane jak drzewiej, nie spalą ich...

Patrzyli na nią z osłupieniem, bo nie przyszło im dotąd nigdy do głowy, by można było walczyć z Mongołami. Mury kamienne są, to jest prawda... A nużby się gród obronił...

- Gońców trza słać na Węgry do księcia pana - ciągnęła - by pomoc co rychlej przysłał. Mongoły straszne w polu, ale grodów dobywać nie umieją... Gdy ich z Bożą pomocą zadzierzym pod murami, a rycerstwo z tyłu uderzy, może się cofnie pogaństwo... Do obrony się gotować, nie do płaczów. Kamienie a kusze rychtować.

- Kaj teraz zebrać kamieni w ten mróz?

- Lodu można narąbać... Do grodu zwieźć, lodem z góry praskać. Nie gorszy kamienia. Smołę grzać... Święta to rzecz przeciw złu się zastawiać.

Słuchali w milczeniu jej słów niby budzącej trąby archaniola, zdufnieli nagle, skrzepieni, niepodobni do tych, co byli przed chwilą, śpieszni biec, obronę łądzić.

- Miłościwa pani - podjął żarko burmistrz - tak uczynim, jak mówicie... Bronić się będziem... Mamy tak czy tak ginąć, jużci lepiej wprzód pogaństwa napsuć. Ale co wy uczynicie? Dyć klasztor poza murami!

- Sama nie wiem - wyznała z wahaniem - najmilej by mi było w konwencie ostać i tam śmierci wyzwolin czekać, jeno mi tych dziewczuszek żal, bo to młódki...

Spojrzała na towarzyszące jej siostry, które nie wytrzymały i buchnęły płaczem.

- Jadźwingi pogańskie zgonu się nie boją - rzekła z goryczą opatka - choć zatracenie ich czeka, a my, krześcijanie, przez samego Pana Jezu Krysta zbawienie mający zawarowane, lękamy się śmierci gorzej ciemnego bydłęcia... Takie już widno ludzkie przyrodzenie. Nie płaczcie, córuchny...

- Do grodu trza się wam schronić.

- Nie rada bym z przyczyny zbytnej ciżby i hałasów nieprzystojnych siostrom.

- Tedy raczcie posłuchać, miłościwa pani! W Pieninach, w górach srogich, zamek jest, gdzie



ptak ledwo doleci... Mongoły nie dojdą tam niżadną miarą. Warowne to gniazdo w puszczy ukryte. Strażnik jeden, jenż stamtąd jest, was powiedzie. Tam się schrońcie z siostrami, jeno zwólcie, by z wami poszły nasze córki i dziatki. Lżej nam będzie grodu bronić znając, że one bezpieczne...

- Ptak ledwo doleci, powiadacie, a jakoż my dojdziem?

- Dojdziecie... Kto inny by nie doszedł, ale z wami przejdą wszystkie... Dyć powiadają - szepnął burmistrz ciszej - że anieli podkładają wam skrzydła pod stopy, gdy kroczyacie...

- Grzech powtarzać takie bajędy - ofuknęła żywo. - Grzesznicam ja, niegodna po cierniu stapać, nie po anielskich skrzydłach... Córy i dziecka niech idą z nami, a wy wszyscy do obrony!

Z grubej warstwy śniegu jeżyły się poszarpane dziwaczne skały. Latem strzeliste owe słupy i przewieszki białeły wśród czarnych borów - zimą obmokłe, przy bieli śnieżnej widziały się czarne. Dołem ich stromej krawędzi huczał i rwał się Dunajec. Nie skuły go tutaj lody. Bezsilny był mróz, by spętać wodę zawziętą, co darła się przez góry, złościąc sobie własną drogę w żywej piersi skał. Płynęła owa woda uparta, strumień wrzący nieukojoną kipiela, z daleka, z gór tatrzańskich, nikomu w dolinie nieznanym, sterczącym na widnokręgu ostrą brona, gdzie podobno prócz niedźwiedzi, orłów i kóz dzikich nie żywie nic.

Orłów nie brakło i tutaj. Wysoko, jawiąc się małym punkcikiem, ważyły się na wielkich swych skrzydłach ponad głowami gromady kobiet ciągnących z trudem wzwyż. Po zlodowaciałych ścieżkach, przez zasieki zwalonych i zmurszałych drzew, przez zwały śnieżne pięły się uciekające coraz to wyżej. Przodem, tuż za przewodnikiem, zdążała stara opatka. Wyniszczona, wyschła od postów, szła w górę jakoby pozbawiona ciężaru. Długi korowód strwożonych, strapionych kobiet, obciążonych tobołami z żywnością i dziećmi, ciągnął z ufnością w jej ślady, wnioskując, że droga łatwa i bezpieczna jest, skoro księżna tak łącznie nią zdąża. Ona zaś nie widziała zgoła drogi, cała myślą podana ku tym, co zostali w dole, i Temu, co ich zratować mógł tam, w górze. Zatopiona w żarliwej modlitwie, szła nie wiedząc, że idzie, ani spostrzegając rozwierających się z nagła to z lewej, to z prawej strony przepaści. Gdy przystawali na stromej perci, by zasięgnąć tchu, wznosiła oczy ku niebu, szukając w nim opiekunów przyrodzonych i orędowników tej ziemi, co winni byli wspomóc ją w błaganu. Nie brakło wszak tych stróżów, w jasności przebywających, których prośba u Boga dość ważka, by ratunek dla swoich uprosić. Więc zaklinała o pomoc świętego Wojciecha i brata jego, słodkiego biskupa Radzima, i świętego Świrada pustelnika, który w górach siedział, i ucznia jego Benedykta, co go zbójce strąciły do Wagu ze skałki strzelistej jako te otaczające, zaś orzeł ciała stróżował. Przyzywała pomocy pięciu Braci Męczenników, co w rok po zgonie jawili się stareńkiemu bratu Jędrzejowi polecając, by życie ich morderców u króla Chrobrego wyprosił (zaczem król puścił wolno zbójów, by pokutę czynili i świątnikami ostali).

Przyzywała świętego Floriana, zwanego przez lud Tworzyjanem, którego relikwie Piotrko

Dunin Włast z dalekiej obczyzny do Krakowa zwiózł. Lecz najgoręcej błagała świętego Stanisława, męczennika i biskupa co ino kanonizowanego\*, którego wyschłe kosteczki, wyjęte z trumny, sama niedawno ze czcią wielką obmywała, nim je w relikwiarz wspaniały, stojący w środkowym ołtarzu katedry krakowskiej, umieściła. Przyzywała wszystkie owe jasne duchy, zapytując, zali w rozkoszach niebieskich zbyli tak doszczętnie pamięci doczesnej, że ich swojacka ziemia nic już nie obchodzi? Przypominała dziecinną dobroć, cierpliwość, męstwo tego ludu, jego przywiązanie do wiary i szczerą życzliwość ku wszystkiemu, co żyje. Ona, Węgierka, jakże ich pokochała serdecznie! Całe życie poświęciła staraniu o strawę dla ich duszy, chleb dla ciała. Cały swój posąg królewski oddała czasu pierwszego napadu Tatarów, by ich od klęski ratować. Mowę polską, kwilenie nieudolne, przesadnie twarde lub przesadnie miękkie, narzecze odsuwane z pogardą przez duchowieństwo, wprowadziła zwycięsko w pieśni kościelne, przed sam ołtarz, z radością widząc, jak z tym dostojęństwem mowa owa nabrała nieznaney przedtem prężności, giętkości i barwy.

Z uciechą patrzała, jak sprowadzeni z krajów dalekich benedyktyni, cystersi i norbertanie uczą prostaków kunsztów wszelkich, rzemiosł, hodowli, rolnictwa i sadownictwa. Jak budzą w nich duszę człowieczą. Miałożby to wszystko teraz przepaść? O, nie, nie dopuścież, święci Patronowie!

Nie minęło pół tygodnia, gdy szara ćma, bura, zwinna, równie niewrażliwa na mróz, jak na gorąco, iście jakby nie z ludzkich stworów złożona, obstała gród sądecki dokoła. Była ich mnogość nieprzeliczona. Trzy tumany, a w każdym tumanie dziesięć hezarów, po tysiąc ludzi w każdym. Odziani byli w pancerze ze skóry prażonej, uzbrojeni w spisy - łuki dwojakie i szable z najprzedniejszej stali. Przewodził im Telebuga-chan, prawnuk wielkiego Temudżina-Niezlomnego, zwanego w Europie Czingiz-chanem, wnuk Bajdara, co przed pół wiekiem Polskę spustoszył i spod Legnicy zawrócił. Trzymany ponad nim biało-czarny buńczuk z końskiego włosia oznaczał jego godność wodzowską. Nad poszczególnymi tumanami komendę sprawowali terchani. Wiedząc, że Sącz jest grodem warownym, Mongołowie pchali przed sobą wieże oblężnicze; ciężkie, z wielkich bierwion zbite. Ciągnęło je po stu i więcej jeńców. Choć oczy ich zasłaniała z wysiłku krwawa mgła, biegli co tchu, prażeni batami, aż ciężka machina leciała z hurkotem po grudzie. Gdy jedni padali martwi z wycieńczenia, wnet pod świstem nieustających batów chwyтали za liny nowi. Na szczycie każdej wieży umieszczony był ruchomy mostek do przerzucania na mury i katapulta ciskająca wielkie gliniane pociski napełnione chińską (a jak ludzie w grodzie sądzili, diabelską) cieczą cuchnącą, która płonęła, byleś na nią skrę rzucił. Rozlewała się w morze ognia, a szatańskie jej przyrodzenie potwierdzało się w tym, że wodą nie lza było jej ugasić. Gdy pocisk taki chlapnął o mury czy domy, rozlał cuchnącą zawartość, wnet łucznicy mongolscy stojący na wieży szyli w to miejsce strzałami, do których przyczepione były zatlone, w smole maczane pakuły, mające ową ciecz podpalić. Przeto największy wysiłek grodzian skierowany był ku temu, by owych machin nie

dopuszczyć pod mury. Mury były kamienne, porządne, podwyższone obecnie wałem ze śniegu, tego ubitym i gorącą wodą polanym, że stał się śliski i twardy jak szkło. Zza tego wału kusznicy i procarzę grodzcy strzelali gęsto, podczas gdy pospólstwo ciskało ostre bryły lodu, padające jak grad bezlitosny na nie osłonięte odzież ciała jeńców ciągnących maszyny, lało ukrop i gorącą smołę. Inni stali na dachach z osękami i drągami w garści, baczni, by ogień, to tu, to tam wszechpalący się, w porę ugasić. I tak walczyli już cztery doby bez wypoczynku, snu ni jadła, bo Mongoły nie dawały folgi nocą. Dość ich było, by jedni walczyli, gdy drudzy wypoczywali. Znużeniem chcieli wziąć załogę.

Już i mury zniżyły się znacznie, bo fosy wypełnione były do szczętu trupami, i nowe zastępy jeńców ruskich i małopolskich ciągnęły straszne maszyny poprzez ścieł nagich, od mrozu skostniałych ciał swoich współbraci. Ciężkie drewniane koła miażdżyły martwe piersi, patrzące w niebo z śmiertelnym wyrzutem twarzy, zaś na murach w półżywi z utrudzenia obrońcy z trwogą liczyli zmniejszające się z każdą godziną zapasy kamieni i strzał...

Piątego dnia rano słońce zabłysło zza chmur, oświecając dolinę sądecką, a wraz kędyś, niezbyt daleko, jęły rżwać trąby bojowe. Stanęli wszyscy na murach jak wryci, kto z kuszą, kto z kamieniem w garści.

Nagły okrzyk radości nad grodem:

- Nasze idą! Nasze idą!

Idą rzeczywiście. Niełatwo jeszcze poznać, ile ich, ale znać, że siła. Widno nocą cichcem, znieobaczka, zeszedli z gór, z ciasnych wąwozów, gdzie Mongoły snadno mogły ich zadzierżyć, i teraz stoją w dolinie już w szyku bojowym.

Widzi się grodzkim, że szczyty ich jako zorza, hełmy jak wschodzące słońce, a włącznie liczne jak sitowie. Iście archanielskie wojsko. Wałą już naprzód szykiem zwanym płotem. Polscy na prawo, węgierscy na lewo. Węgierscy liczniejsi. Nad polskimi powiewa książęca piastowska stanica i mniejsze znaki rodowe. Dobrze znajome Starże, zawdy na stróży stojące Lisy, Łabędzie, Awdańce, co się od szewca Skuby, którego smoka wawelskiego zgładził, wywodzą, przeto im i mongolski nie straszny. Okrzyk bojowy: "Orzy! Orzy!" niesie się nad szeregi. Już wcieli się w ciżbę mongolską.

- Nie stać tu darmo - krzyczy przebiegając wzdłuż wałów kasztelan. - Pomóc naszym! Od pleców napaść psich synów!

Szybko, szybko gorliwie ręce odwalają wory piasku, zasieki drzewa, którymi przywrzona jest furta do wycieczek. Już się nią wywała zbrojna gromada. Kasztelan nawołuje, by nie za dużo ich szło, bo Mongoły snadno mogą gród pusty zaskoczyć. Nie słyszą, pędzą, gdzie wre walka, wrzeszczą trąby, drzy kwik koni, przedśmierne charkoty i zawołania bojowe.

Nie spodziewali się tyle męstwa Mongołowie. Z dawna przywykli walczyć bez wysiłku, boć od Legnicy pierwszy to opór przez nich napotkany. Niezwyczajni go już. Raptem odchodzi ich chęć dalszej walki. Wolej zawrócić w dziedziny, gdzie można bez trudu i straty wojować. W zdumionych, d oczach ludzi pozostałych w grodzie czarno-białe buńczuki dają milczący znak odwrotu...

W odległym zameczku przylepionym do skały ni to orle gniazdo, wśród zawiei górskiej i tętentu wichru, stara mniszka, trwająca nieprzerwanie na modłach, podnosi naraz głowę z radosną ufnością. Gdzieś z zaświatów schodzi ku niej pewność wysłuchanej, ziszczonej modlitwy. Płacze szczęśliwymi łzami. ] z kornej wdzięczności serdecznej, przyzywa zziębnięte, zestrachane siostry, głodne i przelęknione kobiety, strwożone dzieci, by radowały się i dziękowały Bogu Najwyższemu, że ocalony jest gród, że już Mongoły odeszły i więcej nie wrócą...

## Uczta u Wierzynka

Cała sprawa poszła stąd, że Surka, Lejbka i Moszko, obdarte i piegami obsypane dzieci kupca Szymszela, weszły na galar stojący na Wiśle pod zamkiem. Galar zdawał się pusty. Ośmielone panującą na wybrzeżu ciszą, Żydzieta wlażyły nań, myśląc, że znajdą w jakiej szparze bodaj jedno z tych jabłek, które oryle wiozą na galarach w dół, a których zapach niesie się aż na oba brzegi. Lecz zamiast jabłek zastały tylko śpiącego flisaka. Przebudzony jął wymyślać nieproszonym gościom tak groźnie i chwycił w garść bosak tak wymownie, że przerażone Żydzieta skoczyły wprost z burty do wody. Że susza trwała od paru tygodni, nie trafiły na głębię: nurzając się z głową raz po raz a piszcząc bez przestanku przeraźliwie, dobrnęły do lądu. Obmokłe jak szczury, nie przestając krzycheć w niebogłosy pognały w stronę Zwierzyńca.

Flisak ani popatrzył za nimi, ułożywszy się z powrotem do drzemki. Przygodę dzieci widział tylko Hanko, pacholik przyboczny królewski, syn pana Henzelina Wierzynka ze Skrzynki, posłany pojrzeć na wały. Piski bachorów, ich nieudolne babranie się w wodzie zdały mu się okrutnie ucieszne. Śmiał się, aż mu oczy łzami zachodziły. Z licem pełnym tego śmiechu wrócił do komnaty.

- Nie widno gońców? - zapytał go żywo król. (Na cesarza czekał, przeciw któremu wyjechać chciał, gdy tylko gońce znać dadzą, że cesarscy blisko).

- Nie widno nikogo, miłościwy panie.

- A czego się śmiejesz?

- Abo... - Hanko opowiedział zajście najbarwniej, jak umiał, lecz król nie roześmiał się wcale.

- By woda była większa, potopiłyby się niebożęta - zauważył.

- Pewnikiem - stwierdził Hanko pogodnie.

Król spojrział na niego spod oka.

- Cóż byś wtedy sam uczynił? - zapytał.

Hanko rozdziawił gapiowato gębę, nie rozumiejąc pytania.

- Pytam, zali byś bieżał ratować.

- Ratować żydowskie bachory?!

- A jakby tak pana strażnikowe dziecka plusnęły do wody?

- Jużci, cobym ratował.

- Tedy bacz, że jednako trza ratować i jednako lutować się tych, jak onych...

Hanko roześmiał się, pewien, że miłościwy pan krotoczwilę sobie z niego stroi, i zaprzeczył

gorąco. Król powtarza swoje, a Hanko znów swoje, aż król, że był prędki, jak się nie rozgniewa, ze stołka nie porwie, nie krzyknie:

- Głupiś jak drag! Głupiś jak wszyscy! Na oczy cię widzieć nie chcę! Ruszaj precz do domu!

Chłopiec oniemiał, za czym płaczem buchnął, do nóg próbował paść, nadaremno. Król Kazimierz, wiadomo, dobry, że lepszego na świecie nie znaleźć, ale gdy w gniew wpadnie, lepiej uchodzić zawczasu.

Siąkając nosem, oczy rękawem ocierając, poszedł Hanko do domu. Najgorzej, że nie wiedział, czym miłościwego pana ozeźlił. Ojcowie też nie rozumieli, choć im całą rozmowę dokumentnie powtórzył.

I tak oto, z niezrozumiałej dla się przyczyny, trwał w niełasce już przeszło tydzień, na pokoje królewskie nie śmiać iść, w domu pochlipując, starszych kolejno, lecz próżno, prosząc o wstawiennictwo i pomoc. W zwykłym czasie stryjeczny dziad, stary pan Mikołaj Wierzynek, stolnik sandomierski, żupnik wielicki, pierwszy głos w radzie królewskiej, łatwo by chłopcu przebaczenie wyprosił, ninie jednak z nawału zajęcia ani chciał o sprawie słyszeć.

- Potem, potem, gdy goście odjadą... - powtarzał. - Mało to mam teraz na głowie? Pięciu królów miłościwych, ksiąząt nie byle jakich z piętnastu, z każdym poczty na dwieście albo i więcej ludzi, a wszystko rozmieścić, ugościć, nakarmić... Sam nie wiem jako podołam, a ten chmyz mi głowę zawraca! Czekaj, powiadam, za trzy, cztery niedziele pojada...

Czekać trzy, cztery niedziele! Łacno to mówić stryjcowi, ciężko wyżyć chłopcu. Stroskanego nie cieszył nawet ruch panujący w grodzie ani dziwa, na które oczy można było sobie wypatrzeć. Takiego bo zjazdu co najdostojniejszych panów w świecie nigdy jeszcze nie widziano. Nawet łoni, czasu zaślubin Elżbiety\*, (\*zaślubiny Elżbiety - Elżbieta, córka Elżbiety i Bogusława, księcia pomorskiego, wydana została przez dziadka, Kazimierza Wielkiego, który był ojcem jej matki, około 1363 za mąż za cesarza czeskiego, Karola IV.) wnuki królewskiej, z cesarzem.

Na wszystkich placach, na Wielkim i Małym Rynku, płonęły ogniska, przy których ćwiartowano i pieczono barany i woły, stały beczki z winem i piwem, brogi z sianem, kadzie z owsem dla koni i sterty pachnącego chleba. Gdy się zapasy wyczerpały, natychmiast służba stolnika sandomierskiego przywoziła nowe. Jadł i pił, karmił konie, kto chciał. W przelewającym się nieustannie tłumie mieszały się krakowskie siermięgi, żółte niemieckie kaftany cesarskich, kuse włoskie stroje ciemnolichy Cypryjczyków, stąpali ciężko jasnowłosi małomówni Duńczycy, spode łba, nieufnie spoglądali w kozuchy odziani Mazurzy, wiecznie z Małopolanami w niezgodzie, przepychali się dostojnie świadomi swej wagi miejscy rajcy, górowali na koniach, drogimi kapami okrytych, jadący rycerze. Z rzadka, czarni i obcy, przesuwali się lękliwie Żydzi. Gdy jechał któryś

z królewskich orszaków, tłoczono się tłumnie wokół, a ciekawi wylazili na rusztowania budującego się w Rynku kościoła Panny Maryi, by z góry lepiej zobaczyć. Tuż przy kościele położone Sukiennice pstrzyły się z dala różnorodnością kramów, bo kupcy wiedząc o zjeździe ściągnęli ze wszystkich stron. Barwne frędzliste chusty, ciżmy, kozuchy, kobiałki, sukna, dziecinne kukielki, słodkie placki, malowane pierniki, driakwie i zioła zwieszały się z drągów, leżały stosami na stołach. Podle ratusza na wysokich kozłach kuglarze pokazywali sztuki lub prawili gadki, od których tłum trzął się ze śmiechu. Śmiali się wszyscy radzi. Po strasznych, minionych latach moru, głodu, wojen, nędzy lud tym skorzej garnał się do radości, beztroski, wesela. Dnie szły wrześnie, słodkie, jak lato pogodne. Można było obozować na dworze weseląc się dzień za dniem.

Silniejszy pogwar głosów polata nad Rynkiem witając pana Mikołaja Wierzyńka, stolnika sandomierskiego, gospodarza grodu. Jedzie na zamek prosić na ucztę do siebie miłościwego króla i wszystkich jego świetnych gości. Dawno to sobie ułożył, z królem ogadał, wszakże pewny nie jest. A nuż król się rozmyśli? A obcy władacie? Nie bywa u nich pono w zwyczaju, by panujący do poddanego w odwiedziny szedł.

Jedzie krokiem pan stolnik, to spojrzę po mieście badawczo, czy wszędy jest porządek i dostatek, jak ma być, to znów przemyśliwa nad swoją prośbą. Przyjdzie król? Nie przyjdzie? Dzikie gęsi lecą kluczem ponad Wisłą. Nuże je rachować: do pary czy nie do pary... Do pary. Przystanie król...

Hanko, stojący w bramie Wierzyńkowej kamienicy, śledzi odjazd dziada z równym niepokojem. Nie widzi gęsi, więc wróży na palcach, wielką świecę do nowego kościoła ślubuje, pacierze odmawia, dygocze z pragnienia, żeby król przyjechał. Przegnanemu niesporo iść na zamek, ale tu, w dziadowym domu, do nóg padnie, nie odstąpi, aż mu król przebaczy. Byle przyjechał, przyjechał...

I znów, po raz setny chyba, przypomina sobie chłopiec owo nieszczęsne zajście po raz setny doszukując się przyczyny królewskiego gniewu - na próżno.

Gorzeją światłem Wierzyńkowe komnaty. Wosk kapie ze świec przelicznie zatlonych, spływa długimi jasnymi warkoczami. Migotliwe cienie światła drżą na ścianach obciążonych cenną materią, na której widny z dala herb gospodarza: Łagoda. Pod ścianami skrzynie dębowe rzeźbione i także ławy, kobiercami nakryte, przed ławami stół wielki, podkowiasty, na ciężkich krzyżakach wsparty, najprzedniejszym płótnem holenderskim zasłany. W głębi przestronnej komnaty, tuż pod pułapem, ganek, na ganku muzykańty, na dole za stołem biesiadnicy. Migocą przed nimi misy ze szczerego złota, naczynia z jaspisu albo kryształu, w miejsce pucharów rogi

żubrze lub turze, w złoto oprawione, kamieniami drogimi sadzone. Aż w oczach émi od przepychu tej zastawy.

Złociste misy, gładkie jak zwierciadło, odbijają w sobie oblicza biesiadników. Rycerską głowę Piotra z Luzynianów króla Cypru, wyspy dalekiej, nikomu w Krakowie nie znanej. Gorzej mu oczy, gdy prawi o bojach z Saracenami i Jeruzalem straconym. Opodał młodzusięńki, jak cherubin urodziwy, węgierski Ludwik z Andegawenów. Po drugiej stronie Waldemar duński o przewisku Afterdag, posepny, nieużyty, okrutny, ciężki poddanym i sobie, Karol IV Luksemburczyk, cesarz niemiecki, król czeski chuderławy, uczony, kwaśny, i Kazimierz Łokietkowicz, Piast. Włosy szpakowate pod złotą obręczą, lecz broda ciemna, a oko bystre, młodzieńcze. Za czym książęta: Bogusław pomorski, bawarski Otto, pobożny Władysław opolski, Bolko świdnicki, jedyny z Piastów śląskich, co hołdu cesarzowi odmówił, przy Polsce się opowiadając, Ziemowit mazowiecki, chmurny i milczący, bo łacińskiej mowy, w której rozmowa się toczy, nie zna, Każko szczeciński, Kazimierzowy ukochany wnuk. Z niechęcią spogląda w stronę Węgierczyka, umówionego następcy tronu polskiego. By nie te stare układy, jego by Kazimierz-dziad królem po sobie mianował.

Na wielkich, dymiących półmiskach pawie, pieczone w całości, grają tęczę ogonów rozpostartych. Wino pieni się w kielichach. Ucieszny błazen Sowizdrzał chodzi wokół stołu na rękach, aby uweselić gości. Z ganku pod pułapem przygrywa muzyka. Skryty do połowy za kotarą, Hanko patrzy na to wszystko i chce podejść do króla, i nie śmie. Wysuwa się do połowy i znów cofa. Nim się na odwagę zbierze, słucha, o czym dostojni goście rozmawiają, i dziękuje Bogu, że go pan ojciec z małego do łaciny przykładał, że wszystko rozumie.

Wszyscy prawią o jednym: z nietajonym zdziwieniem prawią o Kazimierzowej potędze, bogactwie. Podziwiają syty dostatek, widną w każdej rzeczy rządność. A ta oto uczta, wspanialsza nad wszystkie! Nie król ją sprawia, jeno poddany z dobrawoli. Jakże bogaty musi być kraj!

- Powiadali dawniej, że tu głód i bieda, ustawiczna wojna, a nikt życia nie jest pewny...

- Nie może być?! - dziwi się król Cypru.

Słyszy i Kazimierz te pogwarki i uśmiecha się sam do siebie. Ano, ano, tak bywało... Pomni dobrze te czasy, gdy z niego jako z "krakowskiego królika" szydzono. Co wówczas posiadał? Małopolskę głodem i morem zniszczoną, równie wynędzniałą Wielkopolskę, którą zabrać usiłowały Czechy. Więcej nic. Naokoło dzielnicowe książątka, wrogie scaleniu ojczyzny. Wewnątrz pustka, nędza, nieuctwo, pośmiewisko obcych...

Przebieżał myślą minione pół kopy lat swego panowania, nieustanne wysiłki i trudy, zanim stał się, czym jest dziś: najpierwszym monarchą Europy, którego zdania słuchają wszyscy królowie. Pełny skarb, pełne spichrze, bogate miasta, a sto zamków murowanych, na których jeszcze wapno



nie obeschło, strzeże granicy południowej i zachodniej.

I w niewymownie błogim poczuciu dokonanego zadania wydało mu się, że dojrzał jak stare Wierzyńkowe wino, że się spełnił i wypełnił. Ogarnęły go cicha radość, wielkoduszność i łaskawość. By zdrajca, okrutnik, przeklętej pamięci Maćko Borkowic stanął teraz przed nim, może by i jemu darował...

Gwar rozmów huczy jak w ulu. Stary pan Mikołaj Wierzynek obchodzi dostojnych gości, prosząc, by raczyli przyjąć w darze naczynia, z których jedli, a to: miski szczerozłote, kubki jaspisowe i rogi turze, w złoto oprawne. By je zechcieli zachować na pamiątkę gościny u mieszczanina krakowskiego...

Dziękują gospodarzowi obdarowani królowie. Aż zamilkł z dziwu wiecznie zadłużony cesarz. Z niedowierzaniem słucha skąpiec nieużyty Waldemar. Piotr z Luzynianów, nie mogąc dłużej wstrzymać ciekawości, wychyla się poprzez ramię Duńczyka i woła:

- Miłościwy królu bracie! Zali to prawda, co opowiadają, że gdy obejmowaliście władanie, kraj wasz był nędzny i słaby?

- Prawda sprawiedliwa, miłościwy królu bracie.

- Na krew świętych męczenników! Jakie czary wam pomogły, by dokonać takiej odmiany?

- Nijakie czary, jeno opieka Boska.

- Wszyscy w nią wierzym, przecie nic ona sama nie zdziała... Rzeknijcie, coście czynili?

- Wojnym unikał... Nasamprzód troszczyłem się, by każdy poddany, choćby i najlichszy smerda, w bezpieczeństwie żył, a w pieczy królewskiej się czuł...

- Bez różnicy stanu? - krzywi się cesarz zgorszony.

- Bez różnicy stanu, bo w każdym człowieku jednakie człowieczeństwo jest...

Milkną królowie i książęta urażeni, że ukrywa sposoby, jakimi do potęgi doszedł, bajkami im oczy mamiąc. Tylko Piotr z Luzynianów rozjaśnił swą surową twarz krzyżowca. Pojął.

Pojął jeszcze i ktoś drugi: skryty za kotarą Hanko. Jakby kto nań światłem chlusnął, zrozumiał całą rzecz: i powód przegnania, i swoją przewinę. Rozradowany, zbywszy poprzedniego lęku, sunął wprost do nóg królewskich.

- Darujcie, miłościwy panie!

- Hanko? Czego zaś chcesz? Prawda, byłem na ciebie o coś krzyw, jeno już nie pomnę o co.

- O te Żydzieta, miłościwy panie, ale już bym je ratował...

- A bacz! Możesz wracać na zamek. Już mi się i cniło bez ciebie. A ninie nie becz! Rusz się zwawo! Przed niektórymi gośćmi kielichy próżne stoją... Dolej jegomościowi królowi cypryjskiemu cypryjskiego wina.

## Hołd pruski

Wiosenny, mocny, południowy wiatr przelatywał z hukiem po dachach krakowskich domów. Z ozdobnych rynien, z okapów i rzeźb leciały z szelestem strugi wody z ostatniego, topniejącego po załomach śniegu. Po delikatnych i srebrzystych kotkach wierzbowych, rozrzuconych gęsto po ziemi od wczorajszej procesji palmowej, deptały niezliczone stopy tłumu tak wesołego i barwnego, jak gdyby to były zapusty, a nie Wielki Tydzień. W kolorowej pstrokaciźnie strojów szlacheckich, mieszczańskich rodzimych albo z cudzoziemska włoskich zgrzebny worek bractwa pokutnego kładł z rzadka surową nutę wielkopostną. Kto żyw w grodzie znajdował się dziś na Rynku, niecierpliwi i śmielsi gromadnie włązili na dachy, płosząc stamtąd kawki. Okna czerniały, ciasno nabite głowami. Wszyscy patrzyli w stronę, gdzie naprzeciw wylotu ulicy Gołębiej, na podwyższeniu, czyli majestacie zasłanym złotogłowiem i szkarłatem, pod baldachimem szytym w białe orły, zasiadł król miłościwy, Zygmunt I. Kwietniowe słońce paliło się w złotej koronie, rzucając młody blask na mądre, dojrzałe lico. Przy królu, na tronie nieco niższym, królowa, z Italii przybyła, obca mimo sześćoletniego już pobytu w kraju. Chciwość i zazdrość nie wyzarły dotąd ze wszystkim jej serca, i naród, co znieawidził ją później, patrzył jeszcze bez niechęci w jej twarz prześliczną, podobną do kwiatu. Ona jednak nie zwracała na nikogo uwagi, spoglądając tylko czasem niespokojnie na "mio figlio"\*, (\*mio figlio [wł.] - mój syn.) czteroletniego królewicza Augusta; siedzącego na ręku wojewody sieradzkiego Jarosława Łaskiego. Malec, odziany w długą purpurową sukienkę i złocistą przepaskę na czole, przyglądał się ciekawie ludziom stojącym na dachu.

- Nie spadną to? - pytał dziecięcym głosikiem.

- Nie spadną, wasza królewska wysokość - odpowiadał z powagą pan wojewoda sieradzki.

- A po co tam weszli?

- Obaczyć waszą królewską wysokość...

- Królewicz na ciebie patrzy - trącał kolanem Staśko piekarczyk przyjaciela swego Maćka, czeladnika z tegoż samego cechu. Obaj obejmowali stopami i dłońmi tę samą rynnę, nie bacząc, że ziębiła im srodze ręce. Choć równowaga ich była dość nietrwała, uważali stanowisko swe za uprzywilejowane, widzieli bowiem wszystko doskonałe.

- Królewicz? A rychtyk, ciągiem tu dziecina spogląda. Ukłoniłbym mu się pięknie, jeno ręką do czapki nie sięgnę, a krzykać się boję, żeby nas strażnik grodzki nie zobaczył.

- Bo pewnie! Stoi tam jucha, ale szczęściem na króla patrzy, nie na nas.

- Dziwaj się! Od biskupów aż czerwono! Będzie ich z dziesięciu, co?

- Ano. Książę prymas na przedzie.

- A rycerzy, a panów! A ten czerwony, rogaty jak diabeł w szopce, co przy nogach króla jegomości siednął, także biskup?

- Gdzie zaś! Dyć to błazen królewski. Stańczyk go wołają.

- Laboga! Jest na co patrzeć!

Istotnie było na co patrzeć. Ciemnym wieńcem na stopniach podwyższenia stali w bogatych strojach senatorowie i co najprzedniejsi dostojnicy królestwa: współtwórcy potęgi i mocy Rzeczypospolitej, między dwa morza rozpostartej, wspaniałej, łaskawej, w całym świecie podziwianej. Hetmani: sędziwy Firlej z Dąbrowy, Ostrogski, Tarnowski; mądry kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, Andrzej z Tęczyna, Piotr Kmita z Wiśnicza, Jan Tarło, Ożarowski, Stanisław z Oleśnicy, Szydłowiecki Mikołaj i wielu innych. Wysokie czoła, orle, władcze twarze. W poczuciu swej siły i wagi patrzą spokojnie w ulicę Grodzką, skąd przy dźwięku trąb zbliża się orszak królewskiego siostrzana, do niedawna wielkiego mistrza krzyżackiego zakonu, Albrechta Hohenzollerna, który za chwilę składać będzie przysięgę na wierność wieczystą i leństwo. Już z ciemni wąskiej ulicy wyjechali na Rynek w pełne światło dnia. Migocą zbroje trzech książąt jadących na przedzie: Albrechta, jego brata Jerzego brandenburskiego i legnickiego Fryderyka. Mienia się bogate płaszcze jeźdźców i kropierze koni. Sowita świta towarzyszy pieszo. Zbliżają się wolno, tak wolno, jak gdyby każdy krok był dla nich wysiłkiem. Patrzy na zbliżających się król Zygmunt, patrzy cały naród zebrany na Rynku. Patrzą i milczą. Nad morzem głów polatuje cisza. Tylko wiatr huczy po dachach i z rynien ciurka wodą topniejący śnieg.

Z ramion księcia Albrechta nie spływa już ten co zazwyczaj płaszcz biały, czarnym krzyżem przekreślony. Wielki mistrz porzucił go odmieniając wiarę. I ów brak bardziej niż cokolwiek innego uświadamia ludziom tę rzecz niesłychaną, do uwierzenia trudną, a jednak prawdziwą, że zakon krzyżacki przestał istnieć - że nie ma już Krzyżaków.

Trzysta lat bez sześciu mija, jak zasiedli nad granicą Polski niegodziwym sąsiadem, gorszym od głodu, od moru, od Tatarów. W tych trzystu latach nie było bodaj ni jednego roku wolnego od sprawionych przez nich krzywd. Stali się zmorą nocną z ciężkiego sennego majaku, krwawiącą ustawicznie zadziorą, ucieleśnieniem złych mocy. Drapieżni i chciwi, przeciwstawiali polskiemu męstwu przebiegłość - prostodusznej ufności słowiańskiej szatańską zręczność podstępnych intryg i knowań. Grunwaldzki cios unicestwił ich, lecz wyzyskując polską słabość i łaskawość, odrodzili się i powstali znowu. A oto teraz przestawali istnieć, skończyli się sami w sobie...

Tak myślał zebrany naród. Tak myślał król. Opromieniony blaskiem słońca odbijającego się

w koronie, rozważał, że kończy dzieło zaczęte przez wielkiego dziada. Wspomnił, jak ów dziad, Jadwigi mąż, stał późnym wieczorem na grunwaldzkim wzgórzu, brunatnym i lepkiem od przelanej za dnia krwi, i patrzył milcząc na nieskończony szereg wozów, co skrzypiąc uwoziły ciała pobitych komturów. Białe płaszcze wlokły się po ziemi niby powalona pycha krzyżacka i złość. Dziś grzeje słońce, nie ma pobitych ni krwi i nie ma już krzyżackiego płaszcza. Kończy się dzieło...

Spojrzał na siedzącego u nóg swych Stańczyka.

- Patrz a cuduj się - rzekł. - Tej chwili nawet ty łatki nie przypniesz, bo wielka jest.

Błazen zmrużył lewe oko.

- Chwila wielka, wasza królewska mość, ale skutki zrodzi małe... Gadzina skórę zmienia, a przecież kasa jednak...

- Głupis, toć przysięgać będą... Czego byś jeszcze chciał?

- Iżby zmienili dusze, a nie płaszcze...

Umilkł, bo orszak książęcy zatrzymał się. Trzej książęta zeszli z koni. Wysunął się przed nich biskup pomezański a uklękawszy na stopniach prosił króla polskiego, by raczył przyjąć hołd od Albrechta i księciem go pruskim naznaczył.

Wyszedł przeciw proszącemu krakowski biskup, Tomicki, podniósł go z klęczek i powiedział, że król się do prośby przychyła.

Natenczas wszedł na podwyższenie Albrecht Hohenzollern mając po bokach brata Jerzego i krewniaka Fryderyka. Uklękli wszyscy trzej. Książdz Tomicki, biskup i podkanclerzy, podał królowi proporzec lenny z białego adamaszku, na którym wyobrażony był czarny orzeł ze złotymi szponami i w złotej koronie na szyi, oraz pergamin zwisający wielką królewską pieczęcią. Książdz prymas i Krzysztof Szydłowiecki, kanclerz, oparli o kolana króla księgę Ewangelii świętej, na której Albrecht położył palce prawej ręki, donośnym głosem wypowiadając przysięgę:

- Ja, Albrecht, margrabia brandenburski, a także w Prusiech, szczecińskie, pomezańskie, Kaszubów, Słowian etc. książę, burgrabia norymberski i pan Rugii, ślubuję i przysięgam Bogu Wszchemogącemu, że od tej chwili na wieczne czasy będę wiernym, uległym, hołdownym i posłusznym ze wszystkimi swymi poddanymi najjaśniejszemu miłościwemu panu Zygmuntovi, królowi polskiemu i jego następcom oraz całej Koronie Polskiej, tak jak się należy i przystoi księciu lennemu i miłośnikowi pokoju. Tak mi, Boże, dopomóż i święta Ewangelio...

Przyjął z rąk króla proporzec i pergamin. W kościele Panny Maryi uderzono w dzwony. Podjęły wnet ich dźwięk katedralne i stu innych kościołów krakowskich. Wiatr porwał grzmiący ich chór i poniósł daleko za gród. Poniósł wskroś kraju wieść o przysiędze na wierność, jaką pierwszy Hohenzollern złożył Rzeczypospolitej.

## Strażnicy morza

Wśród natężonej uwagi całej załogi "Wodnika" Szymon Jancz z Janczów puckich kierował wyciąganiem z wody matni trawlowej\*. (\*matnia trawlowa [z ang.] - wielka sieć.) Nieczęsta to była zabawa: połów w pełnym morzu, lecz cniło im się drugi dzień czekać, o trzy doby drogi od Gdańska, na ichmościów Bibranta i Heltbarka, kaprów\*, (\*kaper [z hol.] - właściciel lub członek załogi statku handlowego działającego z upoważnienia swego rządu na podstawie patentu królewskiego lub władz miejskich.) z którymi maszupę\* (\*maszupa [z hol.] - maszoperie, związek rybacki.) trzymali. Sam jegomość kapitan, Marcin Prus, gdańszczanin, przyglądał się robocie ciekawie. Gert Foxen i Balcer - Szulc, poławiacz jantaru, ciągnęli z wysiłkiem węzłowate liny, zakręcając je o wystające z boków statku putki, gdy mały Jadamek Piskorz, podrygując na niższym marsie fokowym\*, (\*mars fokowy [z niem.] - nazwa platformy w miejscu połączenia kolumny masztu ze stengą, czyli drzewcem omasztowania statku.) ukazywał w dali miejsce, gdzie bujał się pęcherz obszyty w czerwoną szmatę, podobny do krasnego kwiatu kołysanego wśród zielonej łąki. Zbliżał się z wolna, widziano go już z burty wyraźnie.

Matnia szła ciężko, pełna ryb, a może kamieni lub szczątków rozbitych łodzi, jak to się nieraz zdarzało. Jan Zela, obchodzący pokład z wielkim kwaczem umaczanym w łoju, przerwał robotę i skoczył pomagać Szulcowi. Paweł Wilk i Maciej Kornicz, czekający z Janczem w bacie\* (\*bat [z wł.] - łódź przeznaczona do różnych prac pomocniczych.) tuż pod bokiem galeonu\*, (\*galeon [z hiszp.] - dawny okręt żaglowy o ostrym, długim dziobie i wysokich burtach.) chwycili krótkie paczyny\*, (\*paczyna - wiosło.) a podpłynawszy do barwnego znaku, jęli mozolnie wyciągać brzeg matni. Rękami drżącymi od pasji łowieckiej windowali sieć w górę ku burcie, aż srebrzysta jej zawartość chlusnęła wypełniając bat. Patrzącym z góry zdawało się, że widzą ruchliwe srebrne opiłki lub łuskę chrzęszczącą, mieniającą. Jancz przebierał zdobycz wprawnymi rękami, mrużąc z żalem: "Taki połów! Na brzegu stałby ze dwie kopy groszy, tu na morzu wypadnie połowę wyrzucić do wody z powrotem". Przez węzłowate ciemne palce ciekły mu szproty, sieje, stynki i płaskie fląderki, oliwkowe w żółte plamki, z oczami po jednej stronie zgniecionego jak talerzyk ciała. Cisnął w górę wysoko na galeon, by się Jadamek przypatrzył, dziwaczną belonę o długim zębatym dziobie, wąłusza ze sznurkiem wiszącym u brody i cudaczego niedźwiadka-głowaczka z czterema guzami na czole. Starannie wybrał i odłożył na bok dobijaki; niezrównane na przynętę. Z pokładu spuszczone worki. Pakowali w nie co lepsze ryby, mniejsze szuflą wrzucając do morza.

- Chyba sztorm będzie - zauważył Kornicz - tyle ryby!

- Nolepszy rebe na sztorm - przytwierdził Paweł Wilk, Kaszub. Rozejrzeli się po niebie z uwagą. Dobrotliwe jego oblicze zdało się na pozór to samo co wprzód, lecz po skrajach wałęsały się bure obłoczki, schodziły jak na naradę, gdy nad przestworami wodnymi legła niespokojna cisza.

- Do taktu wszyscy! Spieszyc się, wy tam z rybami! - zabrzmiał równocześnie donośny głos kapitana. Spychali z pośpiechem resztę połowu do wody, rozsypując wysoko srebrne bryzgi szprotów. Mewy, białe jak gołębie, piszczaly drapieźnie, chwytając je prawie wprost z rąk. Rybacy opróżnili bat i przytwierdzili go na właściwym miejscu, paczyny i dulki\* (\*dulka - oparcie dla wiosła podczas wiosłowania.) zabierając do kohity\*. (\*kohita-kokpit, wgłębienie dla załogi w części rufowej statku.) Reszta załogi z pośpiechem ciągnęła kordel, czyli wielką linę od głównego żagla. Jegomość Marcin Prus, kapitan, spoglądał to na niebo badawczo, to na swój okręt z otuchą.

Mocny jest, wydzierży! Jakoż nie była to byle pinka\* (\*pinka - typ żaglowego okrętu holenderskiego o trzech masztach.) dwumasztowa, lecz istny galeon, strojny w dwa wielkie maszty jednolite i trzeci bezanowy\* (\*żagiel bezanowy - nazwa żagla - głównego pędnika okrętowego do początku XIX wieku.) o ukośnym drażku, mniejszy. Spod podwójnego pokładu wyzierało czternaście armatek, a baki i rufa\* (\*bak - pokład dziobowy.) wznosiły się wysoko nad pokład dwoma kasztelami.\* (\*kastel [z łac.] - wysoka nadbudówka na dziobie i rufie dawnych żaglowców.) Obicie statku było klinkowane\*, (\*obicie klinkowane - klinkerowe poszycie statku przy pomocy klepek zachodzących na siebie systemem dachówkowym.) zaś szerokość galeonu i wysokość równe sobie, a zarazem jednej trzeciej długości kila, czyli stępki. Okręt mógł wziąć 80 łasztów, a łaszt znaczy tyle, ile ładunku wiezie wóz czterokonny! Wielki rudel, czyli ster, okuty blachą żelazną, zwieszał się ze sztaby zadniej, prostopadłej, na dziewięciu mocnych hakach. Przednia sztaba była nachylona w formie dzioba i ozdobiona rzeźbą, kształt Wodnika wyrażającą. Nad rzeźbą wystawał bukszpryt\*, (\*bukszpryt [z hol.] - rodzaj pochylego masztu.) a na nim bandera królewska. Na banderze w polu czerwonym była ręka, do łokcia obnażona, w złotym i białym rękawie, trzymająca szablę srebrną z czarną rękojeścią. Kotwie były trzy, żagli wszystkich pięć: dwa łańskie, trójkątne, i trzy czworoboczne, dwa marsy na maszcie głównym i fokowym\*. (\*maszt główny i fokowy - nazwy drzewców, na których podnosi się żagle.) Piękny był okręt i nie dziw, że kapitan Marcin Prus z miłością na niego spoglądał. "Wodnika" znali z dawna i swoi, i obcy. Maćko Sierpinek, najstarszy kaper królewski, jeździł na nim długi czas, a sam pan Dunin Wąsowicz opatrywał, gdy go przed laty z handlowego na wojenny przerabiano.

- Luk zamknąć - zakrzyknął kapitan przerywając rozmyślenia. W poprzednią ciszę wpadł nagły podmuch wiatru, zaciął wodę niby biczem, przypadł do toni, ucichł i znowu biegł dalej. Zawrócił, wbił głowę w żagiel bezanowy, którego jeszcze nie zdołano zwinąć, wygiął w dziwaczny kabłąk trójkątny płatek płótna na bukszprycie. Wraz obudziło się morze. Tam i sam ukazywać się

poczęły nieliczne zrazu wzgórza wodne, jakby wypchane od wnętrza, okręcały się, niby wysłane na zwiady, i rozplaszczwały ponownie. Wzniosła się nagle wielka ciemna góra, wzdęła, zgarnęła zewsząd na się wodę i ruszyła ku statkowi. Biegła coraz chyżej, rosnąc. Zaszumiał rudel. Statek obrócił się nieco, przeciął dziobem, rozpadła się z szumem na dwoje.

Zakipiała gniewem otchłań. Z bezkresnej równiny morza, niby za zakłębieniem, powstały tysiące takich samych gór, nieprzeliczoną gromadą pędząc na zagładę statku, zwarte, giętkie, jednostajnie granatowostalowe i złe. W groźnej znowie schylały ku sobie głowy ubielone pianą. Dobiegły statku. Milkliwie podsadziły się pod kadłub i wyniosły w górę na urągowisko morzu śmieszoną zabawkę dziecinną, drżącą cienkimi masztami, misterną szkatułkę drzewną, rzuconą w oblicze żywiołu. Potężnym przytkiem ramienia strąciły ją w dół z tej wyżyny. Statek spłynął z szumem, kołysząc się jak raniony ptak. Porwały go znowu na taniec. Trzeszczały wiązania i wręgi\*. (\*wręgi - żebrowanie statku.) Okręt leciał podcinając krajem burty fale. Pochylały się nad nim złowrogo. Ryk wody zagłuszał słowa. Lina pękła - wicher rozwinął żagiel fokowy, szarpnął nim, położył statek na boku, zwinął płachtę, porwał i poniósł daleko na morze. Maszty kłoniły się ku samej wodzie. Ej, nie darmo masztowiny polskie słynne były po całym świecie! Niby w górach dalekich, gdzie wzrosły, gięły się jodły, poddawały parciu, ale nie pękały. Mewy, družki burzy, piszczały ponad pokładem.

Lecieli z wichrem, w szybkości widząc jedyny ratunek. Stary kaper Marcin Prus stanął sam przy rudlu, nieomylnym czuciem poznając chód wiatru, uciekając przed nim, gdy silił się chwycić z boku, nastawiając pod jego wielki dech puste masztowiny. Tylko na bukszprycie wspinał się i rwał wąski skrawek płótna, bielący w mroku, jak wołanie. "Wodnik" leciał ku północy na równi z falami, wyrywając się z ich objęć łakomych. Goniły za nim zapamiętałe, rozjadłe, dopadały, waląc na pokład swe oślizłe cielska, lecz podnosił się, otrząsał i uciekał znowu. Mrok zapadł i w cieniu pędzili na grzbietach wód w otchłanie morza i nocy.

Świat nasiąkał dniem i pobiełał, jak gdyby do ciemnej polewki dolewano z góry mleka. W szarym tumanie majaczył już przedni kasztel i maszty kołysane gwałtownym ruchem w przód i w tył. Wiatr się uspokajał. Morze widziało się jeszcze zjuszzone i złe, przecież bez poprzedniej zapamiętałości. Ochryple od krzyku fale układały się, by spocząć.

Kapitan oddał rudel staremu Janczowi i starł rękawem z twarzy zeschlą pianę, opatrując pilnie statek. Cały był! Przeżegnał się, pobożnie szepcząc Zdrowaś Maryja. Ni jednej cięższej szkody! Po takiej wichurze! Wyprostował się dumnie, z góry spoglądając na morze. Z ludzi także nie brakło nikogo. Zmęczeni, osłabli, dźwigali się teraz zewsząd, otrząsali z ramion przeżyty lęk i czekali na rozkazy.

Kazał co prędzej jednym rychtować żagiel zapasowy w miejsce fokowego, porwanego wiatrem, drugich posyłając na dno statku, gdzie kłody, czyli beczki z kamieniami, stanowiące balast, niemało pewno skrzyń porozbijały. W kohicie na nalepisku Foxen warzył już polewkę z ryb i smażył na oleju flądry. Woń smakowita buchała z wnętrza na pokład. Jegomość kapitan wyniósł ze swej komory gorzałę i przepijał kolejno do wszystkich.

- Jegomość! - pisnął Jadamek z bocianiego gniazda. - Łąd niedaleko, na lewo!

- Łąd?! Nie może być. Gotland minęli my dawno...

- Ja pojrzę - rzekł Paweł Kaszub, drapiąc się jak kot po maszcie. - Ustąp sa! Co łezes jak rek!? - krzyknął na chłopca. Zajął jego miejsce na górnej części kreuzmasztu\*, (\*kreuzmaszt - dawna nazwa rodzaju masztu.) przysłaniając oczy dłonią.

- Gdańsk, jegomość!

- Zwariował stary! Gdańsk?! Na północ gnało całą noc!

- Sprawiedliwie, Gdańsk - upierał się Kaszub.

- Nie może być. - Sam Marcin Prus, choć stary, wdrapał się migiem na mars fokmasztu. Szli szybko bocznym wiatrem. Już i stojący na pokładzie rozróżniali zarysy łądu.

- Na rany boskie! - zakrzyknął nagle kapitan. - Żagle zbierz! To Sztokholm!

- Sztokholm!

Rzucili się wszyscy na liny, na reje, popatrzeć. Do Sztokholmu ich zagnało! W samą paszczę Szweda! Patrzyli w milczeniu na miasto, wychylające się coraz wyraźniej z gładkiego zwierciadła wody. Szarzały wieże wysokie zamku Rosendal i zamku warownego Haga. Las masztów zlewał się z drzewami pokrywającymi wyspy.

- Żagle zbierz! - powtórzył kapitan.

Spełnili rozkaz, choć bez pośpiechu, nie mogąc oczu oderwać od nieznanych brzegów.

- Srogi port, nie gorszy Gdańska...

- Gadają, że sam król wolej tu siedzi niż w Uppsali...

- Pewnikiem! Ma na co patrzeć! Okrętów ze sto, same galeony...

- Mądry Szwed jucha! A u nas co? Dba kto o morze, o wodne ludzie, o armatę?

- Hej! Nie byłoby państwa jak Polska, by się w morzu pokochała!

Odpływali z żalem, zgarnawszy wiatr w połę żagli. Wpatrzeni w znikający gród, wspominali z goryczą, jak to niedawno sześć okrętów szwedzkich przepłynęło zuchwale przed samą Latarnią\*, (\*Latarnia - dawny fort warowny broniący wejścia do portu gdańskiego.) wyzywając kaprów do walki, zaś oni z racji swej szczupłości udawać musieli, że wcale tego nie widzą.

- Jegomość, okręt! - zakrzyknął znowu Jadamek. - Jeden, dwa! Okrutnie wielkie!



Kapitan bez słowa wdrapał się na reję. Jakoż od południa sunęły pełnymi żaglami dwa handlowce, typu z włoska zwanego karaką, obciążone snadź ładunkiem, bo nurzały się głęboko. Królewskie flagi szwedzkie kwitły na masztach. Armatki ziewały ku niebu czarnymi paszczami. Statki zbliżały się, rosły, mijały, nie zwracając najmniejszej uwagi na galeon płynący od strony portu, niewątpliwie swój. Gdy minęły i zmały, wychylił się z widnokregu okręt trzeci. Płynął wolniej, uszkodzonym widno będąc czasu burzy.

- Kreuzmaszt ułamany, kiepskie szwedzkie drzewo - zauważył bosman Kornicz, stojący przy kapitanie.

- Uhm... - mruknął jegomość z roztargnieniem.

Spojrzeli na siebie i zrozumieli się nagle.

- Jeżeli zdążą dać wystrzał, zleci z portu cała flota... - rzekł kapitan jak gdyby do siebie.

- Nie zdążą - zapewnił bosman.

Zamilkli wpijając znów oczy w nadpływającą karakę. Kapitan świsnął przez palce. Załoga, trzydziestu trzech ludzi, stanęła przed nim. Dawał rozkazy krótkie, proste, prawie niepotrzebne. Rzucili się do przedniego kasztelu po topory i bosaki. Ręce im drżały z radości. Chciwi zazwyczaj na łup, nie o bogatym ładunku karaki myśleli tym razem. Walki chcieli. Wyzywał ich w Gdańsku Szwed, przyjmą wyzwanie w Sztokholmie! Zęby błyskały w ogorzałych, srogich twarzach, śmiały się radośnie siwe oczy morskich ptaków. Rudel zaszumiał, przerzucając w prawo warkocz piany. Balcer Szulc próbował już, czy mostki lekko chodzą.

- Demy rede? - zapytał z góry Jadamek z pewnym niepokojem.

- Chto deł chleb, da e zębe - odparł sentencjonalnie Wilk Kaszub, przebiegając. Wraz z Janem Zelą wdrapał się na reję foka, by stamtąd skoczyć na pokład nieprzyjacielski. Szulc z Foxenem siedzieli już okrakiem na bukszprycie.

“Wodnik” biegł lekko po falach, przecinając drogę coraz to bliższej karace. Pod złocistą rzeźbą przodu widać już było wyraźnie nazwę jej: “Salomon”. Na pokładzie nie znać było jeszcze żadnego zaniepokojenia. Uteśknieni długą drogą ludzie stali przy burtach, wyglądając, rychło ujrzą brzeg ojczysty. Wszystko im raczej mogło przyjść do głowy niżli obawa napadu tu, pod samym domem.

Lecz “Wodnik” płynął wprost ku nim, kierując dziobem w bok “Salomona”. Zdziwiło to Szwedów. Machali z gniewem rękami, ostrzegając przed zderzeniem. Kapitan, zażywny człowiek w czarnym materialnym kaftanie, krzyczał przez tubę, siniejąc ze złości. Naraz odrzucił tubę, podniósł w górę ręce z przerażeniem. Zrozumiał.

Lecz wysmukły przód “Wodnika” wzniósł się już wysoko nad ciężką karaką i trzasnął w nią całą siłą, aż jęknęły wiązania obu statków, zakołysały się gwałtownie maszty, zaszumiała wokół

woda. Szwedzi chwyтали muszkiety, lecz zanim zdołali je nabić, Gert Foxen skoczył z bukszprytu na kark grubego kapitana i taczali się razem, upadłszy na pokład. Wraz Zela z Wilkiem spuszczałi się po linie z rei, kołysząc się niby pająki nad nieprzyjacielskim pokładem. Chciano ich schwytać za nogi, lecz oni rozbujawszy się skoczyli i znikli w luce, Balcer Szulc za nimi. Nikt ich nie ścigał i spokojnie mogli zagwoździć armaty, bo ogłupiała załoga całe siły wyteżala, by nie dopuścić do przerzucenia mostku. Odpychali bosakami, ciskali wiechy zapalone. Bosman szwedzki chwycił wieniec smolny, rozbujal nad głową, a gdy rozgorzał płomieniem, cisnął z rozmachem na pokład "Wodnika". Lecz jegomość Marcin Prus odbił go w lot, rzucając do wody. Już mostek przerzuceno. Walka trwała na nim straszliwa, zaciekla. Ludzie darli się zębami, dusili za gardła, spychali wzajemnie w morze. Kapitan szwedzki bronil się jak lew, ale wyrwano mu szpadę. Maciej Kornicz, siłacz wielki, ciągnął go za ramiona na pokład "Wodnika". Szwedzi skoczyli bronić, chwytając kapitana za nogi: Szwed ryczał jak wieprz zarzynany, lecz Kornicz trzymał krzepko. Wyrwał go wreszcie, zamknął w kohicie, przetrząsnąwszy mu wprzód dokładnie kieszenie, by ognia tam nie zaproszył.

Duch w Szwedach osłabł, gdy wodza uwięzionym zobaczyli. Stracili głowę do reszty. Napaść zbyt była niespodziana, niepojęta. A pomoc nie nadchodziła. Zdali się. Powiązanych jak barany przeprowadzono na pokład "Wodnika", gdzie siedli rzędem przy burcie, osowiałymi oczami patrząc dookoła. Prawda to czyli zły sen? Toć mieli dziś obiadować w domach z żonami i dziećmi. Po rocznej przeszło wędrówce już dobijali do brzegu!

Jegomość kapitan Prus z bosmanem Korniczem przebiegał szybko wnątrze "Salomona", by się o zdobyczy upewnić. Nie było czasu na przeładowywanie. Uczepiony na tegim kotwicznym łańcuchu, "Salomon" płynął za "Wodnikiem" i płynąc tak miał do samego Gdańska. W razie pościgu przyjdzie go zatopić, bo ciężki. To trudno. Kapitan wglądał w każdy kąt i głową kiwał radośnie, bo karaka pełna była towarów co najprzedniejszych. Nie tylko korzenie na niej zamorskie, drogi cukier trzcinowy i cienkie płótno holenderskie, ale niemały zapas prochu, kul, zbroi i rusznic angielskich. Ej, poszczęściło się kaprom!

Jegomość Marcin Prus wyszedł na pokład uradowany. Widział się już wjeżdżającym na Leniwkę wśród podziwu reszty kompanów. Rozejrzał się wokół wesoło i dumnie. Przy rudlu stał Jasiak z Dombrówki, zwany Orylem, a to z racji, że przy flisach wychowany i choć od pięciu lat był kaprem, dotąd nazywał kotwę śrykiem, a rudel drygawką. Prócz niego sześciu ludzi z załogi "Wodnika" pilnowało takielunku\* (\*takielunek [z niem.] - ogólne olinowanie statku.) pod kierownictwem bosmana. Oba statki płynęły szybko na południe. Jegomość kapitan stanął na przednim kasztelu, skąd rano Szwed jeszcze wydawał rozkazy. O kilkanaście stajań wprzód sunął lekko "Wodnik", strojny w królewską banderę. Mimo większego ożaglowania ciężki "Salomon"

zdążył za nim z trudem, naciągając łańcuch holowniczy. Morze układało się w krąg bezkresny, siny, na którym zachodzące słońce słało płomienisty most.

I patrząc wzrokiem rozmiłowanym w szybujący przed nim okręt, marzył stary żeglarz, że oto przez pola wodne płynie nie jeden, ale sto okrętów. Potężna “armata”\* (\*”armata” [z hiszp.] - armada, wielka flota.) Rzeczypospolitej. Radość oczu, postrach wrogów... Uśmiechnął się gorzko, wspomniawszy nędzne dwanaście okrętów kaperskich, jedyną straż polskiego Bałtyku, w tym tylko trzy galeony, a reszta pinki i smaki!\* (\*smak - niewielki statek wiosłowo-żaglowy.)

“Król miłościwy inaczej by chciał, jeno że niewiele może - pomyślał Marcin Prus z żalem. - Hej, gdyby mógł!...”

Poczuł wielką miłość i cześć dla dalekiego króla, który mimo tysiącznych trosk, kłopotów, przeciwności myślał wytrwale o morzu, pragnął dusznie otworzyć Polsce owo wielkie okno na daleki świat, walczył niestrudzenie z obojętnością i wstrętem narodu do morza, zabiegał; z własnych funduszy budował w Elblągu galeon, na przekór wszystkim miłował kaprów, swych “custodes maris”\*, (\*”custodes maris” [łac.] - strażnicy morza.) ochraniał ich potężną dłońią przed nienawiścią chytrych kupców gdańskich, nie tracąc nadziei, że spełni kiedyś swój sen: obwarowania brzegów polskich potężnym szansem okrętów. Daj mu, Boże, długie życie i posłuch w narodzie!...

Westchnął i skierował się ku drabince sznurowej, by wrócić batem na pokład “Wodnika”. Wstrzymało go wołanie. Bosman Kornicz wychylił się z luku, niosąc coś w ręku ostrożnie. Było to puzdro drewniane, ozdobne, kością pięknie nakładane, zamknięte. Jegomość obejrzał je ciekawie, podważył nożem zameczek i obaj oddech wstrzymali z podziwu. Na tabinowej\* (\*tabin [z ang.] - gatunek jedwabnej tkaniny.) szkarłatnej podściółce leżała srebrnozłocista buława. Głowica przytrągnięta była suto kamieniami, aż w oczach się skrzyło od blasku.

- Od Duńczyków ją wieźli, widno dla jakowego hetmana...

- Nigdzie takich złotników nie ma jako w Danii... - przytwierdził kapitan. - Hej, chłopcy! chodźcie popatrzeć!

Zbiegli się kręgiem, patrząc z podziwem na klejnot, którego dotknąć nie śmieli. Oczy im błyszczały. Takiego łupu, jak świat światem, nie wziął jeszcze żaden kaper!

- Siła talarów dadzą za nią w Gdańsku? - spytał Szulc Balcer zniżając głos mimo woli.

- Ba! Wieś dobrą za to kupisz... - przytwierdził bosman spoglądając pytająco na kapitana.

Ten wyprostował się nagle, oczy mu zabłyśły.

- Ej, dzieci, siła by dali, ale jej przedawać nie będziemy. Poślemy ją z Gdańska w darze miłociwemu królowi. Niech się uraduje. Opiekun to nasz. Niechaj ma buławę od swoich wodnych żołnierzy!

Milczeli chwilę, zaskoczeni.

- Ja! - krzyknęli jednogłośnie. - Miłociwemu królowi! Niech żyje Zygmunt August!!!

## Sąsiedzki dar

Czajki srebrzą się w wiosennym niebieskim powietrzu jak ryby w przezroczystej strudze. Jękliwie ich zawodzenia słycać przez otwarte okno, przy którym siedzi pan Mikołaj Rej. Nie siedzi: klęczy na niskiej ławie, jakby jeszcze był wyrostkiem, łokciami i piersią wsparty o futrynę. Chwyta chciwie dech ze dworu. Jest sam. To rzadkość. Pan Rej nigdy nie bywa sam. Do słodczy jego charakteru, do soli dowcipu, do wiecznie gotowej krotchwili i bystrego umysłu ściągają zewsząd ludzie jak muchy do miodu. Naprzód dziatwa, błazenki przyrodzone, jak ją zwykł nazywać, i jejmość, serdeczna pociecha, dalej sąsiedzi i przyjaciele najmiłsi, krewniacy, znajomi lub potrzebujący. Pan Rej każdemu dogodzi... Taka już u niego natura. Choćby mu nawet kto nie w porę przybył, powita gościa licem rozjaśnionym, jakby mówił: "Właśnie ciebie czekał, bracie!" I już się śmieje, już krotchwilami sypie, już kufle na stół, już służy radą albo i mieszkaniem, jeśli tego trzeba.

Więc też wokół pana Reja ustawiczny sejm, gromada. On temu rad. Samotność to nie jego żywioł. Czyż samotne jest drzewo w lesie lub kłos na polu, beztrosko szumiące w tłumie pobratymców? Takim drzewem, takim kłosem, mocno w grunt własny wrośniętym, czuje się pan Rej.

Czasem tylko, czasem przychodzą krótkie chwile, w których lubo mu być samemu. Snują się wtedy po głowie myśli obce gronu przyjaciół, poglądy, których by im nie powtórzył, dziwne rzewności, skupienia, zadumy. Tak jest właśnie i teraz, gdy patrzy na zielony łęg. Wilgotne smugi kwitną kaczeńcem, co wygląda, jakby przeszedł łąką czarodziejski pług, wywalający skibą szczere złoto. Nad tym złotem, nad zielenią wisi biała lekka mgła, oddech ziemi parującej ku mocnemu kwietniowemu słońcu. Pacholeta jakoweś po łące brodzą, czajki srebrzą się i krzyczą, skowronek dzwoni wysoko.

Zapatrzonemu panu Rejowi wyda się jednak, że coś te czajki, srebrno-czarne żałobnice, zbyt rozpaczliwie zawodzą. Nadto gwałtownie szarpią się w powietrzu. Czyżby kto płoszył ptaszyska?

Wychylił się więcej. Przyjrzał baczniej. Ano tak. Chłopięta, co po trawie brodzą, jajka czajcze wybierają. Stąd ptasi lament. O, skurczybyki przebrzydłe!

Pan Rej zlął z ławy z westchnieniem, bo był ptactwa miłośnikiem, a nie mógł krzywdzie zapobiec, łąka bowiem, choć tak bliska, nie należała do niego, ale do sąsiada. Wąskim, długim klinem wchodziła w nagłowickie pola sięgając prawie pod dwór. Właścicielem jej jest Jarosz Szafraniec, stary wysoki pan o suchej, zawsze zatroskanej twarzy. Także para się pisaniem, ale

ludzie stronią od jego dzieł.

- Za uczone, za mądre... - wzdycha nieraz pan Szafraniec - więc prostactwu nie smakują...

- Jużci, co tak! - wybucha wtedy śmiechem pan Rej. Nie myśli doszukiwać się złośliwości w słowach sąsiada. Zresztą są w starej przyjaźni, a przyjaciel to najcenniejsza rzecz na świecie. Kto nie ma przyjaciela, jest jako malowany obraz na ścianie, co na wszystkich patrzy, a z nikim nie mówi.

I oto właśnie, jakby wywołany myślą, poszturkując czekanikiem, nadchodzi onże sam, pan Szafraniec. Ubłocone buty wycierając o słomiankę, prawi, że przyszedł pogratulować sąsiadowi pochwały Miłościwego Pana. Wielki to splendor! Wielki zaszczyt! Zaczne wyróżnienie! Prawda to, że umyślnym posłańcem z Krakowa przysłano?

- Prawda. Miodu i konfektów dajcie! - woła gospodarz ku drzwiom. - Prawda, sąsiedzie! W grzecznej szkatule przywieźli taki oto kartelusz...

Wyciąga z pięknego rzeźbionego sepetu zwój pergaminu ze zwisającą u dołu pieczęcią. Króla Zygmunta Starego pieczęć.

Pan Szafraniec odsunął papier daleko od oczu, czyta powoli, z uznaniem:

Nicolao Rey, vati Polono, alias rymarzowi...?\* (\*Nicolao Rey... [łac.] - Mikołajowi Rejowi, poecie polskiemu, inaczej rymarzowi.) - Łacinników zowie rymotwórcami, zasię po polsku piszących tylko rymarzami - objaśnia pan Rej śmiejąc się.

- Słuszna, słuszna - wzdycha sąsiad składając ostrożnie papier - co łacina, to łacina...

- Wielkie mi rzeczy! Ja o łacinę nie stoję!

- Wierę, wierę... Ja także, bo równie jak waść, panie bracie, łaciny dobrze nie posiadam...

Pan Rej poczerwieniał jak burak i machnął ręką, że mało nie trącił pacholika wchodzącego z pełną tacą. Zawsze to samo! Że żadnej szkoły po prawdzie nie skończył, zarówno ze Skalmierza, Lwowa, jak z krakowskiej Akademii po roku uciekając, za nieuka go trzymano, zawdy posądzając, że tylko z musu pisze po polsku.

- Jużci - odparł - com zbyt w naukach nie pomknął. Szczególnie one twarde, wichrowate: logika, geometria, gramatyka, a astronomia zgoła mi w głowę nie lażyły - wstrząsnął mimo woli ramionami, jakby na wspomnienie plag, których ongi nie szczędzono opornemu - ale w łacinie nie ostanę się w tyle za nijakim, bodaj i najbieglejszym magistrem! Wszystkie pisma Erazma Rotterdamskiego czytałem więcej niż dwadzieścia razy - to samo Platona w Plutarchowym przekładzie, to samo Horacego i Wergilego... I ciągle, co tylko nowego jest, czytam, żeby mi rozum nie zwieśniał... Wiedzieć trza wszystko... Ale pókim żyw, inną mową nie będę pisał, jeno polską! Czy my od innych gorsi? Czy nam Bóg przyrodzonego gadania poskąpił? Wszystkie narody językami swoimi piszą, jeno my w swoim zadrzemali... I czemu?

Pan Szafraniec skrobał się w głowę niepewny. Niby tak, niby nie. Gada sąsiad gładko, czemuż jednak wszyscy oświeceni tylko łacinę chwala, tylko łacinników za mądrych trzymają?

Pan Rej wzruszył niechętnie ramionami. Przez okno wpływał dech wiosenny i zawodzący krzyk czajek, przeto zauważył:

- Pacholki po waścinej łące chodzą i jaje wybierają.

- A tak - stwierdził Szafraniec pogodnie. - Żydowin, co trzyma u mnie pacht\*, (\*pacht [z niem.] - dzierżawa.) posyła chłopięta, po pół grosza za kopę im płacąc, i jajca do Krakowa znaczniejszym rajcom wiezie.

- I waść na to pozwalasz?!

- A cóż mi to szkodzi? Sam jajców nie jem, wątrobę mając schorzałą.

- Ptactwo się niszczy.

- Owa, wystarczy tego hultajstwa.

- Ja bym na to nie zezwolił.

- Wiadomo, waść, panie bracie, masz serce dla wszelkiej żywiny. Wiadomo... Słuchajże! By cię uraczyć, a w dzisiejszym dniu uweselić, przyjm ode mnie ten szmat łąki, co go tu widać... Nie o czajki idzie, a jużci, niemiło cudzą czeladź pod oknami widzieć, tyle dobra mając. Nierazem to sobie myślał... Darował cię król miłościwy listem, sąsiad cię daruje łęgiem. Przyjmij, jako daję, de libera gratis et sincero amore...\* (\*De libera... [łac.] - z wolnej chęci i szczerzej miłości.) - Sąsiedzie, bracie! Czymże się odwdzięczę!? Milszy to dla mnie darunek niżli pisanie królewskie... Bóg zapłać... - mówił pan Rej rozrzewniony, biorąc sąsiada w objęcia.

- De libera gratis et sincero amore... - powtarzał ofiarodawca.

- Powiedźże mi jeszcze to samo po polsku, by nic mi do radości nie zbrakło.

- Ze szczerzego serca... Ze szczerzego serca...

Ucałowali się mocno, uściskali. W Rejowym krzepkim objęciu skrzypiały Szafrancowe gnaty, aż jęknął - wypili, przekąsili, znów wypili, za czym gospodarz porwał się iść z gościem na łęg, darowiznę ogarnąć nowym okiem właściciela.

Szli ogrodem, w wielkim staraniu utrzymywanym przez jejmość panią Rejową. Grządki równe, jak pod sznur, pokryte przejrzystą runią wschodzącej rozsady. Słońce grzało łaskawie krze agrestu i malin. Pan Rej idąc spoglądał to na nie, to na stojący opodal sad pokryty obłokiem kwiecica. Ogarnęło go rzadko nawiedzające, to samo co raniej przy oknie, wzruszenie. Wszystko widziało mu się cudne, wdzięczne, nad podziw roztropnie obmyślane, swój sens i urok mające. Oto grządka zagrabiona pulchnie, oto nasionko, oto już kiełkuje, już strzela listkiem maluchnym, słabiuchnym, mającym przecie w sobie całą przyszłą moc i rozrost dojrzałej rośliny. Oto rzędy kwiatuszków wiosennych, bratków z aksamitnym liczkim, barwinku, stokroci... Jakże nie wielbić

Pana, co to wszystko stworzył?

Pan Szafraniec szedł obok niego wielkimi krokami. Rozmyślał, czy dobrze uczynił darując tę łąkę. Chyba dobrze. Na pewno dobrze. Poczciwego sąsiada ucieszył, a sam na tym nie straci. O nie! łąka podmokła, siano na niej liche, a Rej, wiadomo, za dar hojnie się odplaci...

Wokół ogrodu był rów, modry od niezapominajek, wąskie poletko i tuż owa łąka. Pod trawą przeświecała woda pełna ikry żabiej i wylęgłych już kijanek.

Pan Rej ujął się pod boki i zaciągnął powietrzem jak winem.

- Hej, pacholki! - zakrzyknął gromko. - Zabierać mi się stąd, a skoro! Żeby po was i śladu nie baczył! Jajca odłożyć, skąd wzięte, z powrotem! łąka jest moja. Darował mi ją wasz dziedzic!

- Co się waść plebsowi opowiadasz? - sarknął pan Szafraniec zgorzony.

- Czy ja wiem, plebsowi czy komu... Całemu światu się opowiadam, bom rad!

Pacholiki kręcą się jak postrzelone, odnosząc jajka z pośpiechem i nie trafiając do gniazd. Prosto niechają je w wodę, byle zbiec. To ci nowina! Nagłowicki dziedzic bierze łąkę!? Oj, dobry to pono pan! Jaj nie pozwoli widno zbierać, ale siano może nie będzie skąpił? Kto wie?

Uchodzą, pocieszeni tą myślą, czajki jęczą nad ich głowami jak płaczki.

- Ady cichajcie! - woła do nich w górę pan Rej. - Już wam sprawiedliwość uczyniona.

- Dobra to sprawiedliwość - przyznaje pan Szafraniec - przydać każdemu, co jego jest.

- To mało - zaprzecza pan Rej. - Święta ma być sprawiedliwość! A niech się leje po ziemi jako jasna woda, a wszystkich przyniewoli...

Rozejrzał się po łące szmaragdowej, przeświecającej wodą jasną, jak wymarzona przezeń sprawiedliwość. Wypełniała mu serce miłość nieopisana do tej wody i trawy, do wszystkiego, co było jego ziemią, polską ziemią.

Zdławiła go, rozparła chęć, by o tym wszystkim napisać, opisać, to piórem wymalować. Spiesznie mówił:

- Bo widzicie, panie bracie, wszędy mają swoje księgi, jeno my nie... My jedne! Wielkie mamy państwo, a w tym ubożuchne. To trza zdziałać. Prostym dać pokarm, jak dziecięciu mleka. Bez wymyślności, bez przysad i alegoriów. Pisać, jako się czuje, widzi, myśli, jako od co dnia gada z przyjacielem. Dopieroż wtenczas doczekalibyśmy się, że ta ojczyzna nasza, a raczej najmilejsza matka nasza, w lepszej byłaby pieczy u tych polskich synów swoich.

- Słuszna, słuszna - potwierdzał bez przekonania pan Szafraniec. - Wszakże po łacinie zawdy przystojniej i ozdobniej... Wracajmy, sąsiedzie, doma, buty mi już ze szczętem przemokły...



## Pod lipą

Dwór czarnoleski był obszerny, ale niski, gdyż ze starości ściany zapadły się ździebko w ziemię. Dach za to stromy, wysoki. Po obu bokach dworu były przybudówki stawiane, w miarę jak jedno pokolenie następowało po drugim. Od strony warzywnika, na wielkiej topoli znajdowało się gniazdo bocianie, a od podjazdu rozłożysta stara lipa kładła aż na dach nadmiar swych gałęzi. Lipaż to była, lipa! Tysiące jej rówieśnic i młodszych rozsypało się w próchno bez śladu. Zginęły od topora, od pioruna, od wichru, co drzewa z korzeniami wyłamuje, od ognia, od suszy... Ale lipa czarnoleska wciąż w pamięci polskiej pozostaje żywa, zawsze zielona, hucząca rojem pszczół, dymiąca obłokiem woni, wabiąca rozkosznym cieniem. Cóż jej dało tę długowieczność?

Pióro.

Pióro człowieka, co rad pod nią siadał, by pisać.

“Tu zawždy chłodne wiatry z pola zawiewają,

Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają...

Pod lipą stół, przy nim ławy. Płyta stołu zasnuta złotym pyłem kwiecica lipowego i ruchomymi krążkami słońca siejącego się przez liście. Z drzwi dworu wybiegł służebny pacholik. Rękawem świtki omiótł stół. Pył uleciał, złociste krążki zostały. Położył na stole trzymaną pod pachą deszczułkę z dwóch gatunków drzewa - ciemnego i jasnego, w kratę urobioną, na niej złożył mieszek skórzany grzechoczący jakimiś cackami. Zawrócił do dworu i po chwili wrócił niosąc wysoki dzban piwa i dwa kubki. Dzban białą wilgotną chustą nakrył i odszedł, a wraz już idzie gospodarz - pan Jan Kochanowski.

Wysoki wzrost, szpakowaty włos, szpakowata broda. Poważne, ale pogodne spojrzenie człowieka, co wiele się w życiu natrudził, nim w końcu przystań spokojną odnalazł.

Długo szukanie trwało, o wiele za długo. Już mu tylko dziesięć lat życia pozostaje. Dziesięć lat będzie się radował czarnoleską ciszą, dziesięć razy stara lipa rozkwitnie nad jego głową... Na szczęście zegar znaczący godziny ludzkiego życia umieszczony jest wysoko, termin pozostaje każdemu nieznanym i do ostatniej chwili wolno mniemać, że to nie dziesięć lat, ale pięćdziesiąt...

Kochanowski oczekuje swego sąsiada - podsędka Łackiego, codziennego towarzysza ulubionej partii szachów. Podsędek spóźnia się dzisiaj, powinien już być. Dziedzic czarnoleski przepada za szachami. Szachy to nie karty obmierzłe, które z niejednego człowieka zrobiły gwałtownika czy oszusta albo żebraka. Nie zdarzyło się jeszcze, by przy szachach jeden gracz

rąbnął drugiego szablą przez łeb. Piękna gra.

Czekając na towarzysza wdycha z rozkoszą woń lipową i słucha świergotu ptactwa. Wróbli oczywista najwięcej. Drą się jak szlachta na sejmie. Uważne, wesołe kosy przebiegają podskakując tuż koło nóg siedzącego. W rozwidleniu konarów kuje pstry dzięcioł. Na kalenicy dachu gruchają gołębie, ze szczytu topoli oznajmia się bocian klekotem. Błogo, spokojnie...

“Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?”

Złoty krążek słoneczny zamigotał na wypukłości dzbana, odzianego, niby w turban, w wilgotną chustę.

Poeta z upodobaniem spojrział na śliczny kształt naczynia i bogaty wzór pokrywający powierzchnię. Wydało mu się, że rysunek, który pod ręką starego wsioowego garncarza Rogali wyrósł nieomylnie niby kwiat mrozu na szybie, jest symbolem jedności, łączącej twórczość przyrody z twórczością prostego człowieka.

Spieszne kroki na ścieżce. Pan Łącki! Ociera - pot z czoła i sumituje się za spóźnienie. Siada z ulgą na ławie. Gospodarz nalewa piwo do kubków. Jest chłodne i znakomite. Piją je obaj z lubością.

- Miło posiedzieć w cieniu - wysapuje zmęczenie podsędek. - Dobra myśl tu mieszka.

- “Dobra myśli, której nie przywabi,  
Choć kto ściany drogo ujedwabi...”

- cytuje z uśmiechem gospodarz wytrząsając z mieszka na stół figurki szachowe - czarne i białe. Wybierają, czyja barwa, ustawiają, jak należy.

- Spóźniłem się - powiada Łącki - bo kupcy przyjechali po weinę.

- Nie cniło mi się czekanie. Rymym układał.

- Proszę, proszę... A o czym?

- O tym dzbanie.

- Godny dzban, to i rymy będą przednie... Raczcież mi je powiedzieć, sąsiedzie.

- źleście tym pieszkim\* (\*pieszek - figura szachowa.) zaczęli, a rymy są takie:

“Dzbanie mój pisany,

Dzbanie polewany...

Przymkni się do nas, a daj się nachylić,

Chciałbym twym darem gości swych posilić!...

Ty zmiękczysz każdego,  
Najstateczniejszego,  
Ty mądrych sprawy i tajemną radę  
Na świat wydawasz przez twą cichą zdradę.

Ty cieszysz nadzieją  
Serca, które mdleją,  
Ty ubogiemu przyprawujesz rogi,  
Że mu ani król, ani hetman srogi...”

- W sedno utrafił! Bogać mi! - unosił się gość szczerze zachwycony. “Ani król, ani hetman...” Prawie powiedziane! Ba, żebym wiedział, jak tu czas spędzacie, dłużej bym się ociągał, by tych rymów było więcej...

- Grajmy, sąsiedzie. Dajcie kubek, acz doleję...

- Grajmy. Piwo z glinianego dzbana lepsze niż z cynowego.

- Pewnie, że lepsze! W cynowym czy srebrnym prędko chłód traci i smaku żelaznego dostaje. Szkło jest dobre, ale nadto kosztowne i ciężkie. Najspodobniejszy zwykły polewany dzban.

- Krzywią się na nie teraz nasi panowie.

- Bo tanie. Chłop, mieszczanin, Żyd, każdy z glinianego pija. To naszym wielmożnym nie w smak. Uwaga, sąsiedzie. Szach!

- Rany Boskie! To przez te rymy i dzbany... Pozwólcie mi się poprawić i cofnąć!

- Cofnijcie.

Przez chwilę grali w milczeniu. Podsędek podjął:

- Słyszeliście, że na Wiśle woda podmyła brzeg, ziemia się zarwała i odsłoniła kupę garnków glinianych, dużych i małych. Były głęboko na jakie cztery łokcie. Ledwo je ruszono, skruszyły się w rękę... Bakałarz, który je widział, powiada, że ziemia wszystko daje, nawet garnki gotowe. Rosną w ziemi jak grzyby. Duże - to już wyrosnięte, a te małe - ledwo podrastają. W dużych był proszek czarniawy, jak w purchawkach.

- Plecie bakałarz! - roześmiał się Kochanowski. - Niegdyś, za pogańskich czasów ciała palono, a prochy zsypywano do urn glinianych i zakopywano. Z rzadka je odnajdujemy. Gdzieżby garnki w ziemi rosły? Człowiecza je ręka działała.

- Tak sądzicie? - zmartwił się gość. - A skąd te małe?

- W małych stawiali jadło dla nieboszczyka.

- No, no, a ja myślałem, że rosną jak grzyby... Wyście człowiek bywały, to wicie lepiej.

- Widziało się niejedno - przyznał gospodarz. - W Italii pokazano mi stary kościół bizantyjski, czyli grecki, w którego ścianach wmurowane były rzędami puste garnki, podobne do naszych. Zatynkowane starannie, że byś się ich nawet nie domyślił...

- Po cóż je tam tkano?! - wykrzyknął podsędek.

- Przeor tamtejszego klasztoru powiadał mi, że puste garnki dają piękny pogłos i w takiej świątyni czy śpiew, czy kazanie rozbrzmiewa mocniej i dźwięczniej.

- No... no... dziwa... Wasz ruch, sąsiedzie. Nieraz sobie myślę, czy siedzącemu tu na wsi nie cni się wam za tym szerokim, wielkim światem, który znacie?

- Czy mnie się cni?! Sąsiedzie! Każdej chwili Boga proszę, bym mógł spokojnie tutaj reszty żywota dokonać nigdzie się nie ruszając...

- Dziw! Dziw!... - powtarzał podsędek z niedowierzaniem.

- Nigdzie się w onym wielkim świecie nie czułem ani wolny, ani swobodny. Ciężko mi to, bo mam duszę hardą. Dopiero tutaj oddycham. Tutaj rymami mogę się bawić, pisząc, co mi serce dyktuje, nie czyjaś wola. Jako wiecie: "Ten pan, zdaniem moim, kto przestał na swoim..." Szach!

- Panie Janie! Nie godzi się! Rymami bałamucicie, milczkiem podjeżdżacie. Zmiłujcie się! Bądźcie łaskawi się cofnąć...

- Niech tak będzie.

Zagłębili się w grze. Mimo że podsędek poprawiał się jeszcze kilka razy, gospodarz wygrał, co było zjawiskiem stałym.

Koniec gry dał hasło do odejścia. Podsędek spieszył się, zostawił bowiem w oborze krowę na ociełeniu.

Kochanowski zebrał szachy do woreczka patrząc w zamyśleniu w ogród. Coś zaszeleściło za nim. Obejrzał się i rozjaśnił twarz. Z krzaków wyskoczyła paroletnia dziewczynka o wesołym liczku, opalonych podrapanych łydkach, w barwnej szatce podobna do motyla. Jak motyl lekka usiadła ojcu na kolanach, świadoma swych przywilejów.

- Chłodny - stwierdziła, ze zdziwieniem dotykając dzbana.

- Bo w piwnicy stał, a teraz mokrą chustą był nakryty...

- To stary Rogala go robił?

- Tak, dziewczuszko.

- I te kwiaty pisał?

- Onże.

- A ja go prosiłam, żeby mi na kubku kotka wymalował - powiedział, że nie potrafi. Kwiaty potrafi, a kotka nie. Dlaczego?

Ojciec zastanowił się.

- Stary Rogala, jak maluje dzban, nie patrzy na kwiaty w ogrodzie, tylko na to, co robili jego dziad i pradziad. Oni kotka nie malowali, więc i on nie umie.

- Dlaczego nie malowali?

- Nie wiem, córuchno. - A w myśli dopowiedział sobie: "Wieki ustaliły wzór, który stary Rogala i inni podobni powtarzają i powtarzać będą, póki ten świat istnieje, chociażby ziemia przestała rodzić kwiaty... Malują nie to, co oczami widzą, ale co wrosło w ich pojęcie... Nie dziwneż to?"

- A dlaczego słowiczek już nie śpiewa?

- Minęła pora jego śpiewania, Orszulko. - Ja za niego zaśpiewam, skoro on już zamilkł. - Śpiewaj, dziedziczko moja. Czysty głosik nuci:

- "...Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę  
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde..."

- To w czeladnej dziewczęta śpiewały? Czas jeszcze na weselne żegnania. opiewaj co insze.

- Kiedy mnie się to podoba:

"...Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,  
Domu rodziców miłych wiecznie poniechać..."

Słońce zaszło, chłodny wiatr powiał, zatrzepotał białą chustą leżącą na dzbanie. Mimowolny dreszcz przechodzi ojca. Przytula dziecko do piersi.

- Co insze śpiewaj, mój słowiczku, a nie zamilknij

## Prawo książęce

Siedlak\* (\*gospodarz) Macura z Puszczy Podoborskiej przeszedł potężną bramę, zwaną Wyższą, pilnie strzeżoną przez halabardników, i mrocznym zaułkiem wszedł na rynek, gdzie stanął onieśmielony ruchem i gwarem.

Rynek cieszyński był wielki i piękny, murowanymi domami otoczony. W środku stała studnia, kamiennymi cudakami przybrana, wysoki ratusz miał na wieży zegar kunsztowny, a poniżej zegara, pod rozpostartym do lotu orłem piastowskim białym, złocił się napis łaciński. Liczne gospody, jako to: “Pod złotą koroną”, “Pod zbójnikiem”, “Pod brunatnym jeleniem”, nęciły ku sobie przechodniów. Ludzie snuli się tłumnie, bo dzień był sobotni, targowy: miejscy honoratiores\* (\*dostojnicy) w barwistych kabatach, Jackowie jabłonkowscy, błyszczący grubymi mosiężnymi guzikami, i górale w białych galatach\*, (\*galaty - spodnie) guniach\*. (\*gunia - wierzchnie okrycie męskie.) Dwa tęgie pacholki przeszły, kołysząc lektyką, w której drzemała zażywna jejmość w cycowej\* (\*perkalowej) czerwonej w żółte pasy szacie. Z tupotem i brzękiem wkroczył na rynek Frysztańskiej bramy oddział książęcych arkebuzerów\*. (\*arkebuzer - procarz) Spod hełmów; zsuniętych na tył głowy dla gorąca, patrzyły twarze młode, wesole, z trudem udające wojacką srogość. Widok ich przypominał Maturze cel wyprawy. Poprawił kłobuka\* (\*kłobuk - kapelusz) i ruszył z westchnieniem w ulicę Głęboką. Była ona istotnie głęboka jak wąwóz, od wysokich, spiętrzonych gęsto domów prawie że mroczna. Nad podcieniami, stykając się niemal ze sobą, niby ruchomy dach, skrzypiały zgrzytały i kiwały się na wietrze żelazne malowane godła wszelakich cechów. Nad nimi powiewały sznury z bielizną, od domu do domu przeciągnięte. Jeszcze wyżej sterczały długie, w kształt dziwotwornych paszcz wyrobione rynny. Droga szła stromo w dół ku murom i Bramie Wodnej, za którymi na przeciwległym, jeszcze wyższym wzgórzu piętrzył się zamek zjeżony trzema wieżami, czterema basztami i niezliczoną mnogością wieżyczek i blanków\*.(\*blanki - zębate zwieńczenia murów obronnych)

Macura szedł z wolna, wpatrzony weń lękliwie. Na raz drgnął i odwrócił się zdziwiony. Kumotr Kotula, wychylony z ganku swego domu, uderzył go po ramieniu przyjaźnie.

- Ponbóczek witaj! Dokąd idziecie?

- Z Ponbóczkiem... Ku miłościwej pani, do zamku.

- Ku Czarnej? - spytał kum zniżając głos.

- Ano, ano - przytwierdził niepewnie siedlak. Tamtego aż ponosi ciekawość. Z łatwością namówił Macurę by zatrzymał się chwilę dla wypicia kapki. Imć Kotula był majstrem zduńskim, przednio znającym zamkowe stosunki, gdyż obowiązany był co roku jeden nowy piec zielony,

polewany, na sześciu nogach, w zamku postawić, a trzy stare naprawić. Zdanie jego mogło zatem być cenne.

Zasiedli obaj na ganku. Z prawej strony, przedzielonej niską balustradą, piłował starannie kawałek żelaza imć Kokotek, zegarmistrz tak biegły, że w pół roku mógł o zakład piękny pektoralik\* (\*pektoralik - niewielki ozdobny zegarek noszony na szyi) zrobić, z lewej strony imć Barasek, szewc, klepał skórę na kopycie.

- Pięknie witam - uprzejmie pozdrowiła gościa jejmościanka Kotulina, wychodząc z głębi domu z dzbanem piwa i kubkami. Miała biały dziergany czepiec i domową kitajkową jakłę\*. Kotula nalał piwa odprawiając ręką żonę.

- Gadajcież, co wam trzeba od księżnej?

Czego mu trzeba? Ano dzik jeden z puszczy książęcej od wiosny gazdostwo Macurowe obrał sobie za chlew i pastwisko razem. W dzień lega w bajorze, a wieczór wychodzi na pole. Groza spojrzeć na to pole! Anibyś poznał, gdzie były reż\*, (\*reż - żyto) bób, owies, czy kwaka\*. (\*kwaka - rzepa.) Pozbyć się go ani sposobu. Choć księżna okrutnie pono sroga, Macura poważył się przyjsć do zamku prosić, by miłościwa pani gonym w Podoborze raczyli uczynić i tego wieprza ubili.

- No ja, no ja - przytwierdził majster zduński kiwając ze współczuciem głową. Imć Kokotek, zegarmistrz, zaciekawiony opowieścią, przysunął się do samej balustrady. Imć Barasek odłożył kopyto i siadł na poręczy okraciem. Uprzejmym gestem gospodarz prosił ich, by zechcieli wejść na ganek. Jejmościanka Kotulina wyniosła nowy dzban piwa, a pacholek ławę.

- Ja tam nie zniósłbym - zachnął się krewki Barasek - sam bych dzika ubił i ament...

- Bajić! Nie rod ja na szubieniczkę głowiczkę swobodną kłaść. Puszcza książęca jest. Nie lza w niej ubić ni ptaszka.

Umilkli.

- Gadajcie - podjął siedlak - bardzo ona sroga?

- Kdo? Czorna?

- Księżna jedzie! - rozległo się nagle w dole.

Poderwali się na nogi, wytężając wzrok w stronę zamku. Na wszystkich gankach zaczerniało od głów. Wąskim wąwozem ulicy zbliżał się rzeczywiście orszak książęcy: przodem dziesięciu dostatnio odzianych drabantów, za nimi czterdziestu walonów\* (\*walon - członek służby dworskiej.) w czerwonych kubrakach, potem sokolniczowie dzierżący sokoły zakapturzone na piersiach i trębacze o długich trąbach, a na końcu w otoczeniu świetnego rycerstwa jechała miłościwa księżna Katarzyna Sydonia, wdowa po księciu Waclawie, sprawująca rządy w

zastępstwie małoletniego syna. Że od śmierci męża nie zdjęła ciężkiej “pokory”, czyli żałoby, zwano ją Czarną Księżną. Siedziała po męsku na wronym drygancie.\* (\*drygant - ogier.) Wysokie, spiczaste upięcie, z którego czarna zasłona spływała aż na koński zad, wydłużało niepomrotnie jej i tak wyniosłą postać. Spod zasłony poglądały ciemne przenikliwe oczy.

Ludność grodu tłoczyła się na schodach i gankach w milczeniu pełnym szacunku. Choć była ewangeliczką, protestanci nie czuli się śmielsi ku niej niż katolicy. Ceniono ją, lecz obawiano się surowej a dalekiej i niby obcej.

- Zabiegnij, a pros! - trącił siedlaka Kotula.

- Nijak się nie odważę... - odszepnął z żalem Macura.

Księżna przejechała. Dwudziestu arkebuzerów zamykało pochód. Gdy minęli, poprzedni swobodny gwar zalał ulicę.

- Czegoście się polekali? Tyli szmat cesty\*(\*Cesta - droga.) zrobił i stoi jak słup - sarkał na kmotra Kotula.

- Jo doradzę - wracał do swojego imię Barasek - paści założyć albo drzewo spuścić. Księżna pojechała gdo wie, kiej wróci.

- Straciłech dzionek po próznicy - wzdychał utrapiony siedlak, a pożegnawszy obyczajnie całą kompanię, kupił jeszcze dla dzieciaków bublików\* (\*bubliki [z ros.] - obwarzanki.) na rynku za jednego piątaczka i ruszył frasobliwie do domu, rozważając, co mu prawili.

Miesiąc świecił, gdy Macura obudził się nagle, bo ściana, pod którą leżał, trzęsła się gwałtownie, aż obraziczek, na szczypcie wetkniętej w szparze zawieszony, zleciał z hałasem na ziemię. Stękały węgły w wiązaniach. Porwał się na równe nogi, z przerażeniem poglądając wkoło.

- Laboga! Laboga! - zawołała gaździna chwytając na ręce najmłodszego syneczka.

- Nie jęcz! A dyć ino ta świnia czochra się o ścianę - warknął gazda schrypłym z nienawiści głosem, wyjrzawszy przez małe, w bierwionach wyrżnięte okienko. Czarny wieprz, pochrzając z zadowolenia, odchodził właśnie dokonywać zniszczenia zagonów.

Patrzyli za nim w milczeniu. W miesięcznej poświacie widział im się wielki, niesamowity, ni to czechmon czy gniewnik, pogańskie paskudztwo w puszczy pozostałe.

- Nynaj, nynaj, chroboczku - uspokajała gaździna rozkrzyczane dziecko. - Spodziały się to kto!. Skarania nie ma na te bestie, czy co?

- Poczekaj! - mruknął Macura zawzięcie. - Nie będzie on przychodził więcej.

Zaledwo też dzień się zrobił, otropił starannie drogę, którą wróg przychodził z bajora, po czym z synem i parobkiem jęli kopać dół. Nieskoro szło z racji korzeni, więc skrzyknął do pomocy gaździnę i córkę. Pędził ich okrutnie, sam w robocie nie ustając, i przed zachodem wykopali jamę na chłopca albo i więcej wysoką, na siedem łokci szeroką. W dole szerzej było niż u góry. Gdy



skończyli, gazda strómka\* (\*strómek - drzewko.) ściał, zaostrzył i w dno jamy wbił kończastym ostrzem do góry. Zacisnął pięść w kierunku bajora.

- Czekaj! Popamiętasz me!

Nakryli jamę po wierzchu leszczynowymi biczami, na pręty ściętą choinę, na choinę cieniutko, ostrożnie, zdjętą przed kopaniem murawę. Zmierchało się, gdy skończyli. Gazda z pachołkiem wleźli na drzewo, by patrzeć. Jonek Macurów kręcił się niby po polu. Nie czekali długo, bo już z fukiem i sapaniem wylazła bestia na żer. Tylko uwiidził Jonka, zara ku niemu ruszył, kręcąc maleńkim ogonkiem i zwierając szabliska raz po raz. Chłopak na to tylko czekał: uskoczył za dół. Dzik się rozpędził do niego i zapadł w jamę z łomotem i trzaskiem.

- Jezu! - szeptał gazda z wdzięcznością, zsuwając się co prędzej z drzewa.

Odyniec miotał się w dole, schwytyany. Nie nabił się jednak na pał, który wywalił spadając. Zdrów był i wściekły. Maleńkie jego ślepia gorzały czerwono, gdy wyskakiwał ku górze, furcząc, parskając i kłapiąc. Macury stały dokoła, nie bardzo wiedząc, co począć. Wróg był obezwładniony, lecz nie pokonany. Przynieśli drągi i walili w niego z góry co sił, najtęższe razy odskakiwały od łba jak od stali. Jęli więc praskać weń kamieniami. Zmęczyli się w końcu i poszli do chaty. Radość ze schwywania obmierzłego wroga mieszała się z troską: co dalej?

Gdy świt zeszedł, Macura pobiegł ku jamie. Nieprzyjaciel rył boki dołu, wypruwając z nich korzenie, które zjadał. Usłyszawszy idących, kłapanął wściekle, odbił się zadem od kupy narzuconych z wieczora kamieni i omal nie wyskoczył na wierzch. Naraz przycichł i znieruchomiał w dole. Co się stało? Macura wyprostował się, drgnął i pobladł jak płótno. Słuch go nie mylił. Zbliżały się łowy. Z krzykiem wypadły z chaty przerażone kobiety. W nagłym olśnieniu jęli co żywo zwałać w jamę, co było pod ręką: ziemię, kamienie, gałęzie, byle dzik mógł wyskoczyć i pójść sobie w dal.

Za późno. Coraz bliżej grały w lesie trąby i rozbrzmiewała wrzawa łowiecka. Wyskoczyły z gęstwy psy, chlapiąc cętkowanymi waflami. Podfruwały ich kłapiaste uszy i płaty różowe ozorów. Dopadły dołu, ucięły, zagrały, obstały jamę ciasnym wieńcem. Z boru wychywały łby końskie i pstre kubraki dojeżdżaczy dworskich. W jednym mgnieniu oka schwytyany, przytroczony do konia za szyję, Macura, kilkakrotnie zdzielony rzetelnie pletnią przez głowę, patrzył tępo, jak sam łowczy, pan Waleczek, szyje z kuszy w odyńca. Zdychającego wywleczono na sznurach z dołu...

Gdy w twardziźnie dziczego żywota jeszcze się podrywał kłapiąc, dokłuł go oszczepem młody rycerz Larisz. Bestia zwałała się na bok bezwładnie. Macurze wydawało się, że ostatnim błyskiem ślepiów spogląda szydliwie ku niemu: "Ubili me, ale ubiją i ciebie..." Chciał się tłumaczyć łowczemu, prosić, by spojrział na sponiewierane pole. Ale nim usta otworzył, pognano go w kłus za koniem do zamku na sąd.

Księżna Katarzyna Sydonia nad wszystko poważała prawo. Księga praw, spisana niegdyś dla księstwa cieszyńskiego na rozkaz królewicza Zygmunta Jagiellończyka, zwanego później w Polsce Starym, była dla niej najcenniejszym fundamentem władzy i ładu, nie mogącym ulegać zachwianiu.

Niemniej też trzeba było odwagi, by gaździna Macurowa ośmieliła się iść na zamek przed oblicze samej pani. W piersi opiętej barwistym żywotkiem\* (\*żywotek - śląski gorset.) stroskane serce tłukło się jak ptak schwytyany.

- Co chcesz? - zapytała księżna.

Pokłoniła się do stóp jeszcze niżej i płaczem zawiodła, przez łyzy bezładnie prawiając, jak szkodna była bestia, że nie lza było wydzierżeć, jako spaćkała rolę, zryła i reż, i kwakę, i bób, i owies, co szumny taki był z wiesny.

- Prawo wasz znał, to wiedział, na co się waży - rzekła chłodno księżna.

- Miłościwa pani! Paniczko!... Dyć się zlitujcie!

- Cóż ja mogę przeciw prawu? - odrzekła księżna odchodząc.

- O Jezu! Jezu! Trzy talary świnia warta, na sto talarów co roku szkody robi, a człowieka za nią ubijają! Człowieka! - wołała w rozżaleniu Macurowa.

Księżna odeszła milcząc. Szła na basztę południową spojrzeć z góry, czy robotnicy zabezpieczają brzeg Olzy, jako im kazała. Po chwili czarna jej postać wychynęła na szczycie wieży. Wiatr, wiejący na wysokości, szarpnął jej zasłony wdowie. W dole u stóp baszty szumiała na drobnych niezliczonych progach skalnych rzeka. Zwijali się żwawo, znosząc kamienie, robotnicy pod baczynym okiem burgrabiego. Gród Cieszyn leżał tu obok na wzgórzu, wynoszący się kościołami, warowny tęgimi murami. Za Cieszynem i tuż pod zamkiem, za rzeką szumiała, grała puszcza, słała się doliną, wspinała aż na błękitniejące dookoła góry.

Uspokojona widokiem pracujących, księżna odwróciła się w przeciwną stronę. Wzrok jej padł mimo woli, na dziedziniec. Przygarbiona w rozpacz, załamana gaździna Macurowa stała tam tak, jak ją księżna zostawiła przed chwilą. Płakała zapewne, bo głową kołysała bezradnie na boki.

Nagła litość przewiała twardym sercem księżny.

- Oduść mu! - szepnął głos tajny do ucha.

Spojrzała po puszczy zielonej. Póty ona nietknięta, póki groza kary śmierci trzyma ludzi, chciwych zwierzyny, w postrachu. By jeno sfolgować, nie jeden, ale stu wpadnie do kniei. Stracony będzie odwieczny przywilej, ostatnia radość żywota...

“Naisto, tego nie zrobię” - pomyślała.

Wąskie jej usta uśmiechnęły się zielonej kopule lasu. Obróciła się, by zejść, i znowu

stanęła. Podobna z góry bezkształtnej kopce, Macurowa przypadła do ziemi, dygocąc z żalu. Zalana łzami jej twarz, rwąca się w szlochu opowieść o krzywdzie stanęła znów przed oczami.

- Odmień prawo! - zaszeptał natarczywie tamten głos.

- Nie odmienię. Niech da gardło dla przykładu! Cóż znaczy jeden człowiek?

- Skąd wiesz, zali jeden? Pracuje ciężko kmić, by chroniony przez prawo zwierz pracę jego niszczył. Pola, w trudzie uprawne, ryją dziki, trąją łosie, podkradają się pod koszarzyska niedźwiedzie i wilki, a bronić się przeciw nim nie wolno! Takież twoje sprawiedliwe prawa, takie rządy?...

Stanęła dumając. Wiatr trzepał jej zasłonę, skręcając, odrzucając daleko, to zagarniając na głowę. Odsuwała ją niecierpliwie, zamyślona. Naraz podniosła małą trąbkę, wiszącą u pasa, i wychyliwszy się za oblanowanie baszty, zatrąbiła donośnie, krótko. Stojący w bramie wartownik porwał się, przysłonił dłonią oczy szukając, dojrzał ciemną postać księżny i ruszył szybko ku baszcie. Po chwili z otworu wyjrzała jego czerwona, zasapana twarz.

- Chybaj, ale już, do imć pana starosty Żegoty, niech zadzierży egzekucję Macury!

Skłonił się w pas i pobiegł, aż dudniły schody. Księżna Katarzyna Sydonia oparła się o kamienie, misternie rzeźbione blanki, a zapatrzona w ukochaną puszcę, z rezygnacją jęła obmyślać, w jakich słowach ogłosi jutro ludowi nową ustawę, niweczającą odwieczny przywilej książęcy wyłącznego prawa łowów wśród borów cieszyńskich.

## Proroczyna boży

Izdebka kaznodziei królewskiego była uboga i prosta. Bielone ściany, krucyfiks, tapczanik przykryty derką, lawaterz\*, (\*Lawaterz [z łac.] - metalowa lub kamienna umywalnia ze zbiornikiem na wodę umieszczana zazwyczaj w zakrystiach kościołów.) dwie zrudziałe sutanny wiszące na kołku, zydel i stolik z przyborami do pisania. Na stoliku rozłożone karty papieru szklily się posypanym świeżo piaskiem. Ksiądz Piotr Skarga spoglądał na nie z nietajonym żalem. Pragnął jak najszybciej wrócić do przerwanej pracy, a goście mu przeszkadzali.

Gości było dwóch. Wysoki, tęgi miecznik Wolski i przyjaciel jego, starosta wieluński. Nalegali, by ksiądz Skarga pojechał z nimi na Ujazdów zobaczyć mające się tam odprawiać rycerskie gonitwy. Jezuita rozkładał ręce i głową potrząsał odmownie.

- Nie mogę, miłościwi panowie, dalibóg nie mogę. Zresztą co po mnie na tych żołnierskich igraszkach?

- Et, lepiej byś wasza wielebność oczu nie mydlił. Wiemy, że na rycerskim duchu wam nie zbywa... Nie powiadająż to, że w Połocku, gdyście z królem nieboszczykiem siedzieli przy wieczerzy, a kula armatnia wpadła w półmisek, sam Stefan się zacukał i powiada: "Co u Boga Ojca?" A wasza wielebność nic...

- Owszem - roześmiał się ksiądz - powiedziałem, że nas nazajutrz na wieczerzę do twierdzy zapraszają... Ale to dawne dzieje. Dziś raczcie wybaczyć. Nie mogę iść nidokąd. Robota trzyma na uwięzi.

- Cóż to za robota? - zapytał miecznik. Spojrzał w rozłożone karty i skrzywił się z lekceważeniem.

- Po polsku pisze wasza wielebność?! Chryzologiem\* (\*chryzolog [z gr.] - biegły w sztuce malowania złotą farbą lub pisania, tu: złotousty.) polskim was zowią. Cyclerona podobno codziennie czytacie, czemuż więc nie po łacinie?

- Bo dla Polaków piszę, nie dla Rzymian.

- Każdy światlejszy Polak łacinę zna i rozumie.

- Lepiej by swą własną mowę należycie wykształcił i zrozumiał! To nasza pilna potrzeba.

- Darujcie, wasza wielebność, my jej nie widzimy... Czym się człek szlachetniejszego stanu wyróżni od gminu, jeśli jednym językiem złączą gadać? Po polsku pisać potrafi lada kto.

- Oj, nie tak łącno. Zresztą między synami jednej ojczyzny jedna tylko powinna być mowa.

- Toż jest jedna między naszą szlachecką bracią.

- Na szlacheckiej braci naród się nie kończy. Nie sama szlachta żywie na tej ziemi.

- Ej, ojczy, znamy te wasze grzeszne pogadanki! Niby że chłop a pan to jedno?

- Iście po mojemu tak.

- Żeby to kto inny powiedział! Żeby to kto inny ośmielił się powiedzieć! - zakrzyknął pan miecznik czerwieniejąc z gniewu. - Więc, zdaniem księdza, moi poddani i ja...

- Przed jednym staniem kiedyś trybunałem - dokończył ksiądz Skarga. - Zali wówczas ci nieboraczkowie, co są pod wami jak ziarno pod młyńskim kamieniem, nie otrzymają pierwszego wchodu?

- Przebieracie miarę, wasza wielebność, przebieracie miarę... Dufni w protekcję i opiekę króla jegomości, zbyt srogo na nas nastawacie.

- Nie nastawam na nikogo. Ani liczę na czyją protekcję lub o nią zabiegam.

Miecznik zmieszał się czegoś i poczerwieniał. Starosta chciał ich pojednać:

- Darmo czas tracim na próżnych dysputach - narzekał. - Jedźcie z nami, wasza wielebność.

Kolaska czeka pod zamkiem...

- Wdzięcznym wielce za dobrą chęć, ale już rzekłem, że odejść od pracy nie mogę.

- Chodźmy zatem - burknął starosta urażony. - Czołem!

- Z Bogiem, waszmościowie, z Bogiem!

Wyszli trzaskając gniewnie drzwiami. Ksiądz Skarga odetchnął z ulgą i ujął za pióro. Jak gdyby sobie coś przypomniawszy, wstał jednak jeszcze i wyrzwał na korytarz.

- Bracie Jakubie - rzekł do stróżującego tam nowicjusza - nie dopuść, by mi znowu przeszkadzano.

Po czym zagłębił się w pracy. Odczytywał uważnie napisane uprzednio strony. Były to ostatnie karty wielkiego zbioru kazań na wszystkie niedziele i święta, których opracowanie zajęło mu wiele lat. Teraz gdy dobiegał końca pracy, myślał z niepokojem, zali oddał w niej to wszystko, co pragnął? Czy one kazania staną się, jak marzył, pokarmem dusz, źródłem żywym, przykładem dzielnym do naśladowania? - "Nieudolnie je spisał - strofował sam siebie - w ustawicznym niedostatku czasu w rozproszeniu innych zajęć... - Zali jaką korzyść przyniosą?..."

I jak gdyby w potrzebie usprawiedliwienia się przed samym sobą jął pisać:

"...Myślę, jako się sprawię Panu memu, który mię na tę robotę posłał, gdy zapyta: Coś mi zrobił? Wiele i jakicheś mi pożytków przyczynił? Czym się wtedy postawię, co ukażę? Zawstydzony się i przestraszony rzeknę: Panie, posłałeś mnie do dworu królewskiego i do senatu, i do rycerstwa, i do sług, i poddanych. Upominałem ich, aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, wiernie i uczciwie miłowali... aby wolnością swoją nie ginęli, a niewoli obcych panów na siebie nie przywodzili. Wołałem na nie, aby na niewierność, mężobójstwa, lichwy wydzierania, najazdy i inne grzechy lepszą i prędszą sprawiedliwość znaleźli, aby się krzywdą

ubogich nie obciążali... Cóż mam dalej czynić, Panie? Cóż więcej mogę uczynić?... Nie wiem, co się dzieje, że nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje. Do pokuty rzadki bardzo zostaje, chytre ryby od sieci Twej uciekając pojmać się nie dają. Nie masz dostałych jagód, nie masz pociechy.

Przerwał pisanie, bo za drzwiami rozległy się kroki. Kobięcy żalony głos prosił o coś, nalegał. Brat Jakub coś tłumaczył zniecierpliwionym półszepem. Pomału wszystko ucichło. Wróciła cisza. Można było pisać dalej. Ale ksiądz Skarga odłożył pióro, wstał i wyjrzał znów do sieni.

- Kto to był, bracie Jakubie?

- Wdowa Mękarzowa z Krakowskiego Przedmieścia, ta, co tu nieraz przychodzi.

- Gdzież poszła?

- Odesłałem. Przyjdzie kiedy indziej.

- Odesłałeś!? Odprawiłeś z niczym niebogę? Bracie Jakubie?!

- Przecież wasza wielebność sam powiedział, żeby nikogo nie puszczać...

Ksiądz Skarga rozgniewał się na dobre.

- Com mówił, tyczyło dworskich, a nie biednych! Ubogiego odegnąć!? Lećże za nią! Albo lepiej zostań! Sam pójdę...

Z zalem spojrzawszy na przerwana ponownie robotę narzucił zniszczony płaszcz i wyszedł śpiesznie na dziedziniec, z dziedzińca na plac Zamkowy.

Plac był rozległy jak błonie, objęty z dwóch stron Zamkiem, katedrą i murami miejskimi. Pod murami biegła ulica zwana Podwale. Na wprost Zamku szeroki piaszczysty gościniec wiodł do Ujazdowa. Wznoszące się przy nim nieliczne domki zwano Krakowskim Przedmieściem. Plac był gwarny niby w czas odpustu. Poczty pańskie strojne i barwne jak szczygły, huczni i szumni towarzysze pancerni w skórach wilczych lub rysich spływających z ramion, poszóstne kolaski, coraz rzadsze, lecz przez starszych ludzi zawsze ulubione lektyki, drabanci, powózki chłopskie dowożące z królewskiej daninę dla dworu, rybałci i żacy. Ci ostatni na widok księdza Skargi w skok biegli ku niemu. Zazwyczaj krnąbrni, nieufni, nie szanujący nikogo (znane było powszechnie przysłowie: gorzej niż raka obawiaj się żaka), garnęli się do niego serdecznie jak do ojca. Bo też ojcem był im istotnie, litując się ich żakowskiej biedzie i poniewierce.

Żaki się rozsypały, bo wdowa Mękarzowa, stojąca dotąd pod zamkiem, dojrzała księdza i parła się ku niemu z rozpostartymi rękami.

- O jegomościu! O złocisty!

Chlipała, że musiał ją uciszać. Niechże się ukoi i opowie statecznie, o co chodzi.

Otarła oczy zapaską i opowiedziała. Niedługa sprawa. Gdzie ma tę oto chałupkę, warzywnik i pastewniczka kawałek, pan marszałek koronny chce sobie pałac nowy stawiać. Że w tamtym za murami ciasno. Już przychodzili jego wiernicy oglądać miejsce i powiedzieli, że sposobne...

- Rozwalą dom, grunt zabiorą. Gdzie ja się z dziećmi podzieję? Reta! Reta! Jezusiczku miłosierny!

- Ależ grunt jest wasz? - pytał ksiądz.

- Mój, jegomościu, mój... Teść na nim mieszkał i mężów dziad... własna, dziedziczna ziemia... A teraz z niej precz wyżmą. Jezu! Jezu! Mówiłam marszałkowym, że to moje, wyśmieli się. Wielu o to stoją! Wielu o to dbają!

- Jeżeli marszałek chce się w tym miejscu budować, musi od was grunt kupić albo zamienić.

- I to mówiłam, prosiłam. Też wyśmieli. Pan marszałek węża ma w kabzie - powiadali - i bez przymusu pewnikiem nie zapłaci, a kto takiego pana przymusi? Jest to mus na niego?

- Pomówię z marszałkiem - jak będzie trzeba, do samego miłościwego pana pójde, w Bogu nadzieja, że jakoś zaradzi - pocieszał ksiądz Skarga, twarz jego zostawała jednak frasośliwa. Znał nadto dobrze upartą pychę i skąpstwo margrabiego Gonzagi Myszkowskiego, wielkiego marszałka koronnego, ulubieńca króla, znał aż nadto dobrze niedomogi sądów, niemożność uzyskania w Rzeczypospolitej sprawiedliwości drogą prawną. Jeżeli marszałek się uprze, rozwali chałupkę wdowy, zabierze jej grunt, by postawić na nim pałac, i nikt mu nic za to nie uczyni. Jedyny hamulec wielmożów może stanowić ich własne sumienie, tak często niestety śpiące i zdrętwiałe...

- Z drogi! Z drogi! - zakrzyczano.

W piękne siwosze zaprzężony, lśniący złoceniami pojazd walił drogą poprzedzany przez konnych hajduków. Chmura kurzu za nim. Piesi, powózki uciekali śpiesznie na boki. Cofnął się ksiądz Skarga. Kolasa już go mijała, gdy z okna wychylił się miecznik Wolski.

- Stój! - wrzasnął do woźnicy. Konie nagle zatrzymane przysiadły na zadach. Kolasa stanęła wśród brzęku łogoszów\*. (\*Łogosz - tu części karety i zaprzęgu, siodło pachółka z tyłu powozu, orczyk.) - Siadajcie, wasza wielbność, siadajcie! Wiedziałem, że się namyślicie. Szczęście żeśmy was spostrzegli...

- Bóg zapłać, waszmościowie, wszakże nie idę do Ujazdowa.

- A dokąd?

- Mam tu ważną sprawę z tą oto niewiastą.

- Iście musi być ważna, gdy z taką personą. Ano nie nalegamy, nie nalegamy... Jazda!

Konie porwały się z miejsca. Kolasa ruszyła złościąc w piaszczystej drodze głębokie koleje.

Dwóch konnych w pstrej barwie gnało za nią. Ksiądz Skarga patrząc na opadający pył zamyślił się niewesoło, a tak głęboko, że nie słyszał prawie narzekania Mękarzowej. Ach, jak mu dokuczały spotykane co krok samowola, bezprawie i zbytek! Taki miecznik Wolski posiadał dwie obdłużone wsie, wisiał ustawicznie przy dworze kołacząc o zapomogi, ale sprawił sobie nową szóstkę koni i pozłocistą kolasę. Bezmyślne marnotrawstwo! Obok zaś tego zbytku, tego zamięłowania w splendorze, panoszy się przeraźliwa nędza. Wszędy jej pełno, kroczy za zbytkiem krok w krok. Nędzne są miasta i wsie Rzeczypospolitej. Więcej w nich głodnych niż sytych. Próżne usiłowania, by temu zaradzić. Zbytek i niezgoda jednych, niedola i ucisk drugich - dokąd zawiodą ojczyznę? Jak się dzieje, że nikt nie chce widzieć, iż budowla na takich węglach oparta nie ostoi się przed wrogiem? I jak ciężko być takim siakim "proroczną Bożym", co sam jeden widzi i przeczuwa, lecz samotny, opuszczony od wszystkich, stoi - niby dziewczka pogańska Kasandra, której nikt nie słucha...

Zapominając, gdzie jest, wznosił ręce w górę i krzyknął z najgłębszą troską:

- I cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo!?



## W pracowni Rembrandta

Zwarte, surowe szeregi chorągwi lisowskich\*, (\*Lisowczycy - formacja lekkiej jazdy, zorganizowana na początku wieku XVII przez Aleksandra Lisowskiego, wyróżniająca się bitnością.) gotowe do dalszego pochodu, stały na rynku małego miasteczka Noyon. Od barwistych ich kaftanów odcinały się twardo suche, zastygłe twarze zabijaków, spalone na miedź słońcem lub mrozem obczyzn dalekich, nieznanych. Giętkie łuki kołysały się poza plecami, haftowane złotem sajdaki \* (\*sajdak [z tur.] - kołczan wraz z łukiem i strzałami.) wisiały u boku. Koncerz\* (\*koncerz [z czes.] - broń biała o prostej i długiej głównej, przeznaczona wyłącznie do klucia.) pod udem i zrosła w jedno z dłonią szabla, giętka, jadowita, śmigła, dopełniały uzbrojenia. Nie nosili blach ni hełmów.

Pan pułkownik chorągwi lisowskich, Paweł Noskowski herbu Łada, stał przed szeregami w asystencji rotmistrzów: Gromadzkiego herbu Oksza, Dębińskiego i Broniewskiego, spoglądając w dal ze znużeniem. Chuda ręka oplatała niecierpliwie głównię buzdygana. Siwy niewielki koń wyciągał głowę, równie znużony spokojem. Nic bo nie mogło być dla wierzchowca i jeźdźca dokuczliwsze niż beczyność, wstrzymanie się tuż przed zdobytym już na poły celem. Wiatr zawiewał aż tutaj głos dzwonów, bijących nieustannie w szalejącym z trwogi przed nimi Paryżu, oni zaś musieli stać czekając. Na co? Ba, gdybyż wiadomo, na co! Przemądre, zawile knowania dyplomatyczne genialnego kardynała Richelieu pewniej niżli bohaterska obrona i śmierć panów de Montbazon i de Montlosier wstrzymały straszliwy lot zaciężnych cesarskich pułków polskich i kroackich. W chytrym mózgu kardynała poczęta i posiana kłótnia między cesarzem a infantem osadziła na miejscu niezwykniętych junaków omal że pod bramami stolicy. Nie dziw, że czas im się dłużył.

Huczna wrzawa, kwik nierogaczyny, beczenie cieląt przerwały ciszę. To do zajętego już od czterech dni przez lisowczyków miasteczka wkraczały właściwe wojska cesarskie. Szli wolno, obciążeni będąc łupem. Za opasłym, obładowanym gąsiorami z winem dowódcą ciągnęły rajtary, pędzące stada kóz, cieląt i owiec. Przywiązana na długim postronku do końskiego ogona świnia kwiczała przejmująco. Z wielkiej pierzyny, sypiącej puchem wokoło, przerzuconej przez zad potężnego fryza, sterczały głowy indyków i gęsi.

Pan pułkownik Noskowski, w którego chorągwiach rabunek był gardłem karany, spojrzął na owych rycerzy ze wzgardą i odwrócił wzrok w przeciwną stronę. Tam wsparty o ścianę zajezdnego domu stał cudzoziemski pan w kryzie i sutym atlasowym stroju. Wielki pilśniowy kapelusz ze zwisającym z boku piórem ocieniał jego twarz. Bystre szaroniebieskie oczy błyskały spod ronda.

Wąsy nosił odczesane ku górze modą niemiecką i szwedzką. Spotkawszy wzrok pułkownika uśmiechnął się i ruszył wprost ku niemu.

- Racz wybaczyć, wasza godność, że inkomoduję - zaczął po niemiecku - zali to są one sławne pułki polskie?

- Tak jest.

- ...Te, o których powiadają, że cały świat przeszedł i nic ich impetu nie wstrzyma?

- Słusznie tak gadają, owszem.

Cudzoziemski pan objął zachwyconym spojrzeniem szeregi.

- Ach - rzekł - słyszałem wiele nie tylko o bezprzykładnym męstwie, ale również o szlachetnej dworskości obyczajów polskich. Mam prośbę do waszych godności... Jestem Rembrandt van Rijn z Amsterdamu...

Urwał na chwilę, jak gdyby czegoś oczekiwał, lecz rycerzom nic zgoła nie mówiło wygłoszone nazwisko.

- ...Malarzem jestem i wielce zobowiązalibyście mnie, panowie, stojąc tak, o, chwilę spokojnie, bym mógł naszkicować sobie konterfekt waszej godności.

- Co takiego? - zapytał pułkownik niepomiernie zdziwiony.

- Konterfekt - powtórzył Holenderczyk, wyciągając żwawo z kieszeni kaftana kartelusz i ołówek. Rozprostował papier w dłoniach, schwycił stojącą pod ścianą stolnicę, oparł go o nią i kreślił żwawo, nie zważając na nic.

Pułkownik patrzył, zdumiony.

- Malarz?... - zauważył po polsku rotmistrz Gromadzki. - Był ci u nas jeden taki, konterfekt nieboszczyka dziada, któren cześnikiem był, malował. Sposobny był chłop. Inoś spojrział, toś dziada poznał, bo guzy od żupana utrafiłone były jak żywe, pas to samo... Liczyłem frędzle, o dwie się tylko omylił. Taki malarz! Ale całą zimę we dworze siedział, tłusto jadł i co dzień dwie godziny dziadowi siedzieć bez mrugnięcia kazał... Co zaś ten tam fircyk naskrobie?

Pan Rembrandt, nie zwracając uwagi na rozmowę rycerzy, rysował ostro, aż szeleścił papier. Przenikliwym spojrzeniem ogarniał postać pułkownika, którego znudziło już spokojne stanie.

- Daruj waść - rzekł nagle pan Noskowski ruszając siwką - widzę, że moje podjazdy wróciły.

- Wasza godność! - zakrzyknął Holender błagalnie. - Raczże mi zrobić tę łaskę i przyjedź do mnie do Amsterdamu, bym mógł skończyć!

- Gdzież owo Amsterdam leży? - zapytał pobłaźliwie pułkownik.

- W Niderlandach, szumny gród, nad morzem... Morze aż do grodu wpływa...

- Daleko?

- Niedaleko chyba dla tych, co jak słyszę, cały świat przebiegli... Zajedźcie do mnie, panowie!

- Cóż zaś tu waść, orężnym człowiekiem nie będąc, tyli szmat drogi od kraju robisz?

- Wysłały nasze stadthudery \* (\*stadthudery [z niem.] - stadtländerzy - wielkorządcy prowincji.) posłów do króla Ludwika, tom się z nimi złączył, by nowych, innych niż nasze ludzi obaczyć... Przyjedziecie, dostojni panowie?

Rozpłomienione oczy wpierał w twarz rycerza tak uporczywie, że ten machnął przyzwalająco ręką.

- Zajedziem, jeśli się uda... Amsterdam, Amsterdam... - powtórzył kilkakrotnie dla pamięci.

- Jakże tam najdziemy waści?

- Zapytajcie się jeno o Rembrandta van Rijn, a każdy wam mieszkanie moje wskaże! Ale przyjedźcie koniecznie! - wołał za odjeżdżającymi błagalnie.

- Rzekłem, że przyjadę, jeśli będzie można - odkrzyknął pułkownik, znudzony.

- Mistrz Rembrandt van Rijn?! Tędy, tędy, dostojni panowie! - wołał z przejęciem zapytany o drogę przechodzień. Stukając drewnianymi sabotami o ubitą glinę drogi, szedł rażno przed końmi pułkownika i rotmistrza Gromadzkiego. Kilku pachołków jechało konno za nimi. Zwabieni niezwykłym ubiorem jeźdźców ciekawi pytali przewodnika, dokąd by obcy rycerze dążyli, a posłyszawszy, że do mistrza Rembrandta, kiwali radośnie głowami. Wszystkie ręce wyciągały się w jednym kierunku, wskazując niezbyt odległy już dom.

- Musi to ktoś znaczny być, że tak nas wiodą - zauważył pan pułkownik Noskowski.

- Nie może być znaczny, bo sam gadał o sobie, że malarz... Toćże by się takim kiepskim rzemiosłem nie paćkał, rycerzem mogąc być. Aptekę może ma albo szynk, to i wszyscy o nim wiedzą.

Umilkli rozglądając się z ciekawością po grodzie, jakiemu równego nie widzieli. Środkiem pomiędzy domami szły szerokie, ocembrowane palami kanały pełne leniwej, mulastej wody. Ze zdumieniem zauważyli, że wąska droga między kanałem a domami prowadząca, którą szli, była rodzajem pomostu na palach. Sztuczny grunt uginał się pod nogami. Wysokie fasady pięknych, lśniących od czystości domów odbijały się w żółtawej wodzie. Wielkie cierpliwe konie holowały ku górze wyładowane towarem berlinki. Las masztów drżał w oddaleniu.

- Cudaczne miasto - stwierdził pułkownik. - Jakże te domy budowali, skoro tu wszędzie woda jest? - zwrócił się do przewodnika.

- Na palach, wasza dostojność. Mielizny tu są błotniste, na których by się i chałupa nie ostała. Pale trza bić aż w grunt. Pod ten kościół - ukazał ręką cudnej budowy świątynię - wbili pono

sześć tysięcy i pięć setek palów...

- Laboga! Mało to gruntu suchego na świecie?

- Mało u nas, wasza dostojność. Przeto my się k'morzu garniem. Morze nasza żywicielka, nie ziemia... A ot mieszkanie mistrza Rembrandta - dokończył, puszczając w ruch ozdobną kołatkę przy drzwiach najbliższego domu.

Pan Noskowski rzucił mu talara. Pachołcy zabrali konie. Drzwi się uchyliły. Brzęcząc ostrogami, stukając luźno upiętymi szablami rycerze weszli do sieni. Wąska była i mroczna, o rzeźbionym dębowym pałapie. - W oknach tęczyły się szybki w ołów oprawione. Skrzypnęły piękne schody, wygiętym węzem na górną galerię wiodące. Jasną plamą barwiąc się w pomroce izby, wychylała się przez poręcz kobieta, wpatrzona w przybyłych. Krzepka była i urodna, tchnąca pogodą i zdrowiem. Piwne jej oczy pełne były blasków złotych.

- Baba jak rzepa - mruknął rotmistrz z uznaniem.

- Wasze godności pragną widzieć mistrza Rembrandta, mojego małżonka? - zapytała po holendersku młodym, dźwięcznym głosem.

Skłonili się obaj dwornie.

- Rycerze polscy swobodni z chorągwi lisowskich jesteśmy - rzekł pułkownik po niemiecku. - Mistrz (skoro go tak zwą) Rembrandt prosił temu cztery niedziel, byśmy k'niemu zaszli...

- Rycerze polscy! - krzyknęła z zachwytem. - Pan małżonek szczęśliwy będzie i okrutnie rad. Proszę za mną do świetlicy...

Weszli na górną galerię, skąd do izby wielkiej i jasnej, bo - większej, niż kiedykolwiek zdarzyło im się widzieć - okno otwarte było na oścież. Świetlica piękna była i bogata, lecz zagracona dziwacznie. Nie licujący z ozdobnością miejsca komin z okapem zastawiony był tyglami. Okryta szarą płachtą rama stała na koźle pośrodku. (Wrota wywalone czy co? - zdumiał się rotmistrz Gromadzki). Wielkie płótna na krzyżakach rozpięte i deski stały pod ścianami. Po kątach walały się zwitki papierów i płócien. Czeladnik w skórzanym fartuchu mieszał coś w tyglach. Wyglądający przez okno mistrz Rembrandt odwrócił się na odgłos kroków:

- Na Boga - krzyknął - z nieba spadliście panowie! Dusznie pragnąłem was widzieć, bodaj na godzinę, dwie... Malowałem ci ja sam, ale pamięć zła sługa, co najważniejsze przeoczy. Saskio, duszo moja, przyślij nam żywo, co masz w domu najlepszego! Wina, konfektów, ryb, miodu, dla takich gości! Mój Boże!

Krzętał się, goszcząc ich, jak mógł, i na przednich miejscach sadzając. Tymczasem czeladnik rozdmuchał mieszkciem ogień na kominie i poprząsuwał doń tygle. Na stołku przy okrytym płachtą koźle położył deskę, na niej ustawił część tygli, z kąta wyjął więź pędzli

szczeciniastych, borsuczych, wiewiórczych, ochędożył je fartuchem, zdjął płachtę z deski, dał znak mistrzowi, że wszystko gotowe.

- Alchemik albo czarownik, najprędzej jedno i drugie - zaniepokoił się rotmistrz Gromadzki. Lecz pułkownik nie podzielał tych obaw i na prośbę gospodarza zgodził się usiąść okrakiem na ławie niby na koniu. Obu paliła chęć zobaczyć, co na owej desce jest, lecz nie zdało im się obyczajne zbytnią ciekawość okazać.

- Opowiadaj, wasza godność, opowiadaj, gdy ja będę malował - prosił mistrz Rembrandt patrząc w pana Noskowskiego zachwyconymi oczami - tedy aż w krainie lodów były lisowskie chorągwie?

- Tak jest - odparł pułkownik z zamyśleniem - aż nad Białe Morze, które od wieczystych śniegów tak jest zwane, prowadził nasz szlak... I dalej jeszcze i dalej ziemią, której nigdy do końca nie zdeptała noga, za przewodnika mając słońce, tak rozumiejąc, iż musi tam ktoś być, komu to niebieskie oko świeci, gdyż, jak powiadają: Bóg i przyrodzenie nic darmo nie czynią... Widzieliśmy tam białe niedźwiedzie, foki, monstra różne morskie zębate i szpetne, i ludzi w skóry zaszytych, niedźwiedziom się jako Bogu kłaniających, szpetniejszych od owych monstrów.

- Hej - wtrącił rotmistrz - zjeździliśmy kraje, których na mapie nie znajdziesz, bo żaden tam mędrak nie zaszedł, co by je opisał.

- Przyszliśwa - ciągnął pułkownik - na sam kraniec lądu, gdzie na lód, co brzegiem leżał, waliły się morzem pędzone góry lodowe, większe niżli wasza fara, skąd grzmot był i zgrzyt kruszących się lodów na kilka mil wokoło.

Podparł się ręką pod bok, utkwivszy przed siebie oczy.

- ...Tam się trza było zawrócić, oceanowi ustąpić. Jechaliśmy nazad przez Sibior i starożytnego Persa dziedziny, przez kazańskie i astrachańskie ordy, potem przez Węgry, Czechy, Niemcy, wielką rzekę Ren, ku Francji, mając przed sobą zawdy tylu nieprzyjaciół, że praca byłaby witać ich, a cóż gromić!

- Opowiadaj, wasza godność, opowiadaj!

- To jest żaden malarz - mruknął półgłosem rotmistrz. - Tamten, co dziada malował, borsuczym pędzelkiem ino płótno muskał, a co raz dotknął, to ze dwa pacierze myślał, ten zasie chlasta, jakby uczciwszy uszy, chlew bielił...

- ... Rwała się dusza - prawił dalej pułkownik, nie bacząc na uwagę towarzysza - by do oceanu nowego, nieznanego nam dojść, znów łoskotanie fal posłyszeć. Gońce my, którym jeno morze koniec drogi śmierć zaznaczyć. Niedaleko już było. W Compiegne pod Paryżem podjazdy nasze stały... Ale cesarz z królem pokój zawarli, tedy trza było zawrócić. Do kraju teraz pojedziem czekać tam nowej okazji...

- Nie bierze tęsknota za krajem?

- Czemu nie? Owszem, kraj swojaki miła rzecz... Raduje się dusza wracając. Ale niedługo! Ino obaczyć, odetchnąć i znów ruszać dalej... Nie osiedziali my ludzie. Toćże każdy z nas w kraju substancję niezgorszą ma, siedzieć by w zagrodzie swojej mógł, pszenicę siać i na sejmikach pyskować. Ejże, nie dla nas to życie! Gna mus po świecie szerokim. Nie dla zysku, boć zdobywszy, jak waść widzisz, nie znać po nas... Z tak wielu bitew każdy zapłatę w szczerbach jeno na łbie nosi. Nawet nie dla sławy, bośmy jej użyli i syci. Tak ot, niespokojność pędzi w obczyzny, których nikt nie przebieżał, gdzie Bóg ziemi zawiasy położył. Dalej i coraz to dalej, ciągle wojując. Do boju wzrosliśmy i by nieprzyjaciela nie stało, samym by się chyba potykać ze sobą przyszło...

Urwał zapatrzony w otwartą przestrzeń za oknem. Niebo różowiało nad koronką masztów. Pędzel szustął po płótnie, pacholek dolewał rycerzom wina.

- Ot, żal, że ginie to wszystko - podjął znów pułkownik. - Gdy wszyscy pomrzem, nie zostanie śladu po lisowczykach. Na ostatniej niemieckiej, za pułkownika serdecznego Strojnowskiego, był z nami kapelan, uczony człek, ksiądz Wojciech Dębołęcki z Konojadów. Ten kronikę ówczesnych naszych przewag spisał, elearami nas zwał, co się wyklada: harcownikami albo przodownikami. Ninie się starowina doma na parafii ostał. Nie zostanie nic z naszych dziejów...

Urwał, bo mistrz Rembrandt wyszedł zza płótna, zmęczony jak żeniec. Rzucił pędzle na podłogę i obtarł rękawem pot z czoła.

- Wina! - rzekł schryplym głosem do pacholka.

Wypił duszkiem i zwrócił się do gości.

- Nie zostanie nic, mówisz waść? Przecież coś może...

- A jużci, konterfekt waścin, który radziśmy już obejrzyć! - roześmiał się rotmistrz Gromadzki.

- Popatrzcie - rzekł mistrz spokojnie.

Cofnął się o dwa kroki i z pomocą czeladnika obrócił na śrubie ciężki kozioł.

- Na rany Chrystusa! - zakrzyknął pułkownik.

I patrzyli, oniemiaли, zdumieni, jakoby w obliczu najpotężniejszych czarów. Na ciemnym tle borów dalekich jechał jeździec, żołnierski wędrowiec. Przebieżał wiele jego chudy siwy koń o muskularnych, suchych nogach. Głowę wyciągając w przód, ostrym uchem, rozwartym nozdrzem chłonał leżącą przed nim jeszcze przestrzeń. Młoda twarz jeźdźca patrzyła w oddale, usta drżały żądzą lotu, zrywały się strzały z sajdaka. Biła zeń zuchwałość straszliwa, śmiałość męska, która raduje się niebezpieczeństwu, ociera o skrzydła śmierci. Stopy tkwiły w strzemieniu lekko i pewnie, jak serce rycerza wetknięte w świat przygód.

- Zawołaj panią! - rzekł gospodarz do pachołka.

Weszła szeleszcząc pawłokiem szaty. Miła jej twarz zajaśniała w cieniu, który powoli osnuwał izbę. Zapominając o gościach pan Rembrandt posadził ją koło siebie na ławie, otoczył tkliwie ręką i oparł zmęczoną głowę na jej krągłym ramieniu, niby w dobrej przystani. Nie broniła mu, z zawstydzeniem odwracając głowę od rycerzy. Lecz oni, choć zazwyczaj pochopni do żartów, ani zważali na poufałość malarza. Oczy ich, urzeczony, znieruchomiałe, przywarły do obrazu. Pan Noskowski czuł dziwny niepokój i pierwszy raz w życiu lęk. Zdawało mu się, że dusza z niego wyszła i pokładła się posłusznie na obrazie, on zaś został pozbawiony czegoś, próżny. Czuł się prawdziwszym, istotniejszym na płótnie niżli we własnej swej skórze. Jakże stąd odejdzie? Zostawi obraz, wydobyty zeń z głębi najtajniejszej, ujawniony światu i sobie samemu? Zaprawdę pan Rembrandt van Rijn straszliwym był czarownikiem!

- Duszę mi zabrałeś waść... - mruknął półgłosem.

- A wiera! - zakrzyknął pan Rembrandt. - Zabrałem ją i waść dawno umrzesz, a ona ostanie. Puścił żonę i wypoczęty już, rozpogodzony, zawołał:

- Ukażę wam Putyfarową małżonkę, Dawida z Absalonem i inne jeszcze obrazy...

Nie czekając odpowiedzi poskoczył ku ścianom, odwracając z czeladnikiem wielkie płótna. Że zmrok już zapadał, pani Saskia zatliła świeczniki. W migotliwym żółtym blasku świec przed rozszerzonymi zdumieniem oczyma rycerzy zaroił się tłum postaci.

## Wesele w Jaworowie

Podstarości jaworowski był twardy człek, toteż dziwili się wszyscy Maryjce, że idzie go prosić. Odradzali, jak mogli. Dziewczyna była uparta i trwała przy swoim.

- Żeby mi się nie należało, to bym nie szła... - powiadała - ale kiej nie łaski proszę, jeno naleźnego...

- I gęby szkoda po próznicy strzępić... - odpowiadali kiwając głowami nad jej niedoświadczeniem. Należało się, należało... cóż z tego? Iście powinien był podstarości dać jej roczną cieliczkę na wiano i miarkę mąki na kołacz weselny przyczynić, bo sierotą była, a od maleńkiego robiła na dworskim, ni jednego dnia nie opuszczając. Zwyczaj był, że taką z pańskiego wienili. Ale podstarości nie da, nie da... Nieużyty, niedobry człowiek.

- Miłaś mi i bez cielicy - pocieszał ją narzeczony, Jaśko Ryczan, kowal, jeden z licznych kowali, którymi słynął Jaworów. - Ani mi do tego Heroda nie zachodź!

Lecz Maryjka się zawzięła. Paliło ją poczucie słuszności swej sprawy i straszna chęć, żeby też przecie posiadać coś swojego. Żeby nie przychodzić do chaty mężowskiej jak ta znajda, co nic nie ma prócz przyodziewku na grzbiecie. Bodaj cieliczkę przywieść! Bodaj kołacz samej spiec!

Więc przybrawszy się odświętnie w nowy gorset i szeleszczące krochmalem spódnice, poszła do dworu upominać się o swoje. Zrazu szła rażno, potem coraz wolniej. Zbierał ją lek przed groźnym obliczem podstarościego, a przy tym żał rozstania się z marzeniem. Póki jeszcze nie odmówił, można było wyobrażać sobie Bóg wie co. Że przychylnie powiada: "A którą, Maryś, cielicę wolisz? Graniastą czy Łysą? Bierz, boś jest robotna dziewczyna... Jeszcze ci podświnka przyrzucę i mąki dam..."

... O Jezu słodki, o Jezu!... Cóż by to było za szczęście! Sama myśl zapierała dech w piersiach.

Zmrużonymi oczami goniła swoje marzenia po lśniącej w słońcu tafli stawu. Nie staw to był, ale prawie jezioro, szeroko brzegami trzcina, szuwarem, tatarakiem i lepiechą porośłe. W ich szumiącej gęstwie roiło się od wodnego ptactwa, na zarośniętym zaś wikliną ostrowiu gnieździły się czaple, siwe, szczudlaste i szkodne. Nie wolno ich było płoszyć nikomu, bo król jegomość, gdy do Jaworowa zjeżdżał, lubił polować na nie z sokołami.

Mimo tego zakazu ktoś widno łowami się bawił, bo właśnie z wrzaskiem i gęgotem porwało się w powietrze stado dzikich gęsi. Mały kobuz wisiał nad nimi, ciskając się jak piorun w dół, to unosząc w górę, gdy zwarty kłęb ptaków nadstawiał mu rozsrożone dzioby. Czerniejąc w górze, wypatrywał sposobnej pory do ponownego uderzenia.



Maryjka patrzyła z zajęciem.

- Pewnikiem podstarościc poluje... Widno król jegomość latoś nie przyjedzie...

Ani spostrzegła, kiedy już weszła w zamkowe obejście. Zamku po prawdzie nie było. Spaliły go, zburzyły Turki czasu ostatniego najazdu. W jego miejscu stał wielki nowy dwór, połową murowany, połową drewniany, z basztą ze starego zamku pozostałą połączony, z gdańskimi oknami i drzwiami pięknej stolarskiej roboty. Po drugiej stronie dziedzińca były stajnie, mieszczące zimną głośną jaworowską stadninę, i oficyna, w której mieszkał podstarościc. Siedział teraz na ganeczku oplecionym chmielem, odziany w kitel płócienny, dla gorąca rozwarty, spod którego wyzierała zgrzebna koszula. Krzyknął srogo na Maryjkę:

- Co się tu włóczysz, miasto być u roboty!

Podjęła go pod kolana z pokorą.

- Dyc panoczek sam mnie zwolnili... Weselisko mam w niedzielę...

I nieśmiało, drżącym z przejęcia głosem jąła mu przedkładać swą prośbę. A jużci! Pierzchły szybko jej piękne marzenia. Nawet nie dozwolił dokończyć, skrzyczał; sklął, zagroził, że jak mu się będzie naprzykrzała, to pozwolenie na wesele cofnie. Całkiem jak to jej przepowiadali. Odeszła cicho, z trudem hamując łzy, dopiero skręciwszy za lamus buchnęła głośnym, niepowstrzymanym płaczem, żalność ją ogarnęła nad jej sierocą dolą i doznaną krzywdą, przeciw której ni obrony, ni opieki. Należała się jej cieliczka, należała... Ale ma to biedna sierota, chłopianka, możność upomnieć się o swoje prawo?

Płakała rzewliwie, głowę oparłszy o mur, gdy nagły tętent na drodze zwrócił jej uwagę. Pachoł w dworskiej barwie wali na tarancie. W bramę wpadł i prosto przed oficynę, gdzie podstarościc bieleje kitlem, czerwieni się srogo sinym obliczem. Zdarł wodze, aż koń zarył kopytami w piach, i krzyknął schrypłym głosem na całe podwórze:

- Miłościwy pan jada! Król jegomość jada! Z królową!

- Gdzie?! - zrywa się podstarościc.

- Za dwa pacierze tu będą...

- Jezu Maryja!!!

Pachoł zlął z konia i przeprowadzać go zaczął, bo szkapa robiła bokami. Swoje już spełnił i teraz z obojętną ciekawością patrzy, co dalej będzie. A tu wkoło piekło, zamęt, rwetes. Klucznica wypadła z domu, lata jak oszalała, dziewczki potraça. Podstarościc włosy rwie z głowy, czekaniem młóci, kogo sięgnie, tysiące sprzecznych rozkazów leci mu z ust. Nikt nie wie, za co wpierv chwytać. Okna otwierać, komnaty wietrzyć... O rety!... Dziedziniec zamiatać!... Pościele trzepać! Kury rznąć!...

Już gruba Jagna pędza się z nożem w rękę, niczym Tatarzyn, wśród drobiu. Już chuda,

wiecznie załawiona Kaśka trzepie jaja na cudacką potrawę, którą jejmość królowa zawsze jada, a która zwie się po francusku omlet. Marcyśka wali gałęzią w pierzyny, żeby z nich zaduch wyleciał. Maryjka z ukrycia patrzy na to wszystko, rada, że jej nikt nie widzi. Do ściany lamusa przywarła i tylko głowę wyścibia. By ją dojrżeli, oho, zagnaliby wnet do pomocy.

Podstarości goni, sapiąc, tu, to tam. Naraz przystanie i jak nie szarpnie za wąsy, jak nie krzyknie z rozpaczą straszliwą:

- Panicza ady wołajcie nazad ze stawu! Panicza!

Podstarościna trzęsącymi rękami żupan sajętowy mężowi podaje.

- Odziewaj się, serce, ja sama duchem leczę na staw... sama...

A tu na drodze już się toczy bury kłęb pyłu. Dudnią kolasy, trzy, cztery, pięć... Przed nimi, za nimi - konni. W kolasach białogłowy w dziwacznych, wysokich stroikach na głowach. Francuzy królowej w perukach tłustych, skręconych i ciężkich jak baranie runo. Polskie czapy z kitami. Już stanęli przed dworem. Ktoś wysiadł pierwszy. Pewnikiem król, bo podstarości do nóg mu się chyli. Maryjka dziwi się, że korony nie ma na głowie, ale w sobie jest pleczysty, wyższy od wszystkich, wiadomo, król...

Zabyła na moment i cielicy, i zmartwienia. Patrzy a patrzy.

Królowa jejmość kwaśno po francusku gada, że z fatygi podróżnej głowa ją boli. Bielidło z liczka się starło i kunsztowne uczesanie się spowało. Idzie na swoje komnaty wypocząć, jej panny przyboczne z nią. Francuzy w baranich perukach i królewscy towarzysze też się rozeszli po kątach. Król z podstarościm stoją na dziedzińcu samodwa.

- Jakoż się tu macie? - pyta król. Oczami po budynkach obziera wesoło. Zawsze jest rad i wesół, gdy do Jaworowa przyjedzie.

- Bogu dzięki, wszystko dobrze, miłościwy panie.

- Czaple na jeziorze są?

- Są, miłościwy panie, jak zawdy.

- Nie płoszy ich kto? Bo zdało mi się z drogi, że bełkot ptasi słyhać?

- Kto by śmiał, miłościwy panie - odpowiada podstarości i aż kuli się w sobie ze strachu.

- Przednie sokoły przywiozłem... Zaraz ich jutro spróbujem. A ninie chodźmy spojrzeć na jezioro!

Idzie szparko przodem, za nim podstarości, bledszy niż bielidło na twarzy królowej. Pot kroplisty wystąpił mu na czole.

Nie drogą wokół król idzie, ale opłotkami pomiędzy budynki, któredy do stawu najbliżej. Zna każdy kąt jak swój, jak rodzony. Nie bywałże tu dzieckiem? Nie mieszkałże w miłym Jaworowie jeszcze, gdy jeno starostą tutejszym a chorążym krakowskim był?

W wąskim przejściu przy lamusie natyka się wprost na Maryjkę, co zasłuchana, zapatrzona, całkiem się, że idą, nie spostrzegła, a teraz ze wszystkim głowę ze strachu straciwszy, stoi jak słup miasto się usunąć.

- A czyjaś ty, dziewczuszko? A czego tu? - pyta ją król łaskawie.

Czyjaś ty?... Niczyja, sierota... I niby w nagłym olśnieniu przypomina się dziewczynie jej wielkie zmartwienie i nie spełniona prośba, i że to król stoi przed nią i pyta, i że sam Bóg go chyba zesłał, zmarła matka wyprosiła. I zbierając odwagę oburącz zachłystując się wysokim płaczem-piskiem, jak nie rymnie królowi do nóg, jak nie zacznie opowiadać, to do rzeczy, to od rzeczy, że sierotą jest... że rodzice zawdy na pańskim robili... i ona też... od maleńkiego... ani jednego dnia nie próżnowała... a zawdy a zawdy... to przy gęsiach, to przy trzodzie... Teraz za mąż jej się trafia... Kowal jest jej przyrzeczoną... na imię ma Jaśko, a z ojca wołają go Ryczan... dobry, że strach... miłują się... ale jakże za niego pójdzie, kiedy nie ma nic a nic... Żeby choć gąskę swoją... żeby choć mąki na kołacz...

Prawiła z płaczem, król zaś stał nad nią ogromny, mrugając oczami niby frasobliwie, w rzeczy wesoło, z licem przeciętym krechą szpakowatych wąsów.

- Prawda to, co ona mówi? - przerwał zwracając się do podstarościego.

- Prawda, miłościwy panie, prawda, robotna dziewczucha... - odparł tenże, znękany.

- To i czego płaczesz? - powiada król do Maryjki. - Buty mi ze wszystkim rozmoczysz. Dostaniesz, co ci się godzi... Cielicę, wieprzka, i wesele ci sprawim... Nie bój się...

Oniemiałą z radości i szczęścia poklepał dobrotliwie po ramieniu, usuwając z lekka na bok. Pilno mu było nad wodę. Wraz i podstarość odetchnął swobodniej: dojrzał żonę wracającą od stawu a za nią przemykającego się chyłkiem, migiem Staszka z sokołem pod pachą. Bogu dzięki! Poszedł za królem nad jezioro, gdzie na falach słońce słało królewską pozłocistą drogę.

Nie u Ryczanów, jak miało być poprzednio, ani w czeladnej sprawiało się Maryjczyne wesele, jeno pod lipami na majdanie, tuż ponad jeziorem. W cieniu stały stoły z poczęstunkiem, a dokoła ławy z desek wspartych na beczułkach. Na ławach siedzieli gęsto dworscy i gospodarze wsiowi, piwo ciągnąc i na tańczących pozierając. Muzykanci wodzili smykami po strunach, aż zanosily się skrzypki, huczały potężne basy, bębenek tętniał i tupał, zrywając nogi do tańca. Niósł się ich pogłos zgodny ponad lipy, nad założony świeżo włoski ogród, aż pod dwór, do letnika, w którym król siedział z królową, wojewodą, Matczyńskim i starym wydrwigroszem markizem d'Arquien. Pogłos zawodzący, kuszący, tak nieodparty, że król zrazu tylko nogą do taktu drygał, potem wstał i rzekł:

- Chodźwa i my popatrzeć się na te pląsy!

Poszli gromadą, barwiąc się między drzewami. Już ich zoczyli z dala weselnicy. Maryjka gorejąca jak płomień z radości, Jaśko Ryczanów, starosta weselny i družby, i młodego rodzice. Pod nogi miłościwych państwa podejmują, ławę ścielą, proszą, by król jegomość miodem nie pogardził. A zewsząd na wieść, że tacy goście na wesele przyszli, cisną się ludzie. Nawet z grodu mieszczański co najpoważniejsze ciągną.

- Nie przerywajcie sobie ochoty - powiada król - radzi my popatrzeć na tańce.

Tańczą przeto weselnicy. Furkoczą kiecki i wstęgi, błyskają podkówki... Drużki jak kwiaty. Drużbowie jak śmigłe chojary. Starościny ważne a szerokie jak ambony. Co raz przetańczą, przed muzyką przystaną dla przyśpiewki:

“Czerwone jabłuszko po stole się toczy,  
Miłaś mi, Maryjka, bo masz czarne oczy”

- śpiewa młody, obcasem przytupuje, aż murawa w górę leci.

“Czerwone jabłuszko przekrojone na krzyż,  
Czego ty, dziewucho, krzywo na mnie patrzysz?”

- podchwytuje starszy družba i poszli znów z wichrem, a bębenek tętni, łomocze, łup, łup, łup...

Król miodu dopił, szklanicę na ławie postawił.

- Ejże, nie wytrzymam - powiada - zatańczę i ja...

- Fi! - krzywi się wzgardliwie królowa. Ściśniętymi wargami cedzi, że patrzeć jak na widowisko może ale bratać się, tańczyć, nie! Wielki Ludwik francuski nawet z szlachtą się nie zadaje, cóż dopiero z pospólstwem, które za mierzwę, za bydło proste uważa...

- Alem ja nie francuski król, jeno polski, duszo moja najmilejsza. Dawajcie mi tu młoduchę! Muzykanty, “drobionego”!

Napięły się Żydki, aż posiniały z przejęcia, że królowi do tańca grać mają. Nie fraszka! A Sobieski wąsa musnął, rękę za pas założył, drugą przygarnął splonioną, nieprzytomną ze szczęścia Maryjkę i ruszył w koło: Przetańczył raz i drugi, przed muzyką stanął, butem czerwonym, złotoszytym tupnął i basem zagrzmiał:

- “A skądęś ty? Z Jaworowa.

A czyjaś ty? Kowalowa.

Kowalowa, Bóg daj, zdrowa,  
Bóg daj, zdrowa, kowalowa!”

Roześmiał się hucznie sam z siebie, że przyśpiewkę niezgorszą złożył, i tańczył dalej, ani widząc, że od dworu nadchodzą nowi goście. Uroczyści, ważni, dostojnie z cudzoziemska ubrani. Rozstępowano się przed nimi z szacunkiem. Przodem kroczył sztywno hrabia Montecuculli, od króla hiszpańskiego wysłany z gratulacjami z racji zeszłorocznej wyprawy wiedeńskiej, za nim nadzwyczajny poseł cesarza niemieckiego Wallenstein i Angelo Morosini, posłannik rzeczypospolitej weneckiej.

Pytali o króla, niecierpliwi ujrzeć bohatera, o którym cały świat wiedział, że Europę i chrześcijaństwo od zguby ocalił, a ujrzawszy go tańczącego w kole, stanęli zaskoczeni.

Już też i król ich spostrzegł. Maryjkę Jaškowi oddał, złotego dukata starościnom na czepek rzucił i ku przybyłym szedł. Bez pośpiechu. Zmierzch ciepły, letni zapadł i zatlone wokół pochodnie rzucały błyski na jego lico potężne, płonęły w złocistym pasie. Gdy muzyka milkła, od jeziora niósł się szum wody i trzciny i wieczorne głosy ptactwa. Stłoczeni ciasnym wieńcem ludzie o twarzach uczciwych, swojackich, patrzyli w niego z bezgranicznym uwielbieniem i oddaniem. I nieśpieszno mu było odchodzić.

## Zemsta błazna

Stary markiz de la Verniere gestykulował wymownie, dowodząc krewniaczcze, że synalek jej w Wersalu kariery nie zrobi i że jedynym sposobem podniesienia przygasłego splendoru rodu byłby jego wyjazd do Polski.

Hrabina Julia de St. Luc kiwała przecząco głową ustrojoną w wysoki kornet. Z tyłu na ścianie cień jej wydłużony dziwacznie potwierdzał to wahanie. ...Tak daleko! Nieznany kraj! Ce pauvre mignon\* (\*Ce pauvre mignon [franc.] - ten biedaczek.) tam przepadnie!

- Głupsi od niego jeździli i wrócili cało, ba, ze złotem - zapewniał wujaszek.

- Na dworze podobno nieradzi na to patrzają? - zauważyła nieśmiało.

- To było dawniej... Gdy Polska trzymała avec ces gueux d'Autrichiens\*. (\*Avecces... [franc.] - z tymi łajdakami Austriakami.) Teraz już nie. Zeszłej zimy wielu najprzedniejszych kawalerów wyjechało do Warszawy za wyraźną zgodą i aprobatą jego królewskiej mości.

Stara pani nie mogła się zdecydować. Wyciągnęła chude ręce ku tlejącemu na kominie ogniowi, spoglądała po komnacie jak gdyby oczekując czyjejs porady. Lecz odrapane, zawilgocone ściany mówiły tylko o ubóstwie i opuszczeniu. Siedziba panów de St. Luc, kamienny zameczek o wąskich jak strzelnice oknach i spiczastych wieżyczkach był zawsze zimny i posepny, a stał się nim jeszcze bardziej, odkąd surowe mury przestała ozłacać łaska Króla-Słońce\*. Małżonek dziedzic utracił ją bezpowrotnie z powodu jakiegoś nieudanego dowcipu i musiał przed laty opuścić Paryż, wracając do zadłużonej ojcowizny, nielicznych poddanych, kiepskich inwentarzy i chudej roli. Po jaskrawym przepychu wersalskiego dworu wygnanie podobne równało się śmierci. Toteż wprędce świetny dworak, obsadzony nudą, biedą, reumatyzmem i podagrą, przemienił się w niechlujnego, zgryźliwego dziada, a przed dwoma laty umarł, pozostawiając małżonce troskę o szczątki fortuny i przyszłość jedynaka.

Ówże jednak, Gaston wicehrabia de St. Luc, wrócił właśnie z łowów i zaciekawiony wszedł do komnaty, gdzie roztrząsano za i przeciw jego wyjazdowi. Matka obrzuciła smukłą postać wchodzącego spojrzeniem pełnym zachwyty.

- Z tą prezencją, z tą urodą Gaston byłby zawsze pierwszym wszędzie, a cóż dopiero w tamtym barbarzyńskim kraju! - westchnęła.

- Zapewne - mruknął sceptycznie wuj - zwłaszcza gdyby tu (stuknął się w czoło) było lepiej...

- O, przepraszam - zachnęła się urażona. - Gaston wcale nie jest głupi...

- Tylko takiego udaje? Wiem, wiem... Mniejsza o to. Nie dowcip, lecz szczęście stanowią o

powodzeniu. Słuchaj no, mały: trafia się ekstraordynaryjna okazja. Markiz de. Bethune\* (\*markiz de Bethune - francuski ambasador w Polsce, mąż starszej siostry królowej Marii Sobieskiej.) jedzie do Polski i zgadza się zabrać cię w swoim orszaku. Uśmiechy fortuny są rzadkie i trzeba umieć wyzyskiwać te fawory. Pojedziesz...

- W czym? W tym połatanym kaftanie? - zapytał siostrzeniec spoglądając niechętnie na swój lichy przyodziewek.

- Nie bój się. Sprawię ci uczciwe ubranie, byś mi wstydu nie przyczyniał. Bieliznę tylko i konia niech ci matka da.

- Stara Flora jest jeszcze całkiem dobra, zwłaszcza gdy się ją trochę podpasie - rzekła pani de St. Luc. - Są też dwie koszule lniane po nieboszczyku ojcu, mało noszone, i ciżmy.

- Pojedziesz zatem - powtarzał markiz, chodząc tam i z powrotem po komnacie. - Trzymaj się dobrze. Przyszłość przed tobą... Od ciebie wszystko zależy... Życie niby jest proste, a przecież diablo zawile. Trzeba mieć to wycucie... ten takt... Czy ty wiesz na przykład, co to znaczy być dobrym dworzaninem? Ech, co ty wiesz w ogóle! Ja w twoim wieku kierowałem, jak chciałem, rozmową w salonach panny Scudery, a ty co? Z dojarkami zaledwie potrafisz rozmawiać!

- Nie moja wina - mruknął siostrzeniec z urazą.

- Twoja, nie twoja, mniejsza z tym. Staraj się. Początek najtrudniejszy, ale i najważniejszy. Wszystko od niego zależy. Jedziesz na królewski dwór... Pamiętaj, żeby więksi cię lubili, a mniejsi ciebie się bali. Dowcipem się nie popisuj. Przede wszystkim staraj się pozyskać łaski królowej...

- Powiadają, że już stara? - napomknął siostrzeniec.

- Co ci do tego, czy stara, czy młoda!? Nie o tym myślę. W ogóle waruj się romansów, bo powiadają, że tam obyczajnie okrutnie cnotliwe. O królowej mówię, bo wiadomo, że ona królem i państwem rządzi, jak chce... Chytra baba! Jej się zasługuj, w oczy patrz, odgaduj myśli, rób, co zachce, nim wypowie. Każe skakać w ogień - skacz w ogień. W wodę, to w wodę - z dachu, to z dachu... Takiej drogi postępowania wiernie się trzymając, możesz snadno, chociaż ubogi i głupi, dobić się dostojęństw na dworze... Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - zapewnił wicehrabia i w niespełna trzy niedziele później, tłukąc piętami wyleniałe boki starej Flory, chudej wprawdzie i spieczonej, lecz odznaczającej się nie końskim rozumem, jechał na wschód w orszaku markiza de Bethune, dziewierza królowej polskiej Marii Kazimiery.

Bawił już w Warszawie od kilku miesięcy i czuł się z każdym dniem lepiej i pewniej. Przy okazji poczty dyplomatycznej przysyłał listy do matki, które budziły w niej coraz świetniejsze nadzieje.

Jedynie zima była dokuczliwa. Takie mrozy, tyle śniegu! Wiosna powinna się już była zacząć lada dzień, a dziedziniec wilanowski zalegały jeszcze zasy niby w styczniu. - Sale pays! - jak zwykła mawiać królowa.

- Sale pays! - powtarzał Gaston de St. Luc, stąpając ostrożnie wążutką, odmiecioną ścieżką. Po obu jej stronach leżał wysoki wał śniegu. Z naprzeciwka ktoś nadchodził żwawym krokiem. Brzęknęły cienko dzwoneczki. To imć Winnicki, ulubiony trefniś króla, szlachcic zażywny, w lisiurce narzuconej na czerwone błazeńskie ubranie.

- Z drogi! - mruknął pogardliwie wicehrabia, gdy nadchodzący był blisko.

- Nawzajem, kawalerze! Z drogi!

- Nie wiesz, ktom jest? - zaczął groźnie Gaston po francusku, lecz Winnicki roześmiał się drwiąco.

- Nie zaimponujesz mi tu swoim "parle franse", kawalerze. Mogę z tobą dyszkurować i po łacinie, i po niemiecku, i po francusku. A głosu mi tu nie podnoś, bom jest taki sam dobry szlachcic jak i waść.

- Ty, ty błaznie! - syczał Gaston czerwony ze złości.

- Błazen jestem z dobrej woli i przywiązania do króla, nie z urodzenia, jak się to waści zdarzyło...

- Jestem wicehrabią de St. Luc, a markiz de Bethune...

- W Polsce nie znamy tytułów i sam miłościwy pan nasz jest tylko szlachcicem nie lepszym niż ja. A żem wiekiem starszy, więc waści wypada zejść w śnieg.

- Precz! - wrzasnął Gaston, na dobre rozzłoszczony. - Wasza Polska! Sale pays! Błazen udaje równego najlepszym! Na całym świecie czegoś takiego nie spotkasz! Precz!

- Za taką obelgę odpowiesz mi, kawalerze! Widziałem za oficyną majdanik doskonale odmieciony ze śniegu... Staniesz mi tam dzisiaj po południu.

Gaston parsknął drwiącym śmiechem.

- Le fou est fou!\* (\*Le fou est fou [franc.] - wariat zwariował.) - zawołał wzruszając ramionami. - Ja miałbym się z tobą bić, sługo, chłystku, błazeńska czapko!

Zawrócił na pięcie idąc śpiesznie ku pałacowi. Winnicki stał w miejscu dysząc ciężko z wściekłości. W rozdrażnieniu ani spostrzegł, że ktoś nadszedł z tyłu. Uderzył go w ramię.

- Zatarasowałeś drogę, Winnisiu?

- Cholera mną trzęsie, że nawet nie słyszałem kroków, miłościwy panie - tłumaczył się schodząc śpiesznie w śnieg przed królem. Jan III zmienił się bardzo od czasów wiktorii wiedeńskiej albo jaworowskiego wesela, gdy to z kowalichą tańczył. Postarzał, pożółkł, sposepniał. Gorzej niż puchlina i chora wątroba dokuczały nieład w kraju, niesnaski w rodzinie. Był bezradny



wobec jednych i drugich. Ale do ulubionego żartownisia uśmiechnął się po dawnemu.

- Któż cię o tę cholere przyprawił? Ale chodźmy żywo, bo jejmość królowa pewnikiem już się sierdzi, że obiad spóźniony.

- Zelżono mnie jako szlachcica i suplikuję sprawiedliwości u miłościwego pana.

- Do licha! Któż ci ubliżył, mospanie? Jakim sposobem, boć się przed każdym językiem obronisz?

- Na komnatach waszej królewskiej mości juści że mam ozór za walną obronę. Tam jestem trefnisiem dla rozweselenia miłościwego pana mego. Poza pałacem jestem taki sam dobry szlachcic jak każdy inny.

- Spodziewam się! Więc jakże to było?

Winnicki w krótkich słowach opowiedział całe zajście.

- Każ mu, miłościwy panie, bić się ze mną albo wygoń na cztery wiatry!

- Łatwo ci rzec! Ani go bić się nie przymuszę, ani nie wygonię, bo tego właśnie de St. Luc jejmość królowa bardzo sobie ulubiła.

- Każ mu, miłościwy panie, wyjechać nie opowiadając się nikomu.

- W demencję wpadasz, Winnisiu! A toż bym miał piekło!

- Ha, skoro sprawiedliwości u mojego pana nie znajdę, pójdę precz, bo z tym wyrodkiem pod jednym dachem nie ostanę.

- Nie żartuj tak srogo, mospanie.

- Zgoła mi nie żarty w głowie. Dziś jeszcze odchodzę, trefnisiowe łachy panu marszałkowi zdawszy.

Stary pan przystanął spoglądając na mówiącego prawie z przerażeniem.

- A cóż ze mną będzie, Winnisiu? Taką twoją amicycją?

- Amicycja wielka, afekt serdeczny, ale sam byś mnie, miłościwy panie, za kpa trzymał, żebym sobą pozwolił pomiatać.

- Ech - machnął król ręką - wieleż mnie ludzi kontempt co dnia zadaje? Też rad bym uszedł, a nie lza...

- Boś był zawsze twardy jeno dla Turka, miłościwy panie, a miętki dla swoich...

Wchodzili już do pałacu. Barwisto odziani hajducy tworzyli szpaler od drzwi, którymi wchodził król jegomość do sali jadalnej. Tłumno w niej było. U szczytu zastawionego w podkowę stołu, przy podwyższeniu dla królewskich mości przeznaczonym, stała już królowa otoczona fraucymerem i wielce zniecierpliwiona czekaniem. Choć bliska pięćdziesiątki i otyła, nosiła jeszcze na twarzy ślady dawnej urody. Dwułokciowej wysokości uczesanie "a la Fontange" przedłużało jej dumną głowę, brokatowa sztywna suknia odsłaniała głęboko piersi, czarne muszki lepiły się do

obwisłego podbródka.

- Enfin!\* (\*enfin [franc.] - nareszcie.) - syknęła do króla.

Usiadł bez słowa, za czym cały dwór zajął z hałasem swe miejsca. Wyperfumowany królewicz Jakub w przesadnie wielkiej peruce, żona jego Elżbieta, blada Niemka o wąskich wargach, ojciec Vota, jezuita, młodsi królewicze, bibliotekarz Kochański, bracia malarze Eleuter Szymonowicz Siemiginowscy i szereg innych panów, przeważnie francuskich. Po latach niechęci do Francji i ścisłego sojuszu z Austrią królowa nawiązała przyjazne stosunki z ojczyzną, w zamian za co Ludwik XIV mianował parem Francji wiecznie obdłużonego, chytrego pana d'Arquien, jej ojca.

Wysokie kornety panien z fraucymeru, które dawno zarzuciły zwyczaj noszenia dziewczęcych wianków, sąsiadowały z wielkimi perukami mężczyzn, opadającymi aż na łopatki. Francuskie, a także niemieckie stroje panowały niepodzielnie i złotolity żupan starego króla stanowił jedyną polską nutę w tym świetnym cudzoziemskim towarzystwie.

Winnicki, ciasno opięty w pstrą błazeńską kurtę, stał za krzesłem Jana III. Rozmawiali po polsku, tak odosobnieni i dalecy od otoczenia, jak gdyby byli samodwa w komnacie.

- Tam oto siedzi ta kanalia obok królewicza Konstantego - mówił błazen ukazując wicehrabiego oczami. - Miłuję waszą królewską mość bardziej niż własny rankor, tedy spróbuję jeszcze uczynić sobie sprawiedliwość inną modą. Będę czekał dwie niedziele. Jeżeli w tym czasie ten chłystek sam nie wyjedzie - odejdę.

- Niełacno go skłonisz do wyjazdu - uśmiechnął się król - dobrze tu jest zasiedziały...

- Łacno niełacno, taki mu podam przysmaczek, że wolej odjedzie niż do obiadu zasiędzie.

- Bacz, byś z jejmość królową nie zadarł. Bardzo on się jej przypodchlebia.

- Owa, nie jestem chwalić Boga królem, żebym się każdego bał. Króla wolno obrażać, ale nie błazna.

- Hamuj, Winnisiu, ozora, bo i Sobieski, choć gadają, że safandula, potrafi kazać łba ściąć...

- Uczyn to, wasza królewska mość, uczyn, a cała Europa powie: nareszcie! Jeno nie zaczynaj ode mnie, ale od tych, co na to pilniej i z dawna zasługują...

Król syknął jakby pod nagłym przypomnieniem i ściągnąwszy swe wspaniałe brwi bębnił palcami po stole.

- ...Głupi się smuci, mądry cieszy - ciągnął Winnicki - że zaś frasunek truje, przeto głupi rychlej zemrze niżli mądry... Ergo: głupota rychlej zejdzie ze świata niż mądrość...

- Zda mi się, że będzie na opak, Winnisiu...

- Bogać mi, że nie! Jeszcze sobie zaśpiewamy: hoc hoc! na pogrzebie - wasza królewska mość swoich wrogów, a ja tej wywłoki...

- Nie widzi mi się... Jakże się do niego zabierzesz i kiedy?

- Jutro jeszcze nie, bom słaby, w kościach mnie łamie, muszę sobie krew puścić. Ostanę cały dzień na swojej kwaterze z łaskawym zezwoleniem waszej królewskiej mości.

- Ha, skoroś słaby... Przyślę ci swego medyka.

- Tego Żyda? Uchowaj Boże! Nie potraza mi nikogo. Poleżę dzień, dwa i będę zdrow jak ryba, ino mnie cholera przejdzie.

Wbrew tym zapowiedziom słabość Winnickiego przeciągała się już przeszło tydzień ku wielkiemu niezadowoleniu króla. Zwykle troski, coraz cięższe, sypały się nań jak z rękawa, a jedyne wytchnienia, swobodnej pogawędki z oddanym przyjacielem, nie było. Zły i znudzony Sobieski odpowiadał cierpko nawet żonie i po raz pierwszy od czasu swego królowania nie kwapił się spełniać każdego jej życzenia. Dwa starostwa wakowały. Ona wysunęła kandydatów. Król miasto zatwierdzić ich bez sprzeciwu, powiedział, że sprawę wprzód rozpatrzy... Rozpatrzy! Gdy ona chciała!...

- To wszystko przez tego błazna - narzekała gniewnie. - Kiedyż w końcu powróci? Król bez niego staje się niemożliwy!

- Chory podobno...

- Na pewno udaje! Gdyby był chory, przyjąłby medyka. Wie, że go nie cierpię. Udaje mnie na złość... Sale pays! sale monde! \*... (\*salemonde [franc.] - wstrętny świat.)

Jakoż choroba Winnickiego była zagadkowa. Posyłany kilkakrotnie medyk królewski wracał z niczym nie zobaczywszy nawet chorego, który nikogo do siebie nie wpuszczał. Najlepsi przyjaciele, koniuszy i marszałek, nie mieli doń wstępu. Z tęsknoty za przyjacielem i niepokoju o niego król był również bliski choroby. Puchlina dolegała silniej niż zwykle, drażniło wszystko wokoło. Na przekór żonie postanowił oba starostwa obsadzić według swego widzimisię.

- Któż wreszcie sprowadzi tego przeklętego błazna! - wykrzyknęła kiedyś królowa, ostatecznie znieczepliwiona.

Gaston de St. Luc wysunął się spośród dworzan przejęty ważnością chwili.

- Ja to uczynię, miłościwa pani, sprowadzę go do obiadu, żywego czy umarłego.

- Obyż ci się udało!

Wszystkie rady mądrego wujaszka stanęły żywo w pamięci młodzieńca, gdy szparkim krokiem, nie zwracając uwagi na błoto, biegł ku oficynie zajmowanej przez Winnickiego. O zajściu sprzed dziesięciu dni dawno zapomniał i śmiało zakolał do drzwi wejściowych. Otworzył mu zaspany chłopak Wawrzek.

- A czego?

- Pana widzieć - odparł wicehrabia łamaną polszczyzną.

- Niby mojego?

- Twojego.

- Pan słaby.

- Nie szkodzi. Muszę widzieć.

- A jak jegomości wołają? Bo pan nikogo puszczać nie pozwolił.

- Et, co będę z tobą gadał! - piękny wicehrabia podszedł sam do drzwi izby wołając:

- Monsieur Winnicki! Monsieur le fou du roi!\* (\* Monsieur... [franc.] - Panie Winnicki! Panie błaznie królewski!) To ja! Gaston de St. Luc! Proszę mnie wpuścić! Ważne poselstwo od jego królewskiej mości!

- Ależ proszę, wicehrabio - odpowiedział z wewnątrz nad wyraz uprzejmy głos. Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi się uchyliły. Gaston wszedł do zaciemnionej izby i zatrzymał się zdziwiony: Winnicki w kusym kubraku, bez spodni, dreptał śpiesznie z powrotem do ustawionego na środku izby siedziska pełnego betów i kołder. Usiadł na nim ostrożnie, niby na potłuczonym szkle, i owinął się szczelnie derą.

- Zamknij drzwi, kawalerze, i mów, czego chcesz; tylko cicho - ostrzegął przytłumionym głosem.

- Dlaczego waść nie przychodzisz do zamku?

- Mam tutaj pilne zajęcie, w którym mnie nikt zastąpić nie może - odparł Winnicki patrząc łagodnie na gościa. We wzroku jego taίło się tyle głębokiego zadowolenia, że gdyby Gaston de St. Luc był cokolwiek bystrzejszy, odczułby słuszne zaniepokojenie.

- Na dworze mówią, żeś chory.

- Kazałem tak powiadać, nie mogąc zwierzyć nikomu, co mnie tutaj trzyma. Tobie pierwszemu, kawalerze, wyznam prawdę, choć przemówiliśmy się kiedyś...

- Choćby to były najważniejsze sprawy, musisz przyjść dzisiaj na obiad.

- Nie przyjdę!

- Musisz! Królowa kazała.

- Ja właśnie dla królowej czynię rekolekcje w tej samotności.

- Dla królowej?!

- Jak mnie, kawalerze, widzisz. Dojęła mi już ustawiczna abominacja, jawnie mi przez miłościwą panią okazywana, i postanowiłem ją zwalczyć. Maluczko, a najpiękniejszy wicehrabia nie będzie u niej w takich łaskach jak Winnicki...

- Ciekawym...

- Wieleż razy - ciągnął błazen jak w natchnieniu - słyszałem utyskiwania miłościwej pani na

sale pays, w którym nawet głupiego kurczaka nie można dostać inną porą niż latem. Słuszne żale. Żadna polska kwoka nie chce siedzieć od sierpnia do kwietnia. Nikt ich nie namówi. Cóż począć? Ja, stary błazen, postanowiłem uczynić to, czego kwoka zrobić nie chce, i wysiedzieć dla miłościwej pani kurczęta zdatne na stół na Kazmierza...

- Nie rozumiem...

- Cóż prostszego?

Imć Winnicki uniósł się lekko na rękach i odsunął kołdrę. Zdumionym oczom gościa ukazało się dwadzieścia białych połyskliwych jaj kurzych, ułożonych miękko w podściółce.

- Już blisko dwa tygodnie siedzę - objaśniał szlachcic, otulając się z powrotem starannie. - Jeszcze dziesięć dni i moje maleństwa zaczną się wykluwać. Potem jeszcze parę dni będę musiał ogrzewać je i pielęgnować, aż się wzmocnią. Wcześniej zatem jak za dwa tygodnie nie mogę przyjść do króla jegomości. Ciekawym, czy znalazłby się inny poddany gotów uczynić to co ja dla dogodzenia swojej królowej?

Gaston milczał zaskoczony.

- Ale król nie może sobie dać rady bez waści!

- Ech, król jegomość ustępował całe życie królowej w ważniejszych materiach, poczeka i tym razem.

- Król stracił apetyt i chęć do wszystkiego!

- Jeszcze tylko dwa tygodnie.

- Królowa stanowczo pragnie, żeby waść był dziś na obiedzie!

- Ukontentowałbym z duszy serca miłościwą panią, lecz nie mogę.

- Nie możesz na godzinę odejść?

- Głupstwa gadasz, wicehrabio, alboś nigdy kwoki nie widział! Gdy idę za swoją potrzebą, to biegiem, drżąc, by mi przez ten czas gniazdo nie zachłodziło... Dłużej jak chwilę nie śmie być beze mnie.

- Ależ ja obiecałem królowej, że przyprowadzę waści żywego czy umarłego!

- Ha, to jazda, przebijaj mnie, kawalerze, tą szpadą i dźwigaj błaznie ścierwo do pałacu, bo inną modą nie pójdę.

Kręcąc niespokojnie na palcach loki peruki, Gaston de St. Luc chodzi po izbie wzburzony. Winnicki wodzi za nim oczami z uśmiechem.

- Byłby jeden tylko sposób - zaczął cichym, słodkim głosem.

- Jaki? - Gaston obrócił się żywo.

- Siąść na moim miejscu i czekać, aż wrócę...

- Co? Ja? Oszalałeś waść! Przenigdy!

- Nie, to nie. Żegnaj zatem kawalerze.

Ale wicehrabia nie wychodził.

- Za nic tego nie uczynię! - powtarzał. - Gdyby mnie kto zobaczył! Bon Dieu!

- Kto by zobaczył! - Winnicki wzruszył ramionami. - Drzwi byłyby zamknięte, a okno jest zasłonięte.

- Dowiedzą się.

- Chyba, że sam opowiesz. Ja wolę całą zasługę wczesnych kurcząt zachować dla siebie.

Gaston milczał, przeto Winnicki oparł głowę o poduszki i udawał, że drzemie.

- Długo by to trwało? - zapytał nagle młodzieniec nieswoim głosem.

- Godzinę, półtorej, dwie najwyżej...

- Bon Dieu! Bon Dieu! - powtarzał wicehrabia łamiąc ręce. - Co tu robić?

- Och, nie nudź mnie, kawalerze! Siedzę tu prawie dwie niedziele, więc nie widzę racji do takich spazmów z powodu dwóch godzin. Zresztą, czy ja cię namawiam? Chcesz, siadaj. Nie chcesz, idź z Panem Bogiem.

- Siadę - postanowił Gaston - ale waść pójdiesz na obiad do króla?

- Juści że pójdę, i z radością, bo mi nogi zeszywniały od siedzenia. Rozdzielaj się!

- Po co?

- Jakże? W pludrach będziesz wysiadywał kurczęta?

Wzdychając ciężko, wicehrabia odpiął szpadę, pas, jedwabne podwiązki, ściągnął krótkie atłasowe spodnie i usiadł ostrożnie, nieufnie na wygrzonym gnieździe. Winnicki otulił go starannie kołdrą.

- Siedźże, kawalerze, spokojnie, nie turbując się niczym. Rychlej jak za dwie godziny wrócę.

Znękanym wzrokiem młody dworzanin śledził ruchy szlachcica, który wesoły jak zięba ubierał się zwawo, wciągał pstre portki błazeńskie i czapkę z dzwonkami.

- Dajże mi waść klucz, bym się mógł zamknąć! - jęknął.

- Jeszcze też! Nie miałbym chwili spokoju! Sam zawrę i klucz zabiorę ze sobą.

Skinąwszy więźniowi głowę, wyszedł zamykając starannie zamek i zewnętrzną zasuwę. Pozostawiony samotnie, tronujący pośrodku izby wśród kołder i betów, Gaston de St. Luc dumiał niewesoło nad ofiarami, jakich życie wymaga od ubogich, ambitnych młodzieńców, zmuszonych samodzielnie budować swoją karierę. Czy wuj, stary markiz de la Verniere, byłby zadowolony, widząc postępowanie siostrzeńca? Niewątpliwie tak. Trudno było ściślej zastosować się do jego rad, niżli to Gaston uczynił. Dla dogodzenia królowej wzniósł się na szczyt poświęcenia. Siedzi jak kwoka na gnieździe! Dzięki temu błazen jest już na pokojach królewskich. Król rad. Królowa

zadowolona szuka oczami tego, który opornego sprowadził. Czy dowie się kiedykolwiek, jakim to uczynił kosztem? Nie dowie się nigdy. Nie, za nic, nigdy! A czy wynagrodzi go jak należy? Tak by mu się już przydał nowy przydzwiek! Peruka także lenieje niczym koń na wiosnę... Zdjął ją z głowy i oglądał badawczo. Z daleka przedstawiała się jeszcze niezgorzej, z bliska znać było, jak bardzo jest już wytarta i zrudziała. Położywszy ją z westchnieniem na podłodze obok swego gniazda, zanurzył z przyjemnością rękę we własne, rzadkie, sklezione od brudu i potu włosy i zajął się tępieniem rozwielnionego w nich robactwa. Jedwabny kaftan krępował mu ruchy. Zdjął go zatem, zostając w starej ojcowskiej kamizeli bez rękawów i koszuli, jednej z owych dwóch udzielonych przez matkę na odjeźdny i od tego czasu nie pranej. Wprędce znużył się łowami. W izbie panowała niezmacona cisza. Parę sennych zimowych much brzęczało koło pieca. Wicehrabia opuścił na piersi ogołoconą z peruki głowę, i ani wiedział, kiedy zasnął. Śnił, a sny miał precudne.

Cały dwór siedział już przy obiadowym stole, gdy z wesołym brzękiem dzwonek Winnicki wkroczył do sali. Powitał go chór radosny. Nareszcie! Gdzie był? Dlaczego się skrywał?

- Chorzałem - odpowiadał na prawo i lewo. Pokłonił się jejomości królowi i jejności królowej, zajmując zwykle miejsce za krzesłem króla.

- Mnie, Winnisiu - mówił Sobieski - nie zamydlisz oczu chorzeniem. Wyglądasz, mospanie, jak ćwik. Kurta ledwo się dopina. Gadaj zaraz, coś porabiał?

- Nic nie porabiałem, słabowałem, ale mam dla jejności królowej niespodziankę. Ucieszy się szczerze, ujrawszy, jak ją dworzanie miłują... Tylko Francuz coś podobnego wymyśli! Dalibóg, żebyśmy wiek żył...

- Ale powiadajże, co takiego?

- Proś, miłościwy panie, jejność królową, by raczyła po obiedzie pójść z nami do mojej ubogiej kwatery, a obaczysz.

- Słyszysz, duszo moja; o co nasz Winnisio prosi? - zwrócił się Sobieski do żony. Rozweselony oczekiwaniem jakiejś krotchwili, zapomniał poprzedniej urazy. Ten zwrot był dla niej zbyt cenny, by go lekceważyć. Kandydaci na oba wolne starostwa czekali. Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Mais, oui, sire...\* (\*mais oui, sire [franc.] - ależ dobrze, panie.)

...Cudnie śnił Gaston de St. Luc. Skromnie stojącego otaczali królowa z fraucymerem, królewicz z żoną, sam król. Patrzyli na niego z życzliwym uznaniem. Uśmiechnięty Winnicki powtarzał: "Oto zwierciadło dobrego dworzanina, oto wzór młodzieńca!" Szmer pochwalny rozlegał się wkoło. W pewnej chwili szmer ów stał się tak głośnym, rzeczywistym, że wicehrabia przebudził się i otworzył oczy... O dziwo! Sen był jawą! Król, królowa, cały dwór stali przed nim. Winnicki kończył orację i ukazywał nań ręką. Jak we śnie...

Na poły tylko rozbudzony, niepomny, gdzie jest i w jakim odzieniu, wicehrabia poczuł tylko niestosowność faktu, że siedzi, gdy ich królewskie moście stoją, i zerwał się na równe nogi. Kołdra osunęła się z szelestem i... Gaston naraz wytrzeźwiał zupełnie. Z jękiem podniósł rękę ku głowie i upadł na ziemię, odsłaniając gniazdo.

- Zaziębisz kurczęta, kawalerze - krzyczał z oburzeniem Winnicki, lecz wicehrabia go nie słyszał. Zakopany w niedostatecznie osłaniającą go kołdrę, dygocący z rozpachy i wstydu, czuł tylko szalejący nad sobą śmiech, śmiech huczny, rozgłośny, co rozbrzmiewać miał w Polsce przez sto lat, ilekroć ktoś wspomniał nazwisko pana de St. Luc. Miażdżący, zabójczy ten śmiech gonił nieszczęsnego młodziana, gdy tegoż samego jeszcze dnia uciekał z Wilanowa na miłosiernie użyczonym przez pana koniuszego bachmacie. Śmiechem gwizdał mu wiatr w uszach, śmiechem pryskała gruda lecąca spod kopyt. Śmiech biegł za nim i przed nim, dopadł Francji wcześniej niżli on...

- ...Czyż nie mówiłem, miłościwy panie, że tylko po królu wolno każdemu jeździć niby po łysej kobyle? Błazna wara zaczepiać... - stwierdzał z zadowoleniem Winnicki pomagając rozbierać się Janowi III.

- Sprawiedliwie powiadasz, Winnisiu. Splantowałeś go dokumentnie. Nie myślałem, że się jeszcze w życiu tyle uśmieję co dziś. Ale mi żal nieboraka. Byłbym mu chociaż parę tynfów na drogę dołożył.

- Można mu przesłać przez znajomków. Sam mu pomogę, bo już mnie cholera przeszła. Dobrej nocy życzę miłociwemu panu mojemu!



## Jak pan Kulesza kościół odbudował

Ile razy pan Jacek Kulesza przejeżdżał koło kościoła, odwracał oczy i szybko zaczynał myśleć o czym innym. By nie przyznać przed sobą samym, że dom Boży, którego był przyrodnym opiekunem-kolatorem, coraz więcej wygląda na prawą ruinę. Mury zdały się wprawdzie jeszcze krzepkie, ale dach, ale wrota! Przez zgniłe gonty deszcz zaciekał do wnętrza. Z dziurawych resztek rynien woda lała się na ściany tworząc na nich brudnozielonawe smugi, spleśniałe ropienie. Przez dziury w oknach, wybite czasu ostatniego srogiego gradu, wiatr miotał do środka suche liście, że nieraz cały pawiment był zasłany, a stojąca w wielkim ołtarzu Matka Boża okryta była niby żółtą zamiecią.

Ale pan Jacek Kulesza udawał, że tego nie widzi. Zachodził do kościoła tylko w czasie nabożeństwa, gdy pacholcy uprzednio liście starannie zamietli, pleśń na ścianach jako tako obtarli, a kolatorską ławę i stopnie ołtarza nakryli przyniesionym z dworu kobiercem.

Staruszek proboszcz dopominał się co prawda nieustannie od kilku lat o drzewo i ludzi, o trochę grosza na szyby, smutny stan gmachu dziedzicowi przedstawiając, pan Kulesza jednak nie był pochopny do otwarcia mieszka. Nie odmawiał, o nie, swoje obowiązki kolatorskie znając, ale... odkładał. Z wiosny obiecywał że zrobi wszystko na jesień (po żniwach czas bardzo sposobny), z jesieni obiecywał, że na wiosnę (któż by pod zimę budował?). I tak lata schodziły, a każda ulewa przysparzała butwiejących gontów i blizn kaprawych na murze.

- Woda już ścieka pod fundamenty i do grobów się dobiera... - oznajmił ksiądz przyszedłszy kiedyś po kołędzie. - Gdy wiosna nadejdzie i roztaje, w lochu będzie pełno wody. Nieboszczyki, kolatorowe przodki czcigodne, popłyną...

Pan Jacek poderwał się niby ukąszony.

- Woda w grobach?! - zakrzyknął. - Moje ojce i dziady w wodzie! I ksiądz mi to tak spokojnie mówisz? Taką ekstreordynaryjną wiadomość!

- Że kościół zacieka, powtarzam od pięciu lat.

- O grobach pierwszy raz słyszę.

- Sądziłem, że kościół ważniejszy niż groby...

- Zaraz jutro pošlę kowala, by opatrzył rynny; a cieślę, by zrachował wiele kop szędziół\* (\*szędziół-gont.) trzeba.

Ksiądz uśmiechnął się gorzko.

- Nie tak łatwo, dobrodzieju! Trzy lata temu dałoby się taką modłą zaradzić. Nie dziś... Belkowina ze wszystkim zgniła. Trzeba cały dach zrzucić, mur górą, gdzie go woda całkiem

spowała, naprawić i dopieroż nową więźbę kłaść...

Pan Kulesza spojrział na swego proboszcza oniemiały.

- Nową więźbę?! - zakrzyknął. - Nowy dach?! Ależ na to moja chudoba nie starczy!

- Ostrzegałem - szepnął proboszcz.

- Wiem, wiem. Nie neguję. Ale sam ksiądz wiesz: nigdy czasu nie było...

- I chęć - szepnął proboszcz jeszcze ciszej.

Pan Kulesza udał, że nie słyszy. Ksiądz pożegnawszy się odszedł, on zaś stał targając węża ze złością i próżno w myślach doszukując się winowajcy innego niżli on sam.

- I cóż jegomość myślisz z kościołem zrobić? - zapytała go żona nazajutrz. Będąc białogłową statecznego umysłu i wielkiej rozwagi, nie zabierała głosu wczoraj, słusznie uznając, że lepiej przeczekać, aż gniew się w mężu ułoży, a sen przywróci wrodzony rozsądek.

- Cóż mogę zrobić? Nic! Rujnować się nie będę - odmruknął gniewnie.

- Zaliby to nas naprawdę zrujnowało? - spytała nieśmiało.

Spojrział na nią jak na szaloną, za czym ją wyliczać, ile kosztowałaby dębina (bo swojej nie ma), ile zwózka a obróbka! A jeszcze o cegle ksiądz gadał! O naprawie muru! Nie, nie, niemożliwe zgoła! Magnackiej by trzeba fortuny! Żadna siła go do tego nie przymusi!

- Aleś jegomość sam zawinił nie naprawiając w czas - upierała się z niezwykłą u niej odwagą.

Nie wiedział, co rzec, więc zasłonił się przysłowiem.

- Biada temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi - mruknął zgryźliwie i końcem buta uderzył w tlejącą na kominie głównię, aż skry prysnęły.

Jejmość zacisnęła usta, wpinając mocno igłę w stojące przed nią krosienka. Jejmościanki, zajęte opodal kądzielą, strzygły ciekawie okiem w tę stronę, nie była to więc pora stosowna do kontrowersji.

Ogień strzelał na kominie, oświecając i grzejąc wielką sień na przestrzał domu idącą, gdzie w czasie zimy skupiało się życie dworu. Przed kominem obok krzesel państwa leżały ulubione ogary i stara charcica. Na długiej ławie przy drzwiach, na stronę czeladną domu wiodących, siedziały w gromadzie dziewcząt dworskich obie panny Kuleszanki przędąc wraz z towarzyszkami. W przeciwnym kącie stary Bartłomiej, strzelec i szafarz zarazem, naprawiał łowieckie sieci. Za jego ramieniem kiwał się na wysokim drążku okapturzony sokół berkut. Na ścianach wisiała broń, rogi jelenie wyrastały z belek niby dziwaczne gałęzie. Wrota wiodące na zewnątrz, grube, podwójne, żelaznymi ćwiekami gęsto nabijane, zasunięte były mocną belką dębową, wpuszczoną w ścianę. Było tych wrót dwoje. Jedne wiodące na dziedziniec, drugie do sadu.

Naraz leżąca przed ogniem charcica podniosła uszy i warknęła znacząco. Za nią zerwały się

inne psy. Z podwórza doleciał brzęk janczarów i gromadne głosy.

- Goście jadą! - zakrzyknął pan Jacek z radością.

Jejmościanki i dziewczęta pierchły do izby. Stary Szymon już odsunął belkę. Nim to uczynił, przezornie przez okno sprawdził, kto przybywa. Ośnieżeni, w sowitych burkach, lisem lub wilkiem podszytych, wślazali się do sieni z wrzawą i śmiechem sąsiedzi. Z dziesięciu, z samym starostą na czele.

- Zbieraj się, waszmość! - wołali do gospodarza. - Walimy wszyscy do wojewody na ucztę...

- Inwytacji nie otrzymałem - oponował pan Kulesza.

- Inwytację masz waść, tu na moje ręce przysłana, - objaśniał starosta. - Wśród najpocześniejszych w powiecie waści wymienił. Przyodziej się tedy żywo i jedźmy!

- Pod lasem takie zadmy, że nawet nie wiem czy sanie przejadą...

- My też prócz starosty, który łogoszowych\* (\*łogoszowy - hajduk zajmujący miejsce z tyłu powozu.) czterech wziął, konno jedziem.

- Chyba, że tak... Wnet się przystroję, waszmościowie, zaś poczęstunkiem skromnym raczcie nie pogardzić!

Już bowiem jejmość pani Kuleszyna szła ku gościom poprzedzając dwu pachołków niosących gąsiorki, kielichy i wielkie tace, pełne wyśmienitych półgęsków wędzonych, serków osuszanych w dymie, śliw nadziewanych, pierników i konfektów. Wysławiając pod niebo cnoty gospodyni, pili i jedli, śnieg topniejący z butów na posadzkę strzepując, a pana Kuleszę nawołując do pośpiechu. Bo południe za pasem, a spóźnić się nie uchodzi.

Jakoż nie minęło kilka pacierzy, a jechali dalej. Pan Kulesza z nimi, dziwując się sam sobie, że jedzie. Jeszcze przed godziną ani mu w głowie nie powstało ruszać gdziekolwiek. Sadzili kupą, za panami służba uzbrojona w samopały i pochodnie na noc dla odstraszenia wilków, które, jak zwykle po Godach, zbierały się w stada zbójcekie po lasach. Lasy zaś na drodze stały gęste, ciągnące się trzy mile bez mała. Jeno że teraz dzień był jasny, o wilkach ani słychu i jadący śpiewali rozgłośnie, aż okiść spadała z gałęzi.

- Co się stało wojewodzie, że nas konwokuje? - dopytywał Kulesza sąsiada, imię Ostraszewskiego. - Dyc to skąpiec i pyszałek.

- Ano. Nie z amicycji pewnikiem, kabały jakieś szykuje i partyzantów zbiera, jak może.

- Ja tam jego partyzantem nie będę.

- Ja też. Nie wadzi jednak wojewodzińskiego wina popróbować.

- Mam dość wina doma - sarknął Kulesza. - Zgiń, przepadnij, zarazo! - dodał, bo w tejże chwili szarak przeleciał mu drogę.

Dziedziniec wojewodziński zapchany był kolasami i podjezdkami. W komnatach zatlono już świece w wiszących u pułapu meluzynach i goście siadali do stołów zastawionych jadłem w kilku salach. Służba krążyła dolewając nieustannie wina. Sam wojewoda, z dobrodusznie łaskawym uśmiechem na otyłej twarzy, chodził wśród stołów przysiadając się to tu, to tam serdecznie ze wszystkimi pogadując. Tą uprzejmością zjednywał sobie niejednego, nawet opornego zrazu pana Jacka.

- Dobrze czasem z domu się ruszyć - stwierdził tenże w rozmowie z sąsiadem - człowiek się nowin publicznych nasłucha i ludzi politycznych zobaczy.

- Słuszna, słuszna... święte słowa... - potakiwał sąsiad bełkotliwie, bo mu już wino tego szło do głowy.

Nie jemu jednemu. Z wielu czupryn także dymiło. W sali od ludzkich oddechów i gorących potraw stało się parno i mroczno. W tej oćmie świece jarzyły się mętnie otoczone tęczowym koliskiem. Wino rozwiązywało języki i w salach gwaro się uczyniło jak w ulu. Zadowolony z tego wojewoda wznosił kolejno zdrowia gości, zapewniając, że wszyscy równie mu są mili.

- Panowie bracia - wołał - szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie! Czyńmyż społecznie dobrą myśl!

Podobała się wszystkim taka mowa i okrzyki wzbijały się na cześć gospodarza. Ochota wzbierała. Już nie pojedynczo, lecz powiatami zaczynają biesiadnicy pić wzajemnie swoje zdrowia. Wstają ławą od jednego stołu, by trącić się z siedzącymi przy drugim. W tej wędrówce szaraczek pewien w wytartym żupanie, nazwiskiem Nowiński, zaczepił nogą o szablę jakiegoś posesjonata i zwalił mu się prawie na kolana. Wszyscy w śmiech, a posesjonat rozeźlony zerwał się i krzyczy:

- Bacz, jak idziesz, chudopachołku!

Nowiński posiniał. Wyprostował się z trudem i powiada:

- Submituję się za nieuwagę, ale ubliżać sobie nie pozwolę. Takim sam tu kompan jak i waść!

- Moim pachołkom waść jesteś kompan, nie mnie!

Nowińskiemu tchu zabrakło na taką obelgę. Wokoło rumor się zrobił. Jedni za posesjonatem stoją, drudzy za skrzywdzonym. Zacietrzewieni, ani się spostrzegli, kiedy nadszedł wojewoda.

- O cóż idzie waszmościom? - zapytał.

Posesjonat wargi pogardliwie wydał, a zwolennicy Nowińskiego dalejże opowiadać, co zaszło. Mówią i patrzą wyczekująco na wojewodę. Jako gospodarz musi się przecie za gościem ująć i satysfakcję mu sprawić.

Lecz wojewoda jakoś się do tego nie kwapi.

- Waszmościowie mili - powiada - rozumiem alterację imci Nowińskiego... wszakże

egzagerować nie należy... Jużci w fortunie dysproporcja zachodzi niemała...

- Ja się w fortunie nie równam - zaprotestował Nowiński - ale ubliżać sobie nie pozwolę...

- Nie ubliża to, jeno stwierdzenie prawdy...

Nowiński pobladł jak chusta i za czapkę się oglądał.

- Nic tu po mnie - szepnął. Skurczył się, zmałał. Posesjonat uśmiechał się drwiąco.

Zgniewało to pana Kuleszę, a że już dobrze był napity, zawołał:

- Ejże, niecnotliwa to gościna, gdzie gości na łokcie mierzą, a na funty ważą, który przedniejszy!

Cisza zaległa. Wojewoda obrócił się i słodziutkim głosem pyta:

- Coś waść rzekł?

- Żem kiep, jeśli tu kiedy moja noga stanie - odparł twardo pan Jacek i różnym krokiem wyszedł z sali.

Pomimo wina czuł, że bezpieczniej nie zostawać ani chwili dłużej. Jakże? Samemu gospodarzowi ubliżył! I to komu? Wojewodzie!

Spiesznie wybiegł na dziedziniec, szczęście miał, bo konia swego napotkał od razu, przyciągnął popręgi, okiełznał i skoczył na siodło. Równocześnie z wrót zamkowych wybiegło kilku pachołków i marszałek dworu. Biegną ku niemu i krzyczą: "Stój! Stój!"

- Całujcie psa w nos - mruknął pan Jacek, ściskając konia piętami. Przemknął się wężem między sterczącymi dyszlami kolas i wypadł na gościniec. Tak rwał nie oglądając się za siebie. Dopiero ujechawszy z dobre pół mili, zwolnił i obejrzał się.

Samotny jeździec nadązał tuż za nim.

"Przed jednym nie będę uciekał" - pomyślał pan Kulesza i zwolnił zupełnie, ujmując szablę w garść. Nie była to jednak pogoń, tylko nieszczęsny Nowiński.

- Przeze mnie - biadał - wpadłeś, dobrodzieju mój, w takie tarapaty, naraziłeś się takiemu możnemu panu...

- Głupstwo - burknął Kulesza.

- Ładne głupstwo! Wojewoda tego póki życia nie daruje. A dokąd teraz jedziecie, waszmość dobrodzieju mój?

- A gdzieżby? Do dom.

- Samojeden?

- Samojeden.

- Jezus Maryja! Wilki waści zeżrą!

- A może nie zeżrą. Nie bojam się ich. Krócićę mam.

- Waszmość dobrodzieju miłościwy - jęknął Nowiński - uczyńcież mi łaskę i nie

wystawiajcie cennego żywota na szwank! Raczcie do mnie zajechać! Mila drogi, nie więcej... Bieda u mnie sroga, ale przenocować można.

- Bóg zapłać, ale nic mi nie będzie, pojedę.

I choć nieborak nadal namawiał, pan Kulesza przekonać się nie dał. Nie był pewien, czy Nowiński jest z dobrych Nowińskich. Pytać o to było niepolitycznie, a jakże nocować u człeka niepewnego pochodzenia?

- Więc przynajmniej pozwólcie mi, waszmość dobrodzieju, odprowadzić was przez las - błagał Nowiński. - Zawdy we dwóch raźniej i snadniej się bronić.

Lecz pan Kulesza i na to zgodzić się nie chciał. Niemilo mu było w towarzystwie chudopachołka jechać. A nuż by ich kto razem obaczył i pomyślał, że w amicycji są? Nie! Nie! Niech sobie odjeżdża ten nuda jak najprędzej.

Zdaje się, że chudziak odczuł te myśli swojego niedawnego obrońcy, gdyż przestał nalegać, a poleciwszy pana Jacka opiece Boskiej, pożegnał się z nim łzawo i zawrócił.

Kulesza jechał sam. Zrazu bardzo buńczucznie, potem mniej. Wicher mroźny dał. Przed nim majaczył ciemną wstęgą las, który należało przejechać, by się do domu dostać. Na dworze już się mroczyło. Koń był zdżony i pan Jacek gorzko pożałował, że się dał sąsiadom namówić i do wojewody pojechał.

“Wpadli jak Tatarowie... Anim się jejmości mógł poradzić. Zresztą sowę ona na mnie zadęła za kościół i pewnie nic by nie rzekła... Ale człek i bez żony rozum powinien mieć. A szarak? Jak na ostrzeżenie wyskoczył... Trza się było zaraz wracać. Cóż, kiedy człek po szkodzie mądry, nie przed nią.”

W miarę jak się zbliżał do omroczonego lasu, przemykało mu przez głowę, czy nie lepiej było jednak skorzystać z gościnności Nowińskiego. Odepchnął tę myśl z niechęcią.

“Ani nocować u niego nie chcę, ani z nim jechać. Jakby nas iście bestie na tamten świat chciały ekspediować, to także lepiej samemu niż w takiej kompanii. A to by się nawet święty Piotr dziwował i pytał: Odkąd to Kuleszowie z tałatajstwem chadzają?”

W lesie już mrok leżał zupełny. Między ciemnymi ścianami drzew droga białała niby w wąwozie. Wrona kraknęła nad przejeżdżającym.

“Kumoszka diabelska, ciota! Otrębuje mój wjazd” - pomyślał pan Jacek ze złością.

I dopiero teraz, nieco późno przyszło nań zastanowienie. Co uczyni, jeśli go wilcy zwęszą i pogonią? Koń zmęczony, a króćca i szabla nie na wiele się zdadzą, gdy opadnie stado.

- Panienko Najświętsza! Weźże mnie w opiekę!

Pośpieszał, jak mógł, i już blisko połowę lasu miał za sobą, już się krzepił myślą, że cało

dojedzie, gdy koń chrapnął i zastrzygł niespokojnie uszami. Pan Jacek nastawił własnych uszu i zadrżał wraz z koniem: z głębi boru niosło się dalekie, lecz wyraźne, chóralne wycie stada pędzącego tropem.

Grudy śniegu zaświtały koło uszu, bo konisko porwało się do biegu. Kulesza legł twarzą przy grzywie, nasłuchując bacznie wycia, które się zbliża a zbliża.

- Matko łaskawa! Ratuj nieszczęsnego!

- Tak cię mam ratować, jak ty mój kościół ratujesz... - odpowiedziało mu coś w głębi duszy i włosy stanęły mu na głowie.

A pędzi, pędzi. Konisko już stęka z wysiłku i trwogi śmiertelnej, bo wycie coraz to bliższe.

Srogie to są okamgnienia, gdy człowiek ucieka, a wie, że nie ujdzie, gdy zda mu się, że na plecach, na piersi już czuje zatapiające się kły. Sroga to rzecz być rozdartym żywcem. Najmężniejszy, co do bitwy idzie jak do tańca, w tym położeniu truchleje. Cóż za chwilę zostanie z Jacka Kuleszy, jeżeli cud go nie zbawi? Porozwłózione po śniegu krwawe ochłapy, których ani pogrześć uczciwie się nie da...

- Dziadów kości w wodzie, a twoje na śniegu, jedna dola... - podpowiada ten sam głos co przód.

- Panno święta! - krzyczy Kulesza na wpół oszalały z trwogi i zgryzoty. - Panno miłosierna! Ratuj!

Obraca się i serce w nim staje. Po białym śniegu toczy się ciemny wał. Migocą w nim ślepia. Wilków jest chyba ze sto. Jeszcze moment, a dopadną go... obalą... Jeden pocnie wyżerać twarz, drugi wnętrzości...

Koń ustaje. Rzęzi, chrapie, potyka się raz po raz...

I w obliczu nieuchronnej, straszliwej śmierci przypomina się Kuleszy kościół opuszczony, nie poratowany. Przypomina się nocleg bezpieczny u chudziaka Nowińskiego, którym pogardził. W skrusze i żalu nad swym skąpstwem niegodziwym, nad ślepą pychą szlachecką woła z rozpaczą niezmierną:

- Ratuj mnie, ratuj, Najświętsza, a wszystko naprawię!

Jakby tego jeno postanowienia czekająca, nadbiega do przerażonej głowy jasna myśl zbawienia. O kilkanaście kroków przy drodze stoi wielka sosna. Sęki po niej jak szczeble, prawie że do ziemi. Kulesza wyrzuca nogi ze strzemion, skręca ku brzegowi drogi, zsuwa się z konia w pędzie... i - do drzewa!

Pnie się jak kot, jak młodzian po oszronionych gałęziach. A wilki, czy że nie zauważyły jego zejścia, czy że wołały pognać za większą zdobyczą, wałą za koniem, co pozbawiony ciężaru popędził ze zdwojoną szybkością.

Pan Jacek wdrapał się wyżej, usiadł okrakiem na grubym konarze, czapkę zdjął, przeżegnał się, zimny pot z czoła otarł i jął rozmyślać, siła weźmie sąsiad Ostraszewski za modrzewiowe kloce na belkowanie kościelne.



## Sas i Las

Choć na dworze dzień jeszcze biały, w komnatach jarzyły się świece, bo ciżba obecnych przesłaniała okna. Uciecha towarzyska dochodziła do szczytu. Nikt już prawie nie był trzeźwy, mimo to służba roznosiła nieustannie wino, miód i piwo. Ogromne kielichy podawano sobie z rąk do rąk. Niektóre nie miały nóżek: nie można ich było postawić i, przyjąwszy, trzeba już było wypić od razu do dna. Największy puchar mierzył garniec objętości i nazywał się “pater familias”\*. (\*pater familias [łac.] - ojciec rodziny.) Okrążył już dziś biesiadników parokrotnie, więc ze wszystkich czupryn dymiło jak z kotła.

Miecznik Koryzna wśród ogólnych wiwatów pił z czerwonego safianowego trzewiczka swej narzeczonej, Kachny Boguszówny. Trzewiczek był mały, wąski, a miecznik gruby, o twarzy barwy safianu, niemłody, wdowiec po trzech żonach. Obecna narzeczona miała być czwartą. Toteż gdyby się kto był szesnastoletniej Kachny zapytał o zdanie, odpowiedziałyby niechybnie, że wolałyby swego narzeczonego nie widzieć na oczy. Gruby miecznik Koryzna wzbudzał w niej lęk nie mniejszy niż sam pan ojciec jegomość. Lecz że nikt się jej nie pytał, nie zastanawiała się nad tym wyborem. Rodzice powiedzieli, że tak ma być, tak więc będzie. Na razie cieszyło ją, że są zrękowiny, goście, uczta, ona zaś dostała nową jubkę, kontusik i safianowe trzewiczki, z których pito w tej chwili węgrzyna, a od przyszłego męża złote zauszniczki.

Gwar nie ustawał. Co chwila ktoś rozpoczynał przemowy cudaczne, przesadne, upstrzone łaciną, i urywał nie znajdując w panującym hałasie dostatecznego posłuchu. Tylko trzej synowie domu, dobrze już wyrosnięci dragale, zważali pilnie na wszystko, co mówiono. Stali nieruchomo, nie ośmielając się ani usiąść, ani oprzeć w obecności starszych. Nasłuchiwali, wiedząc, że jegomość po odjeździe gości przywoła ich i każe sobie powtarzać, co ciekawszego mówiono. Jeżeli nie spamiętają - bizun będzie w robocie.

Pośród odzianych w kontusze i żupany sąsiadów, z dalszej i bliższej okolicy przybyłych na uroczystość zrękowin, wyróżniali się perukami i kusym ubiorem dwaj oficerowie saskiego pułku gwardii królewskiej, którego oddział we wsi kwaterował. Otaczali ich nieliczni rozumiejący po niemiecku goście, słuchając chciwie opowiadania o ostatnich łowach królewskich.

- ...Kiedyś miłościwy pan raczył uważać się, że żubry i jelenie nie latają w powietrzu niby kaczki. Tedy mnóstwo dzikiego zwierza zwieziono w klatkach do lasu, a potem pędzono je pomostem z desek obudowanym ścianami; położony był pomost wysoko, trzydzieści stóp nad ziemią, a kończył się nad jeziorem. Tam znajdowały się w nim pułapki, przez które zwierzyna spadała do wody. A tak miłościwy pan mógł, jako pragnął, w lot, niby do kaczek, strzelać do

wilków, niedźwiedzi i żubrów, co też czynił z wielkim ukontentowaniem...

- To mi łowy! - zdziwili się słuchający.

- Strach, ile to kosztowało, ale miłościwy pan był zadowolony. Szczególnie, że jeden niedźwiedź, chcąc się ratować, do czołna, w którym ludzie byli, wlaźł...

- Wasza miłość, melduję posłusznie, nieprzyjaciel następuje od boru.

- Jaki?! Skąd?!

- Pewnikiem Leszczyńskiego stronniki.

- Siła ich?

- Juści, że siła, bo ostro nastają...

- Trąbić do odwrotu! Żywo!

Nie żegnając się z gospodarzem, obaj oficerowie wypadli na ganek. Już ich żołnierze pierzchają przeskakując płoty w pośpiechu. Dowódcy skoczyli na koń podążając za swoimi. Tymczasem nieprzyjaciel wchodził do wsi. Nie następował wcale tak ostro, jak się Sasom wydawało; przeciwnie, zachowywał powściągliwą ostrożność, gotów zawrócić, gdyby przeciwnik okazał chęć walki i oporu. Były to bowiem czasy, gdy w Polsce zapomniano prawie do szczętu, że piękną cnotą jest męstwo, a hańbą ucieczka. Przewlekłe walki zwolenników Sasa i Lasa polegały na wzajemnym unikaniu bitwy.

Na wsi przy nie wygasłych jeszcze ogniskach zajęli miejsca nowi żołnierze; że mówią po polsku, nie po niemiecku, jak tamci, mała stąd pociecha dla ludności. Są równie głodni, natarczywi i bezwzględni.

We dworze pan Bogusz krzywi się na Sasów, co nieobyczajnie, bez pożegnania i bez strzemiennego opuścili towarzystwo. Za chwilę pewnikiem zjadą Leszczyńscy. Ciekawość, którzy? Przyjmie się ich równie przystojnie jak tamtych, bo gościnność to grunt. Zresztą pan Bogusz nie jest stronnikiem niczym i każdemu jednako rad, kto z nim szczerze kielich wychyli. Dlatego też ma wielki mir w okolicy i uchodzi powszechnie za człowieka o bystrym umyśle.

Toteż gdy przed gankiem dworu załomocą kopyta i rozniesie się szczekaniem podwórzowa psiarnia, pan Bogusz wychodzi skwapliwie ku drzwiom do gości, nie znanych wprawdzie, ale nie mniej miłych.

- Witam nawzajem uprzejmie, waszmość panie bracie - skłonił głowę poważny mąż wchodzący do sieni. Twarz piękna, rozumna, dobra. Wzrok zmęczony, niewesoły. Na ramionach ciężka szuba.

- Sam wojewoda poznański! - trąca Bogusza w ramię któryś z sąsiadów.

- Sam Leszczyński! Patrzajcie!

Pan Bogusz nie stropił się bynajmniej. Szlachcic na zagrodzie równy nie tylko wojewodzie,

ale królowi. Zresztą taki on i król! Nie wiedzieć co... Stoi za nim Szwed, jak za Sasem stoi Moskal. A sam Bogusz za którym stoi? Ech, miałby sobie czym głowę zaprzętać!

Inny jest kłopot poważny: jak gościa tytułować? Miłościwy panie?... Znaczący to to samo, co opowiedzieć się przy nim; Sasy wróciwszy mogą się słusznie pogniewać.

Stanisław Leszczyński odsuwa te wątpliwości.

- Podróżuję ściśle incognito - powiada swym głębokim, spokojnym głosem - i wielce będę zobowiązany za zaniechanie wszelkiego tytułowania. Długo tu nie zabawię, tyle by konie zmieniono... Trafiliśmy, widzę, na jakąś uroczystość?

- Tak jest, wasza wielmożność - potwierdza gospodarz rozpogodzony - na zrękowiny mojej Kachny z panem miecznikiem Koryzną, godnym sąsiadem i przyjacielem. Wielki to dla nas zaszczyt, że szczęśny los sprowadził w nasz dom w tym dniu tak znakomitą osobę...

I skinął na pachołka, by podał "pater familias", napełniony węgryzmem po brzegi.

- Zdrowie naszego gościa! Z pełnego! W ręce waszej wielmożności!

- Nie, nie - zawołał śmiejąc się Leszczyński - Gospodarzu, miły dobrodzieju, lampkę wina wychylę najchętniej, ale tej srogiej maszyny i w ręce nie wezmę.

- Daj białogłowski kielich - mruknął pan Bogusz do pachołka, czując w sercu żywą niechęć do gościa. Już wybrał, po której stronie stanąć, gdyby go przymuszono wybierać. Sas to przynajmniej król, co pić umie... nie ten mądrala uczony, a niuńka, niedołęga... Lampkę wina!... Pyszałek!

- Rad bym ujrzał jejmościankę! - dopraszał się grzecznie Leszczyński, a gdy stanęła przed nim zapłoniona, pogładził po ojcowsku jej dziewczęce liczko.

- A gdzież twój narzeczony? A rada go masz?

Zapłonila się jeszcze silniej i spuściła oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ani czy rada z zameńscia, ani jak rzec, że jegomość miecznik, doszczętnie pijany, leży bez duszy w sąsiedniej izbie pod stołem.

Pan Bogusz pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Przyszły mój zięć byłby tu już dawno powinne swe służby waszej wielmożności prezentował, gdyby nie to, że choć szczyli się jedną z najtęższych głów w powiecie, zmoгло go wino. Drugi dzień zażywamy dobrej myśli, a do młodego wszyscy szczególnie przepijają. Wasza wielmożność tedy raczy wybaczyć...

- Wybaczam, rozumiem... - zapewniał Leszczyński. I spojrzął jak gdyby ze współczuciem na śliczne dziewczątko. Zapragnął ją czymś obdarować. Ale czym? Nic prawie nie posiadał. Własne jego mienie dawno pochłonięły wysiłki, by się utrzymać na tronie. Ściągnął z ręki ostatni swój pierścień i podał jej z uśmiechem:

- Weźże na pamiątkę ode mnie.

Bąknąwszy podziękowanie, odbiegła uszczęśliwiona. Imć Bogusz tymczasem, ujednany nieco, zachęcał gościa, by raczył przejść do świetlicy lub jadalni, skąd bił gwar rozweselonych głosów i brzęk szkła. Ale gość odmówił stanowczo, powtarzając, że za chwilę odjeżdża, więc nie warto przerywać uczującym uciechy.

Rad nierad, gospodarz pozostawał z nim w sieni. Zresztą była to sień paradna, stanowiąca oś dworu, ozdobiona rogami zwierza i bronią, dawno już nie używaną. Ławy zasłane tam były przednimi futrami, a na kominie gorzał ogień.

- To wszystko sąsiedzi waści? - pytał król wskazując głową przyległe izby.

- Ano tak, sąsiedzi a zarazem przyjaciele najlepsi. Bogu dziękować, ma człek jakie takie zachowanie i przyjaźń u ludzi...

- To pewnie i posłujesz waść?

- Uchowaj Boże! Od sejmów i wszelakich spraw publicznych trzymam się zawdy z dala...

- Pożałowania godna taka wstrzeźliwość u wpływowego człowieka...

- Kiedyż z tych sejmów nic nie wychodzi! - skrzywił się pan Bogusz. - Zachodu dużo, a z góry wiadomo, że każdy będzie zerwany i posłowie z niczym powrócą do domu. Od dziesięciu lat nie pomnę, czy choć jeden sejm doszedł.

- Nie wartoż tego stanu zmienić?

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Ja go nie odmienię. Zresztą po co zmieniać, kiedy dobrze jest, jak jest.

- Jest dobrze?! - wykrzyknął Leszczyński. - Waść uważasz, że jest dobrze?!

- A pewnie! W czym ma być źle? Za przeproszeniem waszej wielmożności, wadzi się dwóch królów o Warszawę, ale na mojej Boguszwóce ani mnie to parzy, ani ziębi. Niech się wadzą! Rzeczpospolita jak stała, tak stoi. Dobrze jest, byle naszych świętych szlacheckich przywilejów nikt nie próbował tyrańsko ukracać...

- ...Jest dobrze! - powtarzał Leszczyński prawie z przerażeniem. - Więc ten upadek Rzeczypospolitej w świecie, ciągle poniżenia, nędza i ciemnota ogólna, przechody obcych wojsk nie waści nie szkodzą?

- A nie - stwierdził dobrodusznie pan Bogusz. - Żołnierskich stancij wprawdzie dużo, ale one dwory oszczędzają, chamstwo tylko niszcząc.

- A to chamstwo to nie Rzeczpospolita?

- Juści co nie. Rzeczpospolita - to my.

- Tak, tak... wiem...

Gość opuścił głowę na piersi. Ogień na kominie strzelał skrami, płąsały błękitne i czerwone

płomienie. Z przyległych izb buchało gorąco i natrętny hałas pijacki. Nieprzemierzona przed chwilą chęć przemówienia do tych ludzi, targnięcia ich polskim sumieniem opuściła Leszczyńskiego, zgaszona poczuciem beznadziejności.

- Konie już zaszły, wasza miłość - meldował pacholek.

- Jedźmy zatem!... Żegnaj waść. Dziękuję za gościnę.

- I to ma być król! - mruzczał pogardliwie pan Bogusz, gdy karoca ruszyła z brzękiem.

Wsiąkła w mrok. Tylko smolny kaganiec, trzymany wysoko na kiju przez poprzedzającego pojazdu hajduka, świecił jak czerwona gwiazda.

- Szkapy, niezwykajne chodzić razem, postronki porwały - tłumaczył królowi jadący z nim razem towarzysz i przyjaciel, imię Żegota. - Dlatego tak długo to trwało. Przynajmniej wypoczęliście krzywę, miłościwy panie?

- Wolej bym nie wypoczywał! - odparł z goryczą król. - Wolej bym tych ludzi nie widział! Gnije Rzeczpospolita, gnije... Nie uratujemy jej chyba.

- Grzech tak mówić, miłościwy panie. Czyż nie uczyliście mnie sami, że jest chora, ale nie zgnije? Czyliż w pismach waszych nie czuć budzenia się Polaków ze złego snu?

- Jedna jaskółka wiosny nie czyni.

- Kiedyż nie jedna! Więcej, a przybywać ich będzie z każdym dniem. Obaczycie, miłościwy panie! Obudzi się cały kraj do zdrowia.

- Daj Boże, abym tego doczekał. Ale mi się nie widzi, nie widzi...

Żalonym, rozczarowanym okiem powiódł po nizinie, na której, jak przyziemne grzybki, ciągnęły się sznurem chaty.

## Przy święconym

Powietrze było ciche, srebrnomodne i odświętne, pełne zapachu ziemi i pokrzyku radosnego czajek. Na lazurowej wodzie strugi kaczeńce kładły żywe dukaty swych płatków.

Pan miecznik spojrział w tę stronę niechętnie. Za strugą bowiem ciągnął się leżący ugorem kawałek spornego pola, o który z imć panem Gorzeniem od dawnych lat się prawował. Niegdyś pono żyli zgodnie, aż spór zadawniony uczynił z nich wrogów. Nie chodziło im już o szmatak łośwatej roli, jeno o to, który postawi na swoim, i wodzili się od sądu do sądu, a nienawiść wzajemna rosła bezlitosna i zajadła. Więc też ilekroć pan miecznik rzucił teraz okiem w stronę strugi, wnet je odwracał, by dnia uroczystego szpetnymi myślami nie mącić. Słońce grało cudnie w jego paradnym kontuszu i skrzyło się w bogatej rękojeści szabli. Pani miecznikowa dreptała przy boku męża w sztywnej sukni i jubeczce z opuszką sobolim. Za gospodarstwem, wybierając co suchsze miejsca na gościńcu, ciągnęli familianci i goście. Starościna Zagrodzka, siostra pana miecznika, strojnisia wielka, krzywiła trochę nosem na błoto, ale na to nie było rady.

Wracano z kościoła piechotą, bo słusznie mniemał pan miecznik, że w Wielkanocną Niedzielę nawet bydlę niemo winno mieć wypoczynek godziwy i święto. Kiep, kto dnia tego bez oczywistej potrzeby mitręży uznojoną chudobę! Idąc mijano gromady wracających do wsi chłopów. Odświętnie odziani, w długich sukmanach, zdejmowali wielkie czapy z głów świecących smalcem, bez codziennej, pańszczyźnianej pokory, w uroczystości dnia odnajdując na godzinę coś niby wspomnienie swej dawnej kmiecej godności.

Dzień był ciepły. Żółte kotki na wierzbach przydrożnych pławiły się w słońcu szczęśliwym, a nie znające wypoczynku pszczoły huczały wokoło nich.

Tymczasem we dworze jejmościanka Anusia, wyprzedziwszy wszystkich, krzątała się w towarzystwie imci pana Cholewy koło stołu, poprawiając przywiedle od wczoraj girlandy barwinku i bukszpanu. Stół był ogromny, poprzez całą jadalną izbę ustawiony. Pośrodku długim szeregiem baby, w kształt tureckiego zawoju skęczone, wznosiły uśnieżone cukrem czuby. Wokoło półmisków, spiętrzonych wszelakim mięsiwem, leżały wieńcem kołaczki. Podle nich biał ser, wielki jak miesiąc, zaś skraj stołu oblegały obficie mazurki imbierowe, muszkatelowe, sułtańskie, cygańskie i jakie tylko są. W samym środku, na zielonym kopczyku rzeżuchy, pasł się baranek z masła wyrobiony, z proporczykiem czerwonym, na którym wypisane było: "Alleluja!"

- Anusiu! - dobiegł głos miecznika z ganku - z maikiem idą!

Panna skoczyła żwawo do swojej komnatki, gdzie chusty, modra, żółta i różowa, leżały na gotowni. Drzwi, mocno pchnięte, zakolebały się jakoś dziwnie.

- Jezus Maryja! - jęknęła ze zgrozą, spojrzawszy. Zawora była umiejętnie odczepiona, a zawiasy ino, ino że się dzierżyły futryny.

- Juźci, że chłopcy, nikt inny... Dlaboga!!

- Anusiu! - pilił pan miecznik. Biegając przez sień, zobaczyła braci: Juraszek pokazywał Bolkowi tęgą bojową sikawicę.

- Nie mówiłem? Niesie stąd aż do lamusa... - szeptał gorączkowo.

Spojrzała na nich z odrazą, pędząc na ganek, gdzie zielone drzewko maiku, ubrane kolorowymi wstęgami, obracało się już z wolna na wietrze. Między gałązkami wisiały wydmuchane jajka. Mała dziewczynka w długiej do ziemi kapocie kręciła to pradawne godło wiosny, maju, życia, gdy dwie pozostałe cienkimi głosikami śpiewały:

“Maiczek zielony, pięknie przystrojony...

Wszystkie trzy były niezmiernie uroczyście, choć oczy śmiały im się do chust i kładzionego przez panią miecznikową do kobiałki placka.

- Laudetur Jezus Christus! - zabrzmiało naraz.

To ksiądz dziekan wchodził na ganek. Pacholik w barwie otworzył na oścież drzwi jadalni i gospodarz powiódł kompanię za stół. Imć Cholewa podał mu wielką misę srebrną pełną pstrokatych kraszanek.

- Daj nam, Panie Boże, przeżyć zbożny wiek, jejmość dobrodziejko! - rzekł pan miecznik podchodząc do żony.

- Dajże to, Boże! - odparła chyląc mu się do ramienia i po kraszanek sięgając. Obchodził potem wszystkich z kolei, według godności i wieku.

- Dajże ci, Boże, Anusiu... ale cóż to waćpanna jakaś zafrasowana?

- Bo proszę jegomości - wybuchła - chłopcy zaworę z komnatki wyrwali, pewnikiem chcą się jutro łać, bo już i sikawicę mają...

- A mają! I dobrą... parsknął z cicha Bolko.

- Familia zjedzie, ksiądz przeor zjedzie... Chorążyc zjedzie... - szepnął złośliwie Juraszek.

- Więc jakoż się z mokrymi kosami ukażę?! - biadała nieboga, z żalem poglądając na śnieżne przy giezłeczku krezy. Ale daremne były jej skargi, bo pan miecznik, uśmiechnawszy się pod sutym wąsem, poszedł dalej.

- Nie obaczysz by kęsa marcepana! - syknęła gniewnie na brata.

- Tyś pani matka?

- Pani matka nie tacy jak jegomości. Ujmą się za mną, zobaczysz!

- A jakże! - odburknął zuchwale.

Tymczasem w górze stołu opowiadał coś donośnie ksiądz dziekan.

- ...Ledwo tedy Gorzeń ruszył, obłamała się kolasa. Pognał łogoszowego do domu po drugą podwodę, sam zaś aże nogami tupał ze złości na drodze...

- Bóg nierychliwy, wszakże słusznie tyloletnią przewrotnością zindygowany, gniew mu swój publicznie okazał - stwierdził pan miecznik z powagą.

Zaległo milczenie, bo wymęczeni długim postem ludzie aż drżeli do jadła i w ciszy słyhać było jeno chrzęsty a chrupanie. Psy-ulubieńce merdały pod stołem ogonami, chwytając chciwie odrzucane przez jedzących kości. Pan miecznik jadł i myśli zbierał, by orację, jako obyczaj każe, wygłosić.

- Kolasa mu się obłamała... - zaczął znowu ksiądz.

Nagle Juraszek trącił siostrę w zdumieniu.

- A to patrzaj, kto idzie przez dziedziniec!

- Cichaj, na Boga, bo jak jegomość usłyszą...

Lecz pan starosta Zagrodzki, miecznikowy szwagier, spojrział równocześnie w okno:

- Gorzeń idzie podle bramy! - krzyknął.

Pan miecznik porwał się jak oparzony.

- On na moim dziedzińcu! Bij, kto w Boga wierzy! - wrzasnął i wypadł do sieni.

- Jezus Maryjo! W taki dzień! - szlochała w głos pani miecznikowa wybiegając za nim, a za nią reszta obecnych.

- Pax, pax! Misericors Domine! Pax! - błagał ksiądz dziekan.

Oni zaś stali już naprzeciwko siebie, zębami błyskając jak wilcy, a dygocącymi rękami ściskając kurczowo rękojeście szabel.

- Odkąd to droga waszeci przez moje podwórko? - spytał pan miecznik zachłystując się z pasji słowami.

Imć pan Gorzeń skrzywił pogardliwie twarz.

- Droga widzi mi się swobodna każdemu. Wiechy, przejścia wzbraniającej, nie widziałem - rzekł wyniośle.

- Wara ci stapać na mój grunt!

Porwali się ku sobie, zjuszeni. W teźże chwili w pobliskim kościele uderzyły dzwony nieszporne i biły potężnie powietrze, a drogą szli ludzie śpiewając.

- ...Przez Twoje święte Zmartwychpowstanie - Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie...

- zabrzmiały głosy już pod samą bramą. Gromada chłopska stanęła we wrotach.



- ...Wierzmy, iżżeś zmartwychpowstał - żywoteś nam naprawił - śmierci wiecznej nas zbawił...

To wódarz Bartoszek wiódł czeladź, by się starym obyczajem z dworem święconym jajkiem podzielić. Dwaj przeciwnicy bezwolnie zatrzymali się w pół kroku.

- Przyszedliśmy z państwem społecznie się ucieszyć. Chrystus zmartwychwstan jest!

- Alleluja! - odparła przez łzy pani miecznikowa.

- ...Chrystus zmartwychwstan jest - nam na przykład dan jest - iż mamy z grzechów powstać...

- Alleluja! - odparli chórem obecni.

- ...Przez Twe święte Zmartwychwstanie - użyż nam win odpuszczenie...

Pan Gorzeń opuścił szablę.

Zaś miecznik oddychał ciężko, jakby w śmiertelnym zmaganiu. Twarz mu pobladła jak chusta, a pot kroplisty wystąpił na czoło.

- Chrystus zmartwychwstał... - rzekł nagle odmienionym głosem. - Wybaczcie, sąsiedzie, i raczcie usiąść k'święconemu razem z nami.

- Zmartwychwstał zaiste - odszepnął pan Gorzeń - wybaczcie, panie bracie...

Dzwony wciąż były głosząc całemu światu alleluja!

## Do światła

Gdy na oślizłych zboczach wąskiej górskiej drogi, wspinającej się mozolnie na przełęcz Brenneru, staroświecka podróżna kolasa wielebnego rektora krakowskiego kolegium, ojca Cypriana Komorowskiego, chyliła się i luzowała na boki - stary Grzela, famulus pijarski, wzięty jako łogoszowy, zeskakiwał ze swego stopnia, by podtrzymać skrzypiący wehikuł. Pomoc ta, acz gorliwa, mogła mieć tylko znaczenie moralne, toteż ojcowie wysuwali na zewnątrz głowy z niepokojem, badając trwożnym wzrokiem głębokość urwiska. Choć opuścili Warszawę, gdy drogi już obeschły, w Alpach przychwyciła ich zima. Stare oczy podróżników, przywykłe do mrocznych izb zapchanych księgami, mrużyły się przed lśniącym szkliwem bezmiernych połaci śniegowych, migocących pyłem brylantowym, cudnych. Szczyty polotne, niebosiężne iglice wynosiły się na barach skał w wyże dalekie, od których mąt głowę mroczy. Nagłe uskoki góry odsłaniały tuż pod stopą żleby błękitne wzdychające mrozem, przepaście uchodzące jak gdyby w popłochu kędyś, kędyś, ku zaledwie dostrzegalnym słonecznym dolinom upstrzonym dachami osiedli, co zdały się tak odległe, jak gdyby zgoła w innym świecie położone.

Przed wjazdem w mroczne, ścieśnione wąwozy woźnica stawał, by za radą przewodnika odczepić dzwonki chomątów. Wysoko na ścianach skalnych drzemały lawiny, puszyste, leniwe potwory, których snu nie śmie przerwać żaden obcy głos. Białe ich łapy, podbite granatowym cieniem, zwieszały się z krawędzi ścian. Gdy cicho, szybko przesuwali się pod nimi, ojciec Ignacy Konarski przymykał oczy kreśląc raz po raz znak krzyża świętego na piersi, zaś ojciec Cyprian trwożnie powtarzał:

...De profundis... Domine...

...et clamor meus ad Te veniat...\*

(\*De profundis... [łac.] - Z głębokości... Panie... a wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie...)

- O co idzie? - pytał obudzony z zamyślenia ojciec Stanisław Konarski, właściwa głowa i kierownik wyprawy.

Kładąc pośpiesznie palec na ustach, towarzysze ukazywali mu białą śmierć wiszącą w górze. Kiwał na to obojętnie głową, zbyt pogrążony w myślach, by go cokolwiek inne mogło przejść. O swoich troskach dalekich zadumany, nie o bliskiej lawinie, powtarzał machinalnie za bratem:

- ...et clamor meus ad Te veniat... Panie wysłuchaj głosu mojego... Panie, nie opuszczaj mnie...

Skupiona męka nie schodziła z jego twarzy, chociaż z śmiertelnej gardzieli wyjeżdżali na cud słonecznego dnia, rozglądając się swobodnie po rozległym, pięknie zagospodarowanym kraju. Zwarłszy się mocno sam w sobie, przeżuwał wewnętrzną zgryzotę, aż energiczna, pogodna zazwyczaj jego twarz zżółkła od troski.

Brat i przyjaciel spoglądali nań z żalem nie pozbawionym nagany. Cóż pomoże trafić się zbytnio zawczasu, zdrowie melankolią na szwank narażać?

- Co Bóg da, to będzie... - przedkładał rozważnie ojciec Ignacy.

- Chciejmy, a możemy - przytaczał z uśmiechem ulubione powiedzenie Stanisława Konarskiego łagodny ojciec Cyprian.

- Ach, ja chcę - westchnął zamyślony. Przetarł czoło i spojrzał z gniewną rozpaczą na ojców. - Nie frasuj się - sarknął - łąco mówić! Jak się nie frasować, kiej co krok wstyd aż źre! Hańba, sromota, żal! Toć spojrzeć jeno wokoło... Miasteczka czyste... wsie bogate... drogi, śluzy, mosty, śpichrze, a u nas co? Śmierdząca nędza albo zbytek wielkopański, z którego korzyści nikomu! Tertium non datur!\* (\*Tertium non datur [łac.] - trzeciego wyjścia nie ma.) Bydło nieszczęsne albo paryskie eleganty! Pałac albo chlew! Nie ujrzysz nic więcej przejechawszy wzdłuż i wskroś całą Rzeczpospolitą...

- Odmienim to z wolna, jeśli Bóg pozwoli... - westchnął ojciec Komorowski.

- A ten wstyd! - ciągnął z rozpaczą Konarski. - Toćże gdzie ino posłyszają, żeśmy z Polski, zgoła pogardliwie traktują! Drzewiej inaczej bywało! Co teraz znaczy Rzeczpospolita?! Do wzgardy u postronnych my zesli...

Umilkł, bo falą gryzącą zalało go wspomnienie posłowania do Francji, odprawionego dla otrzymania pomocy teściowi królewskiemu, Stanisławowi Leszczyńskiemu. Związane z nim codzienne upokorzenia, pogardliwa wyższość Francuzów. Toćże rzekomo dla oszczędności (jak gdyby na dworze Ludwika XV myślał kto o oszczędności!) nie przyjęto ich jako poselstwa, ale jako prywatnych posłańców od rodziny królowej! Inaczej ciągnęli niegdyś tą samą drogą posłowie polscy, Rozjusz, Ossoliński... Nie w żalosnej roli nieproszonego petenta, lecz w mocy i majestacie potężnej Rzeczypospolitej. Nieśli zdanie ważkie, sąd pewny, ukrzepiony, na który oczekiwał z szacunkiem cały świat.

...Było tak... minęło... Czemu? Z własnej winy narodu. Z własnej, najwłaśniejszej winy...

Zamilkli wszyscy trzej.

Słońce grzało tak mocno, że utrudzeni długą podróżą ojcowie Cyprian i Ignacy z rozkoszą siedzieli na przyzbie austerii grzejąc stare plecy, gdy na dziedzińcu popasały konie. Ojciec Stanisław, któremu niepokój nie pozwalał usiedzieć i który rad by był skrócić wszystkie postoje, chodził przed nimi tam i sam nerwowym krokiem.

- Co to za budynek, tamten nowy w głębi? - zapytał przechodzącego poganiacza mułów.

- Kolegium przecież - odparł zapytany ze zdziwieniem.

- Kolegium! - ożywił się Konarski - ciekawość, jak to wygląda... Chodźmy obaczyć, mili ojcowie.

Lecz towarzysze nie chcieli iść, radzi z chwili wypoczynku. Poszedł przeto sam. Ciągnęło go nieprzeparcie ku każdej szkole. Znał ich tyle, znał tak dobrze! Zmieniło się też co w nich od czasów jego młodości, gdy jeździł dla studiów po świecie?

Kolegium mieściło się w obszernym, nowym jeszcze, lecz posępnym gmachu. Prefekt wyszedł naprzeciw gościa. Po wzajemnych prezentacjach przystał chętnie, by ciekawy przybysz asystował przy lekcji. Stanisław Konarski zasiadł więc w kącie poza katedrą prefekta, baczny okiem przeglądając uczniów, profesora i salę. Szczególnie uczniów. Wystarczyło mu raz ich ujrzeć, aby poznać. Oto w końcu sali siedzą kalefaktory, uczniowie biedni, tańszą opłatę składający. W zamian za te ulgi obowiązani są drwa rąbać, wodę nosić, w piecach palić i karę chłosty kolegom wymierzać. Chłopy tępe, ponure, zawistne. Przy nich w kącie różgi brzoźowe w kadzi z soloną wodą. Oto bliżej na prawo "pars romana", lepsza strona klasy - po lewej pośledniejsza "pars graeca"\*. (\*W dawnych szkołach polskich, szczególnie jezuickich, klasa dla współzawodnictwa podzielona była na dwie grupy, pars romana - stronę rzymską i pars graeca - stronę grecką.) Spojrzenia pełne niechęci wzajemnej padają obustronnie. Z lewej żadne przyłapać na błędzie któregoś z szczęśliwców, sobie na przyszły miesiąc przedniejsze miejsce zapewnić. Szpiedzy, obowiązani donosić o wszystkim, myszkują między jednym a drugim obozem. Prefekt odczytywał głośno długie łacińskie zdania o rozmyślnie zawilej budowie, malcy powtarzali je za nim półgłosem. Gwar panował jak w roju. Strudzonemu wędrowcowi, słuchającemu tych samych słów co przed laty, wydało się nagle, że lata przeżyte minęły, wrócił do dzieciństwa swego. Siedzi oto na ławie w piotrkowskim kolegium. Na szyi nosi tabliczkę z napisem "nota lingua"\*, (\*nota lingua [łac.] - nagana za język.) karę hańbiącą za odezwanie się w czasie rekreacji po polsku. Nosi ją tygodniami, gdyż aby się jej pozbyć, trzeba złapać na podobnej przewinie kolekę, a Konarski nie umie być delatorem\*. (\*delator [z łac.] - donosiciel.) Poruszył niecierpliwie szyją, jak gdyby teraz, po latach, czuł jeszcze ciężar tej uprzykrzonej tabliczki, jej kołatanie bezmyślne w biegu czy zabawie.

W klasie zaległa cisza. Nosowym głosem prefekt odczytywał coś z grubych, tak dobrze

znanych foliałów, które dziś jak wówczas trzeba było umieć, przeumieć na pamięć. Znać jak pacierz. Nie, nic, nic się nie zmieniło! Wśród niezdrowej zażartej emulacji\*, (\*emulacja [łac.] - rywalizacja.) w atmosferze szpiegostwa, bigoterii i niepotrzebnej srogości dojrzewiała po dawnemu młodzież:

Ukryty za katedrą, powtórzył sobie z mocą po raz setny, że nadal tak być nie może, że wyjątkowo dzielny, czynny umysł, nie zaprzepaści się w podobnej szkole, lecz tysiące przeciętnych giną. Poglądził ręką tkwiący w zanadru manuskrypt reformy szkolnictwa, najdroższy owoc ducha, przygotowany, przemyślany od tylu lat. Złożona w nim odmiana świata, rzeczywista, potężna, w skutkach nieobliczalna. Oczami duszy zobaczył nowe szkoły, jasne, wesołe, kształcące obywatela-człowieka, rozwijające umysł, miast go zabijać. Czego nie dokona świat, dokąd nie sięgnie ludzkość, gdy najlepsza jej młodzież od małego prowadzona będzie w kierunku rozwoju wszystkich sił.

Ale czy mu dzieła dokonać pozwolą?

Ciężkie zwątpienie opadło nań, aż skostniał wewnątrz. Jakże mało danych, by go zechciał wysłuchać Ojciec Święty! Jedna na sto, nie, jedna na tysiąc... prawdopodobnie ani go do niego nie dopuszczą. Zawzięty, ciasny umysłem prowincjał Walenty Kamiński dobrze już oczernił śmiałego nowatora przed generałem zakonu Augustynem Delbeccio i kardynałami! Ledwo on, Konarski, zaczął myśleć o podróży, już pomknęły do Rzymu pilne listy, przedstawiające reformatora jako niebezpiecznego nowinkarza, ba, herezjarchę przyszłego, podważającego najświętsze zasady wychowania. A za nim nie stał nikt. Z bezsilną, butwiejącą Rzeczpospolitą nikt się nie liczył. Zresztą bodaj że tam miał najmniej popleczników. Z goryczą pomyślał, że na palcach jednej ręki zrachuje tych, co jak rektor Komorowski, brat słodkiego druha, ojca Cypriana, są mu oddani i wierzą w potrzebę reformy. Reszta - to gmin ciemny i ślepy, choć krzykliwy, lub rozdęte pychą magnaty.

Jedyna nadzieja w Ojcu Świętym... O natchnijże go dobrą myślą, święty Józefie z Kalasancji, patronie i fundatorze nasz!

Sercem strwożonym i duszą przyłgął do świętego założyciela pijarów, pokrewnego sobie duchem, co płakał widząc czytać nie umiejących. Przypadł mu do nóg w gorącej modlitwie o oświecenie i pomoc.

- Zatem wasza świątobliwość raczy trwać w zamiarze przyjęcia rektora polskiego? - zapytał generał zakonu, ojciec Augustyn Delbeccio, nie tając niezadowolenia.

- Trwam - odrzekł spokojnie papież Benedykt XIV gładząc szorstki podbródek. - Jakie jest zdanie waszej wielbności o tym człowieku?

- Pospolity, zarozumiały mnich z przewróconą głową - zaopiniował krótko generał.

- Wykształcony?

- O, bardzo! Niegdyś luminarzem był zakon. Mowy na funeraliach\* (\*funeralia [z łac.] - uroczystości pogrzebowe.) wygłaszał według wszelkich prawideł... Ozdoba polskiej prowincji... tak go nazywano... Niepojętą pychą wiedziony, umiejętność precz odrzucił, głosząc zuchwale, że jest nic nie warta i że aby coś umieć, trzeba się uczyć na nowo, jako samouk się kształcać...

- Reformę jakowąś szkolnictwa chce zaprowadzić?

Gniew zapalił oczy generała zakonu Scholarum Piarum.

- Reformę?! Wasza świątobliwość! On chce wszystko wywrócić do góry nogami! Znieść karę cielesną! Zbawienny strach w szkole! Pyszałek to, którego najskuteczniej należałoby ukarać, bez audiencji odsyłając do kraju z powrotem...

- Rad bym jednak go widział - upierał się papież. Lubił czasem czynić na wspak swoim doradcom.

- Wola waszej świątobliwości... Natychmiast go wprowadzę...

- Wprowadź go, wasza wielbność, i zostaw nas samych.

Ojciec Delbeccio wyszedł skłoniwszy się nisko. Papież patrzył za nim uważnie. Przenikliwych, mądrych oczu nie spuszczał z kotary wejściowej, gdy na jej tle pojawił się petent z Sarmacji, szczupły, o twarzy pociągłej, gorącej, upartej, "ardens et obstinatus"\* (\*ardens et obstinatus [łac.] - płomienny i uparty.) jak go określano. Krytyk zuchwały, co "ośmielił się być mądrym", sapere aušo, i z tej maksymy hasło swe uczynił. Lecz pychy stwierdzonej przez ojca Delbeccio nie mógł się w nim Benedykt XIV dopatrzeć. Onieśmienie i niepokój pijara-nowatora były tak wielkie, że Ojciec Święty ujrzał się zmuszonym zagaić rozmowę.

- Słyszałem, że jakoweś zmiany w szkolnictwie chcesz zaprowadzić, mój synu?

Uparte i gorące oczy zapłonęły. Pękły stawidła nieśmiałości.

- Tak jest, wasza świątobliwość... Mam tu ze sobą manuskrypt... Jak o łaskę, którą na równi ze zbawieniem duszy stawiam, błagam, byś wasza świątobliwość zechciał się z jego treścią zapoznać... Nie z nagłą lekkomyślnie poczęty... owoc pracy wieloletniej... Oto on...

- Na czym opierasz, synu, potrzebę reformy?

- Na tym, że szkoły są złe! - wybuchnął Konarski. - Racz przypomnieć sobie, wasza świątobliwość, swoje lata szkolne i powiedz, zali były one dobre? Jeżeli zaś wówczas były złe, to dzisiaj są stokroć gorsze, bo świat cały poszedł naprzód, a szkoły w miejscu ostały! Codziennie ludzkość o nową zdobycz jest bogatsza, lecz szkoły o tym nie wiedzą... Nowe połączenie świata odkrywają się co roku, ale w szkołach geografii nikt nie uczy... Nie masz historii innej oprócz starożytnej, choć nieustannie nowe jej karty przyrastają... Żaden preceptor nie wykląda o fizyce, chemii, o cudach wspaniałej przyrody! Po dawnemu prozodia\*, (\*prozodia [z łac.] - część nauki o

języku zajmująca się akcentem.) syntaksa\* (\*syntaksa [z łac.] - składnia.) i retoryka. Nie widziałem jeszcze czelaka, który by z umiejętności owych korzyść inną jak ogłupienie i stępienie umysłu pozyskał! Nikt w szkole nie powiadamia o obowiązkach obywatela, o powinności względem swojej ojczyzny... Po dawnemu łaciną się rządzą, jak gdyby wśród Rzymian miało się żywo spędzić, nie wśród swojaków właściwym mówiącym językiem. By się porozumieć jeden z drugim, łaciną sobie wyłamują gęby. Wszystko to jednak małe są mankamenta wobec srogości obyczajów w szkole rządzących. Prawo kija panuje tam samowładnie. Za każde przestępstwo chłosta. Niemiary, ni pomilowania. Rzekłbyś, nie szkoła to, ale jatki, gdzie zgorzkniały preceptor rankor swój do życia na plecach chłopiąt wylewa... Niemiła Bogu taka szkoła. Bunt rodzi, nienawiść i odwet z kolei na słabszych. Delatorstwo, uświęcone przepisami i zwyczajem, szerzy obłudę szkaradną, wzajemną nieufność i żal...

... Nie ja pierwszy refleksje one głoszę... Pisali już dawno o tym uczony Anglik Locke i Francuz Rollin. Dzieła mądre, z niezbitą słusznością pisali, ograniczając się w nich jednak jeno do potępienia obecnego stanu, nie dając nowego programu... Jam się na to ważył... Oto, wasza świątobliwość, szczegółowy plan nauk i przepisów nowej szkoły...

Drżącą ze wzruszenia ręką podawał zwitek papierów. Benedykt XIV przyjął go ruchem pełnym zaufania.

- A cóż uczynią obecni nauczyciele? - zapytał z wahaniem. - Łacno ich nie przekabacisz.
- Muszą iść precz - odparł twardo pijar. - Młodzież ważniejsza niż oni, przyjdą nowi.
- Zapewne... Zapewne...

Przenikliwym, byстрыm wzrokiem obrzucił postać ojca Stanisława.

- Ten manuskrypt przejrzę sam, osobiście - rzekł powoli - i prawdopodobnie pozwolenie ci dam... Zastanów się, synu, czy ci sił wystarczy? Pamiętaj, że sztylet i aquatofana\* (\*aquatofana [łac.] - rodzaj trucizny.) bywają nieraz nagrodą podobnej imprezy...

- Nie lękam się, wasza świątobliwość! - wykrzyknął rozradowany. Szczęście rozpierało mu piersi. Oczy płonęły. Ogarnęły go upojenie i duma, jak gdyby już widział przeobrażony, odrodzony świat. Przez niego! Oto dar, który ubogi pijar polski składał Zachodowi. Oto dar, jakiemu równego nie przywieźli ani Hozjusz, ani Ossoliński, choć gubił złote podkowy... Nowe szkoły, a z nimi nowa epoka cywilizacji. Nowa epoka dla umiłowanej Ojczyzny...

I skrzydlate jego myśli uleciały do ciemnego, ubogiego kraju, któremu miały przynieść światło i krzepotę...

## Na łowach

Radziwiłłowski tabor myśliwski, na zachodnim skraju Puszczy Nalibockiej rozłożony, wyglądał z dala jak prawe obozowisko wojenne. Turecki namiot księcia wznosił się w środku, pstry i barwisty niby wielki motyl lub kraska, co skrzydłami przypadła do śniegu. Naokół czerniały pomniejsze namioty, nastroszone na kształt jeża szalasy z gałęzi i chruściane budy - wszystko przyobleczone w modre pasma dymu snującego się wokół z kilkudziesięciu ognisk. Sto wyprężonych wozów stało rzędem po prawej stronie obozu, a grube, kosmate żmudziny wyjadały z nich owsiankę prychając lub uszy pilnie nastawiając, gdy w lesie zagrały ogary. Ścielące się mostem dyszle, przyrzucone płachtami, dawały pod sobą wyśmienite schronienie pachołkom. Czerniała góra sieci zwalonych na ziemię. Wbite w śnieg, sterczały zapasowe oszczepy i rohatyny, choć tych ostatnich już mało kto zwykł używać. Przy ogniach w dymiących czeluściach kotłów wrzała polewka z sarniny. Opodal księżącego namiotu w potężnym wykrocie urządzona była 227 wcale przemyślnie kuchnia, gdzie kucharczyk kopystą wielką jak łopata mieszał bigos uroczyście. Tuż pod czujnym okiem stanowniczego\*, (\*stanowniczy - kwatermistrz.) pana Sołłohuba, stały kufy z gorzałą, beczułki z piwem i winem.

W obozie panowała cisza, bo oprócz pilnujących ognisk pachołków nie było nikogo. Psy grały gdzieś w kniei uparcie, zajadle, jak na niedźwiedzia. Pan Sołłohub, stanowniczy, nasłuchiwał z chciwym żalem. Cniło mu się coraz więcej. Myśliwym był zawołanym, lecz dziś kolej mu wypadła pilnować obozu. Wzdychał szturchając służbę i łowiąc uchem wieści, które las przynosił.

- W miejscu grają... - mruczał - niedźwiedź pewny... przytrzymały... Uch! - trzepnął palcami, gdy przeraźliwy skowyt wyniósł się lamentem ponad gardłowy, zapieniony harkot psi. Strzał pękł w powietrzu jak bańka, daleko, rozsypał się echem po drzewach, las cały zagadał nagle krzykiem naganiaczy.

- Nie zdzierzę! - jęknął. - Chłopaki! Sprawiać mi się tu dobrze, bo skóry z was zdejmę!

Nabił rusznicę, na plecy zarzucił, oszczep w garść chwycił i pomknął w puszcze za głosem. Wnętrze boru drżało od wrzawy łowieckiej. Niewidzialni naganiacze krzyczeli: "Uha! uha! uha! ha! ha!" Było ich tam z pół tysiąca, więc głosy rosły, potężniały i głuszac wszystko, dominujące, jakby gniewne, zlewały się z szumem drzew w jedno. Psy ujadały chrapliwie, zachłystując się własną bezsilną wściekłością. Pan Sołłohub przystanął na chwilę, by dobrze wyczuć kierunek, i pobiegł dalej jak młody, zapadając w śnieg, przeskakując oślizłe, próchniejące wały. Naraz ryk jak grzmot buchnął gdzieś blisko, opadł w groźnym pomruku i wzniósł się znowu straszliwy. Pan Sołłohub biegł co tchu, aż wypadł na małą polankę.



- Wołodkowicz!! - wrzasnął. - Trzymaj się, bracie!!

Imć pan Ignacy Wołodkowicz, znany ze swej ogromnej postawy i siły, wodził się niby w tańcu po polance - dwa kroki naprzód, dwa w tył - z wielkim misiem, o głowę nad nim górującym. Wypalona rusznica, złamany oszczep, wdeptane w śnieg, leżały na ziemi. Oburącz trzymał szablę, której koniec niedźwiedź chwycił w zęby, łapami daremnie sięgając Wołodkowiczowej głowy. Szabla, choć tęga, bojowa, gięła się w prawo, to w lewo.

- Daj oszczep! - charknął zduszonym głosem Wołodkowicz.

Puścił szablę i odskoczył w bok niespodzianie. Niedźwiedź z impetu upadł na ziemię. Porwał się, rycząc, na nogi i wyrósł znów nad polanką, groźny, czarny, błyskający białymi zębami w czerwonej, gorącej paszczy. Psy dopadały go z tyłu - nie zważał na nie, szukając człowieka-wroga. Lecz pan Wołodkowicz, zebrany w sobie, sprężony, już szedł na niego z oszczepem. Skoczyli ku sobie zajadle. Ruchy ich stały się szybkie, zmyślne, nieubłagane, śmiertelne. Teraz człowiek był górą. Niedźwiedź padł wbijając w siebie oszczep jeszcze głębiej. Ziemia drżała od ryku, okiść leciała na ziemię. Ruchliwa płowa fala psów pokryła drgające cielsko. Gdy strząsnął ją nagle i poderwał się raz jeszcze, straszny, buchający krwią - pan Sołłohub wypalił mu w sam łeb z rusznicy. Miś runął głową w śnieg i znieruchomiał. Pan Sołłohub litościwy był, więc nabił powtórnie rusznicę i kropnął w łeb psu, co rozpruty przez niedźwiedzia włókł za sobą wnętrzności, rozdzierając beznadziejnym skowytom powietrze.

Pan Wołodkowicz ocierał pot z czoła. Spoza drzew biegli z radosnym krzykiem naganiacze. Szarzy byli, w szarych kapotach i w łapciach z łyka, podobni stworom leśnym, w głębinach puszczy jawiącym się i nikiącym z nagła. Długowłose głowy schylali nad leżącym niedźwiedziem, dziwiąc się powalonemu mocarzowi.

- W porę waść przyszedł - odsapnął pan Wołodkowicz - to haman! Oszczep jak piórko przelomiał!

- Piesków szkoda... Siła ich bestia spsowała?

- Dziewięć... Szczęście, że Nepty nie ruszył, boby się księżę zapłakał...

- A gdzie księżę pan i wszyscy?

- Pognali za łosiem, który od księcia ustrzelony był. Mówiłem księciu, że psy jeszcze w kniei i niedźwiedź pewny, a on ani słuchać nie chciał... Ej tam! Psom nie dajcie skóry targać!

Szczwacze zbierali do ręki warczące, rozżarte psy. Dziesięciu naganiaczy ciągnęło niedźwiedzia z trudem ku obozowi.

- By jeno księżę pan drogi nie pomylił! - niepokoił się, idąc za nimi, Sołłohub.

- Nie powinien. Można uderzyć w trąby na znak.

W tymże samym czasie, o niespełna milę stamtąd, ksiązę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, rozprawiał żwawo jadąc pośród towarzyszy. Tuszy był potężnej, głowę miał wielką i łysą, oczy niebieskie, wesołe. Wąsa zawieszystego głaskał, rad, bo łosia dognano, nim się w bagna przebrał.

- ...Sam bym nie uwierzył - ciągnął - gdyby mi kto rzekł, że Radziwiłł za łosiem będzie uganiał jak pastuch za krową... Hańba! A z czyjej raczej? Pana Rejtana, który mi wszystkie niedźwiedzie w Nalibokach wykłął...

- Ja?! - wykrzyknął pan Rejtan zdumiony. - Parol kawalerski daję, żem nigdy w puszczy nie szedł bez zezwolenia waszej książęcej mości...

- Nie dawaj, panie kochanku, nie dawaj! Mam ja na to testimonium\* (\*testimonium [łac.] - świadectwo.) nieodparte. Trzy miesiące temu nazad, gdym w Warszawie będąc po obiedzie zdrzemnął, ukazał mi się we śnie pradziad, świątobliwej pamięci ksiązę Sierotka, i prawi: "Ty tu drzemiesz, Radziwille, a w Nalibokach Rejtan ostatniego ci niedźwiedzia szczuje..."

- Wasza książęca mość! - oponował gorąco pan Rejtan.

- Nie gadaj nic; panie kochanku! Znam cię, gotówes łgarstwo zarzucić samemu księciu Sierotce. O tempora! O mores!\* (\*o tempora! o mores! [łac.] - O czasy! O obyczaje!) Francuzów na Litwie coraz więcej, a niedźwiedzi coraz mniej. Miły Boże, toć ongi, gdy nam do akademii smorgońskiej brakło elewów, szedł gajowy w las jak owczarz do koszary i piastuny dwa, trzy, ile trzeba było, wynosił... Waść, miły szwagrze, akademię smorgońską znałeś? - zwrócił się do jadącego obok chorążego litewskiego Rzewuskiego.

- Nie miałem zaszczytu.

- Żałuj, panie kochanku! Niedźwiedziów tam edukowano, że potem każdy za dobrego dworzanina starczył. Bywało, jadę nieraz do sąsiada w gości, na koźle niedźwiedz okrutny powozi, panie kochanku, a z bata pali, że Matwiej lepiej nie potrafi... Za kolasą dwa niedźwiadki miasto hajduków stoją... Niedźwiedz drzwi kolasy otwiera... Ale co to! Przyjeżdża raz do mnie ksiądz biskup smoleński i patrzy: ja dyktuję, a miś, mój sekretarz, pisze.

- Nie może być!

- Czekaj no, panie kochanku - omyliłem się. Tak było: ja piszę...

- A on dyktuje?

- Głupiś, panie kochanku. Choć mnie stolnik litewski niedźwiedziem nieświeckim nazywa, przecie pod dyktando niedźwiedzie nie piszę... Ja list skrybowałem, miś zasię piasek z piaseczniczki sypał i pieczętował jak kanclerz. Piękna była akademia! Incydent fatalny, panie kochanku, żaloszny jej koniec położył. Pacholki psubraty spóźniły się kiedyś ze śniadaniem i głodne elewy całe gremium profesorskie zjadły... Nie mogłem później naleźć pedagogów chętnych, choć

plące lepsze były niż w królewskiej akademii, i tak, z wielkim żalem, przyszło aspirantów rozpuścić do lasu. Śmiechu było stąd, panie kochanku, niemiara, bo bestie nic się nie bały. Oblawę kiedyś robim: idzie miś, wielki jak ratusz, stanął, łapę podniósł i krzyżem świętym nas żegna, czego się od księdza Kantembrynga pięknie nauczył. Ludzie plackiem na ziemi. “Cud!” - krzyczą, on zaś mruknął: “Dominus vobiscum!” - i do lasu zawrócił.

- Po łacinie gadał?! Żartujesz, wasza książęca mość!

- Nie żartuję, panie kochanku. Nie znałeś moich smorgoniaków. Możeś też nie słyszał, jako jeden z nich z markizem de la Roseraie gadał?

- Nie słyszałem.

- Słuchaj, panie kochanku: Wracali my z łowów do obozu. Markiz przyostał się w tyle, co chętnie czynił, rymy dla jednej panny z fraucymeru księżnej miecznikowej w samotności układając. Idzie (piechotą szedł), potok jest, na nim kłoda przerzucona miasto kładki. Całkiem w rymach pograżony, wchodzi Francuzik na kłodę, aż patrzy: niedźwiedź z drugiej strony też na kłodę włązi. “Mon Dieu!” - wrzasnął markiz, rymów przepomniawszy, a miś cofa się i “Passez, s'il vous plait”\* (\*passez s'ilvousplait [franc.] - niech pan przejdzie, proszę.) - powiada. Markiz w nogi! W bród potok przebrnął, jak oszalały do obozu wpadł - “Il parle francais!”\* (\*Il parle francais [franc.] - on mówi po francusku.) krzyżąc. Stanowniczy duchem go do Nieświeża odesłał, bo myśleliśmy wszyscy, że go szyszka jodłowa w ciemność ugodziła, skąd rozum mu się pomieszał. Z Nieświeża do Warszawy jechał, ciągiem swoje “Il parle francais!” powtarzając. Nie opamiętał się aż w Paryżu, gdzie stante pede foliał napisał o tym, że Litwę za barbarię uważają, gdy to kraj światły jest, gdzie niedźwiedzie językami różnymi gadają, i wypadek swój opisał. Dopierośmy się wszyscy dowiedzieli, co mu wówczas rozum odebrało...

- Wasza książęca mość czytałeś ów foliał? - spytał pan Rzewuski w zdumieniu.

- Zaśbym czytał, panie kochanku! Od dziecka abominację mam wrodzoną do czytania. Sam widok preceptora i książek o mdłości mnie nagle przyprawiał. Dopiero imć Piszczala, pedagog znamienity, na taki się sposób wziął: litery wielkie na tablicy wymalował, zaczynając mnie z flintą naprzeciwko postawiwszy, komenderował: - Krop w “b”, mości książę! - Kropię. - Walże w “d” teraz, a nie zmyl! - Takem się czytać nauczył...

- Widzi mi się, że coś niedobrze jedziemy... - przerwał nieśmiało pan Glinka.

- Całkiem źle, panie kochanku! Od pół godziny widzę, że się kręcimy jak pies za własnym ogonem. Obóz winien być na zachód, ale jak go znaleźć?

- Zachód jest tam - zauważył pan Tryzna, dworzanin chorążego litewskiego, wskazując ręką w stronę przeciwną niż ta, w którą jechali.

- Takiś waść fizyk, panie kochanku, że pierwszy raz będąc w Nalibokach wiesz już, gdzie

tutaj zachód jest? Niejeden z miejscowych nie wie, choć się tu urodził...

- Trąby słyhać! - krzyknął z radością pan Rejtan.

- Ehe, słyhać! Ale nie z obozu.

- Wasza książęca mość! Sprawiedliwie nasze trąby. Pan Sołłohub daje znak. Widno się o nas lękają.

- Trąby juźci wiem, że nasze, ale nie dzisiejsze.

- Wasza książęca mość! Jakżeż to?!

- A tak to, panie kochanku. Polowaliśmy tamtej kwadry, a mróz był srogi, że drzewa trzeszczały. Jedziemy, "Zagrajcie - mówię - na rozgrzewkę!" Nadęli się trębacze, mało im policzki nie pękły, dech biorą - a głosu nie ma! Zmiarkowałem od razu, że to z mrozu. Zważcie tylko, waćpanowie: głosy zamarły, ledwo je trąby z siebie wypuściły! Dzisiaj pierwszy dzień odelgi, to odtajały i grają... Właśnie to w tym miejscu było, skąd je teraz słyhać.

- Ależ to niemożliwe, wasza książęca mość! To się sprzeciwia prawom fizyki!

- Na Radziwiłłowskim gruncie, panie kochanku, nieświeskie prawa obowiązują, a nie żadne inne...

- Wasza książęca mość - zaczął z żalem stary kasztelan Niesiołowski podjeżdżając bliżej - submituję się pokornie, przecie powiem śmieie, że uczciwszy uszy - to, co wasza książęca mość mówisz, prawdą nie jest... Bajki to są, w które nikt wierzyć nie może. My wszyscy, którzy waszą książęcą mość miłujemy, bolejemy nad tym srodze. Juź i tak przeciwnicy radzi powiadają, że wojewoda wileński łgarz.

- Szpetnie powiadają, panie kochanku. I za co? Koloryzować - koloryzuję czasem, ale łąć - nigdy! Żeby mnie kto w porę pohamował, tobym i koloryzować przestał.

- Ja będę waszą książęcą mość hamował z łaskawym zezwoleniem...

- Otóż to, panie kochanku! Jak obaczysz kiedy, że mnie ferwor unosi, ręką szturchnij albo nogą kopnij, to juź będę wiedział, co jest...

- Obóz! - zawołał pan Glinka.

- A obóz, panie kochanku. Chodźmy do śniadania żywo. Co to? Patrzajcie! Niedźwiedzia ubili!

- Okrutnie byliśmy juź niespokojni o waszą książęcą mość! - wołał stanowniczy, pan Sołłohub, wybiegając ze służbą naprzeciw.

- Kto niedźwiedzia zakłuł? - pytał książę zeskakując z konia.

- Wołodkowicz, do usług.

- Myślałem, że Rejtan wszystkie juź niedźwiedzie wybił, ale ten to pewno ostatni... Tęga sztuka! Jeść dawajcie żywo, bośmy głodni.

Zasiedli wszyscy przy ogniu na ogromnej kłodzie, przed którą stał stół, z tarcic zbity. Piwniczny obchodził z gąsiorkiem. Pacholki stawiali misy dymiące z bigosem. Każdy wyciągał łyżkę zza cholewy i jadł żywo, milcząc. Księżę znad swej miski spozierał z żalem na ścierwo niedźwiedzie.

- Tęga sztuka, panie kochanku. Jucha Wołodkowicz ma szczęście! Rzadko się teraz spotka takiego niedźwiedzia. Nie to, co dawniej! Wszystko było jakieś większe... Pamiętam raz, miecznikiem jeszcze byłem, przed barską... Lisa psy ruszyły. Lis poszedł, a ja ażem flintę upuścił, panie kochanku, bo lis bestia miał taką kite, że szła za nim i szła, i szła i dawno lisa ni znaku, już i psów nie słyhać, a chwost ciągle się przed nami jak żółty wąż sunie i tropy zamiata! Trzy mile długości miał, jakem wymierzył.

- Wasza księżęca mość! - szepnął kasztelan Niesiołowski trącając nieznacznie wojewodę nogą.

- ...Dwie mile, jakem Radziwiłł! To był lis! Nie byle jaki...

- Wasza księżęca mość...

- Może niecałą milę... pół mili... tak, z pół mili, jakem wojewoda... Co mnie waść kopiesz i kopiesz?! - krzyknął nagle z gniewem do Niesiołowskiego. - Wcale chwosta ta lizka nie miała czy co?

- Wasza księżęca mość! - nadbiegł zadyszany łowczy. - Niedźwiedź-samotnik osobliwy w jamie pod wykrotem siedzi, o cztery stajania stąd!

- Gaudeamus!! - krzyknął księżę. - Żywo waćpanowie, żywo! Wybacz waść, panie Rejtanie, niesłusznie cię podejrzewał. Do drogi, Nepta! Prędeż, mospanowie! Prędeż!

## Imieniny w Luneville

Ranek był wczesny majowy. Rosisty cień leżał pod drzewami. Kwitnące krzewy trzęsły się od wrzawy ptasiej. Ptasząt było wiele w królewskim ogrodzie, wszelki drobny zwierz bowiem cieszył się szczególną opieką króla Stanisława. Toteż skrzydlatej rzeszy nie płoszył nawet stuk siekier robotników ustawiających w parku rusztowania.

Rusztowania były dwojaki: przeznaczone dla ogni sztucznych i drugie, niezmiernie misterne, stanowiące część niespodzianki, jaką miasto Nancy przygotowywało w Luneville dla swego króla w dzień jego imienin. Niespodzianka nie była jaka. Na sztucznej skale wznosiło się miniaturowe miasteczko z katedrą i ratuszem, zbite z cienkich desek i pomalowane, w nim około trzystu przeróżnych figurek. Ludzie i zwierzęta, woźnica z koniem, psy i barany, pijak z pełną szklanicą i żona z wiadrzem w ręku wychylająca się groźnie przez okno nad jego głowę, tracze piłujący drzewo, prządka z kądzielą, cyrulik z narzędziami, burmistrz i rajcowie... Po ustawieniu wszystko to miało się ruszać jak żywe, wprawione w ruch wodą przeprowadzoną rurami z pobliskiej fontanny. Kunsztowne arcydzieło, którego twórca, jegomość Richaud, sławny zegarmistrz z Nancy, przejęty, ważny, własnoręcznie obsadzał figurki na właściwym miejscu.

- Oj, będzie na co popatrzeć! - cieszyli się zawczasu robotnicy.

- Na całym świecie drugiej takiej sztuki nie ma...

- A pewnie! - nadał się Richaud. - Niemało trudu i myślenia kosztowało. Ale nie szkoda fatygi dla dobrego pana.

Przytaknęli wszyscy szczerze. Iście dla takiego pana nie szkoda. Dobry jest król. Nie taki jak inni panowie. I mądry.

- I szczęśliwy! - odpowiedział któryś z boku. - Z tego barbarzyńskiego kraju, z tej Polski, wypędzili go głupcy... Pomyśleć zgroza!

- No i dobrze się stało, bo przyjechał tutaj, gdzie mu ptasiego mleka chyba braknie...

- Słusznie prawicie, Błażeju, bo słusznie...

- Ino sobie Polską gęby nie wycierajcie! - sarknął po polsku pan Szop, szatny królewski stojący opodal. Korzystając, że pora wczesna i wszyscy w pałacu śpią, wyniósł na dwór dla przewietrzenia królewską garderobę. Rozłożywszy ją na trawie, opatrywał starannie, czy gdzie nie widać moli, i mruczał gniewnie pod nosem.

Pracujący nie zwracali na niego uwagi.

- Darzy Bóg królowi, ale i nam darzy przy nim. A to miasto jak nie to samo! Wspomnieć dziś, co tu był za brud, opuszczenie, bieda! Teraz spichrze pełne, cen młynarzom nie wolno

podnosić, nowe pałace wciąż się budują, każdy ma przy nich zajęcie...

- Nie tylko pałace, nie tylko! A kościoły, a Szkoła Rycerska, a konwikty...

- Mniejsza o budowlę, ale bezpieczeństwo jest, ład, spokojność... Sądy każdemu otwarte.

Nie ma zdzierstwa i rozboju, jak dawniej bywało...

- Chwalić Boga, nie ma... Nieraz też sobie myślę, że jeśli wszyscy Polacy tacy jak nasz pan, to tam chyba musi być raj.

- Głupstwa powiadacie, ojcie Marcinie! Toć prawimy właśnie, że go wypędzili jak sierotę...

- Cichajcie, dla boga, bo właśnie nadchodzi!

- Kto?

- A miłościwy pan! Lubi sobie rankiem wstawać...

Stanisław Leszczyński schodził istotnie ze stopni pałacu. Odziany z francuska, w peruce, okazałej tuszy, z wystającym brzuchem, twarz zachował piękną, pogodną. W rękę trzymał nieodstępną fajkę turecką, długą na cztery stopy, która służyła mu również za laskę. Przyjacielskim skinieniem głowy odpowiedział na skwapliwy ukłon robotników.

- Te rusztowania dla fajerwerków? - zauważył. - Ale co stawiacie tutaj, na skale?

Pan Richaud podbiegł z tak szczerym zakłopotaniem, że Leszczyński roześmiał się.

- Rozumiem, że jakaś siurpryza. No dobrze, dobrze, zaglądać przed czasem nie będę.

Odszedł w bok, gdzie szatny zbierał rozłożone na trawie ubranie. Wiśniowy adamaszkowy żupan i ciemnofioletowy kontusz ze złocistymi wylotami leżały tuż z brzegu. Król zatrzymał się nad nimi.

- Mój paradny kontusz, Szopsiu, co?

- Tak jest, miłościwy panie.

- Ostatni raz miałem go Anno Domini 1733.

- Tak jest, miłościwy panie. W Warszawie u Świętego Krzyża.

- Piękny był dzień, Szopsiu, piękny, jeno się rychło zakończył.

Szatny chrząkał nienaturalnie, by ukryć wzruszenie. Pamiętał dobrze i on. August II, zdrajca, rozpustnik przekupny, z każdym sąsiadem kolejno układający się o rozbiór Polski, umarł nareszcie i tron został wolny. W przebraniu kupca król Stanisław przedzierał się z Francji przez Niemcy do Polski. Dla odwrócenia uwagi wrogów Francuz pewien, z twarzy do niego podobny, jechał szumnie statkiem z Brestu do Gdańska, wszędzie powiadając, że on jest Leszczyńskim. I udało się. Zmyliwszy czujność Niemców i Prusaków stanął Stanisław w Warszawie. Wszedł niespodziewanie do Świętego Krzyża podczas nabożeństwa. Stanął przed ołtarzem w tym właśnie fioletowym kontuszu. Natychmiast go ludzie poznali. Po ubiorze, po wysokiej dostojnej postawie, po rozumnym, dobrym licu. A że znieawidzone były do gruntu saskie obmierzłe rządy i

długoletnia hańba, i panoszenie się Niemców, jeśli się cisnąć do króla wołając: “Ty nasz! Ty panuj! Innego nie chcemy!” Powiedli go w tryumfie na Wolę, gdzie wnet złożono ponowną elekcję. Ponowną, boć już przed laty był obrany i koronowany. Ale wtedy narzucił go Polakom Karol XII, a dziś naród sam wybierał. Zdawało się, że jasne czasy wrócą dla Rzeczypospolitej. Nie wróciły, nie wróciły... Car rosyjski nie chciał panowania Stanisława. Car rosyjski miał liczną armię, a Polska wojska nie miała. Nie było komu swego króla bronić. Wypchnięty przez cara z Warszawy, schronił się Stanisław do Gdańska. I znów czekał na Francuzów. Doczekał się układu między Ludwikiem XV, swym zięciem, a królem pruskim i cesarzem austriackim. Porozumieli się łatwo. Niech drugi Sas panuje w Polsce, którą i tak rozbierze się przy pierwszej sposobności, a Leszczyński na pociechę otrzyma Lotaryngię w dożywocie. Taki zawarto układ i tak się też stało.

I nie wdział już nigdy król swego paradnego kontusza...

Stanisław otrząsnął się pierwszy z zadumy.

- Sprzątnijże ten cały kram, Szopsiu, nim goście się zejną.

- Już zbieram, miłościwy panie, a z onych gości nikt nie wstanie przed południem.

- To i dobrze - uśmiechnął się Leszczyński. - Miło mieć trochę spokoju.

Szatny skinął głową ze zrozumieniem. Rzeczywiście gości bywało czasem za dużo. Do Luneville przyjeżdżano chętnie, a odjeżdżano nieskoro. Tak tu było miło, pięknie, bezpiecznie, nieetykietalnie! Leszczyński, sam pełen prostoty, nie znosił dworskiego ceremoniału, pochlebstw, czołobitności, a że umysł miał niepośledni, poglądy szerokie, umiał stworzyć w swoim domu szczególnie miłą atmosferę. Przesiadawali tu chętnie co najwybitniejsi ludzie epoki: Helvetius, Montesquieu, Henault - artyści Jan Lamour, Mikołaj Adam, ba, sam Wolter, bożyszcze całej Europy. Siedział w Luneville od paru miesięcy i nie śpieszył się odjeżdżać. Wprawdzie Leszczyński najmniej lubił tego złośliwca, skąpego, łasego na pochlebstwa, próżnego jak stara baba. Trudno było o przyjaźń między królem gorąco religijnym, który fundował co miesiąc liczne msze za przyjaciół i za wrogów żywych lub poległych, a starym szydercą i wrogiem Kościoła. Sława Woltera była jednak tak ugruntowana, że Stanisław bez przykrości myślał, iż głośny filozof chętnie tu czas spędza.

Pan Szop, szatny, udał się z naręczem ubrań do pałacu, a król zeszedł w dół do parku. Park o tej porze był pusty. Ukryte w gąszczu liczne chatki niby wieśniacze, chińskie domki, kioski, służące za pomieszczenia gościnne, miały okiennice spuszczone na głucho. Spano jeszcze wszędy. Król spacerował swobodnie. Myślał, że za chwilę trzeba będzie wracać, gdyż zaczną schodzić się delegacje z powinszowaniami. Wszakże to jego imieniny dzisiaj. Wysłucha wielu tyrad prozą i wierszem. Siedząc na ławce myślał o tym, a raczej usiłował myśleć. W rzeczywistości fioletowy kontusz nie schodził mu z oczu. Jakby zamykała się w nim cała opuszczona przed laty ojczyzna,



jakby zawierał treść Polski. Tęsknota za krajem, zazwyczaj przygłuszona, zepchnięta głęboko w serce, buchnęła nagle z niewypowiedzianą siłą. Aż sam się zdziwił że tak cierpieć może. Polska... Polska... Niewdzięczna, bierna, pohańbiona, nieszczęśliwa... Polska nad wszystko najdroższa... Gdybyż dzisiaj przyjechał kto do niego stamtąd... Ktoś, z kim by mógł rozmawiać jak z bratem. Jego imieniny... Dzień 8 maja, krakowskiego biskupa Stanisława Szczepanowskiego święto. Tutejszym ludziom imię Stanisław wydaje się dziwaczne. Nic dla nich nie oznacza. Leszczyński, ilekroć zastanowił się nad swoim patronem, czuł zawrót głowy. Święty Stanisław i Bolesław Śmiały, korona królewska i cała przeszłość jakaś wspaniała i groźna, i daleka, moc wielka, dzieje narodu pełne chwały...

A dziś, a dziś?

Czas mijał, on zaś siedział nieruchomo, zatopiony w myślach. Ocknął się, posłyszawszy w pobliżu wesole kobiece głosy. To jego szukano. Różowe i niebieskie suknie błyszczały między krzakami. Panie Ossolińska, Opalińska (krewniaczka królowej) i śliczna, wesola markiza de Boufflers nadchodziły zwawo. Przed nimi turkotał maleńki wózeczek zaprzężony w białą kożę, w wózku, odziany w aksamity i atłasy, siedział ulubiony karzełek króla, Bebe, mający wzrostu niecałe 40 cali: Spostrzegł pierwszy Leszczyńskiego i pokrzykiwał z zadowolenia.

- Miłościwa pani poleciła nam sprowadzić waszą królewską mość - mówiła wesola markiza - delegacje miast już czekają... Bebe jest nieznośny, proszę mu dać w skórę.

- Cóż on przeskrobał? - zapytał Stanisław uśmiechając się do faworyta, który pokazał margrabinie język.

- Schował się pod moją rogówkę. Nie mogłam go stamtąd wypłoszyć. Żałuję, że go nie rozdeptałam.

- Bebe nie da się rozdeptać - zapewnił karzeł i zawróciwszy kożę, ruszył ku pałacowi. Jadąc uśmiechał się złośliwie. Był to nieznośny stworek, rozpieszczony i niedorozwinięty. Trudno było zrozumieć słabość, jaką cały dwór żywił dla niego.

Król szedł tuż za wózkiem, otoczony paniami.

- Bebe jest zadowolony, bo otrzymał nowe ubranie atlasowe - paplała markiza. - Włoży je dzisiaj wieczorem. Szczęśliwy malec! Oplywa we wszystko, tylko dzięki temu, że mały. A jego matka modli się podobno nieustannie, żeby urósł. No, czy nie głupia?

- Nie, ona ma słuszność - odparł Leszczyński, machając fajką. Markiza ciągnęła:

- Jakiś zakonnik polski przyjechał do waszej królewskiej mości. Zdaje się, że z zakonu ojców pijarów.

- Dlaczego nie mówicie mi tego od razu?! - obruszył się król i pobiegł naprzód jak młody.

Całodzienne uroczystości powiodły się świetnie. Gdy mrok zapadł, ognie sztuczne strzelały wysoko w powietrze, odbijając się tysiącem blasków w wodach jeziora. Dzieło zegarmistrza Richaud wywołało ogólny podziw i zdumienie. Jasno oświetlone pochodniami miasteczko żyło. Tracze zginali się w pół, ciągnąc piłę, rozgniewana żona wylewała wodę na głowę męża pijaka, furczał kołowrotek prządki, dzieci wypędzały owce w pole. Zebrani widzowie klaskali w dłonie z zachwytem. W, ogólnym uniesieniu prawie nie zauważono, że król wyraziwszy panu Richaud gorące uznanie, wymknął się cichaczem na swoje komnaty. Był szczęśliwy. Doczekał się gościa, swojego gościa. Gościem był nieznany tu nikomu pijar z Polski, ojciec Konarski. Usiedli na balkonie samodwa. Patrzą z góry na sztuczne miasteczko, na złociste węże ognia rysujące co chwila na niebie cyfrę Stanisława.

- Opowiadaj, ojcze, opowiadaj! - nalega Leszczyński.

Ojciec Konarski nie kwapi się opowiadać. Nic pocieszającego nie powie. W Polsce coraz gorzej, coraz gorzej... Sejm to nie sejm, ale wór świegotliwych wróbli co same nie wiedzą, po co się zleciały. Zresztą ani jeden sejm do skutku nie doszedł. Ani jeden! Żołnierze rosyjscy, pruscy chodzą tam i nazad po kraju, jak chcą, rekruta wybierają, wieś rabują. Nikt im nie przeszkadza, nie broni.

- Wojska po dawnemu nie ma? - szepnął król.

- Nie ma. Po dawnemu są pułki tylko na papierze, egzystują, aby rotmistrz i porucznik lafę mogli brać. Po dawnemu pułkownicy, co nigdy w polu nie byli, hetmani, co konia dosiąść niezdolni. A nędza w kraju taka, jak nigdy nie była. Ludności więcej niż połowa wyginęła. Do Gdańska odwozili my dawniej do stu tysięcy łąsztów zboża rocznie. Dziś nie wiem, czy siedem tysięcy się zbierze. Podobnie ze wszystkim. Noc nad Rzeczypospolitą. Król jest żarłok i głupiec. Zabawia się strzelaniem do psów, które mu spędzają pod okno, bo za leniwy, żeby z komnaty wyjść, i figurki wystrzyga z papieru. To są jego zajęcia... Do ministra Brühla woła: Brühl, hast du Geld?\* (\*Brühl... [niem.] - Brühl, masz pieniądze?) Więc Bruhl ciągnie geld, nie bacząc na nędzę powszechną.

- Boże, Boże - jęknął król, - Czyż się to nigdy nie odmieni?

- Odmieni się kiedyś - odparł posepnie Konarski - ale oby nie za późno! Jest już, owszem, przecknienie w narodzie. Budzi się tęsknota za independencją\*, (\*independencja [z łac.] - niepodległość.) za własną straconą mocą. Są ludzie, co pomni na straszliwy sąd Boski, szczerze swoje intencje na obronę upadającej ojczyzny oddają... Są ludzie, co pojęli nareszcie potrzebę gruntownej reformy... I że szaleniec, kto mniema, że Moskal czy Niemiec więcej będzie dbał o dobro Polski niż sami Polacy... To się budzi. Boję się jednak, że nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

- Rosja, Austria i Prusy strasznie się wzmogły po ostatniej wojnie - zauważył król. - Gdy się dowiaduję, ile mają dzisiaj wojska i jakiego! Gdy pomyślę, że wobec tych sił Rzeczpospolita leży niby rozgrodzony dziedziniec, bez żadnej ochrony, wydana na łup każdemu - lęk mnie ogarnia taki, że rzuciłbym tu wszystko, a tam biegał...

Urwał, uśmiechnął się gorzko.

- ...Jeno co bym tam poradził? Co bym pomógł? Nikt głosu mojego nie posłucha. Darmo przedkładać. Spójrz, com uczynił z tego kraju. Kwitnącą oazę. Błogosławieństwem ludzie nazywają moje rządy. Prawda to. Mogę o tym mówić śmieie. Bo też o niczym innym nie myślę, jeno jak dołą ludzką polepszyć, a umysły ich rozwinąć. Już poniektórzy żartują ze mnie, że rychło trapić się będę, iż każdy biedak karocy własnej nie posiada. Tylko w ojczyźnie nigdy nic nie mogłem zrobić. Jak gdyby szatan jaki stawał na przekór! Nic! Czegom się jął, kruszyło się w dłoniach...

Piękniejsza nad inne raca skoczyła wysoko w przezroczyście niebo, zabłysła literą S, rozpadła się w snopy gwiazd. Rozochoczone tłumy krzyczały w dole: "Niech żyje król! Niech żyje król!"

- Dziś bym tego wszystkiego odbiegał - powtórzył Stanisław - byle nadzieję uzyskać, że na coś się przydam. Ale tej nadziei nie widno. Więc choć z dala czynię, co mogę. Drukarnię polską zakładam tu, w Luneville. Będę wydawał uczciwe patriotyczne pisma własne oraz cudze i do Polski posyłał. W Szkole Rycerskiej, którą niedawno stworzył, dwunastu polskich chłopców chcę swoim kosztem kształcić. By mi tylko zdatnych, gorących przysłano!

- Zajmę się tym - obiecał Konarski.

- Nie byłem nigdy wojakiem - podjął Leszczyński. - Sądziłem, że uczoność, mądra myśl, ważniejsze są od żołnierki. A teraz widzę, że stworzenie siły jest pierwszym obowiązkiem obywatela miłującego swój kraj. Oddałbym dziś wszystek dorobek i wszystkie skarby świata za kilkanaście dobrych regimentów, które by całość ojczyzny zagwarantowały!

## Nad kanałem

Poleski bór jeszcze tego nie widział. Widywał zwierza, bartników, smolarzy, księżęce lub królewskie łowy. Ale tego, co się teraz działo, nigdy nie oglądał, Sto łopat skrzypi. Szeleści piasek. Wyciągnięte korzenie olch, zwalone na kupę, czerwienieją jak korale. Cieńsze korzenie są wyrwane dłońmi, większe trzeba rąbać toporami, które odskakują od nich jak od stali. Ludzie odziani w lniane zgrzebne świtki, obuci w łapcie łykowe, są podobni do skrzatów leśnych albo ziemnoludków. Stuk siekier niesie się echem po puszczy. Puszcza to sroga, pierwobór. Nierzadko z gałęzi na gałąź skoczy nad głowami ryś, dziki z fukaniem przenoszą się na dalsze legowiska. Stare odyńce, złe, że je spłoszono, odwracają się strzelając strasznymi kielcami. Ucieka zawczasu mniejsza zwierzyna: borsuk, sarna; lis... Gromady zgrzebnych, szarych ludzi rąbią wpierw szeroki dukt skroś puszczy. Dopieroż za nimi kopacze. Jak świeża rana, żłobina piorunowa, ciągnie się przez las podwójna żółta bruzda nasypów, wywalonych z głębi kopanego rowu, parowu. Przez leśne ostępy i chaszczce, przez bagniste niziny i błota sunie ów parów bez końca. Szerokości na dnie ma sześć sążni, a u góry bez mała dwa razy tyle. Głębokości trzy stopy, a długi... Ho, ho, siedem polskich mil albo i więcej! Biedolący się tu motykami i rydlami ludzie nie wiedzą tego dokładnie. Słyszeli tylko, że z Wieleśnicy, z Mierzyc i szeregu innych wsi wszystkie dusze pańszczyźniane wyszły i kopią a kopią. Od Jasiołdy, gdzie Pina do niej wpada, ku Pogonowskiemu jezioru, a za jeziorem znowu ku Szczarze. A co z tego wyniknie?

- Boh znajet.

Stary Hawryło powiada, że jak woda tym rowem polecą, to trafi do Niemna, a z Niemnem do morza. Tak, tak, do morza pójdzie ten szlak...

Do morza... Co jest morze? Tego żaden z kopaczy nie potrafiłby powiedzieć. Wiedzą o morzu tyle, co powiada stara Pyłopycha wieczorami przy kądzieli. Że morze jest wielkie jak świat, a ziemia po nim pływa niby kołacz. Dlatego gdzie studnię kopać, na wodę się trafi. Słonko zanurza się w morzu wieczorem, a woda wtedy syczy z gorąca i bije o brzeg. Po morzu pływają wieloryby, wielkie jak dwie wsie razem. Gdy taki paszczę otworzy, może połknąć od jednego razu sześć galarów z flisakami...

Strach, strach, dreszcz przechodzi od tych opowiadań. A co będzie, jeżeli pan hetman każe im kopać aż do tego morza? Niepokój ogarnia ludzi. Pragnęliby, żeby im kto wytłumaczył, po co ta robota, jaki z niej będzie pożytek. Nie masz jednak takiego. Podstarości czy karbowy tyle samo wiedzą, co oni. Kazał pan hetman kopać - no to kopią. Zachce mu się przekopać cały świat, będą musieli wykonać to również.

I w wyobraźni cierpliwych, zgrzebnych ludzi pan hetman wyrasta na olbrzyma, mocarza mogącego rozkazać, co zechce. Czyż na każde jego skinienie nie zbiegają się ludzie z pół tysiąca wsi i stu miasteczek?

W rzeczywistości, choć tęgi i rosły, olbrzymem pan hetman nie jest. Nie wygląda na mocarza ani, prawdę rzekłszy, na hetmana. Z wysokiego swego urzędu wojskowego zatrzymał tylko czynność robienia przeglądów. I to rzadko. W prawdziwej bitwie jako żyw nie brał udziału. Za to miłuje muzykę i zna się na niej jak nikt drugi w Polsce. Gdy siądzie do klawikordu albo ulubionej harfy, twarz mu promienieje.

Gdy nie gra - pisze. Napisał Powieści historyczne i moralne, a także Bajki - nie bajki. Własna Słonimska drukarnia wydała pięknie te książki.

Gdy nie pisze - siedzi z fajką o cybuchu długim jak on sam, z olbrzymim bursztynem na końcu. Ciągnąc dym, nabierający kolejno wonności od wiśniowego drzewa i bursztynu - myśli o przeróżnych rzeczach, które ani postoją w głowie innych współmagnatów. Więc o podniesieniu oświaty i dobrobytu poddanych. O przeistoczeniu ubogich, nędznych wsi w zamożne, dostatnie, jak są wsie niemieckie albo holenderskie. O żywieniu, rozbudowie niechlujnych miast i miasteczek. Gdy o tym myśli pan hetman, snują mu się po głowie plany przeróżne. By w Słoniemiu nie tylko teatr włoski założyć, ale i fabryki pobudować. Trakt dobry, suchy z Pirska do Słoniemia poprowadzić... Kanał przekopać... Żeby połączyć Morze Czarne z Bałtykiem! Żeby tędy szły galary z Odessy czy Chersonia z pszenicą i solą, a na odwrót z tutejszych borów płynęły jodły masztowe, potaż, klepka, miód i cenne futra, rysie, niedźwiedzie, bobrowe..

Siła pieniędzy będzie to kosztować. Inżynierowie cudzoziemscy obliczają, że nie mniej niż dwanaście milionów złotych polskich. Ha, trudno. Hetmana Michała Kaźmierza Ogińskiego stać na to. I kanał sunie się jak kret przez las. Połączy Niemen z Prypecią.

O tych wszystkich zamierzeniach pan hetman nie lubi rozmawiać z nikim, oprócz ze swoją fajką, przyjaciele jego bowiem nie większe mają dla nich zrozumienie jak karbowi dozorujący kopaczy. W całej Polsce jest bodaj tylko dwóch ludzi zdolnych plany hetmańskie ocenić: król i podskarbi Tyzenhaus. Ten ostatni buduje w swym Grodnie fabrykę za fabryką, powtarzając, że Litwa musi dognać Zachód.

Czas mija. Tyzenhausowskie warsztaty już śmigają czółenkami tkackimi, koła garncarskie już warczą, a hetmańscy jeszcze precz kopią a kopią. Umacniają wały i brzegi. Gdzie bagnista, miękka ziemia, podpierają je palami. Gdzie twardsza, obkładają faszyną i darnią. W dziesięciu miejscach stoją wielkie dębowe śluzy-zapory, nitami na moc ściągnięte. Dwu tęgich ludzi poradzi dźwignąć je korbą do góry, a wtedy woda wpadnie w wykopany świeżo parów, wypełni go i poskoczy dalej. Na razie wszystkie śluzy są zawarte. Stróżują przy nich ludzie. Na dnie suchego

kanalu świeci tylko w kałużach woda deszczowa i złocą się opadłe liście.

Sarny przechodzą ostrożnie przez puste koryto. Pyszczkiem, czarnoaksamitnym z wierzchu, białym pod spodem, wachają żółty piasek i odsłonięte korzenie o cierpkim, gorzkim zapachu. W oddali stukają motyki, kołaczą siekiery.

Nadchodzi jednak dzień, że wszystko jest ukończone, i nad Jasiołdę zjeżdża świetne towarzystwo. Bryki, kolasy, konni... Damy w szeleszczących sukniach i kawalerowie w perukach. Mówią do siebie tylko po francusku. Eleganci onegdajszej doby natomiast wolą niemiecki. Szlachecka zaściankowa kontuszowa brać gada po polsku, zażywa tabakę, wyciera hałaśliwie nos w palce i czeka, co nastąpi, z równą ciekawością jak wiejski tłum, szary, cichy, nieprzeliczony, stojący na obu brzegach.

Na rzeczce tuż za zamkniętą służą kołysze się krypa hetmańska. Malowana, złocona, wystrojona. Wnętrze wysłane kobiercami, których końce zwieszają się aż do wody, maczając w niej frędzle. Na drugiej krypie, nieco mniejszej, kapela zamkowa. Puzoniści czekają sygnału, by zagrać panu ulubionego, ułożonego przezeń poloneza. W tyle przycumowane do brzegu kołyszą się trzy wielkie galary z pszenicą. Przybyły tu aż z Chersonia. Holowane przez idących brzegiem ludzi płynęły pod wodę w górę Dniepru i Prypeci. Teraz liny i szleje, w które wprzęgano holowników, zwisają nieużytecznie. Można je zwinąć w kłęb i rzucić do środka łodzi. Od tego miejsca woda poniesie sama galary ku innemu, północnemu morzu.

Dziwią się temu w duszy polownicy, ciemne czumaki, burlaki stepowe. Sami nie wiedzą, jak to będzie. Szli ciągle pod wodę, a potem nagle, nie zawracając wcale, mają płynąć z wodą. Czy czary jakie?

Moździerze na brzegu grmią na wiwat. To znak. Ksiądz kapelan święci służę, wodę po jednej stronie i puste koryto po drugiej. Ośmiu tęgich parobczaków kręci korby. Służa podnosi się w górę ze skrzypem.

Zadygotało gładkie lustro wody. Porwał się z niej potok, wbiegł w otwarte wrota. Pieni się, porywa leżące na dnie liście, wypełnia sobą brzegi. Gdy pierwsza fala odbiegnie śpiesznie, zginie z oczu, ruszy za nią chyżo łódź z muzykantami. Puzoniści mają policzki wydęte z wysiłku jak banie. Wioślarze hamują wiosłami, aby zbyt szybko za prądem nie płynąć.

Za muzykantami sunie krypa hetmańska pełna świetnego towarzystwa. Damy piszczą po francusku. Kobierce kąpią się w wodzie. Na samym końcu ruszą chersońskie galary.

Na brzegu służba odbija beczki z winem i piwem. Niech czerpie, kto chce. Hetman rozrządził, by wszyscy dziś mieli uciechę. Z krzykiem radości tłum ciśnie się przy nich.

Tylko dwunastoletni Hryńko Panasiuk nie zważa na poczęstunek, biegnąc co sił brzegiem kanału na równi z wodą i łodziami. Tak by chciał popłynąć z nimi. Patrzy i nie może się napatrzeć.

Pośrodku krypy, na wygodnym, miękkim krześle siedzi hetman z nieodstępnym cybuchem. Ciągnie dym i дума, czy dobrą rzecz zrobił, czy kanał zostanie po nim jako trwała dla potomności pamiątka... Plusk wody układa mu się w uszach w melodię, którą zaraz po powrocie spróbuje wygrać na harfie. Strojne damy patrzą ze zdziwionym niepokojem na zwierające się ponad głowami korony odwiecznych drzew, na wykroty wielkie jak dom, na odsłonioną głąb puszczy. Powiadają do swych kawalerów, że te dzikie bory podobne są do opisu z powieści Paweł i Wirginia\*. (\*Paweł i Wirginia - XVIII-wieczna powieść sentymentalna, którą napisał Bernard de St. Pierre.) Jadący z tyłu chersońscy kupcy obliczają na palcach, za ile dni staną w Królewcu, i gładząc z zadowoleniem gęste ruskie brody mówią, że dzisiejszy dzień jest ważnym dniem. Że otwiera nową epokę handlu między Wschodem a Zachodem...

Zwinny szary cień, Hryńko Panasiuk, biegnie wciąż jeszcze wytrwale. Serce kołacze w nim mocno - i ze zmęczenia, i z nagłej, nie znanej przedtem tęsknoty za dalekim, nowym światem, ku któremu otwarła się przez puszcę droga...

## Obiad czwartkowy

Wszystko już przygotowane. Zegar w przedsionku bije trzecią. Króla tylko co patrzeć. Zaproszeni, stojąc przy oknach, pogadują o tym i owym. Pazik Turkuł opowiada, że imć Poniński, pragnąc zasłużyć na tytuł najwytworniejszego kawalera, pudruje swoje ogary przed puszczeniem ich do kniei. Biskup Ignacy Krasicki uśmiecha się pobłaźliwie, strzepując koronki żabotu prześlicznie utrzymaną ręką. Twarz ma miłą, jowialną i bystrą zarazem. Z upodobaniem rozgląda się wkoło. Dawno tu nie był. Niegdyś gość codzienny. A dziś przybysz zza granicy, z obcego państwa. Nie polska już Warmia, nie polski poddany jej biskup. Niemniej jest i pozostanie księżciem polskich poetów.

Prawie o głowę przerasta go biskup smoleński Naruszewicz. Chudy jak opisywany przezeń literat, przygarbiony, nos jak spłaszczona trąba, przód ubrania przysypany tabaką. Sposób bycia rubaszny, głos donośny. Przeto król go nazywa Naruchem.

Trembecki skrzyżował z rezygnacją swoje długie nogi. Jak zwykle strojny i zarazem zaniedbany, niby znudzony i obojętny, w rzeczywistości pilnie zważający na wszystko, co się wokół mówi. Obok Kajetan Węgierski, najeżony i gotowy do ostrych przycinków, Karpiński potulny i nieśmiały, Zabłocki tym poważniejszy, im weselszą wystawia w teatrze sztukę, Bielawski, marny rymarz oczekujący z poddaniem żartów, których niewątpliwie będzie ofiarą, a którym nie potrafi się odciąć. To wszystko ludzie pióra, literacka brać.

Bacciarelli i Vogel, malarze, ziewają nie obiecując sobie wiele przyjemności z obiadu, na którym sztuki plastyczne są w takiej mniejszości. Podobnież uczony Joachim Chreptowicz, podskarbi. Z pewnością nie będzie się dzisiaj mówić o szkolnictwie, jak to nieraz bywało! Wszakże doniosłe plany obejmujące reformę wszystkich stopni oświaty, od szkółki parafialnej do Akademii Krakowskiej, powstały tu, przy tym czwartkowym stole. Lecz na to trzeba, by byli: płonący, cięty Niemcewicz, młody zapalczywy Ignas Potocki - a przede wszystkim ojciec Stanisław Konarski, ten, co ośmielił się pierwszy być mądrym. Że dziś ich nie ma, same tylko pismaki i wierszoklety, czas zejdzie niewątpliwie na fraszkach.

Na fraszkach, być może, ale nie na nudach - to pewna. Tam, gdzie jest biskup warmiński, nikt się nudzić ni chwili nie może. Nawet kąśliwy Węgierski nie będzie mógł powiedzieć jak kiedyś:

...Połowa nie gada, a połowa drzemie...

...Król wszystkie musi zastąpić ekspensa,



Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa...

Właśnie wchodzi - piękny, strojny, uśmiechnięty. Jest wesoły, jak zwykle w czwartek, gdy czuje się sobą między swoimi. Ach, z jakąż rozkoszą spędziłby całe życie wśród uczonych i artystów! Zapomnieć przy nich o przeciwnej reformom opozycji, o upokarzającym "opiekunie", ambasadorze, braku wojska, pustce w skarbie... Zapomnieć, że istnieje cośkolwiek innego niż polska myśl, polska szkoła, polska sztuka i polska kultura, które... trzeba stworzyć...

Król siada. Przy nim biskupi. Reszta jak wola. Stół jest wąski, ustawiony w podkowę. Goście siedzą tylko po jednej stronie. Środkiem, w miejsce używanego powszechnie na ucztach długiego jak stół ręcznika, w który biesiadnicy wycierają usta i palce, leżą zwierciadełka, a na nich białe figuryнки muz, odbijające się w lustrach jak w wodzie.

Król rad spogląda na siedzącego na końcu stołu Karpińskiego.

- Przecie wróciłeś waść do nas ze swojej ulubionej wsi?

Karpiński płonie jak wiśnia. Jest zakłopotany, zmieszany. Trzebaż, ażeby król do niego właśnie pierwszego się zwrócił, ściągając na dzikusa, prostaczka wszystkie oczy!

- Przywiozłeś coś nowego? - ciągnie król.

- Przywiozłem, miłościwy panie.

- To przednio. Jeżeli równie udatne jak Tęskność na wiosnę, prawdziwie nas uraczysz.

Lubię te wiersze...

“...Już tyle razy słońce wracało  
I blaskiem swoim dzień szczyści,  
A memu światłu cóż to się stało,  
Że mi dotychczas nie świeci?...  
...Już się i zboże do góry wzbilo,  
I ledwie nie kłos chce wydać,  
Całe się pole zazieleniło,  
Mojej pszenicy nie widać!

- Miłościwy panie raczysz pamiętać! - wykrzyknął Karpiński z zachwytem.

- Wszystkie damy powtarzają te strofy wśród westchnień, to i pamiętam - ale równie dobrze pamiętam Powrót z Warszawy - dodał z naciskiem.

Uszczęśliwienie poety zgasło w zakłopotaniu większym niż poprzednio. Czerwony jak rak, jął bąkać niezrozumiale, że ...on nic... że wcale... że naprawdę... Że w tym nieszczęsnym wierszu,

pisanym pod wpływem rozgoryczenia na stolicę, przynigdy nie miał na myśli miłościwego pana...

- Nie martw się, acan! - pocieszał go biskup Krasicki. - Nie jesteś dworak, to wszystkim wiadomo. To lepiej. Na dworności gorzej się czasem wychodzi niż na prawdzie... Jak się stało z owym kogutem, co na odmianę piał i był ulubionym kokotkiem, lecz gdy raz nie odgadnął w porę, co było po myśli pana:

“...wnet na niego,  
On sprawcą wszystkiego złego,  
On źle poradził,  
On grad sprowadził,  
On czas rozziębził,  
On zasiew zgnębił,  
On zepsuł pole,  
On zniszczył rolę...  
Idąc na śmierć rzekł nieborak:  
Dobrze mi tak, żem był dworak”

- zakończył podnosząc pod światło kielich świeżo napełniony winem. Wino było wyborowe, lecz rozlewano je w miernych ilościach. Król brzydził się pijaństwem. Nie znosił ciężkich, długich uczt, które biesiadnicy nieodmiennie kończyli pod ławą.

- To jedno po mnie zostanie - mawiał nieraz - żem saskie pijaństwo z Polski wygnał.

- Dawnom tu nie był - wzdychał Krasicki - i już ludzi nie poznaję... Ani wiem na przykład, co za persona siedzi obok mistrza Bacciarellego?

- Imć Vogel, malarz, niepowszednie budzący nadzieje - objaśnił półgłosem Trembecki.

- Vogel - powtórzył król dosłyszawszy. - Ja go nazywam Ptaszkiem po prostu. Krajan mój, bo urodził się w Wołczynie, tak jak ja... Przybywa nam, księżu biskupie, polskich malarzy, przybywa... Jeno imć Vogel narzeka, że u powszechności nie ma miru, choć pośledniejsi go mają...

- Stara historia! - rzekł biskup. Zdarzyło się już, że...

“Dwaj portretów malarze słyneśli przed laty,  
Piotr dobry a ubogi, Jan zły a bogaty.  
Piotr malował wybornie, a głód go uciskał.  
Jan mało i źle robił, więcej jednak zyskał.  
Dlaczegoż los tak różny mieli ci malarze?...”

Piotr malował podobne, Jan piękniejsze twarze...”

- W tym sęk!

Milczący dotychczas mistrz Bacciarelli, ulubieniec króla, potrząsnął przecząco głową.

- Przedni dowcip waszej książęcej mości, ale zła nauka. Artysta winien nie schlebiać powszechności, ale jej, owszem, swój kunszt najwyższy narzucać...

- “Czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa?

Była wielka dysputa ze starym młokosa.

Na złotnika sąd przyszedł, bezwzględny, a szczery

Dał wyrok nieodwłocznie: nos dla tabakiery...”

- Poddaj się, mistrzu, i nie zaczynaj z biskupem - stwierdził król.

Pozostali patrzyli z zachwytem na Krasickiego, gdy sypał swe przypowieści-bajki z taką łatwością, jak gdyby wytrząsał je z rękawów oszytych cenną koronką.

- Opracowane jak klejnot, a treści w tym tyle, że z każdej dałoby się dramat albo komedię wyciągnąć - unosił się Węgierski, nieskory zazwyczaj do zachwytów.

- Css... css... cicho, bo Bielawski jeszcze usłyszy i zrobi to, a wtedy biada...

- Oj, prawda... Ale, ale, mości Bielawski! Napisałem wczoraj dla waści nagrobek. Przyda się po najdłuższym życiu.

- Jakiż to? - zagadnął rymotwórca nieufnie.

- “Tu leży Bielawski. Szanujcie tę ciszę,

Bo gdy się obudzi, komedię napisze.”

- Znany concept - mruknął Bielawski - z kiepska po węgiersku...

- Niechajcie go - zauważył król. - Baczę, że Fryderyk nie tylko najcelniejsze ziemie Rzeczypospolitej zabrał, ale i Muzy zagarnął, bo wszystkie moje poety milczą wobec waszej książęcej mości, podziwem mając usta zamknięte.

- Cóż dziwnego?! - zawołał Trembecki.

- “Księżę biskupie! Jasnego domu szczepie znamienity,

Któremu większe dajesz, niż bierzesz zaszczyty,

Kochający ojczyznę i kochany wzajem,

Czemuż cię za ojczystym trzeba szukać krajem?!

Cnej pisania sztuki z dowcipem i gustem  
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem,  
Każdy twój wyraz bardzo wiele znaczy,  
Biedne naśladowniki zostawiasz w rozpaczce,  
Próżno się nasze pióro z twojem równać sili...  
Tysiąc było poetów, lecz jeden Wergili...”

- Brawo, dość! Przestań waść, bo pęknę jak ów szczur, co przysiadł na ołtarzu podczas nabożeństwa.

- Opowiedz o nim, wasza książęca mość!

- Już kiedyś opowiadałem.

- Więc inną jaką przypowieść! Prosimy!

- “A jeszcze jedną? Alboż to przychodzą  
Bajki na rozkaz? Gdy zechcą, się rodzą,  
A kiedy nie chcą, wołaj, wrzeszcz jak czajka,  
Nie przyjdzie bajka!”

- Racz nam powiedzieć przynajmniej tajemnicę swego kunsztu. Jak się te klejnotki tworzą?

- Bo ja wiem?

“Ma muza prawdę mówi, względów się wyrzeka,  
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka”

...jeno że sądzi z miłością, pobłażliwie, bom zawsze szczerze ludziom życzliwy.  
Powiedzcie jednak lepiej wy, waszmościowie, co się w którym do pisania podrywa i skąd ono  
początek bierze.

- Z serca - rzekł bez wahania Karpiński. Zacerwienił się, zdumiony własną śmiałością, lecz  
ciągnął: - Mnie się widzi, że trzeba pierwej wejść w swoje serce... i radzić się go, i słuchać... A  
dopieroż co ono zacznie, niech głowa i dowcip kończą... Tak mi się widzi...

Powiódł wzrokiem po obecnych, lecz nie znalazł w niczyjej twarzy śladu zrozumienia. I  
pewnie! Przecież to byli ludzie wieku Oświecenia, wieku, który tylko rozum uznawał, rozumem się

szczyił. Bożyszczę ich - Wolter - wyśmiał i wyszydził serce.

- Ja piszę - wyznał otwarcie Trembecki - tylko wtedy, gdy już żadną inną modą nie mogę od miłościwego pana otrzymać pieniędzy...

- Toś chociaż raz prawdę rzekł - przytwierdził król. - Marnujesz swój talent... W kunszcie, gdy chcesz, mało kto ci zrówna, ale zapału nie masz, ulubienia Muz.

- Cóż na to poradzę, miłościwy panie! Obojętne mi jest, czy moje wiersze przeżyją mnie, czy będą zapomniane wcześniej niżli ja. I czy je drukarz raczy wydać w ogóle. I czy pod moim, czy pod cudzym nazwiskiem... Ani treści wiem skąd brać.

- Z przeszłości - odezwał się krótko Naruszewicz. Milczał dotychczas uparcie, czując się zgaszonym przez świetnego kolegę. Nie chciał przy nim narażać się na drwiny Trembeckiego, który go nazywał "ciężkorymnym wieszczkiem".

- Z przeszłości? - powtórzył ten ostatni. - Opiewać naszych kontuszowców, głupich jak stóg siana i wiecznie pijanych?

- Z dawniejszej przeszłości, jagiellońskiej, piastowskiej...

- Et, wtedy pewno było jeszcze gorzej.

- Mylisz się, acan Trembecki. Nie znacie własnych dziejów. Widzicie paskudztwo, co przez ostatnie sto lat narosło, i myślicie, że zawdy tak było. A przecie był czas, że my szli równo z pierwszymi Europy. Że byliśmy wielcy, wspaniali... Jeno tego nikt nie wie, chyba historyk zdretniały, siedzący nad kronikami...

- "W swoim plugawym legowisku w wieży..."

- W wieży jak puszczyk i płacze nad nieznamościami dziejów, powszechną nawet u najświetniejszych.

Słuchali go bez przekonania. Słuchali nie wierząc. Nie sądzili, by przed nimi mogło dziać się coś mądrego, odmiennego od obrzydłych czasów saskich. Niechając historyka opowiadali dalej, co który pisze i jak.

- Fircyk w zalotach zajada milczkiem i jeszcze się zgoła nie odezwał!

Zabłocki podniósł głowę.

- Czemu nie? Mogę wyznać,

"...żem jest teraz w robocie pisania żywotów

Wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncfotów

Lecz ukończoną dopiero pochlubię się pracą,

Gdy się z wstydu choć jeden powiesi ladaco..."

- Pociszyłem się - rzekł król. - Muzy jeszcze nie ze wszystkim uciekły do Warmii...

Wstał od stołu, przechodząc do sąsiedniej sali, gdzie goście mieli odczytywać przyniesione ze sobą wiersze.

## Ocknienie

Miasteczko Targowica nie różniło się niczym od stu podobnych miasteczek kresowych. Pośrodku leżał wielki, zależnie od pogody błotnisty lub pylny majdan, po którym wałęsały się świnie. Dookoła stały domki mieszczan i Żydów, krzywe, walące się, o niezliczonych przybudówkach, drewnianych rzeźbionych podcieniach i gankach. Podolskie słońce złościło ich nędzę, wiatr podnosił kłęby kurzu. Puste zazwyczaj miasteczko pełne było obecnie ludzi, kolas, bryk, pojazdów, muzykantów, dworzan, kozaków, żołnierzy i jegrów rosyjskich rządzących się jak u siebie. Wszyscy ci przyjezdni byli pewni siebie, barwni i butni. Chłopi, mieszczenie i Żydzi kłonili się przed nimi do ziemi, spełniali w lot każde żądanie, zbierając obficie szturchańce i grosze. Odkąd Targowica istniała, nie oglądano tutaj takiego bogactwa. Nie dziwota, skoro zjechali się ze swymi dworami trzej najpotężniejsi magnaci Rzeczypospolitej - hetman Ksawery Branicki, hetman Seweryn Rzewuski i Szczęsny Potocki. Wszyscy trzej nienawidzą króla Stanisława. Nienawidzą go za to, że on jest królem, nie oni. Wszyscy trzej są zaprzysiężonymi obrońcami złotej wolności szlacheckiej. Powiadają, że staną się wrogami Rzeczypospolitej, jeżeli targnie się ona na tę wolność, na te szlacheckie, magnackie swobody. Dla unicestwienia zamierzeń reformatorów z Kołłątajowskiego i Staszicowskiego obozu nie wahaliby się sprzymierzyć z diabłem. Tym chętniej sprzymierzają się z carycą. Diabeł za swoje usługi żąda zapłaty. Imperatorowa nie wymaga nic, przeciwnie, chętnych korzystać z jej pomocy obsypuje złotem. Ile kto chce: sto rubli, dwieście, tysiąc, dziesięć tysięcy... Kurierzy wożą nieustannie z Petersburga do Warszawy coraz nowe i nowe worki złota i srebra. Biorą prawie wszyscy. Za głupiego trzymają tego, co nie bierze. Przecież te pieniądze same wchodzą w rękę. Można je brać... Byłe nie ucierpiały nagromadzone od wieków swobody, przywileje i ustawy, powodujące wprawdzie bezsilność króla, niewykonalność prawa, nicość sejmów, ruinę miast, nędzę wsi, ale zabezpieczające pyszną wielmożność szlachty i magnatów.

“Byłe nie ucierpiały szlacheckie swobody...”

Zagorzały zwolennik tych swobód, imię Maciej Dulęba, wjeżdżał do Targowicy z otuchą. Choć szaraczek na jednej tylko wioszczynie, gotów był rozsiekać szablą każdego, co by wspomniał o reformach, zniesieniu liberum veto lub wolnej elekcji. Dlaczego? Sam dobrze nie wiedział, gdyż w przeciwieństwie do innych większych panów rubli rosyjskich nie brał. Wierzył jednak niezłomie, że wszystko musi zostawać po staremu i że tak jedynie jest dobrze. Bieda temu, co by chciał cokolwiek zmienić!

Z niemałym zadowoleniem stwierdzał, że w ostatnich miesiącach znenawidzony ruch

reformatorski zahamował się i przystanął. A przed rokiem w maju zdawało się, że już wszystko przepadło. Uchwalono wtedy w Warszawie nową konstytucję. Imć Dulęba był wówczas w stolicy wraz ze swoim bratem przyrodnim Kaźmierzem Dulębą, posłem, z którym byli zawsze przeciwnego zdania. Zawsze. Od małego. I teraz, o ile Maciej stał twardo przy starych ustawach, o tyle Kaźmierz pragnął je co rychlej zburzyć. O, Maciej pamiętał dobrze owe gorące kwietniowe, potem majowe dni! Kaźmierz posłował - Maciej nie był posłem, lecz pozostawał w zażyłej przyjaźni z posłem kaliskim Suchorzewskim. Ten przynosił na kwaterę ponure wiadomości:

- Spiskują... - powtarzał - spiskują... Król co dnia przemyka się do Piatolego biorąc ze sobą tylko głuchoniemego pazia. Nad zgubą naszą radzą... Biada! Biada!

Utyskiwania jego przerywał brat Kaźmierz wpadając z płonącym licem:

- Odmieniamy Polskę! Obaczycie ją niezadługo nową, wolną!

- Piękna mi wolność - krzyczeli obaj przyjaciele. - Tyrania, przemoc, ucisk! Przenigdy do takich zmian nie dopuścimy!...

- Choć jesteś brat, pierwszy na ciebie z szablą skoczę! - odgrażał się pan Maciej. - Rzeczpospolita szlachecka ma być albo lepiej, żeby jej nie było wcale!

Kaźmierz śmiał się wesoło.

- Nic nie poradzicie wy i wasze kamraty. Hukacie jak puszczyki przeciw słońcu. Kraj się budzi, już się obudził... rozumiecie... Dziś jedno tylko jest hasło: by dobrze było ojczyźnie!

Posępna twarz Suchorzewskiego potwierdzała pewność Kaźmierzową. Jest bardzo źle. Zebrało się tak wielu stronników Kołłątajowych, że nikt by nie uwierzył. Nową konstytucję odczytają w sejmie lada dzień. Według niej chłopci i mieszczański mają być podobno zrównani w prawach ze szlachtą. Słyszane rzeczy?! Koniec świata! Koniec świata! Marszałek Małachowski i inni już się zapisują w księgi miejskie. Koniec świata!...

Gdy bryka posuwała się krok za krokiem przez zapchany powózkami rynek targowicki, pan Maciej przypomniał sobie ów pamiętny dzień majowy. Izba poselska zatłoczona ludźmi. Większość żąda odczytania projektu nowej konstytucji. Darmo opozycja wrzeszczy i protestuje. Suchorzewski wyskakuje na środek sali, ciągnąc za sobą małego synka. Krzyczy, że go zaraz tu, na oczach wszystkich zabije, by nie dożył niewoli, jaką projekt ten gotuje. Wyciąga szablę. Przerażony malec drze się wniebogłosy. Inni posłowie wrywają go z rąk ojca-szaleńca. Marszałek czyta:

“...Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucji narodowej zawisł, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną kraju, chcąc na błogosławieństwo i wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć - dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia Ojczyzny naszej i jej granic, niniejszą



konstytucję uchwalamy...”

- Nie pozwalam! Nie pozwalam! - huczy opozycja, huczą Suchorzewscy, Dulęby. Ale donośny głos Małachowskiego góruje ponad ich wrzawą.

...Że stan mieszczański ma być równy ze szlacheckim.

...Że lud rolniczy, spod którego ręki płynie najobfitsze źródło bogactw, który słusznie może być zwany chlebodawcą panów, pod opiekę prawa i rządu jest przyjęty.

...Że znosi się po wieczne czasy przeklęte liberum veto, a rozstrzygać ma na sejmach większość głosów.

...Że tron ma być dziedziczny i raz na zawsze skończone haniebne targi o polską koronę.

- Nie dopuścim! Nie dopuścim! Liberum veto i wolne elekcje to dwie źrenice wolności!...

...Że granic ojczyzny ma strzec nie pospolite ruszenie, ale stała, potężna armia...

Krzykaczy krew zalewa. Ochrypli już z oburzenia. Oburzenie to podziela z nimi poseł rosyjski. Usuwa się gniewny w głąb swej łoży. Ten sam to naród czy nie ten sam? Co go odmieniło?

Jak grzmot huczy okrzyk, by król na konstytucję przysięgał. Teraz, zaraz, tutaj. Żeby już była prawomocna. Żeby jej nikt nie naruszył. I król się zgadza. Na przyniesionej Ewangelii kładzie rękę. Przysięga tylko co odczytaną trzeciomajową konstytucję zachować, bronić, według niej rządzić. Głos jego, zazwyczaj miękki, niezdecydowany, nabrał skądś ducha. Brzmi mocą. I wiwatom nie ma końca. Pod zamkiem szaleje szczęśliwy tłum. Dygocze, drży z uniesienia całe miasto. Wiwat król! Wiwat naród! Wiwat wszystkie stany!

Przeegrali z kretelem przeciwnicy konstytucji. Żarły ich gorycz i gniew. Schodzili się do posła rosyjskiego, by się nad pohańbieniem swobody szlacheckiej uzalić. Słuchał ich ze zrozumieniem, rublami pocieszał i obiecywał pomoc imperatorowej.

Jakoż imperatorowa pomogła.

Pierwszą prawie osobą znajomą, jaką pan Dulęba ujrzał w Targowicy, był nie widziany od roku poseł kaliski Suchorzewski. Niedoszły synobójca promieniał.

- W szczęsną chwilę zjechałeś waść! Właśnie hetman Branicki wrócił z Petersburga z listem od najjaśniejszej gwarantki, wspaniałej monarchini. Zapewnia ona, że do nijakiej zmiany rządu w Rzeczypospolitej nie dopuści, a na pomoc nam, dobrym patriotom, wysyła sto tysięcy wojska. Przednie straże już tu są...

- Owszem, widziałem jegrów na rynku.

- Teraz my górą. Pokażemy tym jakobinom! Pogrzebana konstytucja! Pogrzebany Trzeci Maj!

- Amen - zawyrokował pan Dulęba i uściskawszy ponownie przyjaciela poszedł z nim szukać gospody, by popić na dobrą wiadomość.

Właśnie przecinali majdan, gdy z bocznej uliczki wynurzył się oddział rosyjskiej piechoty. Chłopy ogromne, w zielonych mundurach z białymi pasami skrzyżowanymi na piersiach. Maszerowali sprawnie, aż ziemia dudniła. Pan Dulęba dał im znak, by stanęli, aż on przejdzie. Nie raczyli zauważyć. Potrącili przechodzącego, że mało nie upadł.

- Bydło przekłete! - Pan Maciej odwrócił się i wyciął najbliższemu żołnierzowi siarczysty policzek. Uderzony wrzasnął. Dostkoczyli inni. Zanim się obaj szlachcice spostrzegli, już pan Maciej leżał na ziemi, a jegry tłukły po nim kolbami pomagając sobie obcasem. Pan Suchorzewski poleciał jak oparzony, krzycząc na całe gardło:

- Do szabel, mości panowie bracia! Do szabel! Szlachcicowi gwałt zadają!

Nim nadbiegł ktokolwiek, pan Maciej podniósł się z ziemi, sponiewierany, zapyłony, stłamszony i rozsierzony nad wszelkie pojęcie. Poszli co szybciej ze skargą do oficera. Młody "praporszczyk" w trójgraniastym kapeluszu i opiętym fraku trzepał się trzcinką po butach z wyrazem lekceważącym.

- Ależ oni mnie napadli! - wołał ze zgrozą pan Maciej.

- Waść uderzyłeś żołnierza?

- Uderzyłem, bo mnie jucha potrącił.

- Nie trzeba było pchać się na drogę...

- Waść jesteś głupi smarkacz, dudek! Ja żądam, żeby przynajmniej połowę tych żołnierzy powiesić, a resztę wychłostać. Prowadź mnie do wyższej władzy.

- Zamelduję majorowi, w jakich słowach wyrażasz się waszmość o oficerach najjaśniejszej imperatorowej.

Otoczył strażą obu towarzyszy prowadząc ich do domu, gdzie major w rozpiętym mundurze, ukazującym haftowaną rosyjską koszulę, pił grzane wino zagryzając piernikiem z miodem.

Praporszczyk złożył raport o zajściu. Panowie Dulęba i Suchorzewski darmo usiłowali mu przerwać.

- Milczeć! - ryknął do nich major. - Dość swawoliliście tutaj, panowie Polaki! Teraz skończone! Słuchać i milczeć - to wasze prawo! My tutaj rządzymy z rozkazu najjaśniejszej imperatorowej!

- DUBY SMALONE WAŚĆ PLECIESZ - odryknął oburzony Dulęba. - Przyszliście tutaj tylko nam na pomoc... w obronie naszych zagrożonych przywilejów...

Major roześmiał się drwiąco.

- Wot maleńka pomyłka zaszła. Wasze jaśnie wielmożne swobody i przywileje, my je wam wypiszemy na skórze. Tam zagwarantujemy: Skończone z jaśnie wielmożną szlachecką Rzeczpospolitą. Samiście nas tu wezwali. Już stąd nie pójdziem. Kupiliśmy tę ziemię za dobre srebrne ruble. Może nie? A teraz: won!

- Swołocz - splunął za nimi z pogardą i wrócił do nie dopitego wina. Dulęba i Suchorzewski odchodzili milcząc. Wściekłość ich dusiła: nad miasteczkiem Targowicą świeciło jaskrawe podolskie słońce, lecz im w oczach było ciemno. Zgiełk otaczający utracił wesołość, poprzednia radość i pewność klęski reformatorów - swój smak. Nie wiedzieć skąd przywiane, zakołatały w głowie wyrazy:

“...wolni od hańbiącej obcej przemocy nakazów...”

## Spotkanie

Wierzchowiec nie przypominał w niczym siechnowickiego siwosza (...co się z tobą dzieje, stary siwku?...) - był to bułanopłowy półdziki mustang, pozornie niezdamny, lecz po stromej górskiej ścieżce stąpający pewnie i lekko. Zarazem niezwyklej wytrzymałości i chyżości w chodzie. Ogólnie używane w armii amerykańskiej mustangi były złośliwe i niebezpieczne. Najeżona kolcami skóra okrywająca przednią część stopy nie zawsze obroniła jeźdźca przed ukąszeniem, zdarzało się zaś, że skoczyć w siodło można było dopiero zdusiwszy konia arkanem. Lecz jeździec, który samotnie zdążył górką ścieżką rozmyślając o starym koniu, kiedyś w najniebezpieczniejszym z krajów pozostawionym, od dawna już nie potrzebował lękać się swego mustanga ani używać arkana. Pogodna dobroć, nieustannym czarem nieświadomie z serca płynąca, obłaskawiła pozornie nie dające się obłaskawić zwierzę. Byli przyjaciółmi już od dawna.

Dzięki temu jeździec mógł teraz puścić wodze na szyję konia, zawierzywszy mu, że nie zejdzie ze ścieżki, samemu swobodnie zagłębiając się w rozmyśleniach.

Myśleć i marzyć swobodnie! Była to rozkosz nie zaznana od dwu lat z górą, spędzonych w nieustannych bojach i pracy, pracy nad wszystkie ciężkiej i odpowiedzialnej. On wszakże sypał szanice, za którymi młode męstwo amerykańskie mogło stawić czoło rutynie i liczebnej przewadze angielskiej. On zagradzał żelaznymi, kutymi dzień i noc łańcuchami bystre, wielkie rzeki, by nie puściły okrętów najeźdźcy. On obwarowywał wzgórza panujące nad dolinami, którymi usiłował przedostać się wróg. Wytężył wiedzę nabytą w królewskiej Stanisławowskiej szkole kadetów, we francuskiej wysokiej uczelni artyleryjsko-inżynierskiej, oraz przyrodzony swój techniczny geniusz, by ciągnącego wroga zatrzymać skutecznie zaporą szaniców, redut, baterii, parapetów, rowów i aproszów. Gdy była bitwa, walczył wraz z innymi. Gdy po bitwie żołnierze odpoczywali, on już ze swym oddziałkiem w motyki i oskardy zbrojnym szedł, zależnie od powodzenia bitwy, naprzód lub w tył, nowe przygotowywać zasieki.

Wyjątkowo sroga zima wstrzymała kroki wojenne z obu stron i dzięki tej przerwie otrzymał dziesięciodniowy urlop, pierwszy od dwu lat. Korzystając zeń, jechał odwiedzić rodaka, o którym doszły go słuchy, że przybył i w północnej armii powstańczej objął nad jazdą komendę.

Kamienie leciały z łoskotem w dół spod nóg konia stąpającego ostrożnie, gdy jeździec wodził błękitnymi łagodnymi oczami, po czubach drzew, niby do litewskich podobnych i niepodobnych, wielkich, potężnych jak cała tutejsza groźna i pierwotna przyroda. Z jezior rozlanych jak morza wypływały bystre, szerokie rzeki, co tracąc grunt pod nogami spadały wodospadami huczącymi grzmotem na parę mil naokoło. Na rozwidlonym konarze czaił się ryś

kanadyjski, przez płaskie stepy zdążyły setki tysięcy bizonów, w górach rządził szary niedźwiedź. Wszystko było tu nowe, wolne, większe i zuchwalsze niż w starej ziemi.

Właściciel powolnego mustanga patrząc na to czuł się po trosze Kolumbem, jakby był pierwszym Polakiem, który kiedykolwiek stanął w Ameryce Północnej. Przybył tu, gdy pierwsze wieści o wojnie doszły do Europy. Wahającego się między korzystnymi propozycjami zaciągu do armii angielskiej albo niemieckiej wieść ta oblała warem. Porwała. Gdzieś walczą o wolność! Jest kraj, gdzie można wolnym powietrzem odetchnąć! Są ludzie, co mają odwagę i bezinteresowność, cnoty uwielbiane, zapomniane w posaskiej Polsce! Choć od tego czasu minęły dwa lata, zawsze ze świeżym wzruszeniem wspominał witającą go w porcie amerykańskim odezwę:

“...Uważamy za niezbite prawdy, że wszyscy ludzie rodzą się równymi sobie i wolnymi... Że wszyscy mają równe prawo w dążeniu do życia, wolności i poszukiwania szczęścia... Prawd tych i naszej niepodległości bronić będziemy życiem, mieniem i honorem...”

Odezwa ta, w niezliczonych egzemplarzach rozlepiona, wołała nie tylko ze ścian domów, urzędów i plotów. Była na wszystkich ustach. Była we wszystkich sercach. Co więcej: wyrażone w niej ślubowanie było przez wszystkich potwierdzone czynem.

Więc przybysz z dalekiej chorej Polski poślubił prędko sprawę tego kraju jak swoją rodzoną. Pokochał twardych kolonistów o grubym obyczaju i mowie, lecz rzetelnych jak przyroda sama, w trudzie straszliwym karczujących nowiny, na których przyszłe pokolenia miały wznosić miasta - drwali ścinających srogie pierwobory, nieustraszonych łowców niedźwiedzi i bawołów. Zrazu witany nieufnie, z wolna pozyskał sobie miłość ich i zaufanie, w rozkazach dziennych będąc raz po raz cytowany jako ten, co pomógł walnie do osiągnięcia zwycięstwa lub dzięki któremu porażka nie zamieniła się w klęskę.

Mustang chrapnął i zastrzygł uszami. Tuż przy ścieżce, podobna z dala do czarnego plastra, przysiadła dla odpoczynku gromada dźwigających ciężary Murzynów. Wiatr mroźny zacinał, że kulili się poszarzali z zimna. Stojący przy nich dozorca rzucił dopalone cygaro i nawoływał do podjęcia marszu. Gdy nie ruszali się dość szybko jego zdaniem, świsnął po plecach trzymanym w rękę bykowcem.

Jeździec pognał konia nie bacząc na stromość ścieżki. Nigdy, nigdy nie oswoi się z tym widokiem! Nigdy nie zdoła bez głębokiego bólu i wzburzenia patrzeć na nieszczęśników, dla których żadna walka o wolność się nie toczy, którzy nie wchodzi w rachubę niczyją. Cóż im, czy rząd będzie amerykański, wolny, czy angielski? Pozostaną bydłociem jucznym jak obecnie. A przecież to ludzie! Ludzie! Odezwa, co mówi, że wszyscy ludzie są wolni, ich spod miary odejmując - kłamie!

...A jako jest w Polsce?... - zapytał go nagle głos przypomnienia - czy lepiej? Wspomnij,

szlachetny bojowniku, owe nieszczęsne stworzenia obrosłe brudem i wylękle, żyjące w norach niegodnych imienia chlewa, pracujące od świtu do zmierzchu, od dzieciństwa do starości na polu pańskim, nie otrzymując innej nagrody jak baty... W czym się różni dola tych chrześcijan, Polaków, od doli Murzynów? Wielą dla nich znaczy, czy w Polsce Moskał weźmie rządy, Prusak, konfederata barski lub starego obyczają szlachcic?

...Boże, Boże, daruj... Boże, pozwól to odmienić...

Myśli osnuła gorycz i pogrążony w niej ani spostrzegł, gdy po uciążliwej wędrówce dojechał wreszcie do celu. Był nim szeroki obóz oparty o puszcę, chroniony z przodu rzeką, otoczony wałem ziemnym i płotem. Tu armia północna zapadała na zimowe leże. Wśród bud skleconych z desek, szałasów z gałęzi, nielicznych namiotów - hulał wiatr. Licznie wałęsający się po obozie żołnierze byli różnorodnie odziani, jednolicie obdarci i widomie głodni. Patrzyli jednak na przejeżdżającego bystro i surowo.

Kierując się instynktem jeździec pchnął mustanga ku okazalszemu nieco od innych namiotowi, okrytemu skórą, przed którym siedzący na ziemi wyrostek czyścił zawzięcie wysokie, błyszczące kawaleryjskie buty.

- Czy to jest kwatery generała Pułaskiego? - zagadnął go przybyły po angielsku.

- Yes, sir.

- Zastałem go?

- Count\* (\*Count - hrabia) Pułaski i count Kokowski są w namiocie.

- Count?... Po lichaż sobie hrabiego przyczepił - mruknął do siebie po polsku przybysz z niezadowoleniem.

Nie miał jednak czasu powiedzieć nic więcej, bo z namiotu wysunął głowę przysadkowaty szlachcic z zawieszonym wąsem.

- Zdało mi się, że polską mowę słyszę - zaczął, spoglądając niepewnie na przybyłego.

- Ucho waści nie myliło - odparł gość zeskakując z konia - pułkownik Tadeusz Kościuszko, do usług.

- Wielkie nieba! Cóż za fortunne zdarzenie! Rodak! Rodak! I tak znamienity! Dajże waść gęby! Po naszymu, po szlachecku... Bywajże, panie Kazimierzu! Bywaj! Obacz, kogo nam losy zesłały...

Mówił, ścisnął przybyłego, odsuwał go na odległość ramion, by mu się przyjrzeć, obejmował znowu, nie przerywając wymowy ani na chwilę.

- Trzy miesiące już tu siedzimy i ciągiem tylko o waści słyszymy. Aże nam zazdrość, boć i my nie gorsi, tylko okazji dotąd należnej nie było. Znajdzie się rychło, bo pan Kazimierz komendę nad całą jazdą objął i zgoła grzeczny komuniczek już wystroił. Zbieranina to, pożał się Boże,

dyscyplina u nich tak znana jak Ojciec nasz u Turków, buty mało który widział, ale serca uczciwe, a z tym, panie bracie, można daleko zajść, chociaż na bosaka... Ha, otóż i staroście... Witajcie się, witajcie, a ja jaki taki poczęstunek zładzę, co w tej mizerii nie snadno.

Wykręcił się na pięcie zadziwiająco żwawo jak na jego tuszę i znikł w namiocie przyzywając za sobą wielkim głosem chłopca. Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski uściśli sobie dłonie i milcząc przyglądali się wzajemnie z nieco zakłopotaną życzliwą uwagą ludzi, którzy się znają dobrze ze słyszenia i teraz porównują fałmę z rzeczywistością.

Kościuszko był niższy, drobniejszy, szaro i skromnie odziany. Zarost golił, czuprynę w tył gładko zaczesywał. Twarz miał pospolitą o wystających kościach policzkowych, zadartym nosie i zbyt szerokich ustach. W twarzy tej, prawie nieładnej, przedziwnym czarem dobroci i mądrości jaśniały niebieskie oczy. Skupione, zacierały braki powierzchowności, nadawały całej postaci odrębny charakter.

Staroście kamieniecki, generał brygady w armii Waszyngtona, był rosły, smukły, dziarski i dorodny. Mały czarny wąsik podkreślał smagłość przystojnego lica. Odziany był krasno jak gil, w fantastyczny, złotem szamerowany mundur huzarsko-szlachecki. We wzroku miał lwią odwagę i rozlewną kresową serdeczność.

- Wać już tu dawno jesteś, od samego początku kampanii? - dopytywał.

- Dwa lata z górą.

- Nigdy nie odżałuję, żem z wami pod Ticonderogą, Saratogą nie był... Słyszeliśmy siła o tych bojach.

- Nie zbraknie wam lepszych. Wojna pociągnie się jeszcze długo.

- Nie mogliśmy przyjechać wcześniej - ciągnął Pułaski - bo i substancji trza było nieco na przejazd zebrać, a tam kozaki carycy zostawiły gołe pole w miejsce wsi, i różne coraz to stawały przeszkody. Przecie nie zrażając się niczym rzekliśmy sobie z Rogowskim (którego wać poznałeś - przyjaciel to mój najmilejszy), skoro mamy w przyrodzeniu obrzydzenie ku wszelkiej tyranii, osobliwie cudzoziemskiej, tedy gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, jest to jakby nasza własna sprawa. No i przyjechalim.

- Nie tak gracko, czekajże - wtrącił się do rozmowy pan Rogowski wysuwając się z namiotu. - W Hawrze kupiliśmy sobie wszystko, co trza, by się trochę języka poduczyć. Uczyli my się pilnie jeden drugiego słuchając...

- Pierwsze słowo wzięliśmy: forward, naprzód - wtrącił Pułaski - jako w komendzie militarnej najpotrzebniejsze...

- Wysiadamy na brzeg - ciągnął Rogowski - i z miejsca zaczynamy po angielsku gadać. A tubylcy gęby rozdziawiły i na nas patrzą. Choć zęby rwij, nie rozumieją ani słowa. Dopierośmy się

dowiedzieli, że nasza nauka nie na wiele się zdała, bo w angielskim jest taki zwyczaj, że inaczej się pisze, a inaczej mówi.

- Oczywiście - uśmiechnął się Kościuszko.

- Z początku mieliśmy z tym wiele kłopotu, ale teraz obaj gładko już gadamy. Jazdę mamy sformowaną i do bitwy ręce swędzą. Na tych czerwonych raków już i patrzeć nie mozem. Amerykany są morowe chłopy.

- Gdybyż jeszcze nie nieszczęsna pozycja Murzynów - westchnął pułkownik - w najżywszą komizerację umysł wprowadzająca...

Zdziwili się obaj.

- Murzyny? Negry? Pogany czarne? A cóż waści do nich? Do niewolnictwa z przyrodzenia są stworzone.

Kościuszko nie odparł nic. Małomówny był z natury i nie lubiący narzucać swego zdania nikomu. Pacholek, ten co wprzód wszedł, oznajmił z cicha, że kucharz mięso zdobył i prosi, by "count" Kokowski powiedział, jak je po polsku przyprawić.

Rogowski wybiegł żwawo. Pułaski śmiał się wesoło.

- Rogosia nikt tu nie nazywa inaczej jak Kokowski - objaśnił.

- A ten tytuł? - zagadnął nieśmiało Kościuszko.

- Tytuł? Nadali go nam, widząc po minie, że nie byle pacholki przyjechały. Zrazu chciałem protestować, ale Rogowski powiada: toć każdy szlachcic polski rodzi się kandydatem do korony, przeto znaczy więcej niż najpryncypialniejszy familiant cudzoziemski. Ostaw! Takem i ostawił. Nie ma to żadnego znaczenia.

Po raz drugi gość zmilczał odpowiedź, niepewny, czy byłby dobrze zrozumiany. Zaległa na chwilę cisza.

Nagle Kościuszko podniósł głowę.

- Trzy lata mija, jak nie byłem w kraju - zaczął z cicha, prosząco. - Opowiadajże waść z łaski swojej, co tam słyhać... jako jest... u nas...

- U nas? - powtórzył głucho Pułaski i przysłonił ręką oczy.

- Król i poseł rosyjski... i wszystko... po staremu?

- Po staremu...

- Nie widać żadnej odmiany?

Staroście opuścił ręce na kolana i potrząsnął głową przecząco. Twarz mu postarzała, zastygła. Utkwili w sobie wzrok pełen żalu bezsłownego, rozpaczy najcięższej, zgryzoty nieutulonej.

Ojczyzno... Ojczyzno... Ojczyzno...



Nie wiedzieli, zali to któremu z nich wyrwał się z piersi ten jęk w niepowstrzymanym skowycie, czy myśli ich, same nabrane tęsknotą, drgają wokół tym najdroższym słowem...

Ojczyzno... Ojczyzno... Ojczyzno...

O pół roku podróży odległa, spodlona, dźwignąć się nie pragnąca, goniąca ich precz od siebie, jawiła się tuż przed oczy marą najdroższą, złocistym snem. I w tym wspólnym ukochaniu dwaj dobrowolni tułacze, tak niepodobni do siebie jak niepodobne są dwie epoki, poczuli się nagle złączeni braterstwem ścisłym i wiecznym, drużbą mocniejszą niż śmierć, przyjaźnią wspartą na tym, co w duszy najgłębsze.

- Bracie... - szepnęli obaj równocześnie.

- Bracie...

- Może nie zginiemy tu - westchnął Pułaski. - Może choć jeden z nas wróci i będzie mógł walczyć tam...

- Może...

- Zrazy będą za chwilę gotowe. Polskie zrazy. Chodźcie żywo! - zakrzyknął "count" Kokowski z głębi namiotu.

## Na szczycie Mont Blanc

Genewa jest miastem poważnym, surowym, kalwińskim. Za zdrożną rzecz uważają tutaj uśmiechać się na ulicy i nawet młode dziewczątka przyoblekają twarze w należytą powagę. Śmieją się dopiero za drzwiami swych domów. Do niedawna nieco życia i gwaru wnosili francuscy emigranci, wygnani z ojczyzny przez rewolucję, nie uznający Napoleona. Siedzieli tu przez kilkanaście lat, aż gdy kongres wiedeński obwieścił powrót monarchii, rzucili się tłumnie z powrotem. I teraz, w roku 1818, nic nie przerywa spokojnej drzemki poważnego miasta, chyba nieliczne pary cudzoziemskie pielgrzymujące do rodzinnego miejsca ulubionego pisarza epoki, Jana Jakuba Rousseau. Na jeziorze, tuż przy ujściu Rodanu, wznosi się maleńka skalista wysepka zarosła wielkimi topolami. Pochylone ku wodzie drzewa kąpią w niej gałęzie. Wysepka ta była podobno ulubionym schronieniem filozofa-marzyciela. Tu miały powstać zarysy pierwszych jego dzieł. Przeto jest drogą pamiątką.

Od pochylonych topoli Jana Jakuba Rousseau odpłynęło czółno, przybiło do miejskiej przystani. Wskoczył z niego piękny kawaler, odziany według ostatniej paryskiej mody. Ostrożnie i czule podawał rękę wysiadającej płochliwie damie, ślicznej, strojnej i wytwornej. Kochali się, to jasne, a na kamiennym tle miasta zdawali się parą świetnych motyli lub beztróskich bogów.

Nie śpieszni odejść, spoglądali na jezioro. Jezioro wielkie, wielkie, błękitnozielone, o wodzie przezroczej jak kryształ. Mimo głębokości można odróżnić na dnie najdrobniejszy okruch skalny. Łabędzie podpływają z wolna ku wyciągniętej ręce pięknej pani. Śmieszne małe czarne kacuszki nurkują i siedzą długo pod wodą, przechadzając się swobodnie na dnie. Mnóstwo mew zlatuje zewsząd. Mają błyszczące jak paciorki oczy i gładkie jak wrzeciono ciało. Anielską biel upierzenia i drapieżny, przeszywający głos.

Opuszczając z żalem brzeg jeziora, zakochani pną się pod górę ku miastu. Z kieszeni kawalera wystaje tomik Nowej Heloizy, którą przed chwilą czytał na głos w cieniu topoli. Mówią między sobą po francusku, ale przyjechali oboje z Polski. Księżna Fryderykowa Lubomirska i porucznik Antoni Malczewski. Rozkochani w sobie szalenie. Mają się pobrać, gdy tylko w Rzymie zostanie załatwiona sprawa rozwodowa księżnej. Nastąpi to lada dzień. Porucznik czuje się najszcześniejszym z ludzi.

Przed nimi, górując wysoko nad miastem, wznosi się biały wieniec gór, a w oddali, ponad obłokami, wyższa nad wszelkie pojęcie skrzy się śnieżysta kopuła. To Mont Blanc. Powiadają o niej genewczycy, że jest najwyższą górą świata. Niedostępna, niedosięglą. Nikt dotąd nie był na szczycie. W pustce bez powietrza mieszka tam pono tylko sama Groza. Górale schodzący z gór, by

sprzedać w mieście masło i ser, opowiadają, że na szczycie Mont Blanc mieszkają geniusze strzegący skarbów ukrytych wewnątrz skał. Strąca lawinę na każdego śmiałka, co by ich chciał niepokoić.

Przed zapatrzoną parą kochanków zamajaczył nikły cień. Znajomy, profesor Pictet, starowina zwawy jeszcze i wielce uczony. Głośny jako przyrodnik. Frak na nim kusy, zielony, przód fraka brązowy od nagromadzonych wielotygodniowych pokładów tabaki.

- Czarodziejski widok, nieprawdaż? - zapytuje.

- Och, tak. Panie profesorze, czy to prawda, że na szczycie Mont Blanc nikt jeszcze nie był?

- Prawda. Trudności przyrodzone są nie do przewyciężenia dla zwykłych sił ludzkich, tym bardziej że rozrzedzone powietrze powoduje szybkie zmęczenie.

- Dlatego tyle legend krąży o tej górze...

- Słyszałem je nieraz. Śmieszne brednie ciemnych ludzi. W istocie nie mieszka tam żaden Król Gór, mieszkają tylko żywoły, a one są do zwalczania najtrudniejsze.

- Nie powinien człowiek się tym zrażać - powiada żywo porucznik - owszem, wyteńczy siły, by dojść.

- Spróbuj tedy, kawalerze - uśmiecha się pobłaźliwie profesor.

- Gdybym spróbował, na pewno bym doszedł.

Monsieur Pictet śmieje się w głos.

- Pięknie, pięknie... Może tedy usłyszysz, że polski szlachcic zdobył niedostępny Mont Blanc. Szczerze życzę powodzenia. Do widzenia państwu.

Odchodzi.

- Nie pójdziesz nigdzie, najdroższy - szczebioce pani tuląc się do towarzysza - bo cóż bym poczęła bez ciebie?

Ściany szafasu dygoczą pod natarciem wichru. Na dworze śnieżycą. W szafasie alpejskie juhasy siedzą w kuczki naokoło ledwie tlejącego żaru. Choć ziąb bierze, strach przyczyniać ognia w taką wichurę. Gdy zamieć silniej uderzy, zdejmują powoli wielkie czapy i żegnają się uroczyście.

W kącie szafasu zawinięty w skóry owcze leży cudzoziemiec. Porucznik Antoni Malczewski. Nie zwraca żadnej uwagi na to, co mówią lub czynią juhasy, całkowicie pochłonięty rozpamiętywaniem swojego nieszczęścia. Ma co rozpamiętywać. Jeszcze w czerwcu w Genewie czuł się najszcześliwszym z ludzi, a teraz w pierwszych dniach sierpnia, pogrążony jest w morzu rozpacz. Ukochana, jedyna, z którą mieli iść razem przez wieczność, porzuciła go, odjechała powiadając najspokojniej, że... już się znudziła. Znudziła!

Jakże tutaj nie oszaleć? Jak żyć nadal?

Życie niemożliwe. Człowiekowi, który w miłość włożył całą duszę i sądził, że kocha niebiankę, który dla niej wystąpił z wojska, sprzedał ojcowiznę, opuścił kraj, nie pozostaje teraz nic innego, tylko śmierć.

Ale umrzeć to mało. Trzeba jeszcze umrzeć pięknie. W myśl romantycznych przepisów. By, posłyszawszy o zgonie, niewierna zadrżała i - pożałowała...

Wspomniał profesora Pictet. I białą kopułę Mont Blanc. Zdecydował się od razu. Wejdzie na szczyt i stamtąd rzuci się w przepaść. Oto śmierć piękna, na wieść o której sam Byron pochylił głowę z uznaniem.

Gorączkowe przygotowania do wyprawy, zbieranie wiadomości, ćwiczenia w uciążliwej wspinaczce rozerwały korzystnie myśl desperata w pierwszych tygodniach zerwania. Obecnie czekał w najwyższym położonym pasterskim szałasie na ścichnięcie burzy. Przewodnik Błazej podjął się poprowadzić go prawie pod sam szczyt.

Przymusowa beczynność trwała już dwa dni i gorzkie myśli, odsuwane przez ruch i zmęczenie, rzuciły się teraz na opuszczonego. Tylko że zmieniły bieg. Początkowo przeklinał tylko ją, płochą, niewierną. Teraz przychodziło mu na myśl, że nie była zgoła inna niż otaczający świat, jego i jej świat, w którym wszak wszyscy postępowali tak samo. To on właśnie był szalony, że pragnął rzeczy niemożliwych. I ukochane dotychczas życie wydało mu się kwiatem bujnym, w którym lęgnie się robactwo. Jeszcze błyszczą barwami, jeszcze olśniewa, w rzeczywistości będąc już tylko podgryzionym trupem...

To znów wydawało mu się, że tętent wichru jest tupotem licznych stóp. Niby korowód weneckich masek zapustnych zbiegła się cała jego przeszłość. Wypełniają wnętrze szałasów widma nie-widma, w jaskrawych szmatkach, wesole, szalone, przednie, roześmiane. Okrążają legowisko ze skór, nachylają się nad leżącym... O Boże, spod barwnej maski wyziera u każdej łysa trupia głowa...

Wicher zawodzi przeciągle. Juhasy żegnają się znowu.

- Jakąś duszę przywiało. Wieczne odpocznienie racz jej też dać, Panie Boże...

Wyszli we dwóch głuchą jeszcze nocą, stąpając rażno po świeżo spadłym śniegu. W górach cisza doskonała, jaka się zdarza tylko po wichurze. Pochodnia dymi i niewiele co oświeca. Biały majestat szczytów oczekuje w mroku.

I tak wędrują dzień, dwa. Śpią obok siebie zawinięci w kozuch. Wyrąbują pracowicie stopnie w zlodowaciałym śniegu. Idącym przez lodowcowe pola przecinają drogę długie, głębokie szczeliny. Czasem można je przeskoczyć, częściej trzeba obchodzić, nakładając drogi. Czasem przewodnik ogląda się trwożnie w górę i nagli do pośpiechu. Lub gdzieś daleko słychać głuche

stęknienie jak westchnienie gór, a w dole wznosi się srebrzysty tuman. To lawina.

Porucznik jest romantykiem, nie przyrodnikiem, więc idąc i patrząc nie wie, kiedy powstały te góry ani jakie siły kształtowały ich groźne oblicze. Dlaczego jezory lodowca spływają w dolinę ni skąd się bierze lawina. Wie jedno, że wspinając się tak wysoko, odczuwa z każdym krokiem wzrastającą ulgę. Jakby udręka nie mogła za nim nadążyć. Gdy giętkie ciało zawisnie sprawnie na skalnej przewieszce, gdy ręka celnie zarzuci i umocni linę, stopa nieomylnie wymaca wgłębienie, na którym można się oprzeć i wyżej podciągnąć, serce ogarnia niefrasobliwa uciecha. Początkowy główny cel wyprawy, śmierć, niknie z myśli, choć śmierć czyha na każdym kroku i w każdej minucie. Najważniejszym staje się osiągnięcie szczytu, a mniejsza, co potem nastąpi... Cał za całem, piędź za piędzią, rośnie upojenie walką. W rozrzedzonym powietrzu łomoczą tętna, w uszach szumi, umysł zdumiewa się, że ten wysiłek tyle przyczynia radości. Czemuż o tym dotychczas nikt nie wie? O góry! O góry!

I prawie niepostrzeżenie nadchodzi godzina, gdy Malczewski z przewodnikiem, obaj utrudzeni, z okrwawionymi dłońmi i kolanami, z oczami czerwonymi od blasku śniegów, głodni i wyczerpani, stają na szczycie Mont Blanc. Bóg na nich łaskaw, bo pogoda od trzech dni jest piękna jak rzadko. Zazwyczaj wokół szczytu, wspierającego niby gotycki filar sklepienie nieba ponad Europą, szaleją skłócone wichry. Dziś cichość panuje zupełna. Niebo głęboko szafirowe, słońce oślepiająco jaskrawe, gorejące śniegi, umysł ogarnia uczucie nadludzkie, że się jest uniesionym przez dobrego, czy złego Ducha ponad świat, w chwili gdy Bóg z chaosu świat stwarzał. Nie poznasz, gdzie lasy, pola albo miasta. Widne tylko w burym tumanie oddalenia jeziora. Lemán, Neuchatel, Morat, Bienne - niby rozciągnięte na mroku żagle...

Błazej, wielce rad, powiada, że można odpocząć ze dwie godziny, nim się zacznie zejście.

...Zejście?... Aha, prawda, zejście... On, porucznik, nie miał schodzić, miał się zabić... Tak przecież postanowił. Po to tutaj wszedł. Nic łatwiejszego, jak to wykonać. Ale nie czuje ku temu najmniejszej ochoty.

Ani mu w głowie skakać w przepaść! Krew tętni tryumfem. Pilno mu donieść o swoim zwycięstwie, napisać do profesora Pictet, że otóż właśnie polski szlachcic był na Mont Blanc. A zabijać się - po co? czy warto?

Jak gdyby małość oglądanych stąd dziedzin udzielała się uczuciom - po raz pierwszy może myśleć o niewiernej bez bólu.

Natomiast nie wiedzieć skąd przychodzą myśli nigdy dotąd nie znane. Chciał się zabić. Czy miał do tego prawo? Czy już w życiu cośkolwiek trwałego uczynił? Spodziewali się wiele po jego zdolnościach starsi koledzy, mądry, przezacny wychowawca Czacki, lecz on tylko brząkał szabelką i oddawał się miłośnikom... Nie robił nic. Niezmierną łatwość i zamiłowanie wrodzone do wierszy

zużywał czasem od niechcienia w listach wierszowanych do przyjaciela, Aleksandra Chodkiewicza. “Masz szczególne dyspozycje poetyckie - odpisywał tenże - przyłożywszy starań mógłbyś tworzyć rzeczy zgoła niepoślednie...”

Ale porucznikowi brakło zawsze czasu.

Jak gdyby w ślad za tymi rozważaniami, nadpłynęła ku niemu po raz pierwszy w życiu tęsknota za własnym krajem; przed kilku laty dobrowolnie opuszczonym. Niby na przekór otaczającym go śnieżystym turniom, w myśli rozesłał się step ukraiński. Kwiaty w pas. Leci cwałem kozak. Czarnomorcy wiozący maź i sól usuwają się przezornie na bok... Przejechał. Znieruchomiały rozkołysane burzany. Cisza i pustka. Tylko wiatr smutnie szumi uginając kłosa. Tylko z mogił westchnienia i tych jęk spod trawy, co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy...

Mimo zmęczenia poczuł w sobie źródło nowej siły dotąd nie podejrzewanej. Rozpiekła go chęć powrotu do kraju. Wrócić, i tak jak wdarł się na szczyt, na którym jeszcze nikt nie stał, tak napisać poezję, jakiej nikt jeszcze dotąd nie napisał! Opisać jakieś starodawne boje, gdy polscy rycerze walą zbitym w rzędy tłumem, lasem dzid najeżonych, z hukiem, trzaskiem, szumem. Kiedy wre taniec tatarski, stał błyska, krew broczy, śmierć trzaski się, zdmuchując wywrócone oczy...

- Czas schodzić, panie - rzecze Błażej.

- Schodźmy.

Wyprostował się energicznie, przeciągnął w górę obolałe ramiona i uśmiechając się do odkrytego w sobie bogactwa, stał tak chwilę, niby posąg człowieka na posągu świata.

## Nieporozumienie

Stary siedlak Jura Gaydzica z Cisownicy pod Ustroniem siedział na przyzbie w wonnym świetle czerwcowego odwieczera, pykając raz po raz z fajki. Tuż przed nim w płachcie uwiązanej u drewnianego kozła spał najmłodszy jego wnuk Pawliczek. Od czasu do czasu dziadek kołysał płachtę i odganiał brzęczące nad dzieckiem muchy, ruchem poważnym, mierzonym. Sam został w obejściu, gdyż cała rodzina wyszła do siana zostawiając starego na stróży gospodarstwa. Wiekowy był. Jeszcze zeszłego roku trzymał się krzepko i w robocie nadażał za młodymi, lecz ostatniej zimy przeziął mocno, jadąc na Słowacyznę po rudę do ustrońskich pieców, i od tej pory opadł całkiem z sił. Zbyttno się tym zresztą nie trapił. Dość się w życiu narobotał, niechże teraz synkowie ręki przyłożą.

Siedząc spokojnie niby na wymowie, miał po raz pierwszy w ciągu swych roboczych, budnych lat wolny czas dla jedynej namiętności życia - książki. Stary siedlak z Cisownicy niezmiernie miłował książki. Czuł do nich nieprzeparty pociąg i cześć nieomal nabożną. Poświęcał na nie każdy grosz. Talary, floreny i "bankocetle", miast układać się powoli w skrzyni, przeobrażały się w jego ręku w nieużyteczne i nikomu niepotrzebne (zdaniem Gaydzicowej rodziny) książki. Nie wracał bez nich z żadnej ze swych podróży furmańskich do Cieszyna, Bielska, ba, do Krakowa lub na Słowacyznę. Zebrał tego przeszło półtorej kopy. Miał Biblię "Dąmbrowkę", "d Kazań", "Dacjuszkę", "Ó drogę do nieba" i przeróżne inne. Teraz, mając wolny czas, opracował je starannie w deski i skórę, na której wytłaczał pracowicie swoje miano. Gdy zimą sąsiadki schodziły się do Gaydzichy na "szkubaczki"\* (\*" szkubaczki" - wieczorynki z darcieciem pierza.) Jura zasiadał w kącie przy łuczywie ze swoim introligatorskim warsztatem. Objasniając, to zmieniając szczyпы, wyglądał cierpliwie okładki, podnosił je do oczu z radością. W miarę wpatrywania się w rzędy czarnych czcionek, wmyślenia upartego w ich treść, ogarniała go ochota zacząć pisać samemu, wyrazić w podobnym rzędzie czarnych liter wszystko, co narastało powoli w jego umyśle, niby warstwie odłupanej skały ujawniające tajne składziny powierzchni, wszystko, co przeżył i widział. Z czasem ta chęć stała się tak natarczywa i wielmożna, że zabrał się do pisania. Gruby zeszyt w drzewo oprawiony, opatrzony misternie wysztychowanym napisem: "Dla pamięci rodzaju ludzkiego", miał zawrzeć jego wspomnienia. Rozdzielił je na dwie części. W pierwszej, zatytułowanej: "Z kroniki Cieszeński", zamieścił wszystko, co wiedział od starych i z książek. Że w 1570 roku był w Cieszynie mór, a w 1683 miasto Wiedeń, od Turków obleżone, król polski z ludem swoim odbił. Że w 1771 kraj Polski na trzy działy rozdzielili, a to Prusowi jeden, Mozgolowi jeden i Cesarzowi jeden, i że w 1799 Mozgole przez Cieszyn na Francuza maszerowali.

W dalszej części zapisywał własne swe wspomnienia rok za rokiem. Jakie były wojny i ceny na zboże, co robili cesarscy, lato mokre było czy suche, wiele owiec się okociło i która krowa była cielna.

Miło było odczytywać te wspominki, zmrużywszy oczy widzieć za skąpymi nieskładnymi wyrazami całą barwę i tok zdarzeń dawnych. Więc też i teraz, upewniwszy się, że Pawliczek śpi mocno, stary Jura poszedł do izby wyciągnąć z dna skrzyni, zwanej trówą, swój skarb. Wrócił z nim na przyzbę i śliniąc palce przewracał ostrożnie karty.

“...Roku 1811 świeciła Kometa, miała taką miotłę od siebie, a było ją widać na północy, szła od zachodu na wschód ponad ziemią...”

“...Roku 1813 począł deszcz padać na Bartłomieja, ten deszcz trwał tydzień. Potem zebrała bardzo wielka powódź tu po tym okręgu, że pamiętnika nie było...”

Podniósł głowę znad książki i zamyślił się. Pamiętał jak dziś oną powódź. Całą Cisownicę zalało, anibyś poznał, gdzie stały domy. W Cieszynie Olza most zabrała. Dziecię w kolebce woda niosła, ale je żywe z kolebką chwycono... Bożątka biedne!... W Bielsku zważyło siedem domów, w Skoczowie trzy stodoły. Do fary sięgała woda... Żywiec zalało i Oświęcim też... Po tej powodzi wielka była bieda. Za ćwierć owsa płacono trzy reńskie...

“...W roku 1816 zabiło Stanieczka w lesie drzewo które mu nieszczęśliwym sposobem do głowy trafiło...”

- Daj mu Ponbóczek wieczny odpoczynek! Szykowny był chłop...

“...W roku 1817 przez całą zimę nie było sanicy, tylko dycki\* (\*dycki - zawsze.) mokre...”

Cień padł przed nim. Instynktownie gazda zamknął książkę i schował pod pachę, zanim podniósł głowę. Szczupły, ciemno ubrany obcy pan stał przed nim.

“Pewnikiem - pomyślał Jura - z tych Niemców, co przyjeżdżają do ustrońskiego kurhausu\* (\*kurhaus [niem.] - sanatorium.) parzyć gnaty w żelaznej wodzie...”

Obcy przybyły był istotnie gościem kurhausu leczącym swe reumatyzmy, nie Niemcem jednak. Był to profesor Brodziński z Warszawy.

- Dzień dobry - rzekł, pocziwie rozrzewnione oczy wbijając w schowaną przez gazdę książkę.

- Z Ponbóczkiem. Dzień dobry.

- Pozwolicie mi odpocząć chwilę, gospodarzu?

- To niech se siędną, panoczku.

- Bóg zapłać.

Usiadł z pośpiechem obok Gaydzicy, nie spuszczać zeń rozjaśnionych szczerym wzruszeniem oczu.



- Co to za książka? - zapytał nieśmiało, dotykając ostrożnie wystającej okładki.

- Moja - odparł sucho Jura.

- Ale jaka? Po jakiemu pisana? - dopytywał przybyły prawie błagalnie.

- Dyc po naszymu...

- To znaczy?

- No po śląsku, jako tu wszyscy gadamy - odparł Jura zniecierpliwiony i począł kołysać dziecko, choć spało w najlepsze.

Brodziński zakrył twarz ręką.

- Najszczęśliwszy dzień w moim życiu! - rzekł patetycznie. - Pierwszy raz danym mi jest ujrzeć kmiotka z książką w ręku... Tylekroć o tym marzyłem! Ujrzałem i... o radości! Książka, którą czyta, jest polska! Bogu niechaj będą dzięki! Spełnione moje modlitwy...

Wzniósł oczy w górę. Stary gazda przyglądał mu się z boku krytycznie.

- Ja sam książki piszę - ciągnął gość - i żywię teraz nadzieję, że je będziecie czytali...

- Piszecie książki, panoczku? - zapytał Gaydzica z niedowierzaniem.

- Ach, piszę! Piszę! Wszystkie dla kmieci! O kmieciach! Nikogo na świecie tak nie miłuję jak was, włościan, was utrapieni maluczcy. Jeno dotąd nie spotkałem żadnego, co by czytał... Wy pierwsi... Boże mój! Uściskać bym was rad za to, że książki nawidzicie...

- Nawidzę, to jest prawda... - mruczał Jura, odsuwając się nieco, jak gdyby na wypadek zamierzonego uścisku.

- Nikt nie wie, jakie skarby uczucia chowam w sercu dla was, kmiotków... Drodzy moi bracia! Ile razy myślę o was, przychodzą mi na usta słowa największego naszego poety Osińskiego:

“ ...O wy, co ślepym losem skazani do pracy  
Jesteście państw podporą, czcigodni wieśniacy!  
Żywiciele narodów! O których zagony  
Ród ludzki i wysokie wspierają się trony,  
Pierwsza klaso ludzkości! Pókiż ludzie dzicy  
Gnębić będą szanowny stan wasz, cni rolnicy?”

- A o czym piszecie książki, panoczku? - zapytał Gaydzica wysłuchawszy cierpliwie tyrazy.

- Mówilem przecież, że o was.

“ ...Nie dbam, czy imię moje w pałacach przypomną,  
Na wsi ja sławę chcę budować skromną,

Niechaj przy ucztach, niechaj pieśni moje  
I rozkochane śpiewają dziewoje.  
A kiedy ziemi opuszczę mieszkanie,  
Tam, za ołtarzem, na kościółka ścianie,  
Gdzie zmarłych dziewcząt zwiędłe wiszą wieńce,  
I moją lutnię powieście, młodzieńce...

- zakończył w rozmarzeniu poeta.

- To wszystko wasze pisanie jest takie?

- Wszystko jest, owszem, poezją. Och, skromną. Ubożuchnym ja śpiewak parnasu. Lecz poezją, poezją, co uskrzydla, opromienia życie!... I wasze, kmieciów, bytowanie rad bym nią rozjaśnić. Dlatego taki szczęśliwy widząc kmiecia rodaka, co polskie książki czyta i rozumie!...

- A po jakiemu prawili, że my tu gadamy, że się tak naszej mowie dziwują! - zapytał Gaydzica z namysłem.

- Sam nie wiem... Nie myślałem...

- To niewiele wiecie o nas w onej Polsce?

- Nie - wyznał poeta i zamilkł. Rzeczywiście, cóż wiedział o tej dziedzinie? Niegdyś, przed laty, w austriackim gimnazjum w Tarnowie przedstawiono mu Śląsk jako odwiecznie niemiecki, a nikt później w Polsce poglądu tego nie sprostował. Nie mówiło się nigdy o Śląsku, prawie jak gdyby nie istniał. Zagadnienie mowy tutejszej ludności nie stanęło nigdy przed oczami zarówno Brodzińskiego, jak jego warszawskich przyjaciół.

“Gdyby Napoleon był zwyciężył, bylibyśmy połączyli się ze Śląskiem w jedno...” - pomyślał i mimo woli zapytał głośno:

- Wiecie o Napoleonie?

- Toć wiem - odparł Gaydzica powoli. - Bonaparte się zwał, z oficera na cesarza się urobił... W dycki mu się darzyło, wygrał więcej jak trzydzieści sześć batalii. Prusowi przeszedł cały kraj. Tak se myślał, że już po całej ziemi będzie panował, ale mu Pan Bóg w mozgolskiej ziemi nie poszczęścił i zmarzło mu tam wojska bardzo moc. Potem go, chwała Bogu, insze zmogły i z panowania schynął.

- Mówicie: chwała Bogu! - wykrzyknął Brodziński zgorszony. - O największym geniuszu, co przyszedł wyzwolić świat?!

- Nic ja ta nie wiem o jego wyzwolinach. Ale bies był utrapiony. Wojna a wojna! Cesarskie wojsko to szło, to się nazad wracało, a Mozgoły, a Francuzy, a zbierwy wszelakie! Bywało, że osiem koni u jednego gazdy stało. Drogota była, że wytrwać nie lza. Pszenica 32 reńskie, a reż 25...

- Człowieku! Mówić o cenie zboża, gdy...

“...Świat milczał, a granic wartujące skały  
Pod krok Napoleona dumny kark zginały,  
Gdy się morza równały, a płaszczyły trony,  
Wojska grzmoty ciskały, a króle korony!  
Kiedy się orzeł złoty, co gwiazdy nastraszał,  
Od granicy do granic z piorunem unaszał,  
Nikła światłość pozioma obcym światłem wzdęta,  
Pękły niewinnym, zdrajców okowały pęta! “

Gaydzica słuchał cierpliwie. Brodziński ocierał czoło, bo zmęczył się deklamując jednym tchem.

- Osłabiają mnie kąpiele - zauważył - pragnąłbym wszakże przyjechać jeszcze raz, jeśli Bóg pozwoli... Pięknie tu... I książki moje wam przywiozę.

Gaydzica wytrzymał starannie fajkę.

- No ja - rzekł w końcu - wedle tych książek, to ich nie trzeba przykludzać\*, (\*przykludzić - przyprowadzić, zebrać; tu: przywozić.) bo takiego gadania to ja i nie wyrozumiem. Po polsku czytam, to jest prawdą, ale sprawiedliwą mową, nie takie jakieś bełtanie...

- Nie rozumiecie mnie? - zapytał poeta zaskoczony.

- Ano nie - wyznał Jura z łaskawym półuśmiechem. - My, panoczku, proste ludzie. Trza mówić do nas prosto, bychmy zrozumieli...

- Ależ ja mówię najprościej! - zakrzyknął Brodziński. - Mnie ganią za moją przesadną prostotę! Ja nie wprowadzam do moich wierszów Olimpu ani greckich pasterzów, ani wymyślnych metafor! Ja piszę sielanki wiejskie!

Gaydzica nie odpowiadał. Przyoblekł się w niedostępne gazdowskie dostojeństwo i choć siedział jeszcze na przyzbie koło poety, duchem był daleko. Spoglądał uważnie to na śpiącego wnuka, to w głąb izby, to na drogę, którą miała powrócić rodzina.

- To ja już chyba pójdę - podniósł się z żalem Brodziński zrozumiałwszy te oznaki: - Ostańcie z Bogiem!

- Z Ponbóczkiem, panoczku.

- Mogę zająć do was jeszcze kiedy? - zapytał gość prawie pokornie.

- Czy to ja Gesty żałuję? Niech se przyjdą, kiej chcą.

Cofnął się do izby, ani przypuszczając, że w odchodzącym obcym przybyśzu krwawiło się

szczerem żalem serce. Z głową smutnie opuszczoną poeta szedł z wolna, nie mogąc pojąć, dlaczego się nie zrozumieli. Mówili tą samą mową, ale nie tym samym językiem. Dlaczego? Brodziński był szczerzy zapewniając przed chwilą o swej prostocie. Przecież uchodził wśród swoich za pisarza, który pierwszy zerwał ze sztucznością pseudoklasycyzmu i dał folę szczeremu uczuciu. On pierwszy odważył się dać bohaterom swoim imiona słowiańskie, Halina, Wiesław, Oldyna, w miejsce obowiązujących greckich. W sielankach i pieśniach silił się przedstawiać ludzi żywych. Jużci trochę lepszych, wznioślejszych niż w rzeczywistości, ależ poezji nie wolno kłaść pospolitymi sprawami, trywialnością życia! Przestałaby wówczas być poezją, spełniać swoje zadanie uszlachetniania ludzkości. To jasne. Więc dlaczego nie został zrozumiany?

...Jakże inaczej wygląda  
Świat, gdy w istocie się zjawi!  
Nie tak, jak serce go żąda,  
Nie tak, jak wiara go sławi!...

Dzwonek z niedalekiej kuźnicy, przy której znajdowało się kąpielisko, ocknął go z niewesołych myśli. Ruszył żwawiej w kierunku Ustronia. Zebrane w kurhausie eleganckie towarzystwo dowiedziało się w międzyczasie od przyjaciela jego, niemieckiego poety Jungmanna, że niepokazny profesor warszawski jest wielce cenionym w swoim kraju literatem, przeto panie wskazały mu miejsce obok siebie.

- Pan koncepista Jungmann opowiadał nam wiele o panu - szczebiotały z wdziękiem - pragniemy gorąco usłyszeć coś z pańskich poezji.

- Wasze wielmożności wybaczą - tłumaczył się zakłopotany - pisuję tylko po polsku...
- Tłumaczyłeś przecie parę swoich wierszy na niemiecki - przerwał Jungmann podchodząc.
- To stare rzeczy. Dziś mój kierunek jest inny.
- Nie szkodzi! Prosimy, koniecznie prosimy!

Brodziński wstał bez entuzjazmu.

- "Nie chciej wspominać kochania,  
Nie chciej Mikonie mój miły,  
Ach, ja do tego wyznania  
Nie mam odwagi ni siły..."

Rzekła Filis do Mikona,

Cała lubym ogniem płonie,  
Kryje, chyląc twarz do łona,  
Piękne oczy w piękne dłonie.

Odsłoń mi wzrok twój uroczy,  
Odsłoń, o Filis kochana,  
Twoje zraniły mnie oczy,  
Słówkiem zagoi się rana

Mówił Mikon swej Filidzie,  
Cały lubym ogniem płonie,  
Śmiała tęskność przy jej wstydzie  
Tuli w ręce piękne dłonie...”

- Czarujące! Doprawdy!

- Prześliczne!

- Ileż w tym wdzięku, naturalności, prostoty!

- Wdzięcznym niezmiernie za te niezasłużone słowa - rzekł Brodziński siadając z powrotem

- niestety jednak, przekonałem się dziś właśnie, że kto wie, czy słuszne jest nasze pojęcie prostoty? Tematem moich pieśni jest wyłącznie lud. I oto dziś jeden z tych, o których piszę, nie rozumiał nic zgoła z tego, co doń mówiłem. .

- Pan rozmawiał z chłopem? - spytała ze zdumieniem piękna baronowa Wildau, otwierając szeroko oczy.

- Spotkałem go siedzącego przed chatą z książką w ręku. Uderzony niezwykłością spektaklu, zatrzymałem się, a że książka ku mej radości była polska, zacząłem z nim rozmowę jak z rodakiem. Cytowałem parę fragmentów moich utworów. Nie rozumiał nic a nic.

- Cóż w tym dziwnego, panie profesorze? O ludzie można pisać, jak to słusznie nakazuje moda, należy go kochać, jak to czynił niezrównany Jan Jakub, lecz nie rozmawiać z nim - po co? Przecież o porozumieniu nie może być mowy! To barbarzyńcy! Rozumieją tylko najokropniejsze wyrazy, jak: krowa, noga, gnój... (zarumieniła się i machnęła wonną chusteczką, jakby dla odpędzenia przykrego zapachu wywołanego samym brzmieniem słów). Toteż miast kłopotać się, że cię głupi chłop nie zrozumiał, powiedz nam jeszcze coś, panie profesorze...

- Skoro pani chcesz koniecznie... Będzie to “Muza wiejska”.

- Muza wiejska! Doskonale!

- "...Jestem rodem z cichej wioski,  
Mnie pasterki wychowały,  
Nie znająca, co to troski,  
Przebiegałam łąki, skały...  
Raz siadłam koło strumienia  
Ubrawszy czoło kwiatami,  
Po myśli snułam marzenia  
Przyjemne, lubo ze łzami..."

W tymże samym czasie stary Jura Gaydzica sztyftował uważnie w zeszycie zatytułowanym:  
"Ku pamięci rodzaju ludzkiego":

"...Latoś w 1828 roku przyszedł do Ustronia jeden Polok cudak. Po naszymu gadał, ale bez rozumu. I ksiądz by nic z tego nie pojął. Prawił, że książki pisze, co pewnikiem łgarstwo jest. Do tej żelaznej wody to się różne przygłupki ściągają".

Zakończył, piaskiem posypał, odsapnął.

- Ady idźcie już spać, starzyku! - wzywała synowa.

- Idę, idę - odmruknął uspokajająco. Zdusił palcami łuczywo i wyciągnął się na ławie.

- Cudak! - stwierdził jeszcze przed zaśnięciem.

## Przerwane posiedzenie

Zagłębiany w fotelu sędziwy prezes warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członek Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii i Towarzystwa Wojskowego w West Point w Ameryce, Julian Ursyn Niemcewicz, słuchał z roztargnieniem rozmowy kolegów spoglądając przed siebie osowiałym wzrokiem. Powtarzające się od dziesięciu lat ustawiczne spory literackie nudziły go już setnie. Może dlatego, że się zestarzał.

Za oknami ciemny, głuchy, wietrzny wieczór. Ostatnie dni listopada 1830 roku. Od Wisły wieje mroźny wiatr, tłucze się po rynku, świszcze w wąskiej uliczce zwanej "Na Kanoniach", gdzie w cieniu katedry, w darowanym przez księdza Staszica domu odbywają się zebrania uczonych, przyjaciół wiedzy i sztuki.

Na kominku płonie ogień, skuteczna obrona przed chłodem zewnętrznym, nad kominkiem widnieje popiersie Platona. Po jego bokach Kornel i Rasyn, nieśmiertelni dyktatorzy praw rządzących klasyczną tragedią.

Ich wiekopomne cienie przyzywa właśnie Osiński w ostrym sporze z Wężykiem.

- ...Nie chcę, broń Boże, podważać prawideł sztuki - tłumaczy się ten ostatni - rad bym tylko widział sfolgowanie wymagań co do jedności miejsca... Nie zamyślam o tym, co roją zwolennicy "pana Mickiewicza", że jeden akt może być w Paryżu, drugi w Polsce, a trzeci w chmurach... To obłąkańcze pomysły. Ale w granicach tej samej miejscowości niechby mógł pierwszy odbywać się w sali, drugi w ogrodzie, a trzeci, na przykład, w świątyni... I niechby wszystko nie musiało dziać się w przeciągu dwudziestu czterech godzin!

Osiński patetycznym ruchem potrząsa ręką nad głową.

- Ależ to byłby koniec tragedii! - woła melodyjnym głosem. - Koniec tragedii! Na złej drodze jesteście, kolego! Wstrzymajcie się, póki czas. Naruszenie tradycyjnej doby pociągnęłoby za sobą nieobliczalne następstwa. Nieobliczalne... Któż wtedy zabroni naszym zwariowanym jeniuszom przesunąć akcję o rok albo o dwadzieścia lat? Młodzieńczy bohater z pierwszego aktu może się snadnie w ostatnim zobaczyć starcem zgrzybiałym. Do nieszczęścia doprowadzi podkopywanie zasad przez wszystkich uczonych uznanych. Toteż nigdy na to nie zezwolimy, kolego! Barbara naszego nieodżałowanego Felińskiego pozostanie na wiek wieków jako wskaźnik polskiej tragedii, filar doskonały, na którym każdy musi się wzorować!

- Zapewne, zapewne - przyznaje Wężyk - tylko że te ustawy, te kanony, tak surowe, krępują dowcip i tłumią w sercu wszelkie wyższe uczucie... A przecież nawet ksiądz Dmochowski, którego traktat o rymotwórstwie nie może chyba ulegać niczyjej naganie, nawet on, polski Boileau,

powiada, że godzi się czasem porzucić wzory klasyczne sięgając do tematów bliskich, swojskich, jeżeli z tego korzyść dla kraju wyniknąć może!

Osiński krzywi się wzgardliwie.

- Dobrowolnie kpem się czynić?! Ja nim z pewnością nie będę! - wykrzykuje prostując butnie małą, pękata figurkę.

Niemcewicz ocknął się z drzemki i spojrzał nań jednym okiem. Nie wiedzieć czemu, przypomniało mu się, jak przed laty Osiński dumny ze sławy poetyckiej, jaką mu zjednały kunsztowne ody, oraz z dźwięcznego głosu, który przyprawiał wrażliwsze damy o omdlenie - zapragnął wawrzynów także na polu aktorskim i wystąpił w tragedii Kornela jako młody rzymski bohater. Niestety, skutek nie odpowiedział zamierzeniom. Nazajutrz Cyprian Godebski puścił złośliwy czterowiersz:

“Nie wszyscy wszystko możemy,  
Tyś był wczora świadek  
Febus ci twarz pokazał,  
Melpomena... zadek...”

Obraza była dotkliwa. Dwadzieścia lat minęło od czasu, jak Godebski, poeta-legionista, zginął pod Raszynem, lecz Osiński żal dotąd w sercu chował i nigdy nie wspomniął zmarłego bez zadawnionej goryczy.

- Jednakże - zauważył pojednawczo cichy, łagodny Brodziński, sekretarz obecny Towarzystwa - literatura narodowa jest rzeczą pożądaną i potrzebną. Jakże zaś ją stworzyć nie sięgając do swojskich tematów?

- Swojskie tematy można obrabiać według form klasycznych - decyduje Osiński - zresztą nie zaprzeczam, że geniusz mógłby chodzić nowymi drogami. Tylko geniusz! A w dziełach “pana Mickiewicza” i jego przyjaciół nie ma krzty talentu, nie tylko geniuszu!

- No, no... - ujął się bezstronnie za nieobecnym generał Morawski - zdolności pewne może są... Łatwość pisania jest...

- Zdolności źle pokierowane przyniosą więcej szkody niż pożytku! Tylko szkodę! - zagrmiał Osiński. - Taki Wallenrod, apoteoza zdrady, jest hańbą naszego wieku... Poetycko nie wytrzymuje krytyki... Albo Sonety krymskie! Wszystko w nich brudne, bezecne, tatarskie, tureckie, lecz nie klasyczne, nawet nie polskie! Więc gdzież ta literatura narodowa, o którą wołacie? A jakże daleko od nich został francuski smak, wykwinny gust, jedyny wart uznania!

Głos załamał mu się niby w melodyjnym łkaniu. Kajetan Koźmian podniósł się od stołu.



- Wszelkie te osobliwości i oryginalności - rzeczy twarde - nie są czym innym jak nieumiejętnością i głupotą. Pisarze buntujący się przeciw wzorom przez wielkich mistrzów podanym, od wieków przyjętym, z natury rzeczy wynikającym, są godni politowania, śmieszne, nieuczzone tępaki. Istota poezji to ogłada, regularność, symetria.

W każdym jego zdaniu był wyrok. Niezachwiana pewność siebie i swego sądu udziela się zwykle otoczeniu. Toteż i teraz nikt mu nie zaprzecza. Wszakże to mówi Koźmian, uważany powszechnie za wyrocznię w sprawach literackich.

- A ballady?! - parska przytakująco Osiński. - Te karczemne wierszydła, dobre dla czeladzi w piekarni lub przy kopaniu kartofli!

Niemcewicz ziewa skrycie. Och, jacyż oni nudni! Czy dlatego tylko, że jest stary, wydaje mu się, iż dawniej w Towarzystwie był inny duch, inne życie? Prawdziwe życie. W tej samej sali inne, ważniejsze roztrząsano zagadnienia. I przed oczyma sędziwego pisarza-żołnierza przesuwają się szereg przyjaciół-towarzyszy, z których już tak wielu zeszło z tego świata, a z którymi się tu razem pracowało i radziło... Więc pierwszy prezes Albertrandy, maleńki, pomarszczony, ułomny, a tak niezwykle wiedzą, pracowitością i zapalem, założyciel Towarzystwa, niestrudzony zbieracz rękopisów i dokumentów... Potem następca jego, ksiądz Stanisław Staszic, płonący, surowy dla siebie i drugich... Potem Woronicz, uroczysty poeta, niezrównany kaznodzieja... I tylu innych!... Powolny, roztargniony Czacki... Uczony astronom Poczobutt... Gruby pedant Kopczyński przerywający nieraz najciekawsze przemówienia, by mówcy wytknąć błąd gramatyczny lub językowy... I tyle zasłużeń w sprawie oświaty Chreptowicz, obaj Śniadeccy, Potoccy...

Ach, dość było o nich wspomnieć, by ujrzeć - tak jasno, jakby się odbywały wczora - dawniejsze, niezapomniane posiedzenia... Tu przecież, do tej sali, wpadł kiedyś Wybicki wołając: "Wstańcie i chodźcie! Odrodziła się nam Matka! Wszystko znów polskie! Koniec niesprawiedliwego panowania! Już się ostrzy Szczerbiec Chrobrych! Zamkniętą przez wrogów księgę odwiecznych naszych praw niezwyciężone ramię Napoleona otwarło!"

...Czyż nie na tym samym zebraniu, przed nadejściem Wybickiego, Bogumił Linde przedstawił ukończoną pracę, Słownik języka polskiego w ośmiu wielkich księgach, na zamówienie Towarzystwa wykonaną?... A Hanka, odrodziciel Czech, nadesłał memoriał proszący o ujednostajnienie pisowni czeskiej i polskiej, by te dwa bratnie narody mogły wzajemnie ze swej literatury korzystać?

...To znów Gutakowski występował z wnioskiem śpiesznego opracowania historii legionów, z których odrodzenie i zbawienie Polski wyszło... Właśnie wtedy wojska księcia Józefa zajmowały Kraków... Właśnie wtedy...

Tu, w tej samej sali, Jędrzej Śniadecki dzielił się nowymi odkryciami z dziedziny

rozpuszczalności ciał, a Woronicz wysuwał potrzebę “pieśnioksięgu”, czyli opracowania dziejów ojczystych w dumach i poemach, których napisania podjął się on, Niemcewicz... Tu wreszcie Staszic opowiadał o górach, polskich górach, nie znanych jeszcze nikomu... Zebrani tutaj uczeni Polacy po raz pierwszy dowiadywali się o pięknie i grozie świata tatrzańskiego. “...Na tych wysokościach - mówił Staszic - żywioły powietrzokręgu nie są zdolne wszczynać co nowego ni rozmnażać, ni dawać wzrost, ni roślinić, ni postacić... Na tych skałach nic nie jest stałego, krom tego, co je burzy i rozczynia. Stałymi są tu tylko zima, wichry, gromy i burze.”

To znów wielki ten patriota, ogarnięty zwykłą troską o poprawę doli ludu, porzucał dziwy górskie, by natarczywie domagać się od kolegów konkursu na opracowanie dobrego budownictwa wiejskiego.

- Dzisiejsze chaty - wołał - chlewy z chrustu lub trzciny, krowieńcem oblepione, ciemne, ciasne, zimne, w których dym z paleniska ma drzwi za jedyne wyjście; są potwornością, która nie może być dłużej cierpiana! Wierzajcie, panowie, że nic pilniejszego przed sobą nie mamy.

- Szkoły! - odpowiadał głębokim głosem Stanisław Potocki - szkoły są jeszcze ważniejsze!

Ach, wszystko było wtedy ważne, pilne, paliło się w dłoniach tamtym gorejącym, wielkim. A dziś?...

- “Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... Nic nie było, nic nie będzie...” - deklamował Osiński, ani przypuszczając, że nieświadomie wtóruje myślom starego prezesa.

Koźmian roześmiał się krótko.

- Sądzę, że gdy ukończę Ziemiaństwo - rzekł - powszechność przekona się, jaka zachodzi różnica między utworem wykonanym według najlepszych klasycznych wzorów a prostackim bajdurzeniem.

- Ziemiaństwo! Kiedyż się ono ukaże? Już dwadzieścia lat trwa nad nim praca, nieprawdaż?

- Dwadzieścia dwa. Lecz okres czasu nic nie znaczy, gdy chodzi o osiągnięcie doskonałej formy. Byle czterowiersz trzeba latami toczyć, polerować, gładzić, a cóż dopiero tak wielkie poema! Sypać rymy, niby młyn mąkę, potrafi zarówno Jaksa Marcinkowski, jak znacznie odeń w kunszcie podlejszy “pan Mickiewicz”, półgłówek wypuszczony z domu wariatów, brudny, rozczochrany smorgoński poeta!

W uniesieniu wykwinny dyktator formy sięgał po wyrażenia zgoła pospolite, czym stropiony nieco Osiński skierował szybko rozmowę w inną stronę.

- Jestem obecnie jako dyrektor teatru pochłonięty przeróbką Szekspira - oznajmił. - Niegustowne, dzikie pomysły szalonego Anglika poprawiam w myśl zasad dobrego smaku.

- Niewdzięczne zajęcie!

Lecz Koźmian niełatwo odbiegał od przedmiotu.

- Jedno jest pewne - zawyrokował - że ten nowy kierunek w literaturze może sprowadzić najgorsze szaleństwa w życiu politycznym. Taki "Mickiewicz", taki Mochnacki, czy jak mu tam, i ich przyjaciele gotowi są narazić na szwank przyjaźń z takim trudem ugruntowaną pomiędzy narodem a najjaśniejszym panem...

- Byłoby to dla nas najgorszym nieszczęściem. Naszego króla zachowaj nam, Panie... - jak to pięknie wyraził w swym hymnie Feliński.

- Wiecie, że osobnym reskryptem Wielkiego Księcia pieśń Boże, coś Polskę została zalecona do śpiewania w czasie wszystkich uroczystości wojskowych?

- To znaczny sukces. Tym bardziej nie można dopuścić, aby te młokosy...

- Strzały!! Strzały na mieście!! - krzyknął stary Niemcewicz zrywając się na równe nogi.

- Gdzie, skąd? Przywidzenie!...

- Pewnie chłopcy ciskają kamieniami w płot...

- Nie! Nie! Ja się nie mylę! To strzały!

- ...Strzały... - przyznaje wahająco generał Morawski.

Gwałtownym ruchem Niemcewicz otworzył na oścież okno i wychylił się na zewnątrz. Kłęb zimnego powietrza wpadł do sali.

- ...Strzelają na Długiej i pod Arsenalem! Na Senatorskiej słychać krzyki! Co to znaczy?!

- Wieje! Wieje! Zamknąć okno! - krzyczy Koźmian, równie nie znoszący przeciągów jak nowych prądów w literaturze.

Lecz stary bojownik nie zwraca na niego uwagi. Wychylony do połowy, chwyta uchem pogłos walki, okrzyk tętniący przez miasto:

- Do broni, bracia! Do broni!...

- O Boże! - rzecze obracając się ku sali - oni wołają: Do broni!!...

- Mówiłem! Mówiłem! - mruczy z wściekłością Koźmian okręcając głowę szalem.

## Stado emira

Zmrok już zapadł, a Rzewuski siedział wciąż nieporuszony. Leżąca na ziemi fajka zgasała dawno. Wtulony w miękkość wschodniej niskiej sofy, zarzuconej wzorzystymi poduszkami, wodził bezmyślnie oczyma wokoło. Obszerne komnaty starego kuźmińskiego dworu zalewał mrok i w szarej jego mgłę majaczyły, jak przez wodę, wiszące na ścianach rzędy pozłociste i zbroje, barwne tkaniny Południa, włócznie, jatagany i tarcze, z nieznanego drzewa wyrobione. Długie półki ciemniały szeregami książek. Niedaleko kominka, na którym ogień dogasał, na niskim tureckim stołku, masą perłową wykładanym, leżał porzucony teorban. Ostatni migający pobłysk dogorywającej główki zatrzymał się na strunach i drżał. Wędrowiec wpił oczy w ten blask konający, opuściwszy bezwładnie ręce na utrudzone kolana.

Miał na sobie ciągle jeszcze ten sam mundur, stąpiany błotem i krwią, rozerwany bagnetem na ramieniu, w którym przed czterema dniami prowadził szwadron na dziesięćkroć liczniejsze siły generała Rothal\*. (\*generał Rothal - dowódca rosyjski z czasów powstania listopadowego.) Nie rozdziewał się od tego czasu, nie spoczął, z Daszowa cofając się zbrojnie jednym tchem przez Majdanek do Iliniec, stamtąd do Latyczowa, z Latyczowa już sam jeden przez Międzybóż do Kuźmina, by z Kuźmina przebierać się nazajutrz ku granicy. Stojący na kominku zegar, na czterech alabastrowych słupkach zawieszony, zgrzytnął cicho, a potem czystym niby srebro głosem wydzwonił trzy takty mazurka. Rzewuski ocknął się i spojrzał wokoło. Zarysy sprzętów i ścian utonęły w mroku, lecz patrzącemu wydało się teraz, że z kątów komnaty powstają barwne widma ludzi, miejsc, splecione i fantastyczne. Poznawał w nich rysy znajome.

To było własne jego życie, awanturnicze, dziwaczne - "arabska historia", o której po całym już kraju krążyła legenda. W zawiłym wirze tłoczących się zewsząd wspomnień patrzył kolejno we własne swe lica. Oto uczony lingwista, muzyk, wielbiciel Napoleona, rotmistrz huzarów austriackich, walczący pod Aspern przeciw Napoleonowi, kozacki ataman Rewucha, na koniec emir Tadż-ul-Faher, Abd-ul-Niszan co się po polsku tłumaczy: Uwieńczony sławą. Spojrzał obojętnie nawet na ostatnią tę marę w białym zawoju, tak dotąd drogą i bliską. Bo poznał już, że prawdziwe jego oblicze było tylko to obecne: strudzonego polskiego żołnierza. Prawdziwe jego życie zaczęło się od chwili, w której prowadził swój szwadron do boju z okrzykiem na ustach, nie "La illah el Allah" - lecz "Jezus Maria! Ojczyzna!"... Wtedy dopiero wnuk hetmański poczuł, że duszę swoją odnalazł. Wszystko inne dotychczas, nawet ukochany Wschód, było jeno błędzeniem, szukaniem czegoś, czego nazwać nie umiał, uciekaniem od samego siebie.

Czemuz odkrył tę prawdę tak późno?! Za późno już było na służbę rycerską ojczyźnie, na

spłacenie bodaj w części win ojca targowiczana. Wszystko się skończyło. Powstanie zginęło. Stary Kołysko jeszcze coś tam kleci w Latyczowie, jeszcze zbiera ludzi, jeszcze marzy... Próżne złudzenie!

“Skończone!” - rzekł major Orlikowski i odebrał sobie życie pod Majdankiem. Czemuz on, Rzewuski, tego nie uczynił? Byłby sobie zaoszczędził ostatniej porażki, która na niego czekała tu, w domu...

Syknął cicho, jakby dotknął rany. Sekwestr na majątku, przymusowa sprzedaż. Wjeżdżającego w dziedziniec powitały przybite do słupów obwieszczenia rosyjskie o naznaczonej na jutrzejszy dzień licytacji. Za co? Za bezmyślne szaleństwa matki. Ile już poszło na zaspokojenie jej próżności a pychy? Obliczył z gorzkim uśmiechem na palcach: Starokonstantynów - miasto i trzydzieści sześć wsi... Grzymałów, cztery miasteczka i trzydzieści wsi... Podhorce, Kowelszczyzna, dobra kamienieckie... Gdy syn bił się pod Daszowem - na stare sprzęty rodowe, na stado kładziono sekwestr za nie zapłacone złote zegarki genewskie, ofiarowane niegdyś oficerom rosyjskim towarzyszącym Aleksandrowi I, gdy go jak udzielna monarchini przyjmowała w Hrehorówce. Dwadzieścia lat bez mała czekał cierpliwie genewski zegarmistrz, aż czekać przestał. Słusznie czynił. Sprawiedliwie należały mu się te pieniądze, bo zegarki były piękne i dokładne w chodzeniu.

- ...Opisali całe stado - meldował panu zaraz po przyjeździe stary gospodarz majątku, January Nieszota - sto czterdzieści sztuk z młodzieżą. Jutro mają tu zjechać sprzedawać...

- Jutro?...

- Ze szlachty nikt nie przyjedzie. Hańba by to była - powiadają. Chłopy także na takie konie nie łakome, bo co im po nich? Żydy jedne a Moskale ciągle się tu przepytują: kiedy? Zleci się ich, jak gawronów...

Stary wyszedł, a Rzewuski pozostał sam i siedział aż do tej chwili nieporuszony, stężyły. Zapewne - wobec nowego upadku kraju licytacja jego koni była drobiazgiem, a jednak nie mógł opanować się do tyła, by móc o tym myśleć spokojnie. Jego stado! Jedyna rzecz, jaką dotychczas prawdziwie i gorąco kochał. Bóg jeden wiedział, wśród jakich niebezpieczeństw i trudów zdobywał je na Wschodzie, przeprowadzał z Arabii aż tutaj. A teraz? Jedne zabierze Żyd, - drugie pijak isprawnik...\* (\*isprawnik [z ros.] - urzędnik rosyjski.)

Podniósł się nagle, skrzesał ognia i zapalił wyszukaną po omacku latarkę. Wyszedł przed dom na obszerny majdan. Dwór był niski, kryty strzechą, z prostym gankiem wspartym na słupach - ubogi i mały przy wspaniałości wznoszących się o kilkanaście kroków stajen. Tuż za stajniami zaczynało się jezioro, wielkie, rozlewne, dalekie. Kędyś nad Krasiłowem zeszedł już miesiąc i słał sobie jasną drogę po chlupoczącej z cicha, niby przez sen wodzie. Niezliczone żaby grały chórem

wiosennym, radosnym. Bąk huczał w szuwarach zeszłorocznych, szeleszczących zeszlými kitami. Za dziedzińcem i gościńcem, ku Starokonstantynowu leżał step równy, szeroki, - wonny majem, tchnący spokojem i ciszą.

Rzewuski przeszedł szybko majdan i pchnął uchylone wrota stajni. Na przeciwległym jej końcu czuwała latarnia. Stajnia była wewnątrz piękna jak pałac, ściany mając wyłożone marmurem, wysokie okna i sklepiony, malowany strop. W szerokich przestronnych stallach stały tu konie z pustyni. Przywiedzione z gorącej, wolnej przestrzeni, spod pasiastych, biało-czarnych namiotów, jadły tu z marmurowych żłobów i przeglądały się w umieszczonych nad żłobem zwierciadłach. Każdy koń, widząc po raz pierwszy w zwierciadle cud swojej urody, nie pojmował, co może oznaczać milczący, zgodny towarzysz, zawsze ten sam, czekający za dziwnym oknem, lecz przywiązywał się doń, z tym cichym towarzyszem wywołując w niezawodnej, nie zapominającej nigdy niczego pamięci, białość piasków, żar nieba i przestrzeń bez końca. Teraz konie spały, leżąc na słomie lub stojąc z opuszczoną nisko głową. Wacław Rzewuski, emir Tadż-ul-Faher, szedł unosząc w górę lampkę i zatrzymując się przed każdą klatką. Choć stąpał cicho, zaczął go przyjaciel. Z końca stajni zarżał cicho a czule, przeciągle. Emir postawił latarkę i odsunął wrotka stali.

Ponad zwierciadłem na marmurowej tablicy złociło się imię ogiera: Obeiet-el-homlu, Neźdi Koheylan, z trybutu Waled Alego, w prostej linii pochodzący od koni Proroka. Koń był maści karej, lśniącej, z gwiazdą na szerokim czole. Nogi, wyskoczna i siadana, białe do pęciny; orle pióra - wichry włosów, wróżące o cnocie konia, kładły się na szyi i grzbiecie. Na lewej skroni drobna biała cętka - znak nieomyślny wielkich przeznaczeń i wysokiej krwi. Na nim siedząc odbierał emir przysięgę na wierność i braterstwo trzynastu pokoleń beduińskich. Na cześć Obeieta-el-homlu głośny wierszopis Cardin ułożył sonet francuski, a pieśniarz Nasoi Fraboli poemat arabski. Obeiet-el-homlu piękny był, jak pięknym być może tylko marzenie o cudzie-koniu, sen o najistotniejszej urodzie ziemskiej wcielony w doskonały kształt. Jakież stwór Boży świata śmiertelnego piękniejszy być może od konia? Czarowne wygięcie szyi lżejsze jest, niż wdzięczny łuk szyi łabędziej. Niezachwiane w swej słuszności są proporcje głowy, lśniącego tułowia, nóg śmigłych, łączące subtelność kształtu z grą mięśni potężnych, stalowych. Czujne strzałki uszu, ruchliwe, zwrotne, wrogie lub przyjazne, wysłane są puchem miękkim, jak pierwszy włos dziecka. W oczach przytają się tajemnica niezawodnego pojęcia, którym wiedziony odróżni najzawilszą myśl człowieka, chęć, uczucie, niewypowiedziane słowami, nie dające się w mowie żadnej wypowiedzieć. Daleki od sprytu lisa, od mądrości przemyślniej psa, kruka lub słonia - koń odczuciem zrozumie więcej niżli one. Zrozumie po stokroć więcej. Przeniknie duszę człowieka.

Objąwszy ramionami szyję ogiera, emir Rzewuski łkał po raz pierwszy w życiu, cicho,

bezradnie, rozpacznie. Przyjaciel obwąchiwał mu twarz i ramiona, muskając je chrapami miękkimi jak skrzydło motyla. Cienka skóra drżała z niepokoju nad strapieniem pana. W sąsiedniej klatce szalał z zazdrości Seglawi Gidran. Był biały jak śnieg w górach, nie mniej piękny niżli Obeiet-el-homlu, także Koheylan ze sławnego pokolenia Neźdi, lecz nie był synem koni Proroka. Na nim emir triumfalnie wjeżdżał do Alepu. Teraz, rozdrażniony i niespokojny, kładł smukłą głowę na wierzchu przegrody, zawracając białkiem oczu czule ku panu, a dziko ku rywalowi. Z drugiej strony ulubiona klacz, zwana Kokeil Sekeisz, nastawiała uszy parszcząc z cicha ze współczuciem nieomal matczynym. Po innych klatkach rozbudzone konie dreptały niespokojnie, prychając.

- Spokojno!!! - wrzasnął z wyrka zaspany stajenny Łućko. Trzasnął batogiem w formie upomnienia i nasunawszy kozuch na łeb rozkudłany, na drugi bok się przewrócił.

Wtulony twarzą w jedwabistą grzywę, Rzewuski gryzł wargi z żalu... Czemu nie wysłał wcześniej stada do Sawrania!? Niby dalekie, niedosiężone zbawienie zabłysł w myśli step sawrański, szeroki, pusty, swobodny. Och, jakże odległy stąd! Będzie przeszło mil czterdzieści pięć... Morze burzanów, przerwane skałami, na których ciemnieją wersety Koranu, kute przez Tatarów, co tu ułusem mieszkali. Grzmią kopyta pędzącego stada na płytach kamiennych prastarych grobów-żalników pogańskich. Rzadko dotrze tam kto obcy. Co wiosna przepędzał do Sawrania stado, zimujące tylko w Kuźminie. Dlaczegoż w tym roku się spóźnił?! Maj już przecież, trawa w pas...

Gdy wczesny majowy świt przesiąkać zaczął przez mrok, emir wstał, otrzepał ubranie ze słomy. Ruchy jego były znowu pewne, szybkie, śmiałe, jak na pustyni. Przeszedł pustą stajnię, otwierając śpiesznie wszystkie klatki po kolei. Wysuwały się z nich zdziwione mądre głowy, smukłe nogi przestępowały ostrożnie obwąchany wprzód próg. Otworzył na oścież wrota. Weszła białość perłowa i chłód dojmujący ranka. Cicho odłożył żelazną antabę, by nie obudzić śpiących twardo stajennych. Wyjrzał na uśpiony, cichy majdan. Psy podwórzowe z radosnym skomleniem przypadły mu do piersi. Gładził bezwiednie grube kudły, wracając śpiesznie do stajni. Zawołał na przyjaciela po imieniu, wyszedł z nim znów na dziedziniec. Stanął i mówił długo do konia, władczymi oczami narzucając mu swą wolę, rozkazując, to znów prosząc szeptem błagalnym, miłosnym.

Aż ogier parszcząc na znak, że zrozumiał pana. Rozparł się w nogach szeroko, odrzucił głowę do góry. Niby chorągiew zwycięstwa, wzniosł czarny strumień ogona i zarżał nagle potężnie, mocarnie, dźwiękliwe, zaniósł się, załkał, ni to szlochem, zahuczał głosem jak dzwon. Zagrzmiała podłoga w stajni. Na zew pana stada ruszyły się wszystkie konie, - stłoczyły we drzwiach, przeperły, wylały z ciemnego wnętrza jak ruchliwy potok. Wypadli za nimi przerażeni, zdumieni

stajenni, - zabiegli szeroko bokami, by zająć stado od czoła. Lecz kary ogier zarżał raz jeszcze szeroko i ruszył przed siebie w świat. Stado runęło za nim, znów się splątało we wrotach, wyważyło przeszło wraz ze słupem i niby rzeka wezbrana, niepowstrzymana, szalona, spłynęło, przeszło, zmałało, znikło w białej mgłę poranku.

Teraz dopiero oniemiała z trwogi ludzkie oczy zobaczyły stojącego samotnie na dziedzińcu pana. Skinął im głową i wyszedł z obejścia, nie spoglądając za siebie.

Piąta doba mijała, gdy kryjący się w głębi werchniackiego lasu rozbitek-powstaniec posłyszał ostrożne stąpanie. Przyjaciół-koń powracał. Nieomylnym instynktem, czuciem wiedziony, odnalazł pana, wykonawszy rozkaz. Parskając przypadł do ręki. Utulił go emir, upieścił. Przyłgnął ustami do nozdrzy, własną opończę wytarł zgrzane boki, z bezmierną wdzięcznością wpatrzył się w oczy zwierzęce, bliższe mu, droższe, niż oczy każdego człowieka. Potem wyciągnął spod krzaków swój arabski lekki rząd, frzeżel z chwastem wiszącym pod szyją i półksiężycem na czole, - podpiął popręgi, wskoczył w siodło i ruszyli.

Księżyc czerwony, wielki wytoczył się nisko na niebo, oświecił im drogę tułaczą. Wiatr przeleciał, zaszumił, powiał wonią stepu, pokłoniły się przydrożne bodiaki w pas odjeżdżającym.

- De\* pan? - pytał zmęczony, zziębnięty kozak zeskakując z konia przed pustym kuźmińskim dworem. Stary gospodarz Nieszota ciągnął fajkę grzejąc się w słońcu na ganku.

- Nema pana - rzekł z namysłem.

- Pojichał?

- Bih maje - propał...

- Stado kuźmińskie do Sawrania przybieżało...

- Dywyś! Do Sawrania! Chto pryweł?

- Kiń.

Pokiwał stary głową.

- Hlajdajte, dity, dobre stada, może kołyś powernutsia, pan i kiń.

Lecz nie powrócili nigdy.



## Na paryskim bruku

Jest kwiecień 1832 roku. Paryżem i Francją rządzi fałszywie dobroduszny Ludwik Filip, król mieszczański, gruby, opasły krętać. Rzuca hasła rewolucyjne i podaje się chętnie za obrońcę uciśnionych, lecz pisząc do starego Talleyranda przyznaje w szczerości, że przyczynił się do utracenia polskiego powstania więcej niżli właściwy zdobywca Warszawy. Za to pozwala teraz polskim emigrantom osiedlać się we Francji.

Na bulwarach paryskich z piecyków przekupek pachną pieczone kasztany. Na drzewach kasztanowych pękają pąki wiosenne. Od Sekwany idzie zapach wezbranej wody i śniętych ryb. Na ulicach rojno i gwarno. Kobiety strojne, o sztucznie poszerzonych ramionach, ściśnięte w pasie jak osy, w kapelusikach wiązanych pod brodą, ozdobionych mnóstwem kokard, przechadzają się w towarzystwie przesadnie wystrojonych kawalerów. W zacisznych szyncełkach pełno, pełno podobnie w kawiarniach, których stoliki wystawiono na chodnik, czasami aż na ulicę. Przy stolikach grubaśni mieszczaństwo gadają o polityce i interesach. O tym, co było wczoraj i co jutro będzie. Dalej w przeszłość ani w przyszłość nie sięgają.

Na rogu przygrywa ślepy muzykant. Przy nim piosenkarz przepitym głosem śpiewa najnowszą piosenkę na króla. Wnet podchwytuje ją cała ulica. W takt śpiewu chłopaki uliczne rysują węglem na parkanie nadto dobrze wszystkim znaną brzuchatą postać. Słyszą miarowy krok: żandarmi! Chłopaki w nogi. Piosenka zmiłła. Lecz to nie żandarmi, tylko gwardia narodowa. Udaje, że nie widzi rysunku i uciekających rysowników. Zza parkanu zasmarowanego węglem zwieszają się gałęzie bzu okryte pąkami. Rozwiną się lada dzień. Na drutach przeciągniętych od drzewa do drzewa kołyszą się kolorowe lampiony. Wiosna! Wiosna!...

Wiosenne błoto bryzga, gdy środkiem ulicy przejedzie pędem wysoki kabriolet zaprzężony w parę koni. Dziewczęta od modystek z wielkimi pudłami pod pachą rozbiegają się ze śmiechem na boki, chroniąc swe świeżo wyprasowane sukienki. Za kabrioletem sunie poważny brzęczący dyliżans szczelnie wypełniony podróżnymi. Siedzący na wierzchu gapią się na miasto z oszołomieniem wieśniaczym. Z chodników wołają do nich:

- Ohe, les provinciaux, comment ca va?\* (\*Ohe les provinciaux... [franc.] - Hej, prowincjusze, jak się wam powodzi.)

- Pas mal, citoyen.\* (\*Pas mal, citoyen [franc.] - Nieźle, mieszczechu.)

Czasem wśród wesołego tłumu przesunie się dziwaczna chuda postać. To wiarusy napoleońskie, weterany Wielkiej Armii. Niedawno jeszcze przebiegali wzdłuż i wszerz całą Europę, niosąc narodom wybawienie albo grozę, dziś przymierają głodem na przyznanej im przez

króla ćwierci żołądu. Od tego sutego zaopatrzenia nazywają się ćwierźoładami. Zresztą mało kto zwraca uwagę na ich surowe twarze pełne szram. Paryż dawno zapomniał chwały pierwszego cesarstwa. Paryż zapomina szybko. Od tego czasu jest już przecie trzeci król.

Za przechodzącym głodnym wiarusem odwracają się z dziwnym uczuciem żalu tylko cudzoziemcy. Tych cudzoziemców jest dużo. Tworzą jak gdyby odrębny Paryż w Paryżu. Skupiają się w całe dzielnice. Są obcy, odbijają od otoczenia. Ludek paryski usuwa się przed nimi z mieszaniną szacunku, sympatii i politowania: - Ah, oui, ces braves Polonais! \*... (\*Ah oui, ces braves Polonais! [franc.] - Ach, tak, ci dzielni Polacy!)

Pleczyste, barczyste postacie. Sumiaste wąsy. Mazurskie, litewskie czupryny. Urzeczone tęsknicą niebieskie oczy. Nieumiejętność przystosowania się do nowych, obcych warunków. Przekonanie, że stanęło się tu postojem najwyżej paromiesięcznym, gdy większości przyjdzie dokonać na tym wygnaniu żywota... Ah, oui, ces pauvres Polonais...\* (\*Ah, oui, ces pauvres Polonais! [franc.] - Ach, tak, ci biedni Polacy!)

Z tęsknoty, z bezsilnej rozpacz, z beczynności kłócą się pomiędzy sobą. Poszukują gwałtem winowajców katastrofy narodowej. W rozżalonym zaciętrzewieniu nie znają miary, hamulca. Rozbici na stronnictwa zażerają się wzajemnie bez przestanku. To dziwi i gorszy paryżan, a wynika nie ze złości, jeno z bezradnej, beczynnej rozpacz.

W taki wiosenny dzień, z ciemnej, maleńkiej drukarni, w której mieści się redakcja "Pielgrzyma Polskiego", wychodzi pan Adam Mickiewicz. W ręku arkusiki papieru - korekta. Z tyłu, jak mały wierny piesek, drepcze Włodek Olszański używany w redakcji jako chłopiec do posyłek. Ojciec jego, pan Maciej Olszański, mieszka tu od czasów pierwszej emigracji. Włodek urodził się w Paryżu i nigdy Polski nie widział. Toteż po francusku mówi lepiej niż po polsku, a dwa lata temu, czasu rozruchów lipcowych, z przyjacielem swoim Emilem, synem kupca z naprzeciwka, stał na barykadzie i pani Maciejowa ściągała go stamtąd za uszy.

Mimo pozornego sfrancuzienia jednak Włodek zna wiersze pana Mickiewicza. Umie na pamięć wszystkie ballady, Grażynę, Konrada Wallenroda i znaczną część Dziadów. Uwielbia te utwory. Uwielbia też ich autora. Czyż nie przywykł od dziecka słyszeć rodziców mówiących o nim jako o proroku, czyż nie widział, że każdy jego nowy tomik witany jest niby objawienie? Toteż w dniu, w którym pan Mickiewicz przyszedł pierwszy raz do drukarni i objął redakcję "Pielgrzyma" - Włodek przeżył nie lada wzruszenie. Wzruszenie to trwa dotychczas, nie stępione czasem.

W przerwach między jedną posyłką a drugą niesłabnącą radość stanowi wpatrywanie się z kącika w twarz mądrą i piękną, niepodobną do żadnej innej, wychylającą się z naszyjnika ciemnej brody. Radość tę psuje tylko wrażenie, że pozostali panowie z redakcji nie oceniają należycie, zdaniem Włodka, zaszczytu współpracy z wielkim człowiekiem. Gdy pan Adam napisze artykuł,

powinni chyba każdą literkę całować, oni zaś bywają niezadowoleni, grymaszą!... Każą przepisywać, przerabiać... Pan Mochnacki podnosi ręce do góry: “Adam nie ma pojęcia o istocie dziennikarstwa! Chce być sprawiedliwy, bezstronny, a tu trzeba kasać! Adam nie będzie nigdy dobrym dziennikarzem!...”

Więc teraz oto pan Adam i Włodek idą razem przez ludne paryskie ulice, mijają szynki i kawiarnie, parkany pokryte wizerunkami króla, piosenkarzy i grajków ulicznych. Idą śpiesznie, bo artykuł, który pan Mickiewicz ma przerobić i poprawić, jest pilno potrzebny. Włodek odniesie go zaraz z powrotem.

Ale wszedłszy na most, pan Adam opiera się nagle o poręcz i patrząc na wezbraną wodę zamiera w bezruchu. Jak gdyby zapomniał o Włodku, artykule i pośpiechu...

Zapomniał, zapomniał istotnie. Zapomniał do szczytu. Ogarnęło go niejednokrotnie w ostatnich czasach nawiedzające uczucie bezgranicznego znużenia, apatii i niechęci do środowiska, w którym żył obecnie. Paryż mu obrzydł. Otaczające emigracyjne spory i partyjne zawiści rozbijały duszę na ćwierci. Z trudem ją w sobie sklejał i uciszał na nowo. W atmosferze nienawistnych swarów i małości umysł mu wysechł i zjałowiał. Nie był w stanie nic napisać. I nie napisze na pewno nic na tym paryskim obmierzłym bruku. Nie napisze już nigdy nic w ogóle. Jest wyschnięty i pusty jak wiór...

Tak myśląc patrzy na wodę, a Włodek patrzy na niego. Od dłuższej chwili chłopak walczy z pragnieniem zwrócenia się do Mistrza z jakim zapytaniem. Dotychczas nie odzywał się doń nigdy inaczej niż służbowo: Już przyniosłem, proszę pana... - albo: Numer idzie na maszynę! - albo: Duchem polecę... - albo: Duchem wrócę!

Ale tak się zapytać “naprawdę”.

Przełyka ślinę, zbiera oburącz odwagę, przestępuje z nogi na nogę. Nareszcie bąka:

- Czy Wilia jest podobna do Sekwany, proszę pana?

Mickiewicz nie odrywa oczu od rzeki. Widocznie nie dosłyszał pytania. Włodek cofa się o krok z rozczarowaniem, lecz w tejże chwili pan Adam mówi swym gorącym, niskim głosem o zmiękczającej wymowie:

- Nie jest podobna wcale a wcale. Na Sekwanie, widzisz, stoją barki. Na barkach mieszkają ludzie. Wylewają do wody pomyje i nieczystości. Całe miasto zresztą pozbywa się odpadków, śmieci, zdechłych psów i kotów, wrzucając to wszystko do rzeki. Od tego Sekwana jest ciężka i brudna. Wilia jest czysta jak zwierciadło. Widać przez wodę kamyki na dnie. Nikt jej nie mąci - i po cóż by miał mącić? Na brzegach jest pięknie i cicho...

Urywa i spogląda uważnie na chłopca.

- Ty nie byłeś nigdy w Polsce?

- Nie byłem - odpowiada Włodek, czerwony z wrażenia.

- Może to lepiej nie być wcale niż być, a potem odejść i nie móc powrócić... Nie byłeś, nie możesz zatem wyobrazić sobie, jak tam jest. Zresztą Polska jest ogromna i różnorodna. Jedna jej część niepodobna do drugiej. Opowiem ci o Litwie, bom się tam urodził. Są w niej pola rozległe i pagórki. Na pagórkach lasy... dąbrowy... gaje... Poniżej nad rzeką łąki zielone jak ruta. Pola wydają się z dala niby malowane, bo złote od pszenicy, srebrne od żyta, a gdzie gryka kwitnie, to jakby świeży śnieg leżał... Ludzie? Ludzie są niepodobni do paryżan. Cierpliwi, małomówni, tacy jacyś serdeczni... Psa pamiętają dłużej, wspominają szczerzej niż tutejsi bohatera. Trzymają się starego obyczaju i ubrania... Ach, inni są, inni zupełnie.

Zamilkł i opuścił głowę, bo ogarnęła go dławiąca fala nieprzemожonej tęsknoty. Och, wrócić tam, ukochany kraj lat dziecinnych jeszcze raz w życiu, bodaj przez chwilę zobaczyć! Poczuc znów zapach łąk nadniemeńskich, ujrzeć niezapomniane typy ludzi, jedyne w swoim rodzaju, typy owych szlachciców-rębajłów, ziemian, asesorów, wojskich, Żydków, chłopów, mieszczan, cały ten własny świat, ojczysty świat.

Spojrzał w oczekujące oczy Włodka i olśniła go myśl, że po co mówić? Lepiej przecież opisać, opisać to wszystko! Opisać tak, by każdy czytelnik ujrzał ów drogi kąt świata równie wyraźnie i barwnie, jak on go widzi w tej chwili. Uratować w ten sposób przeszłość przed zagładą, utrwalić ją na wieki, pisząc przenieść się tam duszą jakoby na jawie...

Wyprostował się rześkim, prężnym ruchem. W krzyżach poczuł prąd natchnienia, w głowie przelewający się szum obrazów, rymów, wiązań pod przyszłą budowę. Przed chwilą jałowy i pusty, stał się nagle przepelniony poezją jak niegdyś, w niezapomniane młodzieńcze lata, gdy wyrzucał swe wiersze na papier niby wulkan lawę. Zapraǳął być jak najprędezej sam i pisać... pisać... Wciskając gorączkowo zdumionemu Włodkowi do ręki korektę, mówił:

- Zanieś to z powrotem i powiedz, żeby sami przerobili... Jak chcą... I że ja nie przyjdę do redakcji przez kilka dni... Może nawet dłużej... Niech mi nie przeszkadzają... Będę pisał co innego... Bądź zdrów...

I poszedł.

## Koncert Szopena

Pani Teresa Zawadzka obraca w ręku otrzymany przed chwilą list. Nazwisko jej wypisano na nim ozdobnymi literami otoczonymi siecią wykrętasów. Pani Teresa rozłamała pieczętę, rozłożyła papier:

“...Madame la comtesse de Plater a l' honneur de...\* (\*madame la comtesae... [franc.] - pani hrabina Plater ma zaszczyt...)

- Że też i w Paryżu nie może oduczyć się francuszczyzny! - sarka adresatka z niechęcią. Czyta dalej. To zaproszenie na koncert prywatny, jaki w salonach Platerów zgodził się dać Fryderyk Szopen, le celebre pianiste...\* (\*Le celebre pianiste [franc.] - sławny pianista.) Koncert w ścisłym kółku przyjaciół...

“Platerowa jest bardzo uprzejma - myśli pani Teresa - trzeba będzie pójść, bo się gotowa obrazić. Zresztą o tym Szopenie wszyscy mówią, więc warto go raz posłuchać.” Co prawda, sama z siebie nie zdecydowałaby się pewno pójść... Koncert? Co jej po koncercie?

Żaden koncert nie ukoł jej wzrastającej melancholii. Drugi rok mija, jak siedzą tu, na paryskim bruku. Przyjechali pewni, że pozostaną dwa, najwyżej trzy miesiące, a tu drugi rok, a coraz mniejsza nadzieja powrotu... Toteż panią Teresę zjada tęsknota za krajem, za ich wsią Dąbrówką Małą, za dąbrowieckim ogrodem, podwórzem... Była zabiegliwa, gospodarna, skrzętna... Ogólnie wychwalano ład panujący w jej domu, a co się tam teraz dzieje? Krowy pewno pozapuszczane, cieląt nikt należycie nie dojrzy... drobiu może połowa zaledwie została, a ogród?... Sadownik niszczy drzewa; róże - kto wie, czy nie pomarły?...

Na przemiany targały nią to obawa, że ukochany ogród niszczeje, to znów myśl, że owszem, jest w pełnym rozkwicie, bez niej, nie dbając o jej nieobecność. Żarły ją nuda, nostalgia. Cóż bo miała robić szlachcianka polska, skazana na bezczynność w Paryżu? Gdzie Dąbrówka Mała, gdzie Paryż wielki? Nie dziwota, że czuła się jak mrówka urodzona w lesie, zapędzona wiatrem na sam środek stawu.

Przypomniała sobie list, zadzwoniła. Po dłuższej chwili nadeszła garderobiana Kasia.

- Dlaczego nie przychodzisz od razu? - strofowała ją pani.

- O reta! Przecie się nie rozerwę. Układałam paniny stroik.

- Właśnie ten stroik potrzebny mi będzie na jutro, bo jadę na koncert. Wyprasuj go, ale porządnie, nie tak jak ostatnim razem.

- Abo co? źle było?

- Jak ty, Kasiu, odpowiadasz? Upiłaś się czy oszalałaś?

Kasia nie odpowiedziała nic i pani odprawiła ją niechętnym ruchem dłoni. Po odejściu dziewczyny załamała rękę. Tego tylko brakowało! Kasia, jej wychowanica, robi się nagle pyskata, nieznośna. Nie od dziś opuszcza się w służbie... Niedobra dziewczyna! Niewdzięcznica! Jeszcze jedno zmartwienie więcej...

Pyskata, niewdzięczna Kasia wychodzi przed dom na wąskie miejskie podwórze. Zakłada rękę za głowę i patrzy z gniewem wokoło. Ach, jak jej tu obrzydło! Wszystko śmierdzi. Nie wie, czym, ale śmierdzi. Bruk, woda, ziemia, ludzie. Węszy woń obcego kraju jak nienawistną wrogość. Nocami płacze. Tak tęskno, tęskno! Głuchy żal wzbiera do państwa. Ani się spytali, czy chce wyjeżdżać z Dąbrówki. Kazali jechać i koniec. Mówili: wrócimy na jesień. A jużci! Wrócili... Jasiak pewnie się już z inną ożenił. Będzie to chłop pół wieku czekał? A przecie zmówieni byli... W maju się zaręczyli... W kalinowym gaju... Oj, woniało tam, woniało... Żaby rechotały w stawie, aż woda dzwięczała. W Paryżu żab nie ma... Oj, wolałyby na pańskie do roboty chodzić, czarny chleb jeść, ale tam się zostać, zostać...

Woznica Kacper siedzi na schodach stajennych. Kasia przysuwa się do niego. Wróble, takie same jak w Polsce, dziobią rozsypany owies.

- Nie słyhać nic nowego? - pyta Kacper.

- Pani jedzie jutro na koncert.

- Co to takie: koncert?

- Jakaś tam muzyka.

- Muzyka, ech - Kacper spluwa - tu w Paryżu nie znają dobrej muzyki. Muzyka... Kiej u nas na weselu na skrzypczkach utną, a na basach... a bębenek du...du...du... Same nogi skaczą... To ci jest muzyka! Ej!...

Milczą oboje.

- Kaśka? - Kacper po chwili.

- A czego?

- O powrocie nic nie słyhać?...

- Nie.

Odwraca oczy, żeby ukryć łzy. Kacper patrzy bezmyślnie przed siebie.

- Już dwa roki, jak mojej baby nie widziałem... Dzieciska już pewno porosły. Anim się z nimi nie pożegnał, jak należy... Wiedziałem to, że odjeżdżamy na zawdy? Dziedzic woła z ganku: "Zaprzęgaj siwe, a obroku weź, ile wlezie, bo do Paryża jedziemy!..." Do Paryża, to do Paryża... Jeździłem już z państwem do Kalisza i aż do Wrocławia, można i do Paryża... Pojechaliśwa... Dwa roki! Z tej zgryzoty człowiek rozpije się do szczytu, zanim wróci...

Urwał, bo dziedzic wchodził w podwórze. Kasia pierchnęła do kuchni. Pan January

Zawadzki, o ile w Dąbrówce był panem dobrym, wyrozumiałym i łaskawym, że choć do rany przykładać, o tyle w Paryżu zrobił się mrukliwy, opryskliwy, przykry dla żony i służby. Drażniło go wszystko, na co spojrzał. Zrzędził od rana do nocy. Może w ten sposób starał się i on o swej tęsknicy zapomnieć?

W salonie i obu przyległych pokojach pełno. Sami swoi. Cała Emigracja. Cóż to jest Emigracja? No, dusze czyścicowe, duchy potępione, co żyją, nie żyją, czekają... czekają... czekają... Czekanie jest ich życiem. Jedyną myślą Polska i powrót do niej. Dawniej większość z nich namiętnie lubiła "wojaże" i w tym samym Paryżu przesiadywała latami, ale co innego wyjechać, kiedy się chce, i wrócić, kiedy się chce, a co innego wiedzieć, że się nie powróci... Dziś każdy z nich oddałby chętnie wszystko, co posiada, byle móc wrócić do kraju i nigdy zeń nie wyjeżdżać.

Salon Platerów jest niski, woskowymi świecami rześście oświetlony. Otwarte okna wychodzą na niewielki ogród w stylu francuskim, starannie strzyżony. Koło pani domu skupili się poważniejsi goście: Julian Ursyn Niemcewicz, zwany patriarchą polskich poetów, Adam Czartoryski z córką Marią, autorką rozgłośnej Malwiny, sędziwy generał Kniaziewicz, Grabowscy, Ossolińscy, prześliczna Delfina Potocka, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Bohdan Zaleski, Stefan Witwicki, w kącie nastroszony, nieśmiały Słowacki...

Brakuje tylko Mickiewicza, którego coś ważnego musiało zatrzymać, ogólnie bowiem wiadomo, że jest rozmiłowany w muzyce Szopena. Paulina Platerówna, przystojna, wesoła panna, opowiada właśnie o tym otaczającej ją młodzieży.

- ...to było w zeszłym tygodniu. Szopenek gra, my słuchamy, słuchamy, przychodzi pan Mickiewicz, prosi, żeby nie przerywać, że tylko dlatego przyszedł, bo usłyszał muzykę przez okno. Siada w kąciку i słucha. My również słuchamy. Naraz wpada Walenty, że w pokoju papy pożar! Zrywamy się wszyscy, Szopenek też. Od kominka zapaliła się kapa na łóżku, od kapy baldachim. Cały pokój pełen już ognia i dymu. Latamy, gasimy, krzyczymy, lejemy wodę. Na koniec ugasiwszy wracamy do salonu. A gdzie pan Mickiewicz? - pyta mama. Nie ma go. Wyszedł? Nie, kapelusz leży w sieni. Szukamy jegomości Mickiewicza, a on siedzi w kątku, jak siedział. Nic o niczym nie wie. "Ach, to pan już przestał grać? - powiada do Frycka. - A ja się tak zasłuchałem, że zdawało mi się, iż pan ciągle jeszcze gra... To było bardzo piękne..." I poszedł. Dziwak z tego pana Mickiewicza.

- Szopenek także jest dziwak, a do tego gbur - zauważyła wydymając wargi piękna Ludwika Komarówna, siostra Delfiny Potockiej.

- Ale co ty opowiadasz?! Szopenek gbur?! Przecież to najdelikatniejszy, najwytworniejszy człowiek, jakiego sobie można wyobrazić!

- Jak z kim widocznie. Ze mną obszedł się szkaradnie. Delfina uprosiła go, żeby mi dał parę lekcji. Wiecie, że dobrze gram i wszyscy metrowie paryscy mnie chwalą... Uderzyłam pierwszy akord, a on jak nie skoczy: "Co to?! - wrzasnął. - Czy to pies zaszczekał?!" I nie chciał więcej słuchać...

- O, być jego uczennicą to rzeczywiście niełatwa rzecz! Wymaga, żeby uderzać aksamitnie, choć mocno, a to tylko on jeden na świecie potrafi...

- A wiecie, że pierwszy jego polonez był drukowany, kiedy miał osiem lat?...

W gronie starszych również rozmawiają o koncertancie, który spóźnia się z przybyciem.

- Słyszałem - powiada księżę Czartoryski - że poseł rosyjski ofiarował mu niedawno tytuł "pierwszego pianisty najjaśniejszego pana" z wcale wysoką pensją... Wyjątkowe wyróżnienie! Ale Szopen odmówił...

- Odmówił?!

- Tak. Powiedział posłowi, że choć w powstaniu nie brał udziału, przecie sercem i duszą do niego należał, przeto uważa się za emigranta, który to tytuł nie pozwala mu już przyjąć żadnego innego.

- Pięknie postąpił, ale zamknął sobie drogę powrotu do kraju raz na zawsze...

- Ano, tak jak my...

- Gorąco czuje swoją polskość. Kiedyś Balzak... Wiecie o Balzaku? Pisarz tutejszy... mówił o nim, że jest plus polonais que la Pologne meme\*. (\*plus polonais que... [franc.] - bardziej polski niż sama Polska.)

- A mnie Frycek dowodził raz przez godzinę, że jego pradziad nazywał się Szop, że ze Stanisławem Leszczyńskim wywedrował do Luneville i tam zamienił pisownię na Chopin, żeby Francuzom ułatwić wymawianie...

- Pewnemu znów pruskiemu profesorowi, który twierdził, że Kopernik był Prusakiem, bo się urodził w Toruniu, powiedział: w takim razie Chrystusa, który urodził się w Judei, uważacie z pewnością za Turka?...

- Cicho... cicho, bo już jest, a nie lubi, kiedy o nim mówić...

Jakoż przedmiot tych rozmów wszedł niepostrzeżenie i stał przy fortepianie patrząc na obecnych z nieśmiałą niechęcią. Za dużo było osób jego zdaniem. Nie znosił grywać przed licznym audytorium, nie cierpiał wielkich koncertów. "Wystąpienie publiczne z nóg mnie zrzuca - mówił - duszą mnie te zbiorowe oddechy, odrętwiają ciekawe spojrzenia..."

Wąską, długą dłonią gładząc zaczesane w tył włosy, prosił szeptem witającą go panią domu, by pozwoliła zgasić choć połowę świec. Żeby nie było tak straszliwie jasno.

Zgaszono natychmiast. Nie połowę. Prawie wszystkie. Błękitne smużki dymu unosiły się z



knotów. W salonie zaległ półmrok. Paliły się tylko świece przy fortepianie, oświetlając postać młodego muzyka. Był smukły, szczupły, za szczupły, o charakterystycznej twarzy. Wielkie ciemne oczy, wąski rasowy nos, namiętne, trochę gorzkie usta, zapadłe skronie i płaskie, chude policzki. Twarz wydłużona w blady trójkąt. Całość robiła wrażenie kształtu niezmiernie cennego i kruchego zarazem, alabastrowego naczynia, zbyt delikatnego, by mogło dłuższy czas mieścić zamknięty w nim płomień.

Uwolniony mrokiem od widoku obcych twarzy, Fryderyk Szopen stał patrząc na klawisze jakby z namysłem. Spojrzał po ściemniałej sali, potem w okna, za którymi skupiała się gromadka służby miejscowej oraz przybyłej z gośćmi, usiadł i zaczął grać...

Grał najpierw znaną już niektórym Etiudę A moll, zwaną przez niego wichrem syberyjskim. Nim jednak dobiegł jej końca, przeszedł w improwizację. Stał się najistotniejszym sobą. Ogólnie mówiono (a zdanie to podzielał też Liszt, wielki pianista), że najdoskonalsze nawet utwory Szopena nie dorównywały w piękności i mocy jego improwizacjom rzucanym rozrzutnie, rodzącym się w chwili natchnienia, ginącym bez innego śladu jak niezatarty dreszcz w sercach słuchaczy. Nie było nikogo, co by mógł je utrwalić, spamiętać. Sam twórca ich nie pamiętał.

Podobnie improwizował i teraz. Wiązał z sobą dźwięki oszałamiające bogactwem. Mową nie mówioną, porozumieniem nawiązanym tajemnie między nim a słuchaczami, dał im odczuć, że to, co gra - to Polska. Polska i ich tęsknota ku niej. Wygrywał własne ich dusze, wyciągał na jaw uczucia i zmieniał na tony. Zakłęta mocą geniuszu sprawił, że każdy w jego muzyce odnalazł to, za czym tęsknił najbardziej. Więc gdy stary Kniaziewicz drżał, słysząc tętent koni, świst szabel, nieodparty rytm bojowego ataku - pani Teresa Zawadzka aż osłabła ze wzruszenia, bo wydało jej się, że widzi jakby na jawie swój dwór i sad, czuje woń kwitnących lip i słyszy brzęk pszczół... A garderobiana jej Kasia, stojąca z resztą służby za otwartym oknem, oniemiała ze zdumienia, bo zdało jej się, że żaby rechocą w dąbrowieckim stawie tak samo jak wtedy, kiedy się z Jaśkiem zmawiała...

Zaś Kacper trącił ją w bok z przejęciem i rozradował się w sobie, bo zajęczały skrzypeczki, zachrypiały basy, a bębenek weselny rozdundnił się swoim du... du... du...

I w zachwyceniu żaden ze słuchających nie wiedział, że łzy płyną mu po twarzy...

Szopen grał i grał. Oczy jego, utkwione w jeden odległy punkt, okoliły się cieniami. Twarz zbladła, jak papier. Grał długo, trzymając wszystkich pod czarem zaklęcia, aż najcichszymi ledwie dosłyszalnymi tonami przeszedł do milczenia.

Zaległa głęboka cisza.

Nagle, w przeraźliwym zgrzycie, muzyk przejechał jednym palcem po wszystkich klawiszach zrywając słuchaczy na nogi. Zawsze tak robił po improwizacji. Nieraz, gdy go

proszono, by tego zaniechał, mówił, że musi w ten sposób przerwać dławiającą go wizję. Ale tym razem wizja przerwać się nie dała i stał bardzo blady, chwiejący się na nogach, nie rozumiejąc, co mówią cisnący się doń ludzie. W duszy i sercu tętniła mu dźwiękami, tonami, barwami wyśpiewana przed chwilą Polska.

## Doktor Marcinek

Masztr trzeszczy i chwieje się jak górska jodła w czas wichru, wiązania statku jęczą, burty skrzypią, przez pokład z szumem przelewa się woda. Okręt z wysiłkiem wspina się na fale i ześlizguje po nich w dół, w dół, zda się, na samo dno morza. Naderwana pokrywa luku stuka przeraźliwie. Woda leje się przez nią chluszcząc po schodach. Załoga klnie. Część szamoce się z żaglami na pokładzie, część pompuje wodę z dołu. Sternik, niewzruszony, barczysty chłop, wyteża oczy w ciemność bielejącą warkoczami piany. Wysoka drewniana klatka na pokładzie skrzypi i dygoce. Zamknięty w niej koń chrapie, stęka z trwogi, tłucze bokami o deski. Właściciel konia Karol Marcinkowski, oficer jazdy poznańskiej, kawaler krzyża walecznych, przywiązany liną do masztu niewiele lepiej czuje się od niego. Jest bezsilny, chory, sterany. Ogólny szlak emigrantów opuszczających ojczyznę po upadku powstania trzydziestego roku, wiodący przez Niemcy, był dla niego zamknięty, z racji, że zbiegł do szeregów z pruskiej służby wojskowej - przeto statkiem udawał się do Szkocji. Od paru tygodni złe Niemieckie Morze wzburzone jesiennymi wichrami toczy ich i wodzi tam i nazad, tam i nazad, bez możliwości dobiecia do brzegu gdziekolwiek. A dziś, zda się, będzie koniec...

Granatowy mundur nieudolnie przerobiony na cywilne ubranie (na spłowiałym suknie ciemniejszą wyraźne ślady po odprutych naramiennikach) ocieka wodą. Na spierzchłych, spieczonych ustach zostaje gorzki smak. Gorzkie i frasobliwe są także myśli wygnańca. Bezładne, urywane odwijają wstęgę minionego życia, co choć tak krótkie, już w doświadczenie zasobne...

Migają kolejno wśród łoskotu burzy obrazy ubogiego dzieciństwa, wyteżona praca w szkółce, studia medyczne w Berlinie... Zawiązanie koła polskiego Polonia... Porozumiewanie się hasłem:

“ ...Co cię zajmuje?

Myśl Ignacego Potockiego.

W jakim duchu?

W duchu Hugona Kołłątaja.

W jakim zamiarze?

W zamiarze Kościuszki...”

W ślad za tym więzienie pruskie. Prawie roczny pobyt w wilgotnych, zimnych kazamatach twierdzy. Gruźlica tam nabyta nie opuści aż do śmierci, skróci życie o połowę. Potem praktyka

lekarska w Poznaniu, rodzinnym ukochanym mieście... Nawiązanie serdecznej przyjaźni między młodziutkim lekarzem a chorymi rekrutującymi się spośród największej biedoty. Ich zaufanie, ich żal i łzy, gdy odchodził do powstania... “Wybaczcie, mili - tłumaczył im - by nie iść, musiałbym chyba wyrzec się samego siebie... Do tego czynu od dziecka wszystkie moje uczucia wzdychały...”

Potem najpiękniejszy w życiu rok uniesień, nadziei, bojów i zwycięstw... Rok także pierwszej w życiu a dozgonnej, mocniejszej niż śmierć miłości.

Och, dość było ją wspomnieć, pozwolić myślom ulecieć w jej stronę, by wszystko inne niknęło z oczu i uczuć. Ani burza, ani konwulsyjne bujanie się trzeszczącego statku, ani złowrogie, sfalowane morze... Nie ostawało się nic... Jest tylko jej piękne rozumne czoło, spokojny zarys brwi nad łagodnymi, ciemnymi oczyma.

Ukochana, jedyna! Bohaterko nieulekła, duszo na wskroś w każdym odruchu szlachetna, Polko gorejąca, jakże cię nie miłować, jakże cię nie wielbić... I jakże po stracie twojej nie rozpaczać...

Nigdy, już nigdy nie wrócą długie pochody, gdy jechali strzemię w strzemię; wspólne trudy obozowe, pielęgnowanie rannych... Nie wróci nigdy miniona d. Mur uprzedzeń kastowo-klasowych dzieli młodego lekarza, syna ubogiego restauratora z przedmieścia, od panny Emilii Ó, córki jednego z najstarszych rodów wielkopolskich. Nie zwali tego muru nic. Oboje nawet się o to nie kuszą...

“Skoro nie możemy kochać się wzajem - mówiła ona - będziemy za to w dwójnasób kochać ojczyznę.”

Ojczyznę...

Gwałtowniejsze niż dotąd natarcie wichru położyło statek na boku. Liny, związane łańcuchem beczułki, przesunęły się z łoskotem po pokładzie. Klatka z koniem zatrzeszczała, okręciła się i runęła za nimi. Wsparta o burtę ważyła się chwilę, chwiała. Olbrzymia fala załala pokład, zmiotła ją z powierzchni...

Coś bieleje ponad wodą... Może to grzywa siwka?... Nie, to piana. Przepadł już wierny towarzysz. Ostatnie żywe wspomnienie czasów miłości i sławy...

Po cóżem cię brał, przyjacielu? Śmieszny romantyzm, nieużyteczny nikomu. Czemużem cię spokojnie nie zostawił w kraju? Koniu mój, koniu ułański...

Cierpkie łzy płyną po twarzy wychłostanej słońcą wodą. Niemęska rozpacz obejmuje serce. Bodajby i mnie zmyła fala... Po co żyć?

“...aby w dwójnasób kochać ojczyznę...”

Echo ukochanych słów staje się dla myśli zbawienną kotwicą; jak gdyby ofiara siwego konia mogła (wierzyli w to starożytni) ukołysać morze - burza zdaje się przycichać. Fale są ciągle

jeszcze rozkołysane i wzdęte, lecz natarcia wichru słabną. Sternik odwraca strudzoną twarz i mówi coś, czego nikt nie słyszy, lecz co może brzmieć: żyjemy...

- Żyję i wrócę - szepcze Karol Marcinkowski. W serce wstępuje dawno nie zaznana otucha.

- Wrócę choćby za dziesięć lat, wrócę taki sam. Nie zapomnę.

Ale czym zapełnić czas rozstania, nieskończenie długie lata, by z tęsknoty nie oszaleć i z próżnymi rękoma do ojczyzny nie powrócić?

Marcinkowski zamyślił się nad tym problemem głęboko. Choć wychowanek epoki romantycznej, gdy nawet najlepsi zwykli byli osobiste uczucia stawiać ponad wszelkie inne sprawy i niemało wycierpieć musieli, zanim z Gustawów przedzierzgnęli się w Konradów - zdawało mu się zawsze, że szczęście osobiste jest rzeczą zbyt błahą, by warto było ubiegać się o nie nad miarę. I teraz myśląc, z czym wróci, o kraju raczej myślał niż o ukochanej.

Nie zmarnować czasu! Zebrać jak najwięcej nauki! Podobno w Anglii wiedza lekarska stała na wyższym niż gdziekolwiek indziej poziomie. Wynaleziono już tam pono lekarstwo na tyfus i biegunkę. Nauczyć się tego wszystkiego, nabrać wiadomości... Wrócić do swoich ze zwiększoną możliwością pomocy... Nie być bezsilnym wobec choroby! Do mieszkania, w którym matka czuwa przy łóżeczku chorego dziecka, wchodzić jak zwycięzca, który zło odgoni! Uratować dziecko matce, matkę dzieciom, ojca rodzinie...

Tyle już zdążył wycierpieć przez gorzką bezsilność lekarza, że teraz groźna rzeczywistość morza, wspomnienie siwka, nawet jej wspomnienie ustępuje marzeniu o salach szpitalnych, schludnych, czystych, dostępnych dla wszystkich, nawet najbiedniejszych...

Lecz nie wystarczy ujarzmić chorobę. Lekarz ubogich wie, że równie groźnymi wrogami są głód, wilgoć mieszkań, bieda... Im również trzeba zaradzić. Znaleźć sposoby ulżenia niedoli płynące nie z jałmużnictwa, lecz z podniesienia godności własnej człowieka. Godność człowieka! Czy to nie kamień węgielny wszelakich poczynań?

...Ludzi ubogich nauczyć, aby pracę pokochali. Potem im tej pracy dostarczyć... Potem ją wynagrodzić w stopniu pozwalającym utrzymać się z niej uczciwie... Oto całe zagadnienie.

Wtedy dopiero każdy osobnik dojdzie do osobistej godności, która jest przecuciem Boga, największą potęgą duszy, a którą dotąd ani religia, ani mniemana oświata obdarzyć nie potrafiły.

Dać pracę... i dać prawdziwą oświatę. Mądrą, swobodną, każdemu dostępną. Wydobywać z mas ludu młodzież zdatną, a wykrywszy jej talenta obracać je na pożytek kraju.

Porwany marzeniem, spojrzął na niebo bielejące świtem.

- Boże! Dozwól mi to spełnić! W zamian zrzekam się ochotnie wszelkiej myśli osobistej i wszystkiego, co ludzie nazywają szczęściem...

Wielka sala Bazaru poznańskiego jarzyła się od setek świateł, wypełniona szczelnie tłumem. Bo też cały Poznań i niemała część Wielkopolski zebrały się, by w tym właśnie gmachu, staraniem i pracą Karola Marcinkowskiego wzniesionym, uczcić go, wyrazić mu swą wdzięczność i podziw.

Hrabia Arnim, Niemiec zacięty, przyjaciel osobisty ministra, mówił żywo do stojących obok niego Mielżyńskiego i Potworowskiego, jak gdyby tłumacząc swoją obecność:

- ...Przyszedłem, bo ciekaw jestem zobaczyć z bliska tego Marcinkowskiego. Znam go tylko z działalności zakrawającej na czary, no i z tego, że jest zagorzałym Polakiem życzącym nam, Niemcom, abyśmy sobie stąd poszli do diabła... O, nie zaprzeczajcie, panowie, zbyteczna grzeczność. Przecież to dobrze wiadome. Niemniej muszę przyznać, że ten człowiek zaciekawia mnie. Podziwiamy go. Niezwykły przeciwnik. W jedenaście lat sprawić to wszystko, co on zrobił... Ten Bazar! Nikt wcześniej o tym nie pomyślał, a przecież ta instytucja daje zarobek setkom waszych rzemieślników. A Towarzystwo Pomocy Naukowej. Dobrodziejstwo dla kraju. Pragnąłbym, abyśmy w Niemczech zawiązali jak najprędzej podobne. A Towarzystwo Pomocy dla Biednych. I widzicie, panowie, za co go szanuję, choć on nas tak nienawidzi. Oto, że gdy chodzi o biednych, narodowość u niego nie gra żadnej roli. Zwalcza nas jako rząd - lecz i wspomaga ubogich Niemców jako ludzi bez różnicy. A szpitalnictwo... A zamierzony Bank Spółkowy... A starania koło utworzenia Instytutu Rolniczego... W jedenaście lat! Niesłychane! Rad bym podpatrzeć jego tajemnicę. Skąd bierze siły? Przecież i jako lekarz jest niezrównany. Powiadają, że nie zdarzyło się nigdy, aby mu pacjent umarł. To oczywiście legenda, niemniej fakt, że posiada niezwykle zaufanie. Najjaśniejszy pan osobnym ukazem uwolnił go z więzienia na pierwszą wieść o wybuchu cholery, uważając, że jedyny Marcinkowski zdoła ją powstrzymać. Czyż to nie brzmi fantastycznie? Bardzo chciałbym, aby przyszedł. Podobno z jego zdrowiem nietęgo?

- Bardzo źle nawet. Przepracowanie... Gruźlica... Często nieodpowiednie warunki mieszkania... (Potworowski uśmiechnął się przy tych słowach nieznacznie, lecz hrabia Arnim był dobrym światowcem i udał, że przymówki do przydługich pobytów Marcinkowskiego w więzieniu nie zrozumiał.) Niepokoiły się o niego bardzo, tym bardziej że nie chce słyszeć o zaprzestaniu pracy. Chorych odwiedza po dawnemu, zwłaszcza biednych, ale wiem, że na schody muszą go wnosić, bo wejść o własnej sile nie może.

- Śmierć jego będzie dla was wielką stratą - stwierdził Niemiec szczerze. - A jak pan myśli, przyjdzie dziś?

- Zasadniczo nie przychodzi nigdy na żadne zebrania. Dzisiaj jednak może przyjdzie...

Mówiący mimo woli spojrział w stronę, gdzie siedziały panie, poważne matrony w ciężkich, szeleszczących sukniach. Wśród nich młoda jeszcze kobieta o pięknym, rozumnym czole i wielkich

ciemnych oczach spoglądała uparcie ku drzwiom.

- Może dziś przyjdzie - powtórzył Potworowski, przyjaciel Marcinkowskiego.

Jakoż przyszedł. Wszedł prawie niepostrzeżenie. Szczupły, zbyt szczupły, zaledwie czterdziestosześcioletni, lecz przedwcześnie postarzały. Cichy czarodziej, który przeobraził Poznań. Dobry "doktor Marcinek", ukochanie biednych.

Witał wszystkich uprzejmie, choć z pośpiechem, pragnąc co rychlej móc rozmawiać bez przeszkód z tą, dla której wbrew zwyczajowi przyszedł na zebranie.

- Dawnośmy się nie widzieli... - zauważyła ona podnosząc ku niemu piękną zawsze twarz.

- Dawno.

- Czy to nie dziwne, mieszkając tak blisko? Czy tak być musi?

- Odwykłem od myśli, by mogło być inaczej... Nie zmieniamy nic... Zostawmy przeszłość... Już się nie powróci...

- Dlaczego? - zapytała z mimowolnym buntem.

Uśmiechnął się zrezygnowanym uśmiechem bez słowa.

- I tak nam życie zeszło... - szepnęła z przejmującym żalem.

- Nie narzekajmy.

- Ja nie narzekam, tylko myślę, że mogło być inaczej.

- Kto wie, czy byłoby lepiej - odparł gorąco. - Sam czuję, że zbytnia szczęśliwość pozbawiłaby mnie tej odrobiny energii ku słuzeniu ludziom, jaką posiadam. Skarb upragniony posiadając w domu, aniby za próg chciał wychynąć. Stałbym się egoistą, leniwcem. Ileż razy, gdy przyszło nocą jechać konno piętnaście albo dwadzieścia mil w deszcz i szarugę do chorego robotnika, wyskakiwałem z łoża ochotnie, powiadając sobie, że ku tobie, pani, jadę. Tako to był mój grzeszny wybieg, z którego tobie pierwszej się spowiadam. Wybieg wielce pomocny, gdy ciało było bardzo utrudzone. A cóż bym sobie mówił, gdyby to przeciwnie, od ciebie, pani, odjeżdżać przyszło?

Milczała składając bezwiednie i rozkładając wachlarz.

- Samaś mi kiedyś powiedziała - podjął: - "Nie możemy kochać się wzajem, będziemy w dwójnasób kochać ojczyznę..." Te słowa stały się moją ewangelią... uratowały od rozpacz... wiodły przez te wszystkie lata...

Otworzyła usta, by powiedzieć, że jeżeli wtedy, przed laty narzuciła mu wyrzeczenie nie czując w sobie dość siły, by zwalczyć opór rodziny - to teraz przeszkody te nie istnieją. Znikły dawno. Nie było domu, w którym Marcinkowski, bożyszcze Poznania, nie byłby powitany z radością jako zięć. Lecz on przeczuł te słowa i przerwał jej żywo:

- Nie mówmy o tym. Ja już odpływam od brzegu. Może jeszcze miesiąc, dwa, najwyżej rok

tego tu pielgrzymowania i piasek po mnie ślady zasypie. Ale nawet gdyby było inaczej, gdybym był zdrow i miał szmat życia przed sobą, nie czułbym prawa, by zawrócić... Bo kiedyś, rychło po naszym rozstaniu, ślubowałem wyrzec się wszelkiego szczęścia osobistego, czyli ciebie, pani, by mi za to Bóg pozwolił być użytecznym krajowi. I Bóg tę ofiarę przyjął. Spełniłem to, co pragnąłem. Więc jakżebym mógł teraz ją cofnąć?

- Tak pan mówisz o tym, jakbyś niczego nie żałował?

- Nie żałuję - zapewnił ją szczerze. - Dobrze się stało, jak się stało. Przekuliśmy nasze uczucia na kruszec lepszy i trwalszy.

Odwróciła się, by ukryć łzy stojące w oczach. Już też i zebrani na sali dostojnicy skupiali się chrząkając i przygotowując przemowę. Hrabia Arnim podszedł z zaciekawionym. Na aksamitnej poduszce leżał srebrny wieniec i adres. Najstarsi przedstawiciele społeczeństwa mieli je ofiarować zasłużonemu gościowi. Spotkał ich zawód, bo doktor Marcinkowski wymknął się niepostrzeżenie z sali.



## Twórcy pokoju

W olbrzymiej sali konferencji mocarstw sprzymierzonych panowała niezwykła cisza. Wlewające się jasną falą przez szerokie okna słońce grało w olbrzymich kryształowych pająkach, lekkich jak zjawa, drżących nad głowami delegatów. Małe kryształowe kałamarze, stojące rzędem na stole, chwyciły odbicie tych tęczy, migocąc opalowo na ciemnym tle sukna. Białe płyty rozłożonych papierów rozplywały się w miękkim blasku. Grały barwami stare ściemniałe zwierciadła ujęte w smukłe pilastry.

Wśród tej powodzi światła lekkich, migotliwych, twarze siedzących, zastygłe w napięciu, rysowały się twardo, kanciasto, jak maski. Szczyt wielkiego stołu ustawionego w podkowę zajmowali przedstawiciele trzech wielkich mocarstw, rozstrzygający bezapelacyjnie przyszłe losy Europy. Swobodnie rozparty w fotelu, uśmiechał się Lloyd George, przedstawiciel Anglii, chwiejny intrygant, wymowny nieuk. Pośród delegatów powtarzano nieraz z uśmiechem powiedzenia angielskiego premiera, który Śląsk mieszał z Cylicją\*, (\*Cylicja - kraj w południowoschodniej części Azji.) a Siedmiogród uważał za miasto. Pomimo tego był wszechwładny i odpowiednio zarozumiały. Obok wiecznie uśmiechniętego kolegi prezydował Clemenceau, żelazny starzec, genialny duch zniszczenia, mocny, nieugięty, porywający. Urodzony do dźwigania i wygrania wojny, lecz nie do stworzenia pokoju. Jedyną jego miłością była Francja, jedyną nienawiścią - Niemcy. Poza nimi Europa i wszystkie jej sprawy były mu najdoskonalej obojętne. Po prawej jego ręce prezydent amerykański Wilson, najwyższy autorytet chwili, półbóg, w którego wszyscy pokrzywdzeni świata wpijali wzrok pełen nadziei jak w zbawcę, wspierał na ręce długą, dobrotliwą, pozbawioną energii twarz gestem pełnym zniechęcenia. Poza nim marszałek Foch, o szlachetnej, rozumnej głowie, spoglądał przed siebie spokojnie, jak przystoi żołnierzowi, który wypełnił, co do niego należało, i resztę zdał politykom.

Dalsze miejsca zajmowali: Hymans i Vandervelde, przedstawiciele belgijscy; Orlando i baron Sonnino, włoscy; Saionyi i Makino, samuraje japońscy o skośnych, nieprzeniknionych oczach; Venizelos, zwany Odyssejem konferencji, szerniała na twarzy z udręczenia, niestrudzony delegat Grecji; cierpliwy, wytrwały Masaryk, przedstawiciel czeski; Bratianu rumuński, Pasicz serbski, Costa portugalski, Leu-Tsen-Tsiang, żółty, przemądry reprezentant Chin, maharadzowie indyjscy, delegaci wolnych republik Kuby, Gwatemali, Hondurasu, Haiti afrykańskiej, murzyńskiej Liberii, Boulomaque, delegat brazylijski, przedstawiciele angielskich dominiów, Nowej Zelandii, Australii i Kanady, wreszcie rój sekretarzy i reporterów prasowych.

Pośród tej rzeszy rozlicznych narodów, zebranych z całego świata, rzekomo, by położyć

koniec wojnie i pokój wieczny utrwalić na ziemi, na poczesnym miejscu, nieopodal szczytu stołu siedzieli Roman Dmowski i Ignacy Paderewski, delegaci narodu polskiego, pierwszy raz po półtorawiekowej blisko przerwie zajmującego należne mu stanowisko pośród państw europejskich. Milczeli razem z innymi. Dmowski utkwiał martwo wzrok w leżących przed nim papierach, notatkach, danych rzeczowych, niezbitych, których od pięciu miesięcy nikt nie chciał wysłuchać. Chłodną, rozumną twarz wytrawnego polityka-myśliciela krzywił gorzki grymas. Wierzył niegdyś w konferencję, spodziewał się, że naprawi ona krzywdy narodowe, zwróci zagrabione ziemie. Porzucił dawno te złudy. W mózgu kształtowała się uporczywie myśl, że tyloletni przeciwnik polityczny, usilnie zwalczany więzień z Magdeburga\*, (\*więzień z Magdeburga - mowa o Józefie Piłsudskim.) lepiej się niżli on przysłużył ojczyźnie, że miał słuszość licząc więcej na ostrze swej szabli, niż na poczucie sprawiedliwości rządzącego tu areopagu. Jasne kądziele włosów Paderewskiego i łagodne, rozmarzone oczy, którymi wodził po sali z dziecinnym, niejako żalonym zdziwieniem, zdały się być na tym targowisku politycznym czymś równie obcym, zbląkanym, jak świetlne połyski i tęcze łamiące się nad głowami. Wszystko, co się wokół niego od chwili otwarcia konferencji działo, było tak różne od tego, co miało być, tak dalekie od wzniosłych zapowiedzi i szumnie głoszonych celów, że serce drżało w nim z żalu. W czystej swej duszy pojąć nie mógł, dlaczego rzeczy tak proste, konieczne, jak sprawiedliwość i wolność, były niedostępne dla umysłów tylu ludzi. O ileż mądrzejsze i posłuszniejsze są tony! Krzepił się w swej trosce wspomnieniem dźwięków, harmonii wieczystej, niezniszczalnej, rozkosz ducha stanowiącej, której doskonała logika i piękno rękojmą są, że kiedyś dobro zapanuje ponad światem.

Nagły dreszcz, niby prąd elektryczny, przebiegł przez salę, przerwał rozmyślenia wielkiego artysty. Wszystkie oczy zwrócone były w górę sali, gdzie Clemenceau podniósł się pochylając nad stołem.

- Proszę wprowadzić panów delegatów niemieckich - rzekł schrypłym nieco, na pozór zwykłym głosem. Nie usiadł, czekając. Okrągłe jego plecy, siwe, karykaturalnie zjeżone pod nosem wąsy dawały mu wygląd jowialnego, dobrodusznego dziadunia. Lecz w nachylonej, zebranej w sobie postawie, w małych, błyskających spod krzaczastych brwi oczach taił się człowiek, którego pospolicie zwano "Starym Tygrysem". Zaciskał mocno wsparte o stół pięści. Całe życie wszak czekał na tę chwilę, która była.

Odgłos kroków zabrzmiał w ciszy. Stojąca przy drzwiach warta otworzyła na oścież rzeźbione, złożone drzwi. W progu stanęli wysłańcy niemieccy, przychodząc wysłuchać w pokorze warunków, pod którymi sprzymierzeni gotowi byli zamienić w pokój trwający dotychczas rozejm. Sześciu ich było: hrabia Brockdorff-Rantzau, minister spraw zagranicznych, wysoki, sztywny, o twardej, posępnej twarzy krzyżaka, dr Landsberg, minister sprawiedliwości, Giesbert, minister

poczt, radcowie: Lemert, Melchior i Schiicking. Pod ogniem setki oczu, wśród niesamowitego milczenia szli ku wyznaczonym im miejscom. Lustrzana posadzka zdawała się wydłużać w nieskończoność. Tafle zwierciadeł, tych samych, co przed czterdziestu ośmiu laty odbijały postać zwycięskiego kanclerza\*, (\*zwycięski kanclerz - mowa o Ottonie Bismarcku, który w 1871 roku zawarł w tej sali haniebny dla Francji pokój.) prawem przemocy powalającego Francję w przepaść upokorzenia i nędzy, odsyłały im teraz ich własne twarze, twarze zwyciężonych, proszących Francję zwycięską o pokój. Więc idąc cierpieli straszliwie w swej dumie, w zawrotnej pysze niemieckiej, i w przekonaniu o niezmiernej wyższości Niemiec ponad wszelkie inne narody. Wyrafinowanie, z jakim na miejsce ich upokorzenia wybrano tę właśnie salę, rozpalało nienawiścią do zwycięzców.

Nieporuszeni siedzieli niemo w czasie odczytywania warunków pokoju, gdy niby kamienie, miażdżące ich złowrogą potęgę, padały żądania zupełnego rozbrojenia, zniszczenia przemysłu wojennego, wydania Anglikom floty, wyrzeczenia się kolonij, zapłacenia kosztów wojennych. Clemenceau nie spuszczał z nich oczu, przygryzając zwieszające się nad wargami wąsy.

- Panowie delegaci - rzekł drapieżnie przyciszonym głosem, powstając, gdy skończono odczytywać warunki - oto nadeszła chwila ciężkiego porachunku. Zaznaczam, że konferencja nie dopuści do żadnej dyskusji nad podanymi punktami, które w całości muszą być przyjęte...

Hrabia Brockdorff-Rantzau otworzył usta. Chciał powstać, by odpowiedzieć, lecz wzruszenie podcięło mu nogi.

- Nie mieliśmy złudzeń co do naszej bezsilności - rzekł głucho - ani co do stopnia nienawiści oczekującej nas tutaj.

Wstał z trudem, blady jak trup, i nie patrząc na nikogo wyszedł z sali, za nim jego towarzysze. Uśmiech zwycięski przewinął się po twarzy "Starego Tygrysa", lecz zgasł pod naporem ogólnego milczenia. Nie rozwiało się ono po wyjściu delegacji, nie rozproszyło w radosnym stwierdzeniu mocy. Delegaci siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w drzwi, którymi wyszedł jutrzejszy krwawy odwet. Z niezwykłą siłą uderzyło wszystkich poczucie własnej miernoty wobec ogromu zadania. Zadrżeli przed widmem przyszłego sądu historii. Po toż jedynie się zebrali, by upokorzyć wroga? Gdzie wielkie hasła, na których spełnienie czekała z biciem serca Europa? Mieli położyć kres wojnom, a rzucili zarzewie stu nowych wojen po świecie. Nie wyrównali krzywd żadnych. Nie wypełnili najśluszniejszych żądań słabszych, uboższych narodów. Jak przedtem, jak zawsze, liczyli się z siłą, nie ze sprawiedliwością.

I poczucie odpowiedzialności za zmarnowane dzieło stało się tak mocne, natarczywe, że zamyślił się nawet nieuczciwy cynik Lloyd George. Szlachetny marzyciel Wilson, pragnący uszczęśliwić ludzkość, lecz nie mający po temu dostatecznej energii ni woli, rozejrzał się z żalem

wokoło. Spotkał oczami wzrok Paderewskiego, zatrzymał się na nim długo. Potentat amerykański i artysta polski zrozumieli się wzajem: królestwo Boże jest jeszcze daleko od świata. Niewiele bliższe, niż przed stu kilkudziesięciu laty, gdy lud paryski sądził, że precz wypędził tyranię i ucisk. Jakże małymi krokami posuwa się ludzkość!

Przy wyjściu z pałacu wersalskiego graf niemiecki Brockdorff-Rantzau zatrzymał się ocierając pot z czoła.

- Siódmy maja - mruknął - rocznica zatopienia "Lusitanii". Bodaj diabli porwali Tirpitz! Wszystko przez to głupstwo...

Pozostali potakiwali mu w milczeniu, spoglądając ponuro. Tylko radca ministerialny Lemert uśmiechał się prawie swobodnie.

- Pan się uśmiechasz, panie radco Lemert? - zachnął się oburzony graf.

- Uśmiecham się, ekscelencjo, bo sprzymierzeni przegrali sprawę. Ich warunki są niewykonalne. Przeto ich nie wykonamy. Niemożliwości nikt nie może żądać. Gdyby żądania były umiarkowane, bylibyśmy zmuszeni je spełnić. Byłoby gorzej. Ekscelencja się przekona....

- Być może.

- A najważniejszej nowiny jeszcze nie powiedziałem waszej ekscelencji. W czasie odczytywania warunków dał mi o tym wiadomość angielski sekretarz: Górnego Śląska Polsce nie oddadzą. Będzie plebiscyt.

- Bogu dzięki! - westchnął graf. Powlókł okiem po tworzących szpaler żołnierzach, spoglądających nań surowo a dumnie, i odszedł raźniejszym krokiem, niżli przyszedł.

## Doczekał

Wawrzyn Hajda wyciągnął rękę i zmacał leżący na stoliku, świeżo otrzymany list od Piotra Rudy. Był to list prawdziwy, po polsku pisany, nie zwykła karta z frontu, bezosobowa i martwa, zawierająca krótkie, stereotypowe zapewnienie po niemiecku: “Jestem zdrow i dobrze mi się powodzi”.

Ruda był mądrałą nie lada i zawsze potrafił nie tylko list napisać, ale go unteroficerowi pod dobrą chwilę podsunąć, że stampilę cenzurową nie patrząc przyłożył i list do worka pocztowego wrzucił. Stary ślepiec obracał go ostrożnie w dłoniach, z radością wspominając treść, tak jak ją przed chwilą przeczytała jednym tchem gospodyni paniczka Grackowa. Spieszyła się do kuchni, więc nie śmiał prosić o przeczytanie powtórne. Teraz wodząc dłonią po papierze, przypominał sobie, że najprzód były pozdrowienia dla wszystkich krewnych i znajomych, potem pomyślnie wiadomości o własnym, Piotrowym zdrowiu, a potem to właśnie... W którym miejscu?

Położył list na kolanach, przesuwając po nim ostrożnie palcami wrażliwymi jak struny skrzypcowe. Litery, z których składały się słowa niezwykle, winny się czymś wyróżniać. Być większe, wypuklejsze... Jak wyglądają litery? Z gęstego zasięku ciemności, trwającej już prawie pół wieku, myśl wierna wywlokła na wierzch mętne wspomnienie jednostajnych sznureczków czerniejących na białym papierze. Zlewały się w jedno, nie pamiętał już poszczególnego kształtu żadnej. Więc wnet w ich miejsce nadpłynęła usłyszana nowina, dźwięcząca pełnym, radosnym tonem wyrazów: “...tu wszyscy godają, że Polska być musi i będzie, jeno patrzeć, - bez niemieckiej łaski... Wojska polskiego już pono kajś tam po ruskiej i alianckiej stronie jest wielko kupa. Rychtujcie, Wawrzon, nowe śpiewki, bo Polska będzie naprawdę, ze wszystkimi wsiami, które jeno po polsku godają...”.

- Czym sobie Ruda ujednał unteroficera, że podobne pisanie przepuścił?! Nie wiadomo. Dość, że przepuścił i oto list śpiewał tęczą myślom ślepeca. Ukrywszy go w zanadrzu, stary Hajda plótl gorliwie z płaskiej trzciny siedzenie do krzesła, co było zwykłym jego zajęciem od lat. Plótl, zasluchany w echo słów:

...Będzie!... I Śląsk razem... O, Jezu!... - Opuścił ręce z robotą, bo duszność go zdjęła na chwilę z radości, lecz zmógł ją i pracował dalej, zatopiony w myślach. Niosły go daleko, ku Polsce. Ze wspomnień młodości szczęśliwej, widzącej, zachował w pamięci niektóre obrazy. Więc Polska jawiła się przed nim zawsze jako zielonomodre błonie, rozległe, zalane słońcem. Po tym błoniu, na którym nie stał ani jeden żandarm w pikelhaubie, ani jedna tablica z tym lub innym “verbotem”, - jechali trójkami ułani. Widział takich niegdyś, niegdyś na kolorowej litografii z obrazu Kossaka.

Mieli długie lance z wąskimi proporczykami, ich rabaty kwitły, jak grzędy w ogrodzie, konie szły strojnie, lekko wyginając szyje. Jada śpiewając:

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,  
Będziem Polakami...

Tętni uległe ziemia pod rytmiczną chłostą kopyt, burza młodych głosów niesie pieśń. Szumią proporczyki w wietrze...

Wśród gęstego mroku zalegającego izbę dokończył wyplatania krzesła. Przesunął dłonią po rękawie kapoty, w którym zauważył był przedtem rozdarcie. Z drewnianego pudełka wyjąwszy igłę i nici, ruchem pewnym, niepojętym w swej sprawności dla człowieka widzącego, nawłókł nitkę i począł naprawiać ubranie starannie, pieczołowicie, prostując każdy ścieg palcem. Puste oczy utkwiał przed siebie, zamyślony, ostrym profilem głowy, chudą szyją majacząc na tle okna, niby wielki, oczekujący dnia ptak.

“...A dycki śpiewomy pieśniczki, coście nas nauczyli, żeby zaś Szwaby w całym szwadronie wiedziały, żechmy Polski”... - zabrzmiały mu w uszach dalsze słowa listu. Uśmiechnął się do nich w ciemności, a wyciągając z wolna, precyzyjnie igłę, pobiegł myślami wstecz daleko, ku latom młodym, tak niewymownie odległym, że w zdziwieniu pytał się niekiedy sam siebie, zali możliwe, aby on to sam żył od tak dawna?...

...Dobrotliwie pofałdowana twarz księdza Purkopa, co pierwszy polską książkę dał do ręki... Lumpa, Miarka, niestrudzeni budziciele, co go miłować Polskę nauczyli, którym zawdzięczał właściwą swą duszę... Wieczne odpocznienie racz im dać, Paniel!... Pomarli dawno. Młoda żona... dzieci... Na wpół zatarte obrazy, roześmiane w słońcu... Nie żyją także od lat... Jegoż to było życie?... jego własne? Patrzył bystrymi oczami. Spuszczał się co dzień w głąb kopalni, jak król do swego państwa. Grało mu wszystko i śpiewało, nawet stukanie kilofów, zgrzyt tacek. Śpiewała w nim dusza weselem...

...Aż się zważyło zaczajone w głębokiej sztolni nieszczęście...

Schował igłę do pudełka i wdział naprawioną kapotę. Myśli szły dalej gościńcem wspomnienia. Bryła kalectwa, jak kamień graniczny, dzieliła jego życie wewnętrzne na dwie części. Gdy zamarzy kształt i barwa, nowej, przedziwnej dla skołatanej duszy treści nabrał dźwięk. Stał się kolorowym, pełnym, zdolnym powoli zastąpić wszystko inne. W głębi nieustannej nocy pojął dopiero teraz niezmierną jego ważność, dzielność i przekonywającą moc. Zrozumiał mowę tonów, przemądrą ich harmonię wybiegającą daleko poza możliwości języka ludzkiego, określone ciasną granicą wymowy. Wydało mu się, że dopiero teraz miłuje Boga i Polskę prawdziwie, gdy

wielkość ich, dostojność i piękno umie wygrać i wyśpiewać.

Każde wrażenie zmieniało się w pieśń-pocieszycielkę. Tych skarbów odkrytych nie czuł się w prawie chować dla samego siebie. Uczyć pieśni! Budzić pieśnią! Pieśnią wlać w serca odwagę, jasność niezachwianą w myśli!... Ubogi kaleka stał się rozdawcą skarbów nieprzebranych. Dzieło wielkich wskrzesicieli, Stalmacha, Miarki, on dopełniał śpiewem, utwierdzał na fundament pieśnią.

Teraz w ciemnej izbie zgarbiony na stołku, zanucił z cicha pierwsze swe wezwanie:

...Wraz więc śpiewajmy! Choć dola przygniata,

Pieśń niech nas wszystkich bratnim węzłem splata,

Pieśń w swoim łonie skarby nieba kryje

Cześć jej i sława! Niechaj nam pieśń żyje!...

Rozbrzmiewało ono długi szereg lat. Oto pierwsze na Śląsku kółko polskie śpiewackie, zwane, w miarę jak je Prusacy zamykali, Kołem Św. Alojzego i Kasynem Polskim. Na koniec chowali się, by śpiewać, do Herodowej kaplicy w niedokończonyj Kalwarii, skąd dzieciaki przeżywały ich Herodami, a gdy żandarm i to schronienie wytropił, to w lasach albo na polu...

Hej, czasy to były, czasy! Ile jego pieśni rozeszło się po Śląsku? Chyba z osiemset... Różne były, ale o jednym mówiły... I minione lata pracy wydały mu się naraz niby rola, którą jako siewacz tajemny zeszedł ukradkiem, przecież starannie, nie omijając ni piędzi...

Drzwi skrzypaneły. Nieomylnym słuchem poznał, że idą gospodarz Franciszek Gracek, proboszcz Woźniak i sztygar Pompała. Pozdrowił ich serdecznie, prosząc, by lampę zaświecili, bo wiadomo, widzącym niemiło w mroku siedzieć, a na polu już dawno ćma być musi.

- List macie? - zagadnął proboszcz.

- Jest - rozpromienił się Hajda podając mu papier. Ksiądz czytał głośno, z uwagą, wśród ogólnego milczenia.

- Wszędy padają, że Polska zaś bydzie... - przytwierdził sztygar nakładając fajkę.

- Ze wszystkim, co polskie było... - dodał żywo Hajda.

- To i Śląsk niby?

- A toć.

- Nie wiadomo, czy tam jest, ale po co Brzyć się do tej Polski - zauważył sztygar obojętnie.

- A czemu też tak?! - obruszył się stary.

- Siednijcie se, Wawrzyn! To tam nic wielkiego... Jakoś niepieknie o Polsce godają... Był tu jeden z Dąbrowy niedawno... Godo! "po bolszewicku wszycko zrobimy, nie trzeba nam księdzów ani sztudyrowanych panoczków"\*.

- Zbój to jakisik abo chachar godoł.

- Zoden zbój, jeny górnik... Wam, Hajdo, dycki się widzi, że w Polsce sami święci, a nam trzeba dobrze rozwożyć, czy się też opłaci do Polski należeć. We Warszawie tyż o nas Ślązaków motka nie stojom...

- Nie dejcie wiary, ludkowie, nie może to być!

- Bajić! Wy, Hajda; godocie całkiem, kiej dzieć. My wiemy prowę od ludzi żywych, kierzy stamtąd do nas przyszli, nie z książek... Życie nie śpiewki! Jeszcze tej Polski ni ma, a już się w niej ludziska jak psy żerą.

- Niemce to godają na złość.

- Kiej nie Niemce, a Poloki. Naisto wom padom, w Polsce ni ma dobrze. Z Niemcem nom źle, a w Polsce jeszcze będzie gorzej.

- Panie farorzu, a dyć godejcie też co, dyć to tak nie może być!

Książdz tarł z frasunkiem podbródek.

- Niedobrze jest podobno - westchnął. - I gazety o tym piszą... Mam tu właśnie "Gazetę Ludową"...

Lecz stary zaprzeczył głową uparcie i zamilkł pogrążony w żalu. Goście rozmawiali jeszcze długo, stukając kuflami piwa, po które posłał gospodarz. Czytali głośno gazetę. Nie słyszał nic z tego. Odgrodził się od nich milczeniem, cofając w swą noc nieustanną. Tam, za szańcem kalectwa, w państwie swym własnym, swobodnym, otrząsnął z głowy ich gadki cudaczne i wybiegł myślą daleko. Oto łąka zielona, słoneczna, jak szczęście... Jadą żołnierze polscy, radosne zwiastuny swobody... Jadą śpiewający... Otwiera im duszę na oścież... Otwiera serce stęsknione na przestrzał... Wita chyląc się do kolan, ni to gospodarz oczekiwanym od lat wielu gościom...

Czerwcowe słońce grzało pergaminową twarz starego Hajdy. Wśród tłumu, huczącego jak morze, przepasany powstańczą wstęgą waleczności, stał pod bramą tonącą w zieleni i kwieciu. Brama wzniesiona była na tym samym gościńcu, którym niegdyś król Jan III jechał, by się cudownej Matce Boskiej w Piekarach pokłonić. Tłum czekał. Hajda czekał wraz z nim, lecz zalękniony jakiś i niepewny. Może dlatego, że był coraz bardziej stary i osierocony, wydawało mu się teraz często, że długie lata prześladowań i okrucieństw pruskich mniej były ciężkie i bolesne, niż chaos ostatnich czterech lat. Zmęczyły go i stargały do cna. Dawniej droga była prosta: po jednej stronie niedościgniona, świetlista ojczyzna, po drugiej nienawistny wróg. Obecnie skłębilo się wszystko. Z zagmatwanej płataniny wyłaniało się oblicze inne niż to, w które całe życie wierzył. I oto dzisiaj, dożywszy chwili zwycięstwa, czekał pod bramą utkaną flagami, z duszą pełną niepokoju. Dawny obraz Polski, rozświetlający ciemnicę kaleczą, zaginął w szarpaninie dni, w powodzi obmierzłych wieści prawdziwych i nieprawdziwych, zatracił się doszczętnie, spelzł.



Czym go zastąpi? W jakiej postaci zjawi się Polska za chwilę?

- Idom!!! - chwycił go za łokieć przyjaciel i opiekun, Franek Gracek.

- Kandy?!

Krzyk tłumu zgłuszył odpowiedź. Potężne: "Idą! Idą!!" niosło się ponad głowami. Ludzie parli wprzód, pchali się jedni na drugich, nieczuli na nic, wpatrzeni... A oni szli rzeczywiście. Złoty pył drgał ponad nimi. Miarowo dygotała ziemia.

- Gracek! Godejcie! Gdo idzie naprzód!?

- Ułany idom...

- Ułany?!

Chciał pytać dalej, lecz głos zatonął w grzmocie radosnym wiwatów. Ku nadjeżdżającym wyciągnęły się wokoło setki ramion.

- Godejcie! - zebrał stary na wpeł z płaczem, targając przyjaciela za rękaw.

- Co mam godać? Już som blisko... Wnet bedom. Pięknie w słoneczku jada. Zielone błonie za nimi. Ułani mają chorągiewki żółte, lance błyszczą, muzyka przodem... Co się wam stało, Hajdo!?!... Co wam?

Załamał się, opadł stary. Oto marzenie utracone było prawdą, szło ku niemu!... Boże!!... Widzieć!... Widzieć!... Ujrzyć wytkany w ciemności sen rzeczywistością! Cudu! Widzieć!... Zobaczyć!!... Bodaj na sekundę!!... Widzieć!!...

Szlochał w głos, niebaczny, że już nadjechali, zapominając pracowicie przygotowanej przemowy. Zgarbiony, ścisnął siwą głowę oburącz z rozpaczą.

- Och, widzieć!... widzieć!... Chryste, ja chcę widzieć!...

Dowodzący wojskami generał Szeptycki nachylił ku niemu twarz prawie z tkliwością.

- Nie możesz pan widzieć wojska polskiego, ale usłyszysz za chwilę tętent ułanów polskich, wjeżdżających...

Krótki rozkaz, moment ciszy.

Srebrny wrzask trąb rozdarł powietrze, zatargnął tłumem, wybił się w górę, popłynął. Zagrzmiała ziemia pod ulewą nagłą kopyt, zaszumiały proporczyki, burza młodych głosów podniosła pieśń nieśmiertelną, młodą, rodzoną, zwycięską.

- Jezu!... - wyszeptał ślepiec i padł bez czucia na ziemię.